

**Cody McFadyen**

**Dewiant**

*(The Darker Side)*

*Przełożył Dariusz Ćwiklak*

*Hyeri*  
*za jej delikatność*

# **Część I**

## **Cisza przed burzą**

Umieramy samotnie.

Ale przecież żyjemy też samotnie.

W głębi serca wiemy życie zupełnie sami. Niezależnie od tego, ile łączy nas z tymi, których kochamy, zawsze coś przed nimi ukrywamy. Czasami są to drobiazgi, jak wtedy, gdy kobieta chowa w sercu wspomnienie dawnej wielkiej miłości. Zapewnia męża, że nigdy nie kochała nikogo bardziej niż jego, i w zasadzie mówi prawdę. Ale kiedyś kochała kogoś równie mocno jak jego.

Czasami chodzi o coś wielkiego, o potężnego potwora, który przytula się i liże nas po plecach. Chłopak na studiach był świadkiem gwałtu, ale nie ruszył się, by pomóc dziewczynie. Wiele lat później rodzi mu się córka. Im bardziej ją kocha, tym większą czuje winę, ale nigdy, przenigdy jej o tym nie powie. Prędzej zginąłby na torturach.

Późno w nocy, kiedy jesteśmy już sami, te sekrety pukają do naszych drzwi. Niektóre walą głośno, inne stukają delikatnie, ale zawsze pojawiają się, szepcząc lub zgrzytając. Nie powstrzymają ich żadne zamki, bo do każdego mają klucz. Mówimy do nich, błagamy je, krzyczymy na nie i żalujemy, że nie możemy komuś o nich powiedzieć, że nie potrafimy zdjąć ciężaru z piersi i poczuć ulgi.

Przewracamy się w łóżku albo chodzimy po korytarzu, pijemy albo zalewamy się w trupa, a nawet wyjemy do księżycy. W końcu nastaje świt i wyganiamy je z powrotem do najgłębszych zakamarków duszy, i staramy się żyć najlepiej, jak potrafimy. To, czy nam się to uda, zależy od naszego wnętrza i od wielkości tajemnicy. Nie każdy jest w stanie unieść ciężar

winy.

Młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety, wszyscy coś ukrywają. Nauczyłam się tego, doświadczyłam, przekonałam się o tym na własnej skórze.

Wszyscy.

Patrzę na martwą dziewczynę na metalowym stole i zastanawiam się, jakie tajemnice zabrała ze sobą do grobu.

Jest zdecydowanie za młoda, by umrzeć. Dopiero co skończyła dwadzieścia lat. Jest piękna. Ma długie ciemne i proste włosy. Skóra koloru delikatnej kawy wygląda gładko i bez skazy nawet w ostrym świetle jarzeniówek. Piękne delikatne rysy – podejrzewam, że lekko latynoskie z jakąś domieszką. Być może anglosaską. Usta zdążyły już zsinieć, ale są pełne, choć nie wyzywające. Wyobrażam sobie, jak rozchyła je w uśmiechu, który za chwilę przerodzi się w śmiech – lekki i melodyjny. Pod prześcieradłem skrywającym ją od szyi w dół widać, że jest niska i szczupła.

Ofiary morderstw mnie wzruszają. Czy byli złymi, czy dobrymi ludźmi, mieli swoje nadzieje, marzenia, miłości. Żyli jak pozostali ludzie w świecie, w którym wszystko sprzysięga się przeciwko życiu. Świat daje mnóstwo okazji do śmierci – można umrzeć na raka, zginąć w wypadku drogowym albo paść na atak serca z kieliszkiem wina w ręku i zduszonym uśmiechem na twarzy. Mordercy oszukują ten system, przyspieszają bieg wydarzeń, ograbiają swoje ofiary z szans na uczciwą walkę. To nie w porządku. Irytowało mnie to, kiedy zobaczyłam pierwszą ofiarę, a z czasem irytuje coraz bardziej.

Śmierć to od dawna mój chleb powszedni. Pracuję w filii FBI w Los

Angeles, a od dwunastu lat kieruję zespołem ścigającym najgorszych z najgorszych mieszkańców Południowej Kalifornii. Seryjnych morderców. Gwałcicieli i dzieciobójców. Mężczyzn, którzy śmieją się, torturując kobiety, i jęczą z rozkoszy, gwałcąc ich zwłoki. Poluję na żywe koszmary i zawsze jest to okropne doświadczenie, ale śmierć czai się wszędzie i jest nieuchronna.

I właśnie dlatego muszę zadać to pytanie:

– Szefie? Co my tu właściwie robimy?

Wicedyrektor Jones to mój wieloletni mentor i szef, kierownik całej filii FBI w Los Angeles. Sęk w tym – i stąd moje może niezbyt subtelne pytanie – że nie jesteśmy w Los Angeles. Jesteśmy w Wirginii pod Waszyngtonem. Ta biedna kobieta nie żyje, mogę się nawet wzruszać jej śmiercią, ale sprawa nie należy do mnie.

Jones zerka na mnie nieco zamyślony i chyba trochę poirytowany. Wygląda jak doświadczony gliniarz, bo rzeczywiście spędził pół życia w policji. Emanuje autorytetem i praworządnością. Ma kwadratową szczękę, twarde spojrzenie i regulaminową fryzurę bez śladu jakiegokolwiek stylu. Na swój sposób jest przystojny, czego dowodem są trzy byłe małżeństwa, ale jest w nim coś nieodgadnionego. Cienie zamknięte w sejfie.

– Zadanie pokazowe, Smoky – mówi. – Na polecenie samego dyrektora.

– Naprawdę?

Jestem zaskoczona z kilku przyczyn. Oczywiście poczułam zwykłą ciekawość: dlaczego tutaj, dlaczego ja? Kolejny powód jest bardziej złożony: czemu wicedyrektor Jones zastosował się do tego nietypowego polecenia? Człowiek jego pokroju był rzadkością wśród biurokratów:

kwestionował rozkazy, narażając się nawet na karę, jeśli się z nimi nie zgadzał. Powiedział „zadanie pokazowe”, ale nie byłoby nas tutaj, gdyby nie uznał, że istnieją jakieś ważne powody, by się nim zająć.

– Tak – odpowiada. – Dyrektor wspomniał nazwisko kogoś, kogo nie mogłem zignorować.

Drzwi do kostnicy otwierają się z impetem, nim zdążyłam zadać oczywiste pytanie.

– O wilku mowa – mamrocze pod nosem Jones.

Do pomieszczenia wchodzi dyrektor FBI, Samuel Rathburn. Bez obstawy – to kolejne zaskoczenie. Nawet przed jedenastym września dyrektorzy FBI zawsze podróżowali z obstawą. Podchodzi do nas i najpierw wyciąga rękę do mnie. Zdumiona podaję mu dłoń.

Zdaje się, że zostałam królową balu. Ale dlaczego?

– Agentko Barrett – wita mnie swoim charakterystycznym barytonem polityka. – Dziękuję, że przybyłaś tak szybko.

Sam Rathburn, zwany też szefem, jak na dyrektora FBI jest całkiem znośny. Odpowiednio do stanowiska ma szorstką urodę i polityczny zmysł, ale także prawdziwe doświadczenie. Zaczynał jako policjant, potem wieczorowo studiował prawo, aż w końcu trafił do FBI. Nie odważyłabym się nazwać go szczerym – na tym stanowisku nie ma mowy o takim luksusie – ale kłamie tylko wtedy, kiedy musi. Jak na dyrektora Biura to wcielenie moralności.

Mówi się, że potrafi być bezwzględny, co by mnie nie zdziwiło, i ponoć jest fanatykiem zdrowego trybu życia. Nie pali, nie pije, nawet kawy ani napojów gazowanych, i każdego ranka biega po piętnaście kilometrów. No cóż, każdy ma jakieś wady.

Muszę odchylić głowę, żeby popatrzeć mu w oczy. Mam tylko metr czterdzieści siedem i zdążyłam do tego przywyknąć.

– Nie ma problemu, dyrektorze – odpowiadam, sącząc kłamstwa przez zaciśnięte zęby.

Bo jest problem, i to cholernie wielki, tyle że jeśli się postawię, dostanie się potem wicedyrektorowi Jonesowi, a nie mnie. Rathburn kiwa głową w stronę Jonesa.

– Davidzie – mówi.

– Dyrektorze.

Porównuję ich obu z pewnym zainteresowaniem. Obaj są tego samego wzrostu, obaj mają fryzurę, która mówi wprost: „szkoda czasu na takie ceregiele”. Czarne włosy dyrektora są przyprószone siwizną. To elegancki, bardzo przystojny starszy pan z pełnią władzy. Wicedyrektor jest mniej więcej osiem lat starszy od Rathburna i różnica ta jest bardzo widoczna. Dyrektor rzeczywiście wygląda na faceta, który biega każdego ranka i uwielbia to robić; wicedyrektor zaś na takiego, który mógłby biegać skoro świt, ale woli zamiast tego zapalić papierosa i wypić kawę, i ma gdzieś, czy to się komuś podoba, czy nie. Garnitur dyrektora jest lepiej dopasowany, a na rękę nosi roleksa. Wicedyrektor Jones ma zegarek, za który z dziesięć lat temu dał pewnie trzydzieści dolarów. Te różnice widać, ale mimo wszystko podobieństwo między nimi jest dla mnie naprawdę uderzające.

Obaj mają to samo zmęczone spojrzenie, które zdradza brzemię noszonych w sercu tajemnic. Mają twarze pokerzystów i stale zazdrośnie strzegą kart.

Oto dwaj faceci, z którymi ciężko byłoby żyć, myślę. Nie dlatego, że są



żli, ale dlatego, że zakładają, iż kobieta wie, że im na niej zależy, i to musi jej wystarczyć. Miłość tak, ale bez kwiatów.

Dyrektor Rathburn znów odwraca się do mnie.

– Przejdę od razu do rzeczy, agentko Barrett. Ściągnąłem cię tutaj, bo poprosił mnie o to ktoś, komu nie jestem w stanie odmówić.

Zerkam na wicedyrektora Jonesa i przypominam sobie jego słowa o „wspomnianym przez dyrektora nazwisku”.

– Czy mogę zapytać, kto taki?

– Za chwilę. – Wskazuje głową zwłoki. – Opowiedz mi, co widzisz.

Odwracam się w stronę ciała i ze wszystkich sił staram się skupić.

– Młoda kobieta, tuż po dwudziestce. Prawdopodobnie ofiara zabójstwa.

– Skąd wniosek, że została zabita?

Wskazuję serię sińców na lewym ramieniu.

– Te siniaki są czerwono-fioletowe, czyli bardzo świeże. Widzi pan zarysy? Powstały od uścisku dłoni. Trzeba chwycić naprawdę mocno, żeby zostawić takie ślady. Ciało jest zimne, co oznacza, że dziewczyna nie żyje co najmniej od dwunastu godzin, prawdopodobnie od dwudziestu, sądząc po widocznych siniakach. *Rigor mortis* jeszcze nie ustąpił, więc śmierć nastąpiła nie wcześniej niż trzydzieści sześć godzin temu. – Wzruszam ramionami. – Jest młoda, ktoś złapał ją za rękę na tyle mocno, że tuż przed śmiercią narobił jej wielkich siniaków. Podejrzane. – Uśmiecham się do niego kwaśno. – Poza tym wezwał mnie pan tutaj, a zatem nie umarła z przyczyn naturalnych.

– Tak jak się spodziewałem, jesteś spostrzegawcza – mówi. – I masz rację. Została zamordowana. Na pokładzie rejsowego samolotu z Teksasu

do Wirginii. Nikt nie wiedział, że zginęła, póki samolot nie opustoszał i stewardesa zaczęła ją budzić.

Wpatruję się w niego, pewna, że mnie nabiera.

– Morderstwo na wysokości dziesięciu kilometrów? To jakiś żart?

– Nie.

– Skąd wiemy, że została zamordowana?

– Wskazują na to ślady, które znaleźliśmy. Ale chcę, żebyś spojrzała na to świeżym okiem, bez żadnych obciążeń.

– Kiedy to się stało?

– Ciało znaleziono dwadzieścia godzin temu.

– Znamy już przyczynę śmierci?

– Nie było jeszcze sekcji. – Zerka na zegarek. – Czekamy właśnie na koronera. Prawdopodobnie podpisuje teraz zobowiązanie do dochowania tajemnicy.

Te zaskakujące informacje przypominają mi o pierwszym pytaniu, jakie mi się nasunęło, więc znów je zadaję:

– Dlaczego ja, szefie? A raczej... dlaczego pan? Czemu sprawę tej kobiety nadzoruje bezpośrednio sam dyrektor FBI?

– Niedługo pani to wyjaśnię. Ale najpierw powinna pani coś zobaczyć. Proszę za mną.

Jakbym miała wybór.

Podchodzi do ciała i podnosi prześcieradło z piersi dziewczyny.

– Zajrzyjcie – mówi.

Wicedyrektor Jones i ja podchodzimy do stołu od strony głowy. Widzę małe piersi z brązowymi sutkami, płaski brzuch, którego zazdrościłabym jej, gdyby żyła. Przesuwam wzrokiem po młodym ciele i bezceremonialnie

docieram do okolic łonowych. To jedno z upokorzeń, jakie muszą znosić zmarli. Zszokowana, zatrzymuję wzrok.

– Ona ma penisa – wykrztuszam.

Wicedyrektor Jones nie mówi nic.

Dyrektor Rathburn opuszcza prześcieradło. Robi to delikatnie, niemal ojcowskim gestem.

– Smoky, to Lisa Reid. Mówi ci coś to nazwisko?

Marszczę czoło, próbując doszukać się jakichś skojarzeń. Mam tylko jedno, takie które uzasadnia obecność dyrektora.

– Kongresman z Teksasu Dillon Reid?

– Właśnie. Lisa urodziła się jako Dexter Reid. Pani Reid poprosiła właśnie o ciebie. Zna twoją... historię.

Śmieszy mnie jego zakłopotanie, ale nie daję tego po sobie poznać.

Trzy lata temu ze swoim zespołem ścigałam seryjnego zabójcę, prawdziwego psychopatę o nazwisku Joseph Sands. Deptaliśmy mu już po piętach, kiedy pewnej nocy włamał się do mojego domu. Przywiązał mnie do łóżka i wielokrotnie zgwałcił. Lewą stronę mojej twarzy okaleczył nożem myśliwskim, wyrył na niej swój ślad, okradł mnie z piękna i na zawsze zostawił trójwymiarową mapę bólu.

Blizna zaczyna się pośrodku czoła, na linii włosów. Potem biegnie w dół, do brwi, następnie odbija w lewo pod kątem niemal prostym. Nie mam lewej brwi, zamiast niej ciągnie się blizna. Wyboistą ścieżką przecina skroń, wygina się leniwym łukiem po policzku. Potem wraca do nosa, sięga odrobinę w prawo, by wrócić na lewą stronę i po przekątnej pobiec przez nozdrze do szczęki, a wreszcie wzdłuż szyi aż do mostka.

Mam jeszcze jedną bliznę, prostą i doskonałą idącą spod lewego oka do

kącika ust. To podarunek od kolejnego szaleńca. Zmusił mnie, bym się okaleczyła, podczas gdy on patrzył i się uśmiechał.

Te dwie blizny są widoczne. Pod kołnierzem bluzki są jeszcze inne. To dzieło noża Sandsa i rozżarzonego koniuszka cygara. Tamtej nocy straciłam twarz, ale Sands ukradł mi znacznie więcej. Był nienasyconym złodziejem i interesowały go tylko cenne rzeczy.

Miałam męża, pięknego mężczyznę o imieniu Mart. Sands przywiązał go do krzesła i kazał mu patrzeć, jak mnie gwałci i torturuje. Potem zmusił mnie, bym oglądała, jak torturuje i morduje mojego Marta. Oboje krzyczeliśmy, a w końcu Mart umarł. Krzyk był ostatnią rzeczą, którą przeżyliśmy wspólnie.

Sands ukradł mi coś jeszcze, i to była najgorsza strata. Moją dziesięcioletnią córkę Alexę. Udało mi się uwolnić i rzucić na Sandsa z bronią. Kiedy pociągnęłam za spust, zasłonił się Alexą. Zabiła ją kula przeznaczona dla niego. Wpakowałam w Sandsa resztę magazynka, potem krzycząc, przeładowałam broń, żeby zrobić to jeszcze raz. Gdyby mnie nie powstrzymali, strzelałabym do niego do końca świata.

Przez następne pół roku chwiałam się na krawędzi życia i samobójczej śmierci, pogrążona w szaleństwie i rozpacz. Chciałam umrzeć i pewnie bym zginęła, ale ocalił mnie ktoś, kto umarł przede mną.

Pewien szaleniec zamordował moją najlepszą przyjaciółkę z liceum, Annie King, tylko po to, żebym zaczęła go ścigać. Zgwałcił Annie bez zahamowań i wypatroszył ją niczym wprawny rybak. Kiedy to zrobił, przywiązał do zwłok ofiary jej dziesięcioletnią córkę Bonnie. Dziewczynka przeleżała tak trzy dni, nim ją odnaleziono. Trzy dni twarzą w twarz z matką, której wycięto wnętrzności.

Spełniłam życzenie szaleńca. Dopadłam go i zabiłam bez najmniejszego poczucia winy. Kiedy było już po wszystkim, odechciało mi się umierać.

Okazało się, że Annie zostawiła mi Bonnie. Ten związek był skazany na porażkę – ja ledwo się trzymałam, a Bonnie po koszmarze, jaki przeszła, przestała mówić. Ale los czasami płata figle. Przekleństwo może okazać się błogosławieństwem. Każda z nas przeżyła piekło, ale nawzajem pomagałyśmy sobie leczyć rany. Bonnie zaczęła znów mówić dwa lata temu, a ja cieszę się życiem, choć kiedyś myślałam, że nie doznam już takiego uczucia.

Pogodziłam się ze swoim okaleczeniem. Nigdy nie uważałam się za piękność, ale kiedyś byłam ładna. Mam zaledwie metr czterdzieści siedem, kręcone ciemne włosy do ramion, „cycki na dwa kęsy”, jak mawiał mój mąż, i tyłek nieco większy, niżbym chciała, ale na swój sposób atrakcyjny. Zawsze czułam się dobrze we własnej skórze. Po tym, co zrobił mi Sands, kuliłam się, ilekroć spójrzałam w lustro. Bezpośrednio po jego ataku zaczesywałam włosy na twarz, starając się ją ukryć. Dziś wiązę je w koński ogon, śmiało odsłaniając twarz. Niech ludzie na mnie patrzą, a jeśli im się nie podoba, to „niech ich jasna cholera”, jak mawiał mój tato.

To wszystko – tę moją historię, jak określił to dyrektor – opisano w różnych gazetach, co wśród ludzi dobrych i złych przysporzyło mi sporo sławy.

Z tego powodu w FBI nie zajdę już wyżej. Kiedyś byłam kandydatką na stanowisko wicedyrektora. Ale już nie jestem. Poorana bliznami twarz przystoi myśliwemu albo nauczycielowi myśliwych (oferowano mi posadę wykładowcy w Quantico, ale odmówiłam), ale nie oficjalnemu

przedstawicielowi Biura. Fotografie z prezydentem? Nie ma mowy.

Pogodziłam się z tym już kilka lat temu. Nie powiem, że praca mnie cieszy – to niewłaściwe słowo. Ale czuję dumę, że jestem dobra w tym, co robię.

– Rozumiem – odpowiadam. – Dlaczego się pan zgodził?

– Kongresman Reid przyjaźni się z prezydentem. Prezydent kończy właśnie drugą kadencję. Reid to główny kandydat do nominacji ze strony demokratów, o czym zapewne wiesz.

– Partia prezydenta Allena – wicedyrektor Jones podpowiada mi rzecz oczywistą.

Kawałki układanki zaczynają do siebie pasować. Nazwisko, o którym wspomniał dyrektor, to, którego wicedyrektor Jones nie mógł zignorować, to nazwisko prezydenta. A Dillon Reid nie tylko jest przyjacielem prezydenta, ale być może zostanie kolejnym prezydentem.

– Nie miałam pojęcia – mruczę.

Dyrektor unosi brwi.

– Nie wiedziałaś, że Dillon Reid to pewniak do nominacji z ugrupowania demokratów? Nie oglądasz telewizji?

– Nie. Pełno tam złych wiadomości, więc po co to oglądać?

Dyrektor patrzy na mnie szczerze zdumiony.

– Nie mówię, że nie chodzę na wybory – dodaję. – Kiedy zbliża się właściwa pora, szukam informacji o kandydatach i ich planach. Po prostu nie interesują mnie przedbiegi.

Wicedyrektor Jones uśmiecha się pod nosem. Dyrektor kręci głową.

– Ale skoro już wiesz, to słuchaj uważnie – mówi. Koniec pogaduszek, czas wydawać rozkazy.

– Nie pozwól, żeby na wynik śledztwa miały wpływ polityka albo polityczne kunktatorstwo. Masz działać rozważnie i dyskretnie. Poinformuję cię o pewnych ważnych faktach. Masz zatrzymać te wiadomości wyłącznie dla siebie. Nie możesz ich spisać ani na papierze, ani w e-mailu. Jeśli przekażesz te fakty członkom swojego zespołu, musisz dopilnować, żeby trzymali gęby na kłódkę: Zrozumiano?

– Tak jest – odpowiadam.

Wicedyrektor Jones kiwa głową.

– Dziecko transseksualista to polityczna bomba dla każdego, a już zwłaszcza dla demokratycznego kongresmana ze stanu, w którym od lat dominują republikanie. Reidowie rozbroili tę bombę, zrywając wszelkie związki z synem. Nie wydziedziczyli go, ale ilekroć ktoś pytał, jasno dawali do zrozumienia, że Dexter nie jest mile widziany w rodzinnym domu, póki będzie dążył do zmiany płci. Przez jakiś czas było o tym głośno, ale na tym się skończyło.

– Tyle że to było mydlenie oczu, prawda? – odezwał się wicedyrektor Jones.

Zerkam na niego zdziwiona. Dyrektor Rathburn kiwa głową.

– Prawda jest taka, że Reidowie kochali syna. Mieli gdzieś, czy jest gejem, transseksualistą, czy nawet Marsjaninem.

Teraz wszystko rozumiem.

– Dofinansowali mu operację zmiany płci, tak?

– Właśnie. Oczywiście nie bezpośrednio, ale zapewniali Dexterowi pieniądze, ilekroć ich potrzebował, wiedząc, że wykorzysta je do zmiany płci. Dexter potajemnie spędzał też z Reidami każde Boże Narodzenie.

Kręcę głową z niedowierzaniem.

– Czy to kłamstwo jest naprawdę takie ważne?

Dyrektor uśmiecha się do mnie jak do dziecka, które właśnie zaskoczyło dorosłego naiwnością. Ona jest taka milusia!

– Nie zauważyłaś, że w tym kraju trwa wojna kulturowa? Na niektórych obszarach Południa wrze dziesięciokrotnie silniej niż gdzie indziej. To kłamstwo może kosztować Reida prezydenturę. Więc owszem, jest ważne.

Zastanawiam się nad tym.

– Rozumiem – mówię – ale mam to gdzieś.

Dyrektor Rathburn marszczy czoło.

– Agentko Barrett...

– Chwileczkę, szefie. Nie mówię, że nie dochowam tajemnicy. Chodzi mi tylko o to, że nie zrobię tego dlatego, że kongresman Reid chce być prezydentem Reidem. Mam to gdzieś. Dochowam jej dlatego, że chce tego rodzina, która straciła syna. – Wskazuję głową ciało Lisy. – A przede wszystkim dlatego, że Lisa najwyraźniej sama chciała zachować to dla siebie.

Dyrektor patrzy na mnie przez dłuższą chwilę.

– Niech i tak będzie – odpowiada i kontynuuje: – Z rodziną masz się kontaktować przez panią Reid. Jeśli będziesz musiała porozmawiać z kongresmanem, ona to załatwi. O pozwolenie na przeszukanie apartamentu Lisy także zwracaj się do pani Reid. Od kongresmana trzymaj się jak najdalej, chyba że nie będziesz miała innego wyjścia.

– A co będzie, jeśli dowody wskażą na samego kongresmana? – pytam. Uśmiecha się bez śladu rozbawienia.

– Wtedy będę miał pewność, że nie poddasz się presji politycznej.



– Kto weźmie na siebie media? – pyta wicedyrektor Jones.

– Ja się nimi zajmę. Nie chcę, żeby którekolwiek z was rozmawiało z prasą, koniec kropka. Jeśli ktoś was zapyta – odpowiadacie „bez komentarza”. – Spogląda na mnie. – Smoky, dotyczy to zwłaszcza agentki Thorne.

Mówi o Callie Thorne z mojego zespołu. Callie słynie z tego, że zawsze mówi to, co myśli, i wtedy, kiedy chce.

Uśmiecham się do niego.

– Proszę się nie martwić, szefie. Ma na głowie inne sprawy.

– To znaczy?

– Za miesiąc wychodzi za mąż.

Dyrektor aż przysiada.

– Naprawdę?

Callie zyskała sławę seryjnej łowczynie męskich serc. Przywykłam już do zdziwienia, jakie wywołuje informacja o ślubie.

– Owszem, szefie.

– Świat jest pełen niespodzianek. Przekaż jej moje gratulacje. Ale i tak pilnuj, żeby trzymała buzię na kłódkę. – Zerka na roleksa. – Teraz zabiorę was na spotkanie z panią Reid. Koroner powinien zjawić się lada chwila. Wyniki sekcji trafią do mnie i do twojego zespołu, i do nikogo więcej. Jakieś pytania?

Wicedyrektor Jones kręci głową.

– Nie, szefie – odzywam się – ale wydaje mi się, że powinnam porozmawiać z panią Reid sama. Jak matka z matką.

Marszczy czoło.

– Wyjaśnij, o co chodzi.

– Statystycznie mężczyźni mają gorszy stosunek do transseksualistów niż kobiety. Nie mówię, że kongresman nie kochał swego syna, ale jeśli Lisa wolała bardziej któregoś z rodziców, to założę się, że matkę. – Przerywam. – Wydaje mi się też, że poprosiła o mnie jeszcze z innego powodu.

– Czyli?

Spoglądam na Lisę. Teraz symbolizuje nową tajemnicę, tę, którą ujawniają zmarli, tę, o której wiedzą starzy, a młodzi wołanie wiedzieć: życie jest cholernie krótkie, niezależnie ile trwa.

Uśmiecham się do niego kwaśno.

– Ja również straciłam dziecko. Do tego klubu należą nieliczni.

Obserwuję samochód, który zajeżdża na zaplecze kostnicy. Rzecz jasna, czarny, ulubiony kolor rządu i jego funkcjonariuszy. Prawie krzepiąca jest ta niezmiennosc barwy. Szyby z tyłu są zaciemnione, by nikt postronny nie mógł zajrzeć do środka.

Jest wpół do piątej po południu i zmierzch zaczyna podchodzić do okien. Ta część Wirginii leży tuż obok waszyngtońskiej metropolii, a mimo to zachowała własną tożsamość. Jest tu ciszej niż w stolicy i choć może to złudne, ma się poczucie bezpieczeństwa. Przemieszana zabudowa miejska i podmiejska stwarza iluzję wygody. Tak jak w wielu miejscach na Wschodnim Wybrzeżu, tutejsza architektura ma pewien ciężar gatunkowy, w niepowtarzalny sposób łączy charakter i historię.

Jest koniec września, jakiego nigdy nie zobaczę na Zachodnim Wybrzeżu. Powietrze aż szczypie w skórę, zapowiadając śnieżną zimę. Nie tak ostrą jak w Buffalo czy Nowym Jorku, ale na pewno nie takie byle co, jak w Kalifornii.

Wszędzie rosną drzewa, młode i stare. Ich liczba to najlepszy dowód, że w tym mieście dba się o roślinność i teraz rozumiem dlaczego. Jesień to najpiękniejsza pora roku w Alexandrii w stanie Wirginia. Liście mieniają się wszystkimi kolorami i wyglądają po prostu oszalamiająco.

Samochód staje, otwierają się drzwi i wsiadam do środka. Czas skupić się na tym, po co tu jestem.

Dyrektor opowiedział mi kilka podstawowych rzeczy o Rosario Reid.

– Ma czterdzieści osiem lat. Urodziła Dextera jako dwudziestosześcioletka, rok po tym, gdy wyszła za kongresmana. Znali się

jeszcze z liceum, ale ślub wzięli dopiero kilka lat po ukończeniu studiów.

Jej pradziadek przyjechał do Stanów z Meksyku i zbudował w Teksasie małe imperium hodowli bydła. A działało się to w czasach, kiedy Meksykanom nie było tam łatwo. Zdaje się, że przekazał ten upór w genach swoim potomkom – pani Reid to twarda sztuka. Ukończyła studia prawne na Harvardzie i lubi skakać do gardła. Kiedy pan Reid stał się politykiem, pani Reid zajęła się obroną słabszych. Wygrała wiele głośnych spraw, których szczegółów nie znam, ale we wszystkich dostało się różnym koncernom nadużywającym swojej pozycji. Kiedy Reid postanowił wystartować w wyborach do Kongresu, jego żona zwinęła prawniczy kramik i pokierowała jego kampanią. – Dyrektor pokręcił z podziwem głową. – Smoky, dobrze poinformowani ludzie z Waszyngtonu twierdzą, że lepiej nie wchodzić jej w drogę. To jedna z najmilszych kobiet, jakie znam, ale potrafi być bezwzględna, kiedy ktoś zaczyna bruździć jej mężowi.

Wszystko to wydaje mi się intrygujące, nawet godne podziwu, ale znani ludzie szybko potrafią zmienić się w półherosów, jeśli tylko im na to pozwolimy. Sama chcę wyczuć Rosario Reid, bo kiedy zrozumie matkę, łatwiej mi będzie zrozumieć jej dziecko. Muszę przekonać się, czy i jak bardzo będzie mnie okłamywać, a jeśli rzeczywiście skłamię, to dlaczego? Z miłości do dziecka? Dla doraźnych celów politycznych? Bez powodu?

Pani Reid wita mnie skinieniem głowy, kiedy zamykam drzwi auta. Puka w szybę oddzielającą nas od szofera i wciska guzik, który, jak przypuszczam, wyłącza interkom. Limuzyna rusza, a my przez chwilę przyglądamy się sobie.

Rosario Reid jest niewątpliwie atrakcyjną kobietą. Ma klasyczne rysy

inteligentnej latynoskiej piękności, wyrafinowane, ale też zmysłowe. Jako kobieta widzę, że zadała sobie trud, żeby nieco stłumić to piękno. Ma krótkie włosy i zupełnie prostą fryzurę. Nie ufarbowała nawet siwych pasemek. Nie pogrubiała rzęs mascarą. Syn odziedziczył po niej pełne usta, ale Rosario użyła konturówki, żeby za bardzo nie kusiły. Ma na sobie prostą białą bluzkę, granatowy żakiet i dopasowane granatowe spodnie. Wszystko doskonale uszyte, ale erotycznie wyciszone.

Te powierzchowne obserwacje dowodzą jej politycznego doświadczenia i wiele mówią o lojalności wobec męża. Rosario robi coś wręcz przeciwnego niż większość kobiet. Ogranicza własną zmysłowość, za to wzmacnia piękno nutą profesjonalizmu. Zamiast jedwabiu, tweedowe garsonki.

Dlaczego? Żeby nie drażnić żeńskiej części Kongresu. Potężne kobiety bywają atrakcyjne, ale nigdy zmysłowe czy seksowne. Nie wiem, czemu tak jest, ale ja również to czuję. Kobiecie na wysokim stanowisku zaufam bardziej, jeśli wygląda jak Rosario niż jak modelka bielizny Victoria's Secret.

Sama nie wiem dlaczego.

Pani Reid jest też silna. Zachowuje spokój, ale widzę wyraźnie ogrom rozpacz w jej oczach. Nie płacze publicznie. Ta kobieta przeżywa żalobę w samotności, to kolejne, co nas łączy, poza tym, że obie straciłyśmy dziecko.

Pierwsza przerywa milczenie.

– Dziękuję, że pani przyjechała, agentko Barrett. – Mówi cichym, opanowanym głosem, ani niskim, ani wysokim. – Wiem, że to niecodzienna sytuacja. Od lat staram się nie wykorzystywać swojej pozycji

politycznej na potrzeby prywatne. – Wzrusza ramionami. Rozpacz dodaje temu gestowi przerażającej elegancji. – Moje dziecko nie żyje. Pozwoliłam sobie na wyjątek.

– Na pani miejscu zrobiłabym to samo, pani Reid. Przykro mi z powodu tego, co panią spotkało. Zdaję sobie sprawę, że to frazes, i wiem, że w tych warunkach niewystarczający, ale naprawdę mi przykro. Dexter...

– Przerywam i marszczę brwi – Przepraszam, ale nie za bardzo wiem, jakiego zaimka używać. „On” czy „ona”? Mam mówić Dexter czy Lisa?

– Lisa przez całe życie pragnęła być kobietą. Traktujmy ją jak kobietę, tyle przynajmniej możemy dla niej zrobić po śmierci.

– Oczywiście, proszę pani.

– Darujmy sobie te formalności, dobrze, Smoky? Obie jesteśmy tylko matkami, które straciły dzieci. Jesteśmy tylko my dwie, wokół nie ma żadnych facetów, którzy muszą się puszyć jak pawie i prężyć mięśnie. – Przerywa i wbija we mnie wzrok. – Musimy obie ruszyć głową i wziąć się do czarnej roboty. Szybciej nam pójdzie, gdy oszczędzimy sobie uprzejmości i przejdziemy na ty, nie sądzisz?

To my, kobiety, składamy dzieci do grobu, to my ciągniemy suknie po cementarnym piachu – to właśnie mówi mi żona Reida.

– W porządku, Rosario.

– Świetnie. – Widzę, jak taksuje wzrokiem moje blizny. – Czytałam, przez co przeszłaś. W gazetach i w ogóle. Od lat cię podziwiam.

Mówi to, patrząc mi prosto w oczy. Na widok blizn nie drgnie jej nawet powieka. Jeśli w ogóle ją krępują, skrywa to lepiej niż dyrektor FBI. Pochylam głowę do Rosario w geście podziękowania.

– Dziękuję, ale nie ma czego podziwiać, po prostu mnie nie zabili.

Marszczy brwi.

– Jesteś zbyt surowa. Przetrwałaś. Wróciłaś do pracy, która naraziła cię na to wszystko. I nadal świetnie ją wykonujesz. Nadal mieszkasz w domu, gdzie wszystko się zdarzyło, i to akurat rozumiem. Na pewno wielu ludzi tego nie pojmuje, ale ja tak. – Uśmiecha się smutno. – Ten dom to twoje drzewo, miejsce, gdzie zapuściłaś korzenie. Tam urodziła się twoja córka, i to wspomnienie jest silniejsze niż wszystkie bolesne sprawy, prawda?

– Zgadza się – odpowiadam cicho.

Oczarowała mnie ta kobieta. Lubię ją. Jest szczerą. Przenikliwość wiele mówi o jej charakterze. To ktoś, kto rozumie, że rodzina to dom, że dom to rodzina, że to dach chroniący nas przed światem. Miłość to spoiwo, ale istotą rzeczy jest ciąg przeżywanych wspólnie chwil.

Jedziemy leniwym tempem dookoła kostnicy. Znowu spoglądam na mieniające się kolorami liście. Drzewa wyglądają, jakby płonęły.

– Podobnie jak ty – mówi Rosario, nie odrywając wzroku od widoku za oknem – wyszłam za faceta, z którym całowałam się w liceum. Widziałas zdjęcia mojego Dillona?

– Tak. Przystojniak.

– Wtedy też był przystojny. I taki młody. To moja pierwsza miłość. – Zerka na mnie i uśmiecha się lekko. Przez krótką, króciuteńką chwilę mam wrażenie, jakby znowu miała osiemnaście lat. – Moje pierwsze wszystko.

Odwzajemniam uśmiech.

– Tak jak mój Matt.

– Jesteśmy wymierającym gatunkiem, Smoky. Kobiety, które wychodzą za swoich chłopaków z liceum, które potrafią zliczyć kochanków na palcach jednej ręki. Jak ci się wydaje, lepiej nam z tym czy

gorzej?

Wzruszam ramionami.

– Wydaje mi się, że szczęście to najbardziej osobista rzecz na świecie. Nie wyszłam za Matta po to, żeby udowodniać swoją wierność czy coś takiego. Wyszłam za niego, bo go kochałam.

Coś w moich słowach burzy nieco jej opanowanie. Oczy wilgotnieją, ale nie płyną z nich łzy.

– Wspaniale to ujęłaś. Tak. Szczęście to rzeczywiście osobista rzecz. Moja córka mogłaby się pod tym podpisać. – Odwraca się i siada twarzą do mnie. – Wiesz, że osoby zmieniające płeć są narażone na więcej zagrożeń niż inne dyskryminowane mniejszości? Padają ofiarami brutalnych przestępstw popełnianych z nienawiści częściej niż geje, muzułmanie, Żydzi czy Afroamerykanie.

– Tak, wiem.

– I mają tego świadomość, Smoky. Chłopcy i mężczyźni, którzy zostają kobietami, dziewczęta i kobiety, które stają się mężczyznami – wszyscy oni wiedzą, że będą zastraszani, nienawidzeni, może nawet pobici albo zamordowani. A jednak to robią. Wiesz dlaczego? – Ręce jej drżą i zaciska je na kolanach. – Robią to, bo nie ma innego sposobu, by byli szczęśliwi.

– Opowiedz mi o Lisie – zachęcam ją.

Na pewno ma na to ochotę. Po to tu jestem. Chce, żebym zobaczyła Lisę, żebym przejęła się jej losem. Chce, żebym zrozumiała, co straciła, i żebym to poczuła.

Zamyka na chwilę oczy. Kiedy znów je otwiera, widzę w nich miłość. To silna kobieta i kochała swoje dziecko całym sercem.

– Najpierw będę używać imienia Dexter, bo tak to się wszystko



zaczęło. Dexter był miłym, pięknym chłopcem. Wiem, że wszystkim rodzicom wydaje się, że ich pociechy to aniołki, ale Dexter naprawdę był złotym dzieckiem. Niski i drobny, ale nie słaby. Delikatny, ale nie naiwny. Rozumiesz?

– Tak.

– Stereotypowo odbierano go jako synka mamusi i do pewnego stopnia była to prawda, ale nie trzymał się mojej spódnicy. Zachowywał się jak każdy chłopiec – biegał po dworze, w słońcu, broił jak wszyscy. Grał w małej lidze baseballu, kiedy miał dziesięć lat, zaczął uczyć się gry na gitarze, raz czy dwa pobił się z silniejszymi chłopakami. Nie było powodu myśleć czy spodziewać się, że nie wyrośnie na wspaniałego mężczyznę. Rzadko kiedy musiałam zwracać się do niego oboma imionami i nazwiskiem.

Rosario zakłada, że wiem, o czym mówi, i ma rację. Wiedzą to wszystkie matki. Każde dziecko rozumie, że kiedy mama zwraca się do niego z imienia i z nazwiska, oznacza to kłopoty. A kiedy na dodatek używa obu imion, to znak, że jest naprawdę rozgniewana. To znak, że dziecko musiało naprawdę mocno nabroić. Wtedy najlepiej zaszyć się w ciemnym kącie.

Patrzy na mnie.

– Ile lat miała twoja córka, kiedy zmarła?

– Dziesięć.

– Wspaniały wiek. Wtedy dzieci jeszcze nic przed nami nie ukrywają. – Wzdycha, ale jest w tym więcej tęsknoty niż smutku. – Wydawało mi się, że znam Dextera na wylot, ale oczywiście żadna matka nie wie wszystkiego, kiedy syn wchodzi w wiek dojrzewania. Dziecko zaczyna się

wtedy oddalać. Jest przerażony, że matka może się dowiedzieć, jak się masturbuje, myśląc o kobietach... Matka to przecież też kobieta. Byłam na to przygotowana, takie jest przecież życie, ale sekrety Dextera okazały się inne, niż przypuszczałam.

– Jak się o tym dowiedziałas? Że ma problem? – Gryzę się w język. – Przepraszam... może nie powinnam mówić o tym „problem”?

– To zależy. Dla tych, którzy są przeciwni transseksualistom, problemem jest sama zmiana płci. Dla transseksualistów problemem jest to, że ich ciało nie pasuje do wewnętrznej tożsamości seksualnej. Tak czy siak, myślę, że „problem” to właściwe słowo. A odpowiadając na twoje pytanie, Dexter prawdopodobnie nie czuł się dobrze jako chłopiec od bardzo dawna. Po raz pierwszy zaczął... eksperymentować jako czternastolatek.

– W jaki sposób eksperymentować?

Znów widzę, jak drżą jej ręce, jak dłonie szukają się nawzajem na kolanach. Przez chwilę Rosario milczy, targają nią emocje.

– Przepraszam – odzywa się. – Po prostu... osobowość Dextera, to wszystko, co w nim tak uwielbiałam, ujawniało się tak wyraźnie w sposobie, w jaki zaczął badać własną tożsamość płciową. Mam na myśli staniki i majtki.

– Nosił je?

– Tak. Pewnego popołudnia znalazłam je zakopane głęboko na dnie jego szuflady z bielizną. Początkowo uznałam, że to moje, ale nie były moje. Właśnie to mam na myśli, mówiąc o jego osobowości. Dexter dostawał kieszonkowe, dorabiał też w okolicy. Kosił trawniki i tak dalej. Kupował sobie bieliznę za własne pieniądze. Rozumiesz? Miał czternaście

lat, nie mógł się pogodzić z tym, co się dzieje. Z późniejszych rozmów wiem, że czuł się winny, brudny – ale uważał, że po prostu nie może podkraść moich rzeczy. Uważał, że jedyne honorowe wyjście to wyprawa do supermarketu i zakup tego wszystkiego za własne pieniądze. Później mówił mi, że był tym bardzo zażenowany, ale kwestie dobra i zła traktował śmiertelnie poważnie.

Wyobrażam to sobie. Młody, szczupły chłopiec kupuje kobiece majtki i stanik, płonie rumieńcem, stojąc przy kasie. Zrobił to, bo nie wolno kraść rzeczy matki.

Wyobrażam sobie samą siebie jako czternastolatkę. Czy na jego miejscu byłabym równie stanowcza? Lepsze zażenowanie niż plama na honorze?

No nie, nie ma mowy. Mama straciłaby komplet bielizny.

– Rozumiem – mówię do Rosario. – Co się stało potem?

Krzywi się.

– Potem były trzy okropne lata. Musisz zrozumieć, że pochodzę z rodziny meksykańsko-amerykańskiej. Katolickiej, i to bardzo konserwatywnej. Z drugiej strony, byłam prawniczką przywykłam do reguł i struktur oraz do dochowywania tajemnicy. Przede wszystkim zachowałam wszystko tylko dla siebie.

– To rozumiałe.

– Właśnie. Trochę trwało, nim wydobyłam to z niego. Mówiąc szczerze, wtedy jeszcze Dexter nie do końca wiedział, co się z nim dzieje. Był zmieszany i próbował to zrozumieć. Powiedział mi, że czasami czuje się dziwnie, na przykład, kiedy patrzył w lustro, chciał w nim widzieć ciało kobiety, nie mężczyzny. Byłam zszokowana. Skonfiskowałam mu

damską bieliznę i natychmiast wysłałam do psychologa.

– Ale zmiany postępowały.

– Psycholog stwierdził, że Dexter cierpi na dysfориę płciową, czyli syndrom zaburzenia tożsamości płciowej. Cała ta medyczna nowomowa oznacza tyle, że Dexter silnie identyfikuje się z płcią przeciwną.

– Znam to zjawisko. Może przyjmować formę od lekkiej obsesji aż po pewność, że jest się osobą płci przeciwnej uwięzioną w niewłaściwym ciele.

– Zgadza się. „Leczył” Dextera. Chciał w terapii wykorzystać nawet psychotropы, ale mu zakazałam. Dexter był bystry, rozważny, czujny, miły, piątkowy uczeń, który nigdy nie popadł w konflikt z prawem, po diabła więc faszerować go narkotykami? – Macha ręką. – Wszystko na nic. Terapia sprowadziła się do przypięcia etykiety i pracy z Dexterem, by sprzeciwiał się obsesji. Nic to nie dało.

– Kiedy zdecydował się na zmianę płci?

– Och, powiedział mi o tym, kiedy miał dziewiętnaście lat. Ale myślę, że decyzję podjął wcześniej. Po prostu zastanawiał się, jak to zrobić, żeby jak najmniej zaszkodzić ojcu i mnie. Zresztą wcale mu tego nie ułatwiliśmy. – Kręci głową. – Dillon się wściekł. Ukrywaliśmy to przed nim przez tyle lat, a on tak bardzo lubił tę zabawę w politykę. Zaślepiło go to w najgorszy sposób.

– Jak zniósł to Dexter?

Uśmiecha się.

– Zachował spokój. Spokój i opanowanie. Nic nie mówił, ale był jak skała. – Wzrusza ramionami. – Postanowił i już. Miał w sobie stanowczość ojca.

I twoją, myślę w duchu.

– Mów dalej.

– Powiedział nam, że rozumie, iż będzie to dla nas problematyczne, zwłaszcza dla ojca, więc jedynym wyjściem miało być publiczne wydziedziczenie go. Mówił, że bardzo zależy mu na tym, żeby ta decyzja jak najmniej nam zaszkodziła. Wyobrażasz sobie? – W jej głosie słysząc żal i podziw. – Pamiętam, jak to mówił: „Tato, to, co robisz, jest bardzo cenne. Pomagasz wielu ludziom. Nie chcę, żebyś przeze mnie z tego zrezygnował. Ale ja też nie zrezygnuję dla ciebie ze swoich planów. To najlepszy kompromis”. Myślę, że to dotarło do Dillona. To, że syn zdecydował się na publiczne potępienie, byle ojciec mógł robić nadal to, co uwielbiał. Nie mówię, że poszło jak z płatka, ale...

– Dexter go przekonał.

– Tak. – Patrzy na mnie i widzę w jej twarzy bardzo głęboki ból z domieszką żalu, a może i żalu do samej siebie. – Pominę szczegóły. Ważne, że jak przystało na porządną rodzinę polityków, zrobiliśmy to, co zaproponował Dexter. Założyliśmy specjalny fundusz, a on się wyprowadził. Kiedy zaczął naprawdę żyć jako kobieta... Wiesz, jak wyglądała ta część procesu?

– Aby uzyskać zgodę na operację zmiany płci, trzeba przeżyć rok jako osoba tej płci, którą chce się przyjąć. Mniej więcej tak?

– Dokładnie tak. Nie można poddać się żadnym ingerencjom chirurgicznym, dopóki nie przeżyje się pełnego roku jako kobieta lub mężczyzna. W przypadku Dextera oznaczało to chodzenie do pracy w kobiecym ubraniu, prowadzenie życia towarzyskiego jako kobieta itd. W ten sposób człowiek nabiera pewności, czy rzeczywiście chce zmienić

płeć.

– To rozsądne podejście.

– Też tak sądzę. Dexter również był tego zdania. Kiedy to się zaczęło, wydaliśmy wyczelowane co do słowa oświadczenie. O tym, że nadal kochamy naszego syna, ale nie możemy pogodzić się z jego wyborem. To był majstersztyk oszustwa. – Przerywa, szukając słów. – Nie pochodzisz z Południa, Smoky, więc chyba nie jesteś w stanie w pełni zrozumieć, jak głębokie są tu podziały. Nie zrozum mnie źle, w Teksasie mieszka wielu liberalnych intelektualistów, ale nie sądzę, by stanowili większość.

– Rozumiem.

Kręci głową.

– Nie. Masz tylko blade pojęcie, zapewne stereotypowe. Nie sądzę, byś zrozumiała to w pełni, bo się tu nie wychowałaś. Zapewne wyobrażasz sobie żujących tytoń wieśniaków ze stojakiem na dubeltówki na pace pikapa. Owszem, mieszkają tu i tacy, ale obraz całości komplikuje się o wiele bardziej, kiedy widzisz świetnie wykształconą, bardzo inteligentną i miłą osobę, która bez zmrużenia oka głosi wszem wobec, że homoseksualizm to obrzydliwość. I ta osoba ma przyjaciela, najlepszego przyjaciela, z którym wychowała się od dziecka, a który uważa, że geje powinni mieć więcej praw. Te dwie osoby mimo tych różnic wciąż są przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi. – Unosi brew. – Ale co by było, gdyby ów liberalny przyjaciel okazał się gejem? Co to, to nie. Albo transseksualistą? Mój Boże. Toż to wybryki natury, zapewne dla obu przyjaciół z tego przykładu. Poczyniliśmy na Południu wielkie postępy i uwielbiam to miejsce. To mój dom. Ale Południe ma swoje przyzwyczajenia, które opierają się wielkim zmianom.

– Rozumiem.

– Tymczasem – mówi dalej Rosario – jak wiesz, Dexter wciąż odwiedzał nas w święta, ale w tajemnicy. – Milknie na chwilę. – Przeróżające, nie uważasz? Dziecko przegrało z zawodowymi ambicjami.

Zastanawiam się nad tym. Ta kobieta zasługuje na szczerą odpowiedź, a nie na jakąś płytką i sprytną ripostę.

– Myślę – odzywam się ostrożnie – że każde inne rozwiązanie skrzywdziłoby Dextera. Czuł, że musi to zrobić, ale obawiał się, jak to wpłynie na karierę twojego męża. Przecież sam zaproponował „wydziedziczycie mnie publicznie”. Czy kiedykolwiek obawiał się, że któreś z was naprawdę się go wyrzeknie?

Jest zaskoczona tą odpowiedzią.

– Nie. Chyba nie.

– Więc czuł się bezpiecznie, wiedząc, że go kochacie. Nie twierdzą, że to wyjaśnia wszystko, ale to na pewno coś, Rosario.

Rozpacz czasami bywa prostym uczuciem, ale częściej jest bardzo złożona. To ciągłe wątpliwości, pytania „co by było gdyby”, „gdybym tylko”. Przypomina żal, ale jest znacznie potężniejsza. Może zniknąć w jednej chwili albo trwać aż do śmierci. Wszystko to widzę w twarzy Rosario i cieszę się, bo to znaczy, że powiedziałam jej prawdę. Kłamstwa czasem bolą, ale nic nie porusza nas bardziej niż prawda.

Przez dłuższą chwilę próbuje się opanować. Wciąż nie płacze.

– Dexter przetrwał ten rok, i to był koniec Dextera. Umarł syn, odrodził się jako córka. Naprawdę piękna córka. Lisa kwitła, i w środku, i na zewnątrz. Zawsze była szczęśliwym dzieckiem, ale teraz wręcz promieniała. Była... zadowolona. Wcale niełatwo o zadowolenie, Smoky.

Zauważam, z jaką łatwością zaczęła używać imienia „Lisa” i żeńskich zaimków. Dexter stał się Lisą nie tylko dla siebie, ale też dla matki.

– Jak na to zareagował kongresman?

– Nigdy do końca się z tym nie pogodził. Ale nie chcę, żebyś pomyślała o nim jako o stereotypowym wsteczniku, Smoky. Dillon kochał Dextera i bardzo, bardzo mocno próbował pokochać córkę. Winą za wszelkie niepowodzenia w tej kwestii obarczał siebie, nie Lisę.

– Jestem pewna, że Lisa też to rozumiała.

Rosario kiwa głową i uśmiecha się.

– Owszem. Była... szczęśliwa. Hormony zadziałały bardzo dobrze, a Lisa mądrze zwiększyła sobie piersi, tak by pasowały do jej sylwetki, ani za duże, ani za małe. Makijaż opanowała w mgnieniu oka, bez wysiłku poruszała się jak kobieta, miała wycucie stylu. Nawet lekcje głosu, które bywają dla niektórych trudne, nie sprawiały jej żadnych trudności.

Mężczyźni mają niższy głos, bo ich struny głosowe wydłużają się w okresie dojrzewania. Tego procesu nie da się odwrócić, więc mężczyźni, którzy stają się kobietami, uczą się jak mówić wyższym głosem.

– Czy zamierzała... zmienić wszystko do końca?

Nie wszyscy transseksualiści decydują się na zmianę genitaliów.

– Nie podjęła decyzji.

– Co Lisa robiła w Teksasie? – pytam. – Rozumiem, że mieszkała tu, w Wirginii. Odwiedzała was?

– Przyjechała na pogrzeb babci. Matki Dillona.

– Czy ty i kongresman braliście udział w pogrzebie?

– Tak. Zorganizowaliśmy małą prywatną uroczystość. Nie prowadzimy na razie kampanii, więc nie było żadnych mediów. Odbyła się ceremonia i



następnego dnia Lisa wróciła do domu. Jutro miała iść do pracy.

– Czym się zajmowała?

– Prowadziła własne biuro podróży. Jednoosobowa firma, ale szło jej nieźle. Obstawiła zyskowną niszę, organizowała urlopy specjalnie dla gejów, lesbijek i transseksualistów.

– Miała wrogów? Może wspominała, że ktoś ją prześladował?

– Nie – odpowiada zdecydowanie Rosario. – Wcale cię nie zbywam, Smoky, ani niczego nie ukrywam. To była pierwsza rzecz, o jakiej pomyślałam, ale niczego takiego nie pamiętam.

Ale możesz przeżyć zaskoczenie, myślę.

Wszelkie te nocne tajemnice, wielkie i małe, te, które pukają do drzwi, kiedy księżyc skrywa się za chmurami – dzieci też je mają, a rodzice dowiadują się przeważnie ostatni.

– A ty lub kongresman? Domyślam się, że oboje macie wrogów, jak wszyscy ludzie ze świecznika, ale czy ostatnio albo trochę wcześniej zdarzyło się wam może coś szczególnego?

– Nie, na pewno nie. Dillon od czasu do czasu dostaje listy od jakichś wariatów. Czytam je wszystkie, a potem przekazuję do Secret Service. Ostatni przyszedł sześć czy siedem miesięcy temu. Jakiś pajac groził, że zabije Dillona siłą swojego umysłu, czy coś w tym stylu. Akurat teraz nie zajmujemy żadnego kontrowersyjnego stanowiska w dziedzinie moralności. Rzadko to zresztą robimy. Właśnie unikając takich konfrontacji, Dillon zdołał utrzymać fotel w Kongresie jako przedstawiciel teksaskich demokratów.

Zastanawiam się, o co jeszcze mogę ją zapytać, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

Kolejne słowa dobieram szczególnie starannie:

– Rosario, musisz wiedzieć, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby znaleźć winnego. Nie mogę ci obiecać, że go złapię – już dawno nauczyłam się, że nie należy składać takich obietnic – ale mój zespół i ja jesteśmy naprawdę bardzo dobrzy. Aby wykonać swoją pracę, będziemy potrzebowali dostępu do was. Jestem w stanie zgodzić się na pewne ustępstwa polityczne, ale tak naprawdę nie pracuję ani dla ciebie, ani dla twojego męża, lecz dla Lisy.

– Liczy się tylko Lisa.

– Nie próbuję być cyniczna. Chcę tylko, żebyś dobrze wiedziała, jaką mam hierarchię wartości.

– Ta hierarchia bardzo mi się podoba. – Sięga do kieszeni marynarki i podaje mi kartkę. – To wszystkie moje numery. Dzwoń do mnie w dzień i w nocy z każdą, nawet z najmniejszą sprawą.

Biorę od niej kartkę. Rosario znów puka w szybę, znak, że wracamy do kostnicy. Słońce zachodzi i krwawe niebo współgra z płonącymi liśćmi na jesiennych drzewach.

Nadchodzi zima. Zima tutaj jest nieruchoma jak śmierć.

– Mogę cię o coś zapytać, Smoky? – odzywa się Rosario.

– O co tylko zechcesz.

Patrzy na mnie i w końcu widzę łzy. Nie szlocha z żalu, nie wpada w histerię. Z obu jej oczu ciekną po prostu strużki, dowód najgłębszego bólu.

– Czy to kiedykolwiek mija?

Prawda, prawda, tylko prawda. Ta kobieta nie zasługuje na nic innego. Więc mówię jej prawdę:

– Nigdy.

Callie, Alan i James są już w drodze – informuje mnie wicedyrektor Jones. – Powinni dojechać za kilka godzin.

Stoimy przed salą, gdzie dokonuje się sekcji zwłok, i przez szklaną ścianę patrzymy, jak koroner kroi ciało Lisy Reid, by pomóc nam złapać jej zabójcę. To ostateczny gwałt na ofierze. W czasie sekcji ciało nie ma duszy, ludzka istota zostaje zredukowana do najprostszego składnika: mięsa.

Jest już po siódmej i zaczynam czuć tęsknotę za domem.

– Dziwnie się tu czuję – mówię.

– Właśnie – odpowiada wicedyrektor Jones. Przez chwilę milczy. – Z moją drugą żoną zastanawialiśmy się nawet, czy się tu nie przeprowadzić.

– Naprawdę?

– Widziałaś te drzewa? Tu są prawdziwe cztery pory roku. Biała Gwiazdka, przyroda budząca się do życia na wiosnę. – Wzrusza ramionami. – Miałem na to ochotę. Ale potem nasze małżeństwo się rozsypało i zapomniałem o tym.

Znów milknie. Tak wyglądają nasze rozmowy. Wydziela mi osobiste informacje po trochu, znienacka, jak cukierki. Często są słodko-gorzkie, jak teraz. Kochał kiedyś kobietę, rozmawiali o przeprowadzce gdzieś, gdzie mogliby grabić liście i lepić bałwany. A teraz przyjechał tu z powodu zwłok. Marzenia ewoluują nie zawsze w dobrą stronę.

– Ten doktor Johnston jest dziwny – mruczę, zmieniając temat.

– Tak.

Doktor Johnston, koroner, ma czterdzieści kilka lat i jest ogromny. Nie

otyły, lecz umięśniony. Ma bicepsy, które ledwo objęłabym dwiema dłońmi. Nogi ma tak wielkie, że pewnie szyje spodnie na zamówienie. Włosy koloru jasnoblond strzyże na krótko. Twarz o kwadratowej szczęce nadaje mu wygląd brutala, do tego wielki nos ze śladami kilku złamań. Żyłka na czole pulsuje mu jak metronom, fascynująco. Mógłby być zawodowym kulturystą albo mafijnym specem od mokrej roboty.

Sekcję Lisy przeprowadza z zimną krwią. Umięśnionymi rękoma szybko rozcina klatkę piersiową. Nawet przez szybę ten dźwięk przyprawia o dreszcze, jakby ktoś rozdeptywał styropianowe kubki. Nie słyszę, co mówi, ale cały czas dyktuje swoje obserwacje do mikrofonu wiszącego nad stołem.

– Jak ci poszło z panią Reid? – pyta wicedyrektor Jones.

– Świetnie. Okropnie.

Streszczam mu rozmowę.

– Miałaś rację co do tego, dlaczego poprosiła o ciebie.

– Ano tak.

Johnston pochyla się, żeby spojrzeć na Lisę. Zajrzeć do jej wnętrza. Widziałam już gorsze rzeczy, ale z jakiegoś powodu czuję się nieswojo.

– Co o tym myślisz, Smoky?

Wiem, o co mnie pyta, czego chce. Chce, żebym zrobiła to, w czym jestem najlepsza. Żebym wykorzystała swój talent.

Robię to, co robię, bo potrafię zrozumieć tych, których ścigam. To nie przychodzi od razu, nie jestem jasnowidzem, ale przy odpowiedniej liczbie danych w końcu pojawia się obraz. Trójwymiarowy. Widać w nim emocje i rozumowanie. Ale przede wszystkim widać głód. Głód tak silny, że niemal czuję go w ustach. Ciemny smak tak wyraźny, że prawie

przełykam ślinę.

Pracuję z utalentowanymi ludźmi, jednym z nich jest wicedyrektor Jones. Pomogli mi rozwinąć ten talent. Zrozumiałam w końcu, że jego istotą jest umiejętność robienia czegoś zupełnie nienaturalnego – przyglądam się bliżej temu, od czego normalni ludzie odwracają wzrok.

To jak nurkowanie w ropie. Ten, kto w niej się zanurzy, nie jest w stanie przebić się wzrokiem przez mrok, ale czuje otaczającą go śliską substancję. Czasami zapuszczam się za głęboko. Czasami przeraża mnie to w głębi duszy, czasami poznaję w ten sposób własne tajemnice.

Pięć lat temu ściagałam człowieka, który mordował tylko młode piękne brunetki. Wszystkie do dwudziestu pięciu lat, wszystkie zjawiskowe. Nawet mnie, kobiecie, wydawały się zmysłowe i piękne, nawet po śmierci. Stworzone, by zawracać mężczyznom w głowach.

Ich zabójca właśnie tak się czuł. Gwałcił je, a potem zabijał pięściami. Bił je powoli, metodycznie, w skupieniu, póki nie wyzionęły ducha. To intymna, bardzo osobista metoda zabójstwa.

Stałam nad jedną z jego ofiar i patrzyłam. Patrzyłam i zobaczyłam go. Zabójcę. Wpatrywałam się tak długo, aż go poczułam. Działał w gorączce, wszechogarniającym szale seksualnego pożądania i gniewu. Zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę chce seksu z tymi kobietami, chce, by aż księżyc spadł z wrażenia.

Wyprostowałam się oszołomiona i ku swemu przerażeniu poczułam lekką wilgoć między nogami. Zanurzyłam się zbyt głęboko, poczułam zbyt mocno to, co on.

Pobiegłam do najbliższej łazienki i gwałtownie zwymiotowałam.

To było okropne, ale pomogło w śledztwie. Wiedziałam, że szukamy

kogoś, kto jest zorganizowany i inteligentny, ale nie potrafi nad sobą zapanować, kiedy poczuje odpowiedni bodziec.

Złapaliśmy go, sprawdziliśmy DNA i dzięki mojemu głębokiemu zanurzeniu wydusiliśmy z niego przyznanie się do winy. Stacy Hobbs była nową agentką w naszym biurze w Los Angeles. Doskonale nadawała się do tego, co chciałam zrobić. Miała dwadzieścia cztery lata, była brunetką i przyciągała wzrok wszystkich facetów w promieniu trzystu metrów.

Kazałam jej się ubrać tak, jak ubierały się mordowane przez niego kobiety, zrobić odpowiedni makijaż. Wyjaśniłam jej, jak ma stanąć w kącie, jak ma na niego patrzeć, jak wygiąć biodro i uśmiechnąć się uwodzicielsko. Kazałam jej milczeć.

Jasper St James, bo tak się nazywał, nie mógł od niej oderwać wzroku. Patrzyłam, jak zaciska pięści. Obserwowałam, jak nieco rozchyła usta. Na moich oczach wargi mu nabrzmiały jak u wampira. Zaczął się pocić i mamrotać pod nosem.

– Suka. Suka. – I tak w kółko.

Podczas poprzednich przesłuchań był zimny jak lód.

Skrzyżowałam nogi, dając sygnał Stacy. Zrobiła to, co jej kazałam: popatrzyła Jasperowi prosto w oczy i oblizwała usta powoli, przeciągle, obscenicznie. Potem nagle odwróciła się i wyszła bez słowa.

Kiedy to zrobiła, Jasper aż krzyknął z frustracji. To był pojedynczy wysoki krzyk, tak głośny, jakby ktoś ścisnął mu jądra szczypcami. Pochyliłam się w jego stronę nad stołem.

– Ależ to musiało być przyjemne, co? – odezwałam się niskim, dyszącym głosem. – Patrzeć, jak dociera do nich, że za chwilę umrą.

Pamiętam jego wzrok. Było w nim przerażenie, fascynacja i nadzieja.

Niemal słyszałam jego myśli.

Czy ona naprawdę to rozumie? Czy to możliwe?

To możliwe, Bóg mi świadkiem, ale nie tak, jak mu się wydawało. Czułam to, rozumiałam, ale moje zrozumienie było mimo wszystko sztuczne. Byłam niewierna; tylko miłość Jaspera była czysta.

Coś bełkotał i bredził, pocił się i drżał, kiedy mówił. Wyjawiał mi swoje sekrety. Był szczęśliwy, że może się tym z kimś podzielić, wdzięczny, że w końcu ktoś go słucha. Słuchałam, kiwałam głową i udawałam współczucie.

Uświadomiłam sobie, że Jasper prawdopodobnie wykorzystywał współczucie, żeby zwabić wszystkie te kobiety. Czy to właśnie uczyniło z niego moją ofiarę? Nasze cele nie różniły się aż tak bardzo. On chciał zniszczyć te kobiety, ja chciałam zniszczyć jego. Różnica polegała na tym, że on na to zasłużył.

Żadna z tych myśli nie odbiła się na mojej twarzy. Słuchałam go w pełnym skupieniu. W pewnej chwili, kiedy się rozplakał, potrzymałam go nawet za rękę. Biedny Jasper, szeptałam. Biedny, biedny Jasper.

Tamtego wieczoru po powrocie do domu moczyłam się w wannie, aż woda zupełnie wystygła.

Wicedyrektor Jones prosi mnie, żebym zanurzyła się w ropie, żebym znów przeżyła ten proces, żebym zaczęła wczuwać się w człowieka, który to zrobił.

– Mam jeszcze za mało danych – mówię. – Brakuje mi składnika emocjonalnego. Sam czyn jest niewiarygodny. Zuchwały. Ma dla niego znaczenie. To albo przesłanie, albo dopalacz emocjonalny. Albo jedno i drugie.

– Jakie przesłanie?

Coś nagle przychodzi mi do głowy, choć to płytkie zanurzenie.

– Jestem doskonały. Albo doskonały jest powód, dla którego to robię.

Wicedyrektor Jones marszczy czoło.

– To znaczy?

– To jak... morderstwo w zamkniętym na klucz pokoju. Zabił ją w powietrzu. Znajdował się w potrzasku i miał wokół wielu świadków. Myślę, że zabił ją na początku lotu, żeby móc siedzieć obok ciała i czuć podniecenie. To byłoby kuszące. Czy ktoś zauważył? Jeśli tak, to nie ma dokąd uciekać. Mógł się na to powążyć tylko perfekcjonista, ktoś kto ma odwagę, kto poradzi sobie ze strachem. Czuł, że chronią go albo własne umiejętności, albo przekonanie, że robi coś słusznego.

– Co jeszcze?

– Jest bardzo inteligentny, bardzo zorganizowany, zdolny do szczegółowego planowania na długą metę. Zapewne jest dojrzały, ale nie stary. Przed pięćdziesiątką.

– Dlaczego?

– Jak na młodego jest zbyt pewny siebie, zbyt doświadczony. – Wzdycham. – Przesłuchamy pozostałych pasażerów, ale mogę się założyć, że rysopis na nic nam się zda.

– Myślisz, że leciał w przebraniu?

– Tak, ale w subtelnym. Przefarbowane włosy, kolorowe szkła kontaktowe, coś takiego. Najbardziej będzie różnić się osobowość. Na pewno udawał coś charakterystycznego, co zapadło świadkom w pamięć, coś, co przykuło ich wzrok i odwiodło od dalszych obserwacji.

– Skąd ta pewność?



– Bo wszystko inne byłoby niedoskonałe. A to musi być perfekcjonista.

Johnston zaczął ściągać skórę Lisy z czaszki, żeby otworzyć jej głowę i dostać się do mózgu. Uznaję, że czas zająć się czymś innym. Dzwonię do Bonnie. Tu dochodzi ósma trzydzieści, co oznacza, że w Kalifornii jest pora kolacji. Odbiera komórkę, którą jej kupiłam, już po pierwszym dzwonku.

– Cześć, Smoky!

– Cześć, kochanie. Jak się masz?

– Super. Elaina zrobiła makaron z serem.

Elaina Washington jest żoną Alana, jednego z członków mojej ekipy. Latynoska, którą uwielbiam, urodziła się, by dawać miłość i wsparcie innym. Ale nie robi tego w przesłodzony, nadmiernie sentymentalny sposób. Elaina potrafi kochać, przytulając, ale również przywołując do porządku, kiedy trzeba. To ona pierwsza odwiedziła mnie w szpitalu po napadzie Sandsa. Trzymała mnie w ramionach i pozwoliła mi się wypłakać. Zawsze ją będę za to kochała.

Elaina opiekuje się Bonnie, kiedy w pracy mam takie sytuacje jak teraz. Przerabia z nią także materiał szkolny.

– To świetnie, skarbie.

– Alan wyjechał. Czy to znaczy, że nie będzie cię dłużej?

– Wygląda na to, że tak. Przepraszam.

– Przestań, mam Smoky.

Bonnie dojrzała szybciej niż jej rówieśniczki, zarówno z powodu tego, co ją spotkało, jak i z powodu swoich talentów. Po morderstwie matki i tym, co nastąpiło potem, została jej głęboka blizna w duszy. Stała się

niezwykle dojrzała emocjonalnie. Talent uwidacznia się w jej dziełach – bo Bonnie jest malarką – i w przenikliwości. Ale określenie „mama Smoky”, którym nazywa mnie czasem, żeby mnie pocieszyć, a czasem zupełnie bez powodu, zawsze wprawia mnie w dobry nastrój. To głos dziecka, dowód, że Bonnie ma w sercu młodość.

– Co mam przestać, skarbie?

– Przepraszać za coś, na co i tak nie masz wpływu. Mordercy nie działają zgodnie z planem, a ty łapiesz morderców, więc twoje życie nie przebiega zgodnie z planem. Nie przeszkadza mi to.

– Dzięki, ale u mam pewne rzeczy po prostu nie zależą od logiki. Więc przykro mi, że nie jestem z tobą.

Słyszę na terakocie buty wicedyrektora Jonesa i odwracam się, by spotkać jego wzrok. Głową wskazuje szklaną ścianę.

– Muszę lecieć, kochanie. Zadzwoń jutro, dobrze?

– Smoky?

– Tak?

– Czy ciocia Callie naprawdę wychodzi za mąż?

Uśmiecham się.

– Naprawdę. Dobranoc, skarbie.

– Dobranocka. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Doktor Johnston pokazuje tackę z sercem Lisy Reid.

– Ktoś przebił jej serce. Dziura jest mała, ale po prawej stronie klatki piersiowej widnieje otwór odpowiadający średnicą temu. – Wskazuje to miejsce. Dziura nie jest bardzo duża, ale siniak, jaki wywołała, ma

wielkość obu moich dłoni. Nie zauważyłam go wcześniej z powodu szoku, kiedy okazało się, że Lisa to Dexter.

– To ma sens – mówi wicedyrektor Jones. – Lisa siedziała przy oknie, a zabójca miał miejsce po jej prawej stronie.

– Czym można zadać taką ranę? – pytam.

– Czymkolwiek długim, cylindrycznym i ostrym. Wystarczyłby nawet drut do włóczki – chociaż jak na drut ten otwór jest za mały. Zabójca musiał być silny, zdeterminowany i znał podstawy anatomii. – Składa dłoń w pięść i markuje cios. – Jedno czyste pchnięcie przez płuco, aż do serca i koniec.

– Musiał ją czymś oszołomić, żeby zrobić to na pokładzie samolotu – zauważam.

Johnston potakuje wielką głową.

– Tak. Śmierć była bardzo szybka, ale też bardzo bolesna. Musiał ją czymś znieczulić.

Zastanawiam się nad tym.

– Musiałoby to być coś, co można podać doustnie – mówię. – Ani zastrzyk podskórny, ani dożylny, bo dożylny wymagałby ucisku. Jakies pomysły?

– Wystarczyłoby GHB, ketamina albo rohypnol, ale z tymi substancjami byłyby problemy. Wszystkie mogą wywołać wymioty. Po ketaminie można nawet dostać konwulsji. – Johnston krzyżuje potężne ramiona. – Nie, na jego miejscu zastosowałbym coś w starym stylu. Wodzian chloralu.

– Czyli drink z czymś ekstra – rzuca wicedyrektor Jones.

– Najlepiej działa z alkoholem, a w treści żołądka wyczułem alkohol.

Wodzian działa szybko, mógł dać jej większą dawkę, żeby szybko straciła przytomność.

– Racja – zgadzam się – przecież i tak nie musiał się martwić, że umrze z przedawkowania. Sprawdzi pan to wszystko w badaniu toksykologicznym?

– Tak. Pogonię, kogo trzeba. Wyniki powinny być jutro po południu razem z moim raportem.

Przychodzi mi do głowy coś jeszcze.

– Zastanawiam się, jak wniósł na pokład to coś, czym ją przebił? Dr Johnston wzrusza ramionami.

– To nie moja działka, przykro mi.

Daję mu numer mojej komórki.

– Proszę do mnie zadzwonić, kiedy będą wyniki badań, przyślę kogoś po nie. Proszę zrobić jedną kopię dla siebie i schować w bezpiecznym miejscu. – Patrzę mu w oczy. – To sprawa federalna z trzech powodów, doktorze Johnston. Po pierwsze, zdarzyło się to w krajowym obszarze powietrznym. Po drugie, zamieszany jest członek Kongresu, może to być wstęp do zamachu na samego Dillona Reida. Po trzecie, może chodzić o zbrodnię z nienawiści. Ale te wszystkie triki rodem z filmów płaszcza i szpady to gest wobec Reidów, a nie próba tuszowania czegokolwiek. Niech pan to zapamięta. Mnie zależy przede wszystkim na złapaniu sprawcy.

Obdarza mnie nieco zmęczonym uśmiechem.

– Dziękuję za szczerość, agentko Barrett, ale proszę się nie obawiać. Nie jestem fanem spiskowych teorii. Zajmowałem się już trzema innymi zabójstwami na tle politycznym. W jedno z nich zamieszany był ktoś

wysoko postawiony i męska prostytutka. To dla mnie nie pierwszozna.

Dociera do mnie, że dr Johnston jest cholernie kompetentny. Nie powinno mnie to dziwić, większość ludzi, którzy zajmują się zmarłymi, traktuje swoją pracę bardzo poważnie.

– To bardzo dobrze. – Patrzę na Lisę Reid, która leży na czymś, co wciąż nazywamy deską, choć od dawna stoły do sekcji robi się ze stali. – Ma pan jeszcze jakieś wnioski?

– A tak. Coś bardzo, bardzo niezwykłego. Właśnie miałem o tym powiedzieć. – Bierze kolejną tackę i podsuwa nam pod nos. – Znalazłem to wciśnięte w jej ciało. Zrobił nacięcie w jej prawym boku. Jest inteligentny, naciął ciało po śmierci, kiedy już ustało krążenie. A potem wcisnął w nią to.

Spoglądam na tackę i widzę średniej wielkości srebrny krzyżyk.

– Gdzie ma pan rękawice? – pytam.

Wskazuje głową pudełko z lateksowymi rękawiczkami na blacie obok. Wyjmuję parę i wkładam na dłonie. Sięgam do tacki i biorę do ręki krzyżyk.

– Ciężki – mówię. – Duży ciężar właściwy. Pewnie jakiś stop srebra. Krzyż jest skromny, prosty. Ma około pięciu centymetrów wysokości i jakieś dwa i pół szerokości. Odwracam go w dłoni i mrużę oczy. Z tyłu jest chyba coś wyryte, ale napis jest za mały, by odczytać go gołym okiem.

– Ma pan lupę?

Johnston znajduje i podaje mi szkło powiększające. Patrzę przez nie na krzyżyk. Widzę jakiś symbol, bardzo mały i prosty: czaszka i skrzyżowane piszczele, uniwersalny symbol trucizny. Wyryto je z tyłu na górnej części krzyżyka. Wzdłuż ramienia dostrzegam jakieś liczby.

– Nr 143 – czytam na głos.

– Co to, do cholery, może znaczyć? – pyta wicedyrektor Jones.

– Nie wiem. – Odkładam krzyżyk na tacę. – Doktorze, gdyby cokolwiek z tego miało przeciec do mediów, to informację o krzyżyku zatrzymajmy tylko dla siebie.

– Oczywiście.

– Coś jeszcze?

Kręci głową.

– Na razie nie.

Wicedyrektor Jones zerka na zegarek i wskazuje palcem w moją stronę.

– W takim razie jedźmy na lotnisko. Twoja ekipa przyleci lada chwila, a ja muszę wracać do Kalifornii.

Żegnamy się z doktorem Johnstonem i idziemy korytarzem w stronę wyjścia. Nasze buty stukają po linoleum. Dziwny dźwięk, niepasujący do sytuacji.

– Masz jakiś plan? – pyta wicedyrektor Jones.

– Zaczynamy od podstaw. Badania kryminologiczne samolotu, w którym zginęła Lisa, przesłuchania pasażerów, pracujemy nad profilem. A potem... – przerywam. – A potem musimy jak najszybciej zabrać się do identyfikowania kolejnych potencjalnych ofiar.

Nie mówię wprost o oczywistej i najbardziej niepokojącej sprawie:

Symbol śmierci i „nr 143” – zabójca może zliczać tylko jedno.

Co oczywiście prowadzi do kolejnego trudnego pytania: Do ilu doliczy?

Minęła jedenasta w nocy i jest cholernie zimno. Nie znoszę zimna.

Wiatr, mimo że nieostry, cały czas wieje po płycie lotniska krótkimi podmuchami, tak że nie czuję już policzków.

Na bezchmurnym niebie wisi wielki nabrzmiały księżyc. Jest w nim coś niezwykłego; ten sam księżyc świecił dla ludzi z epoki jaskiniowej: świecił, zanim przyszłam na świat, i będzie świecił jeszcze długo po moim odejściu.

Około godziny jechaliśmy na prywatne lotnisko pod Waszyngtonem. Jest małe i puste, zaledwie jeden hangar i pas startowy. Stąd pojedę z moją ekipą na międzynarodowe lotnisko im. Dullesa, gdzie czeka samolot, w którym zginęła Lisa.

Zaciskam ramiona, patrząc, jak po pasie kołuje prywatny odrzutowiec. To biały lear, na pokładzie którego nieraz bywałam.

Wicedyrektor Jones chyba nie przejmuje się temperaturą. Pali papierosa. Ja rzuciłam ten nałóg, ale wciąż za nim tęsknię, zwłaszcza kiedy widzę, jak ktoś pali moją ulubioną markę, tak jak on. Byłam lojalna wobec marlboro, a one z wdzięczności zawsze znajdowały się pod ręką. Zapewniały mi pocieszenie, a ja oddałam im kilka lat swojego życia. To był uczciwy układ, ale się skończył.

– Posłuchaj, Smoky, muszę ci o czymś powiedzieć. – Zaciąga się dymem, trzyma go chwilę w płucach, po czym wydmuchuje w formie obłoczka. Patrzą z zazdrością i czekam. – Chcę wiedzieć, co się dzieje. Codziennie. To zupełnie inne boisko niż to, do którego przywykłaś. Rathburn jest porządnym facetem, ale jak przyjdzie co do czego, będzie

chronił własny tyłek i rzuci cię lwom na pożarcie, jeśli będzie mógł w ten sposób uratować stołek dyrektora. – Patrzy na mnie świdrującym wzrokiem. – Nie daj się zwieść. Jesteś dla niego tylko pionkiem.

– Potrafię o siebie zadbać, szefie.

– Wiem. Ale miej oczy szeroko otwarte.

– Tak jest. – Stukam obcasami i zamaszycie salutuję.

Wcale go to nie bawi.

– To nie żart, Smoky. Ludzie w stolicy robią kariery po trupach innych. Jesteś utalentowaną agentką i Bóg jeden wie, że twarda z ciebie sztuka, ale nie masz doświadczenia w grze na tym poziomie.

– Dobrze, dobrze. Rozumiem.

– Rathburn może ci naprawdę pomóc z mediami. Rób dokładnie to, co ci każe – nie odpowiadaj na żadne ich pytania i odsyłaj ich do dyrektora. Wiem, że miałaś już do czynienia z mediami, ale jeśli coś wycieknie, zrobi się wielka afera. FBI ma ludzi, którzy żyją z wciskania kitu, niech oni się tym zajmą.

– OK, słowo harcerza.

– I niech Callie trzyma buzię na kłódkę.

– Potrafię nad nią zapanować.

W jego wzroku widać powątpiewanie. Pstryka niedopałkiem w mrok.

– Samolot podjechał. Chodźmy.

– Dobry Boże, kochaniutka, ależ tu zimno – jęczy Callie, stawiając na płycie lotniska stopę w szpilce. – Czemu jesteśmy tutaj, a nie tam, gdzie jest normalna pogoda i gdzie mogłabym się zająć planowaniem mojego ślubu?



Uśmiecham się jak zwykle. Callie zawsze mnie rozbija. Tak jak rozbija chyba większość ludzi.

Callie jest wysokim, chudym, długonogim rudzielcem o wyglądzie modelki, który z wiekiem nabiera szlachetności. Właśnie skończyła czterdziestkę i kto wie, czy nie jest jeszcze atrakcyjniejsza niż pięć lat temu.

Jest świadoma swego piękna i potrafi je wykorzystywać, ale ogólnie w życiu najwięcej czasu poświęca nie na pielęgnację urody, lecz ćwiczenie umysłu. Ma magisterium z kryminalistyki śledczej i specjalizację z kryminologii. Od ponad dziesięciu lat ściga ze mną zabójców.

Ma poczucie humoru, które nie każdy rozumie i docenia. Na przykład jej ulubione określenie „kochaniutka” to wyraz bezgranicznego uwielbienia. To maniera z Południa, a Callie pochodzi z Connecticut. Wyobrażam sobie, że zaczęła tak mówić, żeby żartować z samej siebie i drażnić innych (zwłaszcza żeby drażnić innych). Miejskowa legenda głosi, że w aktach Callie znajduje się nagana za nazwanie „kochaniutkim” dyrektora FBI, Rathburna. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

Nie jest wcale złośliwa. Oznajmia tylko: „Jeśli zgrywasz wielkiego waźniaka, nie będziesz miał ze mną łatwego życia, więc wyluzuj... kochaniutki”.

Callie ma też inną stronę, mroczniejszą, tę, którą pokazuje przestępcom. Bezwzględnie dąży do prawdy, bo prawda jest dla niej wszystkim. Gdybym popełniła przestępstwo, to Callie, choć mnie kocha, wytropiłaby mnie w mysiej dziurze. Zrobiłaby to z żalem, ale na pewno by mnie dopadła. Każde inne rozwiązanie byłoby wbrew jej naturze, a Callie nie działa nigdy wbrew sobie.

Ma wyjść za Samuela „Sama” Brady’ego, szefa oddziału specjalnego FBI w Los Angeles. Zaskoczyło to wszystkich. Callie od lat uganiała się za facetami i uwielbiała cieszyć się ich towarzystwem. Taki casanova w spódnicy. O emocjonalnej stałości nigdy nie było mowy.

Bardzo pilnie strzeże swoich tajemnic, ale o kilku wiem. Na przykład o trwającym uzależnieniu od vicodinu. To pozostałość po urazie kręgosłupa, jakiego doznała przed dwoma laty. Omal nie została wtedy kaleką. Wiem też, dlaczego tak długo nie pozwalała mężczyznom zbliżyć się do siebie. Jako piętnastolatka zaszła w ciążę i musiała oddać dziecko. Pogodziła się już z utraconą kiedyś córką i może właśnie to częściowo wyjaśnia ogromne zmiany, jakie w niej zachodzą. Nie wiem. Znam tylko kilka jej tajemnic, tych, z których zwierzyła mi się w ciągu tylu lat naszej znajomości.

Największym darem od Callie jest dla mnie to, że stale domaga się, byśmy cieszyły się chwilą, tu i teraz. I przyjaźń, której nic nie jest w stanie zmać. Mogę na nią liczyć. To Callie znalazła mnie po tym, co zrobił ze mną Joseph Sands. To ona odebrała mi broń i bez wahania przytuliła. To Callie trzymała mnie w objęciach, kiedy darłam się, krzyczałam i poplamiałam jej doskonałą garsonkę krwią, łzami i wymiocinami.

– Wielka polityka – odpowiadam na jej pytanie. – Ja też nie znoszę zimna.

– Nie jest tak źle – dudni niski głos. – Przynajmniej nie ma śniegu. Nie znoszę śniegu.

Alan Washington to najstarszy członek mojego zespołu, najbardziej doświadczony. Nie trafił od razu do FBI, wcześniej przez dziesięć lat pracował w wydziale zabójstw departamentu policji w Los Angeles.

Alan jest Afroamerykaninem. To prawdziwy olbrzym, niczym zawodnik drużyny futbolowej albo wielki dąb. Wieczorem na pustej ulicy komuś takiemu lepiej zejść z drogi. W tym wielkim ciele kryje się wielki człowiek: Alan ma wspaniałe serce i dociekliwy umysł, analizujący nawet najdrobniejsze szczegóły. Potrafi całymi dniami siedzieć nad detalami, jest cierpliwy, nigdy się nie frustruje, nigdy nie szuka drogi na skróty, pracuje dotąd, aż złożony problem rozbierze na czynniki pierwsze. Jest też największym mistrzem przesłuchań, jakiego znam. Widziałam już, jak najbardziej niezłomnych twardzieli przerabia na drżącą ze strachu bełkocącą masę.

Najlepsze świadectwo duszy Alana wystawia mu jego małżeństwo z Elainą i to, że kocha ją w tak oczywisty, bezwstydnym sposób. Jest w tej miłości oczarowanie i duma. Matt też kochał mnie tak samo. To miłe i wiele mówi o charakterze mężczyzny.

Alan uśmiecha się do mnie i uchyla niewidocznego kapelusza.

– Dzięki ci, Boże, za twe drobne dary – odpowiadam i też się uśmiecham.

Kolejny głos, który słyszę, jest skwaszony i pełen niechęci.

– Co my tu robimy?

To pytanie zadaje ostatni członek mojej ekipy. Jego obcesowy, nieprzyjazny i zniecierpliwiony ton jak zwykle mnie irytuje.

James Giron jest błyskotliwy, ale do bólu wręcz nieprzyjemny. Czasami mówimy na niego Damien – tak nazywał się syn szatana w filmie *Omen*. Nie ma zmysłu towarzyskiego, wali prawdę zawsze w oczy, nie licząc się z uczuciami innych. Nadaje zupełnie nowy wymiar pojęciu bezmyślności.

James to księga pełna pustych kart. Nie mam pojęcia, czy w ogóle ma osobiste życie. Nigdy nie słyszałam, żeby opowiadał o piosence czy filmie, które mu się spodobały. Nie wiem, jakie programy ogląda w telewizji, jeżeli w ogóle to robi. Nie wiem też, czy miał jakieś związki. James nie obnosi się w pracy ze swoją prywatnością.

Angażuje za to w nią swój umysł. To geniusz w najpełniejszym tego słowa znaczeniu. Ukończył liceum jako piętnastolatek, zdał maturę z maksymalną liczbą punktów, a jako dwudziestolatek miał już za sobą studia i doktorat z kryminologii. W wieku dwudziestu jeden lat zrealizował swój plan i wstąpił do FBI.

James miał starszą siostrę Rose, którą zamordował seryjny zabójca, gdy James był dwunastolatkiem. Na pogrzebie Rosy zaplanował całe swoje życie. To jedyny realny dowód na to, że James ma w sobie coś z człowieka.

Pod wieloma względami James i ja odpychamy się, jesteśmy dodatnimi biegunami, między którymi nie ma śladu przyciągania. Poza jednym wyjątkiem: tak jak ja potrafi zaglądać w umysły ludzi, którzy mordują dla przyjemności.

James marszczy czoło.

– To nie nasz rewir. Nie powinno nas tu być.

Zerkam na wicedyrektora Jonesa. Piorunuje Jamesa wzrokiem, w którym widać mieszankę rezygnacji i lekkiego niedowierzania.

– Przestań jęczeć, bo cię nie zaproszę na ślub – mówi do niego Callie. Krzywi się.

– I to ma być groźba?

– Wiem, że dla ciebie to żadna groźba, ale – i tu Callie się uśmiecha –

twoja matka byłaby bardzo rozczarowana. Musisz wiedzieć, Damien, że ucięłyśmy sobie miłą pogawędkę przez telefon i nie może się doczekać, kiedy pozna twoich znajomych z pracy.

– Nie nazywaj mnie tak – fuka James.

Powstrzymuję uśmiech, a w duchu czuję satysfakcję z tego, jak Callie usadziła Jamesa. Nie znam jego matki, ale wiem, że co roku w urodziny Rosy towarzyszy jej na grób siostry, więc teoretycznie muszą być blisko związani.

– Powiesz nam, o co chodzi? – pyta Alan, kończąc te pogaduszki.

– Jeszcze chwileczkę – przerywa mu wicedyrektor Jones. Odwraca się do mnie. – Pamiętaj, co mówiłem. Informuj mnie na bieżąco.

– Dobrze, szefie.

Kiwa głową i odchodzi bez słowa.

– Tam czeka nasz samochód – mówię. – Wsiadajmy i włączmy ogrzewanie, opowiem wam wszystko po drodze.

Jedziemy wielkim samochodem ford crown victoria. Jest nieco poobijany, ale prowadzi się nieźle. Alan siada za kółkiem, a ja na pozycji strzelca. James i Callie wciskają się z tyłu.

– Daj ciepła – prosi Callie. Pociera ręce i melodramatycznie udaje dreszcze. Alan przekręca kluczyk i włącza dmuchawę na najwyższe obroty. Wielki silnik dudni na jałowym biegu, a dmuchawa dmie ciepłym powietrzem przez kratki wentylacyjne niczym wiatr u wylotu jaskini.

– I jak, lepiej? – pyta Alan.

– Mmm – mruczy Callie. – O wiele lepiej.

Alan wskazuje na mnie.

– Zamieniamy się w słuch.

Kiedy kończę opowiadać, wszyscy milczą i myślą. James wygląda przez tylne okno. Callie siedzi obok niego i stuka w zęby pomalowanymi na czerwono paznokciami.

– Teatralne zagranie – odzywa się po chwili. – Żeby zabić tę biedną kobietę w trakcie lotu.

– Trochę za bardzo teatralne – odpowiada Alan.

– Tak – myślę na głos – a jednak mu się udało. Zabił ją na pokładzie samolotu...

– Ją? – prycha Alan.

Marszczę czoło.

– Formalnie tak. W prawie jazdy w rubryce płeć ma wpisane „kobieta”.  
W czym problem?

Podnosi rękę, bierze kierownicę w dłonie i mocno je zaciska. Ze świstem wydycha powietrze.

– No dobrze – mówi. – Nie lubię transseksualistów. Uważam, że to nienaturalne. – Wzrusza ramionami. – Nic na to nie poradzę. Kiedy pracowałem w policji w Los Angeles, zajmowałem się kilkoma zabójstwami takich osób. Zrobiłem, co do mnie należało, współczułem rodzinom, w końcu to byli ludzie, ale co z tego, skoro i tak do pewnego stopnia mnie to mierzi. Czasami to po mnie widać.

Patrzę na mojego przyjaciela, zszokowana. Siedzę jak zmieniona w słup soli. Czy naprawdę mówi to Alan? Poza pokojami przesłuchań jest najspokojniejszym, najuczciwszym, najbardziej tolerancyjnym człowiekiem, jakiego znam. Przynajmniej tak mi się wydawało.

– Mój Boże, jakżeś ty się uchował? – pyta Callie.

Wypowiedziała na głos to, co sama myślę.

– On jest homofobem – mówi James z takim jadem w głosie, że patrzę na niego zaskoczona. – Prawda? Przyznaj się, pedziów też nie lubisz, co, Alan?

Alan odwraca się na fotelu, by spojrzeć na Jamesa.

– Nie przepadam za widokiem całujących się facetów, ale nie, nie jestem homofobem. Nie obchodzi mnie, kto się z kim pieprzy. Ale jest ogromna różnica między tym a obcięciem sobie piersi czy fiuta. – Krzywi się. – No co? Tak mam i już. Nie mówię, że to słuszne ani czy ma to sens. I szczerze mówiąc, nie mam ochoty wysłuchiwać kazań na ten temat. Elaina już to ze mną przegadała, ale i tak niczego to nie zmieniło. To nie będzie miało wpływu na moją pracę.

– Powiedz prawdę – odzywa się Callie z zainteresowaniem w głosie.

– Poderwałeś kiedyś jakąś babeczkę? Całowaliście się z języczkiem, a kiedy sięgnąłeś pod kieckę poczułeś jej orzeszki i fiutka?

– Cholera jasna, w ogóle nie powinienem nic mówić – jęczy Alan.

– Masz rację – mówię. – Nie powinienes. Jeśli coś takiego rozniesie się po rodzinie...

Kiwa głową, zawstydzony.

– Tak. Przepraszam.

– Nie jesteś homofobem, co? – odzywa się James.

Patrzę na niego zaskoczona. Widzę gniew na jego twarzy. Nie odpuszcza.

– Mówiłem przecież, że nie.

– Gównno prawda.

Alan wygląda, jakby miał wpaść w gniew, ale tylko wzdycha.

– W porządku. Możesz mi nie wierzyć. Ale to nie znaczy, że to nieprawda.

James patrzy na Alana. Krzywi się i drży. Nie mam pojęcia, co się dzieje.

– Naprawdę? To co ty na to... – Przerywa, waha się, ciężko oddycha.

– Co ty na to, że ja jestem gejem?

W samochodzie zapada cisza. Słysząc tylko dmuchawę i nasze oddechy.

– O kurczę – odzywa się Callie.

Wykonuje gest, jakby jadła popcorn.

– Dalej, nie przerywaj, kochaniutki.

Mnie odebrało mowę.

James gejem?

Nie jestem wstrząśnięta samym wyznaniem. Raczej tym, że James zwierzył się z czegokolwiek. To zbyt osobiste. Równie niezwykle byłoby, gdyby powiedział mi, jaki smak lodów lubi najbardziej.

W pewnym sensie jestem zaskoczona, jak dobrze to ukrywał. Mieliśmy już do czynienia z ofiarami orientacji gejowskiej. Nigdy nie wymknęła mu się nawet najmniejsza uwaga na ten temat.

Ale przecież Alanowi też się do tej pory nic nie wymknęło.

– Dlaczego nam teraz o tym mówisz? – pyta Alan.

– Nie wiem! – warczy James. – Przestań robić uniki. Odpowiedz na to cholerne pytanie.

Alan długo patrzy na Jamesa. Na ustach igra mu uśmieszek.

– Co ja na to... Nadał cię nie lubię.

Callie parska śmiechem i zaczyna chichotać. Wygląda to groteskowo. Z



twarży Jamesa odpływa nieco gniewu. Przygląda się Alanowi, szukając drugiego dna.

– I to wszystko, co masz do powiedzenia?

– Tak.

Dzieje się coś, co mną wstrząsa. Alan sięga ręką nad fotelem i kładzie dłoń na ramieniu Jamesa. To delikatny gest, pełen zrozumienia. Ale najbardziej wstrząsa mną reakcja Jamesa. Nie kuli się, nie odsuwa. Widzę ślad czegoś innego, jakby... ?

Ulga – uświadamiam sobie ze zdumieniem. To ulga. Opinia Alana ma dla niego znaczenie.

– Naprawdę, synu – powtarza Alan głosem równie delikatnym jak jego gest. Wszyscy na chwilę zastygamy. W końcu James strąca dłoń Alana.

– Świetnie – odpowiada. Piorunuje wzrokiem Callie i mnie. – Nie chcę więcej nic słyszeć na ten temat, rozumiemy się?

Podnoszę palce w geście harcerskiej przysięgi. Callie kiwa głową, ale wierci się na tylnej kanapie i odsuwa jak najdalej od Jamesa.

– Co robisz, do cholery? – pyta podejrzliwie.

– Nic się nie bój, kochaniutki – mówi Callie. – Nie przeszkadza mi, że jesteś gejem, słowo daję. Ale lada chwila wychodzę za mąż i... no wiesz, mówią, że to może być zaraźliwe. Lepiej dmuchać na zimne.

Pilnuję się, żeby nie parsknąć śmiechem. James obrzuca ją niepewnym spojrzeniem, a w końcu wzdycha i mówi:

– Ale z ciebie idiotka.

Znów daje się odczuć ulgę. Callie traktuje go jak do tej pory, drażni się i James wie, że mimo jego wyznania nic się nie zmieniło.

A co ze mną? – zastanawiam się. Czego oczekuje ode mnie?

Zerkam na niego, ale James znów wygląda przez okno. Robi wrażenie odprężonego.

Uświadamiam sobie, że nie obawiał się mojej reakcji. Wiedział, że go zaakceptuję.

To poprawia mi samopoczucie.

– Skoro już mamy za sobą ten talk-show Jerry’ego Springera, to może zajmijmy się pracą? – mówi Callie. – Nie zapominajmy, co jest najważniejsze: planowanie mojego ślubu.

– A co ma z tym wspólnego praca? – pytam zdziwiona.

Callie przewraca oczami.

– Zdaje się, że najpierw musimy złapać zabójcę. Więc do roboty. Uśmiecham się do niej. Wcale nie martwi się o ślub. To cała Callie, żyje po to, żeby pocieszać strapionych, rozświecić mrok.

– Jedźmy na lotnisko Dullesa – mówię. – Zatrzymali tam dla nas samolot. Pogadamy po drodze.

Alan rusza z miejsca, a mnie przychodzi do głowy, że życie tym właśnie różni się od śmierci. Życie to ruch. Zawsze coś się dzieje, zawsze dokądś zmierzamy, przeciskamy się przez szczeliny niezależnie od tego, czy los nam sprzyja. Niespodziewana niechęć Alana do transseksualistów, nagłe wyznanie Jamesa – może dobre, może złe – ale na pewno oznaczają, że żyjemy. Życie czasem bywa niewygodne, ale zawsze jest lepsze od wiecznego spokoju śmierci.

Droga na lotnisko zajęła nam prawie trzy kwadranse. Miejscowy policjant, który na nas czekał, przepuszcza nas szybko przez bramkę ochrony i wskazuje, dokąd jechać. Jest już po północy, ale port im. Dullesa żyje przez okrągłą dobę, jak wszystkie lotniska międzynarodowe. Alan prowadzi samochód, a ja patrzę, jak startują samoloty – wyskakują z morza światła w nocne niebo.

Samolot, w którym zginęła Lisa, przetoczono do hangaru serwisowego. Hangar jest wielki, z betonu i stali, co oznacza, że jest w nim zimno. Temperatura wciąż spada i dociera do mnie, że jestem niewłaściwie ubrana na tę pogodę.

W hangarze palą się wielkie i jasne lampy. Późna pora i surowość miejsca plus przejmujący chłód tworzą atmosferę samotności.

– Chyba trzeba wjechać do środka – mruczy Alan i przejeżdża przez bramę hangaru.

– Kto to? – pyta Callie, kiedy podjeżdżamy bliżej.

Na spotkanie wychodzi nam blondynka, którą pierwszy raz widzę na oczy. Jest mniej więcej w moim wieku, ma na sobie czarną marynarkę, czarne spodnie i białą koszulę. Prosty strój, ale za dobrze leży jak na coś gotowego ze sklepu. Nie jest ani wysoka, ani niska, mniej więcej metr sześćdziesiąt siedem. Ładna, choć nie piękna. W twarzy mogącej stanowić wzorzec obojętności błyszczą inteligentne niebieskie oczy.

– Wygląda na kogoś z wierchuszki – mruczy Alan. Podchodzi do mnie, kiedy tylko wysiadam z auta.

– Agentka Barrett?

– Tak. Z kim mam przyjemność?

– Rachael Hinson. Pracuję u dyrektora.

– Super.

– Samolot jest do waszej dyspozycji przez góra dwadzieścia cztery godziny – oznajmia bez wstępów. – Do tego czasu nikt nie ma wstępu do hangaru. Nikt wam nie będzie przeszkadzał. – Wskazuje wózek na kółkach stojący obok. – Macie tu przenośne zestawy kryminologów: aparaty, torebki na dowody i akta sprawy założone przez policję, nim przejęliśmy śledztwo. Ja was nadzoruję.

Tego się mogłam spodziewać.

– Nie – mówię, zachowując spokój w głosie.

Hinson odwraca się do mnie i marszczy czoło.

– Słucham?

– Powiedziałam „nie”, agentko Hinson. To moje śledztwo. Tylko ja i moja ekipa wejdziemy na pokład tego samolotu.

Hinson podchodzi bliżej, bardzo blisko. Góruje nade mną wzrostem i próbuje mnie tym onieśmielić. Sprytny ruch, ale ograny. Stoję nieporuszona.

– Obawiam się, że będę musiała nalegać – rzuca, świdrując mnie błękitnymi oczyma.

Muszę przyznać, że można się jej przestraszyć, kiedy tak patrzy.

– Proszę zadzwonić do dyrektora – odpowiadam.

– Po co?

– Bo tylko on może rozstrzygnąć spór. Tu nie chodzi o biurokratyczne przepychanki, Hinson. No, może trochę. Ale prawda jest taka, że po prostu będziesz nam wchodzić w drogę, a motywy twojej obecności będą nas

rozpraszać. Nie potrzebujemy kogoś, kto nam będzie patrzył na ręce.

Nie odsuwa się, ale przenosi ciężar ciała na prawą nogę. Widzę, że zastanawia się nad moimi słowami, rozważa, czy lepiej trzymać się polecenia, by mieć nas na oku, czy zaryzykować zawracanie głowy dyrektorowi. Nie boi się, po prostu spokojnie waży argumenty. Hinson nie pierwszy raz znalazła się w sytuacji, w której wybór należy do niej.

– Posłuchaj – mówię, żeby pomóc jej zdecydować. – Wiesz, że jestem tu nie tylko dlatego, że dyrektor mnie wezwał.

– Technicznie rzecz biorąc, tak.

– Technicznie owszem, ale tak naprawdę nie. Jestem tu dlatego, że poprosiła mnie o to żona kongresmana.

Po jej ustach błądzi uśmiezek, który delikatnie ociepla obojętną twarz. To uśmiech szacunku, Hinson z uznaniem przyjmuje to, że tak mało subtelnie posłużyłam się nazwiskiem znanego polityka.

– W porządku, agentko Barrett – przystaje i odsuwa się. Sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki, pod którą błyska broń w kaburze założonej na ramię. Wyciąga prostą białą wizytówkę i podaje mi. Na karcie widać tylko czarny napis: „Hinson” oraz telefon i adres e-mailowy. Nic poza tym.

Zerkam na nią.

– Lubimy lapidarność, co?

Wzrusza ramionami.

– Na palcach obu rąk mogę policzyć, ile razy dawałam komuś wizytówkę. Proszę dzwonić, jeśli będziecie czegoś potrzebować. Jestem dostępna non stop.

Odwraca się i odchodzi bez słowa. Płaskie obcasy klapią o zimny szary

beton hangaru.

Wygrałam pierwszą rundę, ale pamiętam ostrzeżenie wicedyrektora Jonesa i wiem, że miał rację, ostrzegając mnie.

– Hm – mruczy Alan. – Jak kogoś takiego opisać? Straszna? Twarda? A może i jedno, i drugie?

– Najlepiej tak, jak żyje – mówię pod nosem.

– Czyli?

– Przydatna. Żyje przede wszystkim po to, by być przydatna. A teraz rozejrzyjmy się po miejscu zbrodni.

– W życiu nie byłam w całkiem pustym samolocie – odzywa się Callie.  
– Dziwnie to wygląda.

– Jest za cicho – zauważa Alan.

Mają rację. W normalnych warunkach w samolocie panuje szum, coś jakby mamrotanie tłumu. W tym jest cicho jak w grobie.

– Co to za model? 727? – pyta Alan.

– 737-800 – odpowiada James. – Średniej wielkości, wąskokadłubowy, mieści 162 pasażerów w dwóch klasach. Długość czterdzieści metrów, rozpiętość skrzydeł trzydzieści cztery metry. Masa własna czterdzieści jeden ton. Z pełnym załadunkiem może pokonać pięć i pół tysiąca kilometrów z prędkością przelotową mniej więcej siedem dziesiątych macha.

Alan przewraca oczami.

– Dzięki, panie Jamesie Encyklopedyczny.

– Gdzie siedziała? – pytam.

Alan zerka do teczki.

– 20F. Przy oknie.

Marszczę czoło.

– Powstaje pytanie: jak sobie załatwił miejsce obok niej? Musiałby wcześniej wiedzieć, gdzie ona miała siedzieć. Trzeba się dowiedzieć, jak zarezerwowała bilet.

– Za dużo zmiennych – mówi James.

Spoglądam na niego.

– To znaczy?

– Posłuchaj, sposób, w jaki ją zabił, wymagał, by siedziała przy oknie.

– Bierze teczkę od Alana i wyciąga zdjęcie. – Zostawił ją opartą o okno, nakrytą kocem, jakby spała. Nie zrobiłby tego, gdyby siedziała pośrodku czy w przejściu.

– I co z tego?

– Chodzi mi o to, że o jej miejscu w samolocie mógł się dowiedzieć na najróżniejsze sposoby. Mógł kogoś przekupić, mógł się włamać do systemu. A wtedy zarezerwował miejsce obok niej albo namówił do zamiany miejsca kogoś, kto miał siedzieć obok. Jest mnóstwo sposobów. Ale po jedenastym września praktycznie jest niemożliwe, by ktoś zagwarantował, że Lisa będzie siedziała przy oknie. Nie da się tego zaplanować ani zaaranżować.

Rozumiem wreszcie, co mówi James.

– Do zabójstwa wcale nie musiało dojść na pokładzie samolotu.

– Właśnie. – Kiwa głową.

To drobiazg, ale jak zawsze jest to część większej układanki, sposób, by przyjrzeć się bardziej człowiekowi, który to zrobił.

Zaczął od decyzji, że zabije Lisę Reid, nie od decyzji, że zabije ją w samolocie. Śledził ją obserwował, zbierał o niej informacje. Dowiedział

się, że jedzie w podróż, jakoś dowiedział się, że będzie siedziała przy oknie, a dopiero potem zaplanował i zrealizował zabójstwo w samolocie. Gdyby sprawy nie potoczyły się tak, jak chciał, zabiłby ją gdzie indziej.

– Miejsce go interesowało – mruczę – ale jako sprawa drugorzędna, nowinka, pokaz możliwości. To ona była najważniejsza, a nie miejsce. Lisa stanowiła klucz.

– Chwileczkę – przerywa mi Callie. – Jest jeszcze jedna możliwość, prawda?

– Jaka?

– Że to przypadkowe zabójstwo. Może jednak to miejsce było dla niego najważniejsze. Zdobył fotel pośrodku i zamierzał zabić tego, kto miał pecha, by usiąść obok. Trafiło akurat na Lisę. Może nie lubi tych linii lotniczych albo w ogóle nie znosi latać? Raz czy dwa sama miałam ochotę zadusić jakiegoś wrednego pasażera obok.

– To możliwe i na pewno niepokojące – mówię – ale mało prawdopodobne. To, że spotkało to Lisę Reid, transseksualistkę i córkę członka kongresu! – Kręcę głową. – To nie może być przypadek. Facet lubi planować i kontrolować sytuację. Wybór ofiary to ważna część operacji. Może się mylę, ale... nie wygląda mi to na przypadkowe zabójstwo.

Callie zastanawia się i w końcu kiwa głową.

– Słuszna uwaga.

Idziemy wzdłuż foteli. Boeing 737-800 ma klasyczne ustawienie siedzeń – po obu stronach rzędy z trzema miejscami. W środku jest chłodno, ale jeszcze nie zimno. Samoloty dobrze trzymają ciepło. Docieramy do miejsca 20F.



– Callie, ile zdążyła zrobić policyjna ekipa kryminalistyczna? – pytam.

Przerzuca kartki w teczce.

– Wszystko obfotografowali. Dokładnie widać wszystko przed i po usunięciu ciała. Zabrali jej bagaż. Stoi w hangarze. I to w zasadzie tyle.

– Ktoś szybko się tym zajął – zauważa Alan.

Zatrzymuję się i rozglądam. Nic szczególnego, nic koszmarnego. To tu, dokładnie w tym miejscu, jeden człowiek zginął z ręki innego. Na tym fotelu pod oknem zakończyło się czyjeś życie. Jeśli ktoś wierzy w duszę – a ja wierzę – to właśnie w tym miejscu na zawsze zniknęła esencja istoty, Lisy Reid.

Znów uderza mnie, jak nieodpowiednio wygląda miejsce, gdzie doszło do zgonu, w stosunku do prawdy o samej śmierci. Widziałam kiedyś ładną młodą kobietę porzuconą w piachu. Była naga. Została uduszona. Z opuchniętych, pobitych ust wystawał język. Otwarte oczy patrzyły w niebo. Zachowała nieco ze swego piękna, ale gasło szybko, zaczęła je pochłaniać zbliżająca się entropia. Ale choć martwa, i tak była piękniejsza od piachu, na którym leżała. Nie widać było lasu, ziemi ani nieba – tylko ją. Przerwane życie to obraz skończony; śmierć sama siebie najlepiej ujmuje w ramy.

– Na siedzisku fotela widać krew – zauważa Callie, wrywając mnie z zamyślenia. – Najłatwiej będzie po prostu zabrać całe siedzisko. Jej i jego, a potem poszukać odcisków palców. To dobry sposób. Gdyby miał rękawiczki, zwróciłby na siebie uwagę. Potem odkurzymy wszystko, zbierając wszelkie ślady. I to by było chyba tyle.

– Myślę, że coś sobie zabrał – odzywa się James.

Odwracam się do niego.

– Co?

– Trofeum. Coś w niej zostawił, ten krzyżyk. Lubi symbole. Musiał coś zabrać. Nie wszyscy seryjni mordercy kolekcjonują trofea, ale zgadzam się z Jamesem. To by do niego pasowało.

– To mogło być cokolwiek – mówi Alan. – Bizuteria, coś z jej torebki, pukiel włosów. – Wzrusza ramionami. – Cokolwiek.

– Przeszukamy jej rzeczy, sprawdzimy, czy nie brakuje czegoś oczywistego – mówię.

– Robi się coraz zimniej. Jaki mamy plan, kochaniutka?

Callie ma rację. Poczułam trop zabójcy, ale nic więcej tu nie odkryję.

– Ty i James zostaniecie tutaj i dokończycie analizy miejsca zbrodni. Zadzwoń do mnie, kiedy skończycie. Alan, podrzucisz mnie do mieszkania Lisy, a potem zacznij przesłuchiwać świadków. Stewardesy, pasażerów, wszystkich bez wyjątku. Sprawdź też, jak kupił bilet. Płacił gotówką? Kartą kredytową? Jeśli użył karty, to pewnie na fałszywe nazwisko. Jak mu się to udało?

– Rozumiem.

Callie też kiwa głową.

Spoglądam po raz ostatni na okno, przy którym zginęła Lisa. Odwracam się i wychodzę. To wspomnienie w końcu kiedyś zniknie. Kiedyś usiądę w samolocie przy oknie i nawet nie pomyślę o Lisie Reid.

Kiedyś.

Alan i ja wracamy autostradą do Alexandrii. Na drodze jest pusto, zaledwie kilku innych nocnych kierowców, którzy tak jak my woleliby pewnie się wyspać. Alan prowadzi w milczeniu. Dmuchawa ustawiona na maksimum walczy z zimnem. Wokół zapanowała ciemność – ciemność, cisza i bezruch.

– Ciekawe, dlaczego kiedy jest zimno, wydaje nam się, że jest ciszej? – zastanawiam się na głos.

Alan spogląda na mnie i uśmiecha się.

– Bo tu naprawdę jest ciszej. Przywykłaś do Los Angeles. Tam przeważnie nie robi się tak zimno, żeby ludzie i zwierzęta zaczęli chować się w domach. A tu owszem.

Ma rację. Przeżyłam to już kiedyś. Od szóstego do dziesiątego roku życia, zanim mama umarła na raka, jeździłam z całą rodziną na wycieczki. Mama i tata brali urlopy w tym samym czasie i przez dwa tygodnie przemierzaliśmy połowę Stanów w tę i z powrotem.

Pamiętam, że podczas tych wyjazdów bywało ciężko: niekończący się szum opon po drodze, migający za szybą świat, intensywna, wręcz bolesna nuda. Pamiętam też, jak bawiłam się z mamą w samochodzie – w szpiega, w liczenie jednookich (samochodów z jednym działającym reflektorem). Głośne piosenki śpiewane fałszem. Ale przede wszystkim pamiętam, dokąd jeździliśmy.

W ciągu pięciu lat zwiedziłam ogromną część Parku Narodowego Gór Skalistych, Yellowstone, górę Rushmore. W kilku miejscach przekraczaliśmy Missisipi, jedliśmy gumbo w Nowym Orleanie. Rzadko

zatrzymywaliśmy się w hotelach, woleliśmy kempingi.

Któregoś roku tatę szczególnie poniosła ambicja i jesienią zawiózł nas przez całą Amerykę aż do stanu Nowy Jork. Chciał, żebyśmy zobaczyli góry Catskills, gdzie ponoć drzemał Rip Van Winkle. To była nieznośnie długa wycieczka i kiedy tam dotarliśmy, byliśmy ledwo żywi i odrętwiali. Zajechaliśmy na kemping i wysiadłam z auta, gdy tylko się zatrzymaliśmy.

Drzewa były niewiarygodne. Zarówno zielone iglaki, jak i liściaste mieniły się różnymi kolorami. Niskie i wysokie, młode i stare. Było zimno, tak jak teraz, pamiętam, jak chłód szczypał mnie w policzki, pamiętam parę z oddechu.

– Nie dość, że muszę sikać w lesie – marudziła matka – to jeszcze dostanę od tego gęsiej skórki na tyłku.

– Ale pięknie tu, prawda? – powiedział tata z lekkim oszołomieniem w głosie, zupełnie nie zważając na jej gniew.

To właśnie w nim uwielbiałam. Kiedy chodziło o postrzeganie świata, pozostał wiecznie młody. Mama była bardziej ostrożna. Tak jak ja miała w sobie coś z cynika. Stała mocno na ziemi, i to było ważne. Za to tata wkładał nam głowy w chmury – i to też się liczyło.

Pamiętam, jak odwróciła się do niego, gotowa mu dogryźć, ale słowa zamarły jej na ustach, kiedy zobaczyła szczerą radość malującą się na jego twarzy. Przestała marudzić i też zaczęła rozglądać się wokół. W końcu dostrzegła to, co on, zaraziła się jego urzeczeniem i rozmarzyła się razem z nim.

– O tak – odezwała się zdziwiona. – Rzeczywiście pięknie.

– Mogę się przejść po okolicy? – zapytałam.

– Oczywiście, kochanie – odparł tata. – Ale nie odchodź za daleko.

Trzymaj się w pobliżu.

– Dobrze, tatau – zgodziłam się i pobiegłam w stronę drzew. Dotrzytałam słowa i trzymałam się blisko. Nie musiałam zapuszczać się daleko, wystarczyło pięćdziesiąt kroków i już byłam sama, bardziej sama niż kiedykolwiek. Zatrzymałam się, by to poczuć. Nie bałam się, byłam raczej zaintrygowana. Dotarłam na małą polankę otoczoną licznymi wysokimi drzewami pełnymi obumierających liści, które jeszcze nie opadły. Rozłożyłam ręce, odchyliłam głowę, zamknęłam oczy i wsłuchiwałam się w tę ciszę i bezruch.

Kiedy wiele lat później w lesie Angeles Crest znalazłam zwłoki młodej kobiety, przypominałam sobie ten bezruch i ciszę. Zaczęłam się zastanawiać, jak to jest, zginąć gdzieś w głuszy, słyszeć w tej samotni własny krzyk niczym w katedrze.

W czasie tej podróży do Nowego Jorku miałam dziesięć lat. To była ostatnia nasza wycieczka przed chorobą mamy. Kiedy myślę o rodzicach, zawsze wspominam ich z tamtego okresu, kiedy mieli zaledwie trzydzieści i trzydzieści jeden lat, byli młodszy niż ja teraz. Kiedy myślę o młodości, wspominam te nasze wycieczki, zabawy w szpiega i liczenie jednookich aut, ciągle pytania „daleko jeszcze” i marudzenie matki. Pamiętam oczarowanie ojca, miłość matki do niego i pamiętam liście, drzewa oraz bezruch, który kojarzył mi się z pięknem, a nie wspomnieniem śmierci.

Mieszkanie Lisy mieści się w nowej kamienicy w pobliżu centrum Alexandrii. Budynek wygląda ładnie, ale nie całkiem pasuje do okolicy.

– Kawalek Kalifornii w Wirginii – zauważa Alan.

Mówi głośno to, co sama pomyślałam.

Kamienica jest obłożona brązowym drewnem i gipsem, ma własny mały podjazd. Nikt jeszcze tu nie był, na drzwi nie założono żółtej policyjnej taśmy. Podjeżdżamy, wysiadamy z auta i podchodzimy do frontowych drzwi. Alan rozejrzy się ze mną po mieszkaniu, a potem pojedzie przesłuchiwać świadków.

Zajechaliśmy do kostnicy, skąd zabrałam klucze Lisy. W mdłym świetle latarni szukam na kółku tego właściwego.

– Chyba ten – mówi Alan i wskazuje złoty klucz.

Wsuwam go do dziurki, przekręcam i słyszę kliknięcie zamka. Wrzucam pęk kluczy do kieszeni marynarki i oboje wyciągamy broń.

– Panie przodem – mówi Alan.

W mieszkaniu są dwa pokoje, w jednym z nich mieści się domowe biuro. Zaglądamy do obu pomieszczeń, do gościnnej ubikacji i do głównej łazienki. W końcu chowamy broń.

– Miłe mieszkanko – zauważa Alan.

– Tak.

Urządzono je w kolorach ziemi, przytłumionych, ale nie bladych. W całym mieszkaniu pojawiają się barwne akcenty, od amarantowych poduszek na kanapie, po białe zasłony z niebieskim kwiatowym obramowaniem. Czysto tu i bezwonnie, nie czuć zapachu zwierząt, brudnych ubrań ani zepsutego jedzenia. Lisa nie paliła. Na drewnianym stoliku do kawy przy kanapie leżą w artystycznym nieładzie czasopisma i książki. Lisa była porządna, ale nie pedantyczna.

– Mogę sobie iść? – pyta Alan.

Zerkam na zegarek. Piąta nad ranem.

– Jasne. Zanim zaczniesz męczyć świadków albo podążać tropem pieniędzy, każ poszukać morderstw z podobnym znakiem szczególnym.

– Czyli z krzyżykiem?

– Krzyżykiem albo z symbolami, jakie na nim zostawił. Nie sądzę, żebyśmy trafili na jakieś bardzo stare zbrodnie, ale może uda się odkryć coś świeżego.

Marszczy czoło.

– Myślisz, że facet działa od jakiegoś czasu i dopiero teraz postanowił się ujawnić?

– Tak.

– No to miał zły pomysł.

– Miejmy nadzieję.

Zostaję sama. Nie włączam światła. Zaczęło świtać i chcę zobaczyć salon tak, jak widziałaby go Lisa. Siadam na kanapie obitej brązową mikrofibrą. To kanapa taka, jak tysiące innych, tyle że należała do niej. Siadywała tu wiele razy. Czuję jej ulubione miejsce, nieco bardziej wgniecione.

Naprzeciw kanapy w odpowiedniej odległości stoi średniej wielkości płaski telewizor. Wyobrażam sobie, jak siadała w tym miejscu po ciemku, jak cienie tańczyły po jej twarzy. Na stoliku widzę butelkę lakieru do paznokci i uśmiecham się. Oglądała telewizję i malowała paznokcie. Na stoliku obok kanapy znajduję głupiutkie romansidło. Wstydliva, ale miła lektura. Może czytała ją, czekając, aż wyschną paznokcie.

To miejsce było dla niej sanktuarium, samotnią. A ja za chwilę bezkarnie je przebobruję. Przychodzi mi do głowy, że pod tym względem

jestem bardzo podobna do zabójców, których ścigam. Będę chodzić po tym domu, otwierać szuflady, czytać pocztę elektroniczną, zaglądać do szafki z lekami. Przekroczę wszelkie granice prywatności, póki nie sprawdzę wszystkiego.

Dawno temu Lisa mogła przekręcić klucz w zamku i odciąć się od świata, który chciał odkryć jej sekrety, ale teraz już tego nie robi. Zabójcom, których ścigam, taka myśl dodaje sił.

Oczywiście moje motywy są czystsze, ale nauczyłam się już dawno, że nie przetrwam w tej pracy, jeśli nie będę szczerą wobec samej siebie. A prawda jest taka, że kiedy przeszukuję dom ofiary, czuję coś z tej siły, lekki dreszczyk voyeuryzmu. Mogę zaglądać, gdzie chcę, dotykać, czego chcę, otworzyć dowolne drzwi. To uderza do głowy i trochę rozumiem, dlaczego tak bardzo pociąga psychopatów.

Wstaję i idę do kuchni. Jest mała, ale funkcjonalna i bardzo czysta. Brązowy blat z granitu. Lodówka ze stali nierdzewnej i podobna kuchenka, zmywarka oraz mikrofalówka na blacie. Otwieram kilka szafek i zaglądam do środka. Równo poukładana biała porcelana.

Lodówka świeci pustkami. Na drzwiach widzę przyklejoną karteczkę z listą zakupów: „Woda w butelkach, serwetki, makaron i ser”.

Już tego nie kupisz, myślę.

W szufladach w kuchni nie znajduję niczego. Sztućce, książka telefoniczna, jakieś długopisy i karteczki samoprzylepne. Nie jestem przesadnie zdziwiona. Lisa przywykła do ukrywania się. Nie trzymałaby swoich sekretów w miejscu, gdzie mógłby je przypadkiem znaleźć któryś z gości.

Ruszam do sypialni. Jest średniej wielkości, na podłodze leży gruby



beżowy dywan. Głównym meblem jest łóżko, wielkie jak z Kalifornii. Tu też wszystko urządzone w kolorach ziemi. Lisie udało się trafić z wystrojem: jest kobiecy, ale nie dziewczynski.

Sprawdzam miejsce, gdzie kobiety najczęściej chowają swoje sekrety – stolik przy łóżku. Otwieram górną szufladę i nie rozczarowuję się. Znajduję plastikowy woreczek z marihuaną i bibułkami do skrętów. Jest też oliwka dla dzieci i czasopismo ze zdjęciami nagich umięśnionych mężczyzn. Rozglądam się i dostrzegam odtwarzacz CD.

Wyobrażam sobie, jak Lisa włącza płytę, zapala skręta, wdycha dym i przegląda czasopismo, szukając zdjęcia, które ją rozpali. Znajduje je, opiera się wygodniej, bierze oliwkę...

I tu się różnimy, Liso.

Kiedy moje palce wędrują w to miejsce, trafiają na coś zupełnie innego. Nigdy nie miałam penisa, nigdy nie chciałam go mieć, ale trzymałam go w ręku. Wiem, jaki ma kształt, zapach, jak smakuje, ale nie mam pojęcia, jak to jest, kiedy się go trzyma i jednocześnie czuje, że jest dotykany.

Czy to cię martwiło? Pociągali cię mężczyźni, a chciałaś być kobietą. Czy kiedy trafiałaś ręką na penisa, wydawał ci się obcy? Czy w swoich fantazjach zmieniał się w coś innego?

Próbuję to sobie wyobrazić, poczuć to, co mogła czuć Lisa, ale nie jestem w stanie.

Zamykam szufladę i otwieram następną. Znajduję w niej tylko kilka książek.

Podchodzę do komódki i buszuję w szufladach. Czuję się, jakbym przeglądała własną komodę. Nie ma tu żadnych męskich rzeczy. Tylko biustonosze, majtki, trochę koszulek i dzinsy. W szafie to samo – zestaw

sukienek, spodni i masa butów. Miała dobry smak, nieco na lewo od klasyki, taka stłumiona oryginalność. Przyzwoitość z lekką nutką flirtu.

Opuszczam sypialnię i wchodzę do łazienki obok. Znów uderza mnie, że to kobiece miejsce. Zestawy do makijażu, gąbka, lawendowe mydło. Kulki do kąpieli, różowe maszynki do golenia, dozownik z kremem do rąk. Nawet deska klozetowa jest opuszczona. Czy sikała na stojąco, czy na siedząco?

Szafka z lekami należała do zdrowej osoby. Znajduję aspirynę, bandaże i podstawowe środki. Żadnych antydepresantów czy środków przeciwbólowych na receptę. Właściwie nie ma tu żadnych leków, co mnie zaskakuje. Ale po chwili mi świta: zabrała je w podróż do Teksasu.

Miejsce pod umywalką to kolejny kontrast. Nie ma tu tamponów, choć to miejsce, do którego najłatwiej sięgnąć, siedząc na toalecie. Pod umywalką znajdują się tylko rolka papierowych ręczników i jakiś środek do czyszczenia glazury.

Na podłodze stoi cyfrowa waga. Z przyzwyczajenia wchodzę na nią, próbuję zachowywać się jak Lisa. Nie zważam na kłamstwa wagi, tak jak pewnie i ona nie zważała. W końcu przystaję, rozglądam się raz jeszcze i wychodzę z łazienki, żeby obejrzeć gabinet.

Gabinet jest w tych samych kolorach ziemi, co reszta mieszkania. Pod oknem stoi biurko. Mogła wyglądać przez okno, kiedy tylko chciała, ale płaski monitor trzeba było osłaniać przed jaskrawym słońcem. Samo biurko jest wykonane z ciemnego drewna. Nie jest ani masywne, ani rachityczne, coś pomiędzy. Lisa lubiła drewno, myślę. Widzę tu bardzo mało metalowych mebli.

Obok biurka stoi szafka. Przy przeciwległej ścianie ustawiono wysoką

na blisko dwa metry półkę na książki. Znów ciemne drewno. Patrzę na tytuły na grzbietach książek. Niemal same przewodniki z odcieniem gejowskim i lesbijskim. *Wiochy – przewodnik dla gejów, Madryt – po prostu cudowny*, i tak dalej.

W szafce nie znajduję na pierwszy rzut oka nic interesującego. Trzeba będzie ją dokładnie przeszukać, ale nie po to tu jestem. Szukam czegoś, czegokolwiek, co rzuci mi się w oczy, co pomoże nam pójść właściwą drogą.

Spoglądam na blat biurka. Czysty, tylko podstawka pod filiżankę i długopis. Zamykam oczy i próbuję wyobrazić sobie jej poranną krzątanicę. Zrzucam buty, bo na pewno chodziła tu bosą, po to miała te grube dywany.

Wyobrażam sobie, jak się budzi, podchodzi do ekspresu, nalewa sobie filiżankę gorącej kawy i zaspana idzie, żeby usiąść przed komputerem.

Nie, to nie tak.

Między mną a Lisa istniała zasadnicza różnica. Kiedy ja budzę się rano, mogę mieć włosy jak siano, mogę mieć wory pod oczami, mogę nawet być przekonana, że muszę wydepilować sobie wąsik, ale nigdy w życiu nie musiałam się martwić, że może pojawić się ktoś niezapowiedziany, kto odkryje, że nie jestem kobietą.

Lisa cały czas żyła w strachu. Zamykam oczy i jeszcze raz wyobrażam sobie jej poranek.

Budzi się. Pierwsze kroki kieruje na pewno do łazienki. Pryszyć, jeśli trzeba, to golenie nóg, szczotkowanie zębów. Potem układanie włosów. Makijaż – nic specjalnego, tylko tyle żeby w lustrze zobaczyć twarz kobiety. Wszystkie jesteśmy w pewnym sensie niewolnicami lustra, ale w

przypadku Lisy to stwierdzenie nabierało zupełnie nowego znaczenia.

Zostaje w czymś swobodnym, na przykład T-shircie i spodniach od dresu, ale zanim wypije kawę, musi umalować twarz. Musiała budzić się i przygotować na to, że ktoś może ją zobaczyć.

Reszta wygląda bardziej prawdziwie: wchodzi tu bosą z filiżanką kawy.

Siadam na krześle i włączam komputer. Jako tapetę ma ustawione niezwykle zdjęcie egipskich piramid na tle bezchmurnego błękitnego nieba.

Uruchamiam przeglądarkę i sprawdzam historię odwiedzanych stron. Mieszanka stron biznesowych i z zakupami. Znajduję jej własną stronę Rainbow Travels. Na stronie głównej widać zdjęcie Lisy – uśmiechniętej i pięknej. Patrząc na to zdjęcie, nigdy bym nie pomyślała, że nie urodziła się kobietą.

Zdjęcia...

Wstaję, wychodzę z gabinetu i wracam przez salon do sypialni. Miałam rację, na ścianach nie ma zdjęć. Żadnych zdjęć rodziny, Rosario czy Dillona, nie ma nawet jej własnych fotografii. Na ścianie wisi tylko grafika Picassa i czarnobiała fotografia Ansela Adamsa. I to wszystko.

Zastanawiam się nad tym. Dlaczego nie ma zdjęć? Czyżby patrzenie co dzień na rodziców sprawiało jej za dużo bólu? A może to tylko jeden ze sposobów, by chronić ich przed własnym życiem, żeby goście niczego nie skojarzyli?

Wracam do gabinetu i buszuję dalej w komputerze. Sprawdzam pocztę elektroniczną. Mnóstwo korespondencji biznesowej, informacji o dokonanych zakupach internetowych, ale znów – o dziwo – nic osobistego. To internetowa wersja braku rodzinnych zdjęć.

Zaczynam odnosić wrażenie, że wizja szczęścia Lisy, o jakiej mówiła Rosario, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Mieszkanie jest ładne, Lisa prowadziła własną firmę, miała płaski telewizor, maryskę i oliwkę dla dzieci – i świetnie, ale moim zdaniem była to raczej pustelnia, miejsce codziennej krzątaniny i samotności.

Nie widzę żadnych e-maili do przyjaciół i od nich, żadnych śladów po wizytach na stronach osobistych. Żadnego kontaktu z zewnętrznym światem.

Wzdycham i siadam wygodniej na krześle. Czuję się rozczarowana. Gdzie w tym wszystkim jest Lisa? Gdzie jest jej dusza?

Kopię stopą w coś pod biurkiem. Marszcząc czoło, odsuwam krzesło, pochylam się i podnoszę to coś. Widzę, co mam w ręku, i czuję żywsze bicie serca.

To notes oprawiony w brązową skórę. Na okładce wyciśnięte złote litery: „Dziennik”.

– To zupełnie co innego – mruczę.

Pierwszy wpis pochodzi sprzed mniej więcej tygodnia. Lisa ma ładny charakter pisma, czytelny i zamaszysty. Czytam:

„Nie wiem właściwie, po co prowadzę te dzienniki. Może po to, żeby dokumentować samotność. Nie wiem.

To chyba pomaga, siadać tu od czasu do czasu i pisać te słowa: jestem samotna, jestem samotna. Taka cholernie samotna.

Czytałam wczoraj w Biblii *List do Koryntian*. Czytałam i zaczęłam płakać. Płakałam, płakałam, płakałam i płakałam. Nie mogłam przestać. Przeczytałam to:

»Miłość cierpliwa jest, miłość łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie

szuka poklasku, nie unosi się pychą nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego; nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma. Miłość nigdy nie ustaje«\* [Wszystkie cytaty za Biblią Tysiąclecia, Poznań 2000].

Czytałam to i czułam przez chwilę, że brakuje mi tchu. Bolało tak bardzo, że myślałam, że się rozpadnę.

I przyszło mi wtedy do głowy takie pytanie: Czy będę miała kiedykolwiek kogoś, komu będę mogła powiedzieć te słowa? Czy znajdzie się ktoś taki? Czy ktoś poczuje to samo wobec mnie?

Czy jest gdzieś mężczyzna, który mnie pocałuje, przekona się, kim jestem, i będzie mnie całował mimo to dalej, na zawsze? A jeśli taki istnieje, to jak go rozpoznać, kiedy się pojawi?

Wiem, wiem, jestem w podróży, to maraton, a nie sprint. Ale czasami ogarniają mnie wątpliwości. Wątpię w samą siebie, w moje decyzje. Czasami, wstyd powiedzieć, wątpię nawet w Boga.

Jak mogłabym zwątpić w Boga? Tylko Bóg zawsze mnie wysłuchuje.

Przepraszam cię, Boże.

Czasami po prostu czuję się tak cholernie samotna”.

Kończę czytać ten wpis i chrząkam. Czytam następny, późniejszy o dwa dni.

„Babcia nie żyje. Wszyscy się tego spodziewali, ale i tak boli. Babcia była rasistką, nie zaakceptowałaby mnie takiej, jaka jestem teraz, ale i tak ją kochałam, nic na to nie poradzę. W końcu babcia nikomu nie powiedziała o mojej tajemnicy. O tej tajemnicy. Kochała mnie nawet po

tym koszmarze, po najbardziej wstydlivej rzeczy, jaką kiedykolwiek zrobiłam, kiedy...”

Marszczę czoło. Wpis się kończy. Przesuwam palcem po zagięciu i dociera do mnie, że część kartek z dziennika usunięto, wyrwano. Przeglądam następne strony.

Nagle widzę to.

I zamieram.

Ręce zaczynają mi drżeć, kiedy otwieram dziennik szerzej, żeby upewnić się, że widzę to, co widzę.

Na górze jednej ze stron znajduje się narysowany ręcznie symbol.

Czaszka i piszczele.

Pod spodem linijka tekstu:

„Co zbieram? Oto pytanie i zarazem klucz. Odpowiedzcie na nie szybko albo zginą kolejni”.

Rzucam dziennik na biurko. Serce wali mi jak młotem.

To on. Był tutaj. Ten facet z samolotu.

Człowiek, który zabił Lisę.

A więc zostawia ślady.

W ustach Alana brzmi to jak stwierdzenie, i to wcale nie optymistyczne.

– Włączył też stoper. Złapcie mnie albo znów zabiję.

Kiedy mam już pewność, że chodzi o seryjnego zabójcę, wszystko się zatrzymuje. Na chwilę zapada całkowita cisza, świat wstrzymuje oddech. Ziemia przestaje się kręcić, a ja w głowie i tętnicach słyszę cichy szum.

To przerażająca pauza, decydująca minuta, podczas której przyjmuję na siebie brzemie odpowiedzialności wynikającej z mojego zawodu: dopóki jego, jej czy ich nie złapię, wciąż będą ginąć ludzie. I od tej chwili każdy, kto umrze, obciąży moje sumienie.

Oczywiście wszyscy seryjni zabójcy mordują, póki ich nie złapiemy. Ale rzadko który mówi wprost, że już poluje na kolejną ofiarę. To zupełnie inny rodzaj nacisku.

– Cholera. – Wzdycha. – Naprawdę mam już dość tych świrów. Czy nie dociera do nich, że żaden z nich i tak nie będzie oryginalny?

– Dla nich to zawsze nowe doznania.

– No tak. Co chcesz zrobić?

Zadzwoiłam najpierw do Alana, odruchowo. Musiałam z kimś porozmawiać, opowiedzieć, co znalazłam. Adrenalinowy wstrząs już ustępuje.

– Nad czym teraz siedzisz? – pytam.

– Zapłacił za bilet kartą kredytową. Karta jest ważna, wydano ją kilka lat temu. Mam adres i właśnie tam jadę.



Serce mi zamiera.

– Kto jest właścicielem karty?

– Richard Ambrose.

– Alan, prawdziwy Ambrose, kimkolwiek był, już nie żyje.

– Tak.

Gdyby nasz sprawca zbudował tę tożsamość od podstaw, kartę kredytową wystawiono by niedawno.

– Pewnie znalazł kogoś podobnego do siebie fizycznie – snuję rozważania. – To może nam trochę pomóc.

– Mam jechać tam czy przyjechać do ciebie?

– Jedź do domu Ambrose'a. Nic mi nie będzie. To tylko wstrząs.

– Rozejrzemy się z Nedom i zadzwonię do ciebie.

Kiedy Alan uczył się pracy detektywa w wydziale zabójstw, jego mentor powiedział mu, że najlepszym przyjacielem detektywa jest notes, a każdy przyjaciel powinien się jakoś nazywać. Alan nazwał swój notes Ned.

Nazywa go tak do dzisiaj. Widziałam, jak wyciągał z wewnętrznej kieszeni marynarki kolejne wcielenia Neda.

Ned jest wiernym druhem.

– W porządku.

– Na pewno dasz sobie radę?

– Na pewno. Nie przerywaj swojej pracy.

– A to ci dopiero – mówi Callie, wysłuchawszy mojej opowieści. – To jakaś psychopatyczna wersja Jasia z bajki o Jasiu i Małgosi. Zostawia nam ślady z krwawych okruszków.

James miał rację, myślę. Zabójca zabiera coś ofiarom. Powiedział, że to robi.

– Jak wam leci? – pytam.

– Skończyliśmy odkurzanie samolotu. Nie wiem, czy coś odkryliśmy, póki nie wrócimy do laboratorium. Nie znalazłam żadnych śladów, ale trafiłam na smugi na poręczy fotela, na którym teoretycznie powinny zostać odciski palców.

– Pewnie je wytarł.

– Nie taki głupi z niego Jaś, ale w końcu tego się spodziewaliśmy.

– Założę się, że jest w systemie.

– Niby dlaczego?

– Callie, on nam zostawia ślady. Chce, żebyśmy się o nim dowiedzieli i zaczęli go ścigać. Dlaczego zadał sobie trud, żeby usunąć odciski? Po prostu wie, że doprowadziłyby nas do niego jak po sznurku.

– Hm. Jeśli założymy, że tak jest, to może nie mamy go w rękę, ale trochę nam to pomaga. Oznacza to, że albo był notowany, albo pracuje dla rządu, albo jest wojskowym lub policjantem.

– To już coś. Co jeszcze macie?

– Na razie nic. Zaraz wyciągamy siedziska fotela. Muszę jeszcze sprawdzić odciski w schowku na bagaż nad siedzeniem i właściwie koniec.

– Kiedy skończycie, przyjdźcie tutaj. Musimy sprawdzić ślady w mieszkaniu.

Teatralne długie westchnięcie cierpiącej kobiety.

– Widzę, że przyszła panna młoda nie ma co liczyć na wypoczynek.

Parskam śmiechem.

– Spokojnie. Przecież Marilyn jeszcze nie skończyła ze ślubną logistyką, prawda?

Marilyn to córka Callie.

– Nie o nią się martwię, tylko o jej asystentkę.

Marszczę czoło.

– A któż to taki?

– Kirby.

Unoszę brwi ze zdumienia.

– Nasz plażowy króliczek Kirby?

– A jest jakaś inna?

Kirby Mitchell to ekscentryczna pani ochroniarz, którą wynajęłam kilka lat temu do pilnowania jednej z zagrożonych ofiar. Ma nieco ponad trzydziestkę, metr sześćdziesiąt osiem wzrostu, blond włosy oraz szczerbiotliwość i tupet, jakich można się spodziewać u typowej dziewczyny z Kalifornii. Tyle że Kirby typowa wcale nie jest. Pracowała kiedyś w CIA „czy czymś w tym rodzaju”, jak zwykła mawiać. Mówi się, że wiele lat spędziła w Ameryce Łacińskiej i Południowej jako zabójca na usługach amerykańskiego rządu. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Kirby, mimo uśmiechów o mocy tysiąca kilowatów i rozmaitych „zajebistych” wykrzykników, to jedna z najgroźniejszych osób, jakie spotkałam.

Jest też lojalna i przezabawna. Zdołała się jakoś wpasować w życie naszego zespołu.

– Dlaczego wzięłaś do tego Kirby?

– Smoky, jak na zabójcę ma świetny gust. Naprawdę wyśmienity.

– Rozumiem.

– Ale wiesz, trzeba ją kontrolować.

– Tak, wiem coś o tym.

Kirby bez wahania zaspokajają swoje potrzeby chwili, a jej moralny kompas czasami lekko błądzi. Callie wzdycha.

– Spokojnie, wszystko na pewno będzie dobrze. Zapowiedziałam, że nawet jeśli ktoś będzie próbował mnie naciągnąć, ma nie robić mu zbyt wielkiej krzywdy.

– Zbyt wielkiej? – powtarzam.

Prawie słyszę w słuchawce uśmiech Callie.

– Po co zatrudniać przy organizacji ślubu zabójcę, jeśli nie można nim trochę postraszyć tych wszystkich naciągaczy?

Dzwonię do Rosario Reid i przekazuję jej, co znalazłam. Milczy przez chwilę.

– On... on tam był? Ten człowiek, który zabił moją Lisę?

– Tak.

Znów cisza. Wiem, co czuje. Żal, wściekłość, gwałt. Bezsilną chęć zniszczenia człowieka, który to zrobił, który nie tylko odebrał jej dziecko, ale podeptał bezkarnie świat Lisy, jej życie.

– Rosario, muszę o to zapytać... czy masz pojęcie, o czym Lisa pisała w swoim dzienniku? Co to za wielka tajemnica, o której wspomina?

– Nie mam zielonego pojęcia. Słowo daję. Mówisz prawdę? Czy kłamiesz?

Na razie nie naciskam. Wzdycha.

– Co teraz zrobisz?

– Kiedy członkowie mojej ekipy skończą pracę w samolocie, przyjadą tutaj. Przekopią mieszkanie wzdłuż i wszerz.

– Rozumiem. – I znów cisza. – Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś, Smoky. Dzwon, jeśli będziesz czegokolwiek potrzebować.

Rozłącza się, a ja uświadamiam sobie, że nie zapytała mnie, o czym jeszcze Lisa pisała w dzienniku.

Może jednak stać cię na nieszczerłość, Rosario. Może wiesz, że czytając dziennik, przekonasz się, że Lisa nie była taka szczęśliwa, jak sobie wmawiałaś.

Nie mogę jej za to winić. Ja też chcę zapamiętać moją Alexę jako ideał.

Dzwoni komórka. Alan.

– Nie dość, że Richard Ambrose nie żyje – zaczyna bez żadnych wstępów – to wciąż leżą tu jego zwłoki.

Przeklinam pod nosem. To się zaczyna wymykać spod kontroli.

– Podaj mi adres – mówię. – Złapię taksówkę i spotkamy się na miejscu.

Dochodzi dziesiąta rano i zaczyna dopadać mnie zmęczenie po nieprzespanej nocy. Oczy mnie pieką, w ustach mam niesmak i bolą mnie różne miejsca, na które normalnie nie zwracam uwagi. Staram się nie zasnąć, badając pogodę i niebo. Chłód oczyścił powietrze i niebo jest wręcz niewiarygodnie błękitne. Kiedy wysiadam z taksówki, wiatr smaga mnie w twarz, ale nie jest to nieprzyjemne. Słońce nie daje ciepła, jest tylko źródłem światła.

Richard Ambrose mieszkał w średniej wielkości starym domu. Budynek ma spadzisty dach, jaki kładzie się w miejscach, gdzie pada śnieg. Od zewnątrz jest obłożony głównie szarym kamieniem, rozjaśnionym tu i ówdzie błękitnym i białym wykończeniem. Stoi na wielkiej działce zasypanej jesiennymi liśćmi.

Jestem w cichej uroczej dzielnicy. Oczyma duszy widzę gorący cydr w Halloween, dzieciaki zgarniające liście na wielką kupę, na którą potem skaczą. Nie należę do tych Kalifornijczyków, którzy uważają, że Kalifornia to raj na ziemi, i nie widzą świata poza nią. Rozumiem jednak urok takich miejsc, ich charakter. Mogłabym nawet zastanowić się, czy tu nie zamieszkać, gdyby nie śnieg.

Nie znoszę śniegu.

Płacę taksówkarzowi, który odjeżdża. Brodzę w liściach i docieram do wybetonowanej werandy. Sąsiad z lewej wygląda przez zasłony. Frontowe drzwi są uchylone. Otwieram je i dusi mnie słodko-kwaśny odór śmierci.

– Jezusie – wzdycham. Przelykam ciężko ślinę, by coś mokrego i śliskiego nie cofnęło mi się do ust.

Zmuszam się do wejścia i zamykam za sobą drzwi.

W środku jest ciepło, cieplej, niż powinno być – jakby ktoś podkreślił ogrzewanie.

Postanowiłeś nam zostawić taki prezent? Zmienić dom w saunę, żeby zwłoki zaczęły się pięknie rozkładać i śmierdzieć?

Wciągam mocno powietrze przez nos, walcząc z pokusą, by zakryć usta dłonią. Nie mam maski ani mentolu, który mogłabym sobie wetrzeć pod nos. Ale jest inny sposób: trzeba mocno zaciągnąć się smrodem i ogłuszyć receptory zapachu. Ale poza maską gazową nic nie działa stuprocentowo. Odór śmierci jest zbyt potężny.

Wnętrze domu Ambrose'a pasuje do elewacji zewnętrznej – jest bogate i stare. Wszędzie widzę podłogi z ciemnych desek i choć drewno błyszczący, wygląda na tak bardzo pościerane i zniszczone, że chyba leży tu od zawsze. Ściany są gipsowe, a żyrandole na tyle stare, że muszą być autentyczne, a nie ze sklepu z podrabianymi antykami.

– Alan? – wołam.

– Jestem na górze – odpowiada.

Schody prowadzące na piętro znajdują się naprzeciw drzwi wejściowych. Są wąskie i po obu stronach ograniczone ścianami. Idę do góry, stukając po skrzypiących stopniach. Znów stare drewno. Smród rozkładającego się ciała staje się coraz mocniejszy.

Docieram na górny podest i mam przed sobą ścianę. Po prawej i po lewej rozciąga się korytarz.

– Gdzie jesteś? – pytam.

– W głównej sypialni – woła.

Głos dochodzi z lewej.

Skrećam w tę stronę i słucham, jak drewno protestuje przeciw moim krokom. Skrzypi jak pod krokami trzęsącego się staruszka albo matki skradającej się, by nakryć dziecko na czymś wstydlwym. Mijam grafikę na ścianie – szkic Picassa, studium Don Kiszota na koniu.

Dochodzę do głównej sypialni i zaglądam do środka.

– O rany – mówię i krzywię się ze zgrozy.

Alan stoi przy łóżku i patrzy na coś, co kiedyś było żywym człowiekiem.

Ambrose'a położono na plecach, z rękoma wzdłuż ciała. Faza rozděcia zwłok już minęła. Skóra w niektórych miejscach ma kremową konsystencję, w innych jest czarna, a płyny z ciała spłynęły po materacu i zaczęły kapać na podłogę. Smród jest nie do zniesienia. Walczę ze sobą by nie zwymiotować. Alan wygląda na niewzruszonego.

– Sądząc po stanie rozkładu, od śmierci minęło od dziesięciu do dwudziestu dni – zauważa.

Potakuję.

– Leży sam. Nie pojawiły się żadne insekty, co oznacza, że dom był zamknięty na głucho. Widać może, jak zginął?

Alan kręci głową.

– Nie zauważyłem żadnych ran postrzałowych, a ciało rozłożyło się już za bardzo, żeby stwierdzić, czy ofiara została uduszona, czy poderżnięto jej gardło.

– To było morderstwo z konieczności – stwierdzam. – Bez żadnej przyjemności. Zabójcy po prostu była potrzebna jego tożsamość, nic więcej.

– A właśnie, zerknij na to.



Alan podaje mi zdjęcie w ramce dwadzieścia na trzydzieści centymetrów. Widać na nim przystojnego mężczyznę po czterdziestce z ciemnymi włosami i miłym uśmiechem. Ambrose nie był typem gwiazdora filmowego, ale wątpię, by miał problemy z przyciągnięciem uwagi kobiet. Najciekawsze jest jednak to, że miał brodę i duże wąsy. Oddaję fotografię Alanowi.

– Wybrał Ambrose’a, bo są mniej więcej w tym samym wieku, podobnego wzrostu i wyglądu – mówię. – Wiedział, że będzie na pokładzie samolotu w zamkniętej przestrzeni. Nie mógł sobie pozwolić na zbyt sprytne czy wymyślne przebranie. Założę się, że pojechał na lotnisko ogolony i wykorzystał prawo jazdy Ambrose’a. Ochroniarzom powiedział, że właśnie zgolił wąsy i brodę. – Wzruszam ramionami. – Jeśli był pewny siebie i odpowiednio czarujący, a podstawowe cechy fizyczne się zgadzały, to mogło mu się udać.

– No nie wiem. Ryzykowna sprawa. A jeśli trafiłby na jakiegoś naprawdę czujnego ochroniarza, kogoś, kto przyjrzałby mu się uważnie?

– Zabił w samolocie, w trakcie lotu. Nie sądzę, by przejmował się ryzykiem.

– Masz rację.

– Poza tym, prawdę mówiąc, przy odpowiedniej manipulacji to wcale nie jest takie trudne.

Z porządnymi ludźmi jest ten problem, że są porządni. I przeważnie zakładają że inni też są przyzwoici. Jeśli ktoś mówi, że jest hydraulikiem i nosi roboczy drelich, to jest hydraulikiem, a nie seryjnym mordercą w przebraniu. Ted Bundy założył gips na ramię i poprosił dziewczynkę, by pomogła mu przesunąć sofę w furgonetce. Był przystojny, uroczy, a

porządna dziewczynka pomogła mu, nie namyślając się ani chwili. Zły Bundy zabił ją, też nie namyślając się ani chwili. Jestem pewna, że nawet w chwili śmierci wciąż nie mogła w to uwierzyć.

Najzabawniejsze jest to, iż ludzie zakładają, że dziś jesteśmy ostrożniejsi i że sztuczka Bundy'ego ze złamaną ręką już by nie zadziałała. Całkowicie się mylą. Zadziałałaby i dzisiaj, i zadziała za sto lat. Tacy już jesteśmy.

– Jaki mamy plan? – pyta Alan.

Wzdycham.

– Zaczyna nas brakować. Mamy do sprawdzenia samolot, a teraz jeszcze mieszkanie Lisy i ten dom. Callie i James nie poradzą sobie z tym wszystkim. – Kręcę głową. – Dzwonię do wicedyrektora Jonesa.

– Dyrektorze, czas zacząć działać regulaminowo – mówię mu. – Mamy już trzy miejsca zbrodni. Formalnie rzecz biorąc, morderstwo Ambrose'a to sprawa miejscowej policji. Jeśli będę starała się coś ukrywać, to nie dość, że przekroczę przepisy, ale zacznę przedkładać potrzebę poufności ponad szybkość śledztwa. Nie mogę się na to zgodzić.

Śledztwo w sprawie morderstwa zawsze wymaga nadzwyczajnych środków. Toczy się jak burza, bez żadnych subtelności. Zakasuje się rękawy i wykorzystuje wszelkie środki, bo jeśli nie dowiemy się czegoś w ciągu pierwszych dwóch, trzech dni, to raczej już nigdy się nie dowiemy. Przypomniałam sobie o tym, patrząc na gnijące zwłoki Richarda Ambrose'a. Uświadomiłam sobie, że rozwiązałam inny problem. Tak jak mówiłam Rosario – pracuję dla ofiar. Nie dla niej, nie dla jej męża ani na pewno nie ze względów politycznych. Słyszę, jak wicedyrektor Jones

wzdycha.

– Nie ma innego sposobu?

– Nie, dyrektorze. Popelniono morderstwo, naprawdę poważne. Trzeba przeszukać cały dom. Doszło do kradzieży tożsamości, trzeba przesłuchać pasażerów samolotu, ludzi z kas biletowych, personel pokładowy. Nie mówiąc już o ewentualności, że mogą się jeszcze pojawić wcześniejsze ofiary. Poza tym zapowiedział, że będzie zabijał dalej, póki go nie złapiemy. Jeśli mamy zabrać się do tego porządnie, musimy dopuścić miejscową policję.

Długie milczenie.

– Zgoda. Ale morderstwa Lisy Reid nie wypuszczamy z rąk. Tu prawo jest po naszej stronie. Nie pozwolę, żeby ktoś inny kręcił się po jej mieszkaniu. Chcę też, żeby raport koronera nadal był tajny. Jeśli wyciekną szczegóły na temat krzyżyka, zaszkodzi to waszemu śledztwu.

– Zgadza się.

– Ale zanim wezwiesz kawalerię, zorganizuj sobie osłonę z powietrza, Smoky.

– Czyli?

– Zadzwoń do Rosario Reid. Wyjaśnij jej, że nie da się tego dłużej ciągnąć tylko naszymi siłami. Wytlumacz jej, że to by opóźniło poszukiwania zabójcy Lisy. Pogadaj z nią jak z matką i żoną polityka. Ja biorę na siebie dyrektora.

– Tak jest.

– Podjęłaś słuszną decyzję, Smoky.

Stoję na trawniku przed domem. Rześki wiatr podrywa liście wokół

mych kostek. Drętwieją mi od niego policzki i ręce. Teraz witam ten wiatr z radością, bo wygania z moich nozdrzy odór śmierci.

– Ufam twojej ocenie, Smoky – mówi mi Rosario. – Podtrzymuję to, co mówiłam wtedy w samochodzie – liczy się przede wszystkim Lisa.

– Dziękuję. Nie podejrzewałam, żebyś mogła zmienić zdanie, ale zasługujesz na wyjaśnienie. Poza tym...

Waham się.

– Tak?

– Mówiąc szczerze, bardzo by nam pomogło, gdybyś przekazała dyrektorowi, że ufasz moim decyzjom.

– Porozmawiam z nim osobiście.

– Dzięki. Trafiłam na jego asystentkę i trochę mnie zdenerwowała. Nie przywykłam do takich rozgrywek.

– Rachael Hinson? – Słyszę rozbawienie w jej głosie. – To prawda, jest przerażająca, ale ja też potrafię być taka. I mam nad nią dziesięć lat przewagi. Rób to, co musisz.

– Dobrze.

Przerywa połączenie, a ja odwracam się do Alana, który czeka na werandzie z rękami w kieszeniach spodni. Kiwam głową.

– Dzwon po miejscowych.

Wracam do mieszkania Lisy z Callie i Jamesem. Alan koordynuje pracę miejscowej policji w domu Ambrose'a. Nic tam po mnie. Ambrose został wykorzystany i porzucony, nie był istotny dla zabójcy. Choć brzmi to cynicznie, oznacza, że również dla mnie nie jest ważny.

James chodzi po mieszkaniu. Robi to samo, co ja wcześniej, wyobraża sobie wszystko, poznaje osobowość Lisy. Dla naszego szaleńca była ważna. Trzeba poznać ofiarę, żeby poznać sprawcę.

Callie wygląda na zmęczoną. Patrzę, jak wyciąga z kieszeni marynarki vicodin i połyka pigułkę.

– Mniam – mówi i przewraca oczami z udawaną radością a potem teatralnie głaszcze się po brzuchu.

– Jak sobie z tym radzisz?

– Nadal jestem uzależniona – odparowuje. – Ale pomożesz mi z tym jeszcze przed ślubem. Zamkniemy się wspólnie w pokoju, będziemy się pocić i rzygać.

– Zapowiada się niezła zabawa.

– Na dwadzieścia cztery fajerki. No, to co mam teraz robić?

Opowiadam jej o dzienniku i o tym, co znalazłam.

– Callie, on spędził tu trochę czasu. Myślę, że wyrwał kilka kartek z jej dziennika. Chcę, żebyście dokładnie przeczესali z Jamesem to mieszkanie.

– Myślisz, że coś znajdziemy?

Waham się, a w końcu wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Może. Chciał, żebyśmy wiedzieli, że tu był. Zostawił ślad w ciele Lisy, ten krzyżyk. Wciąga nas na swój szlak, ale usuwa odciski

palców... – Kręcę głową. – Nie mogę go do końca rozgryźć. Na razie mam za mało danych.

Obok nas przystaje James i słucha naszej rozmowy.

– Zgadza się – mówi. – Na razie wiadomo tylko, że jest w dojrzałym wieku, zorganizowany i skuteczny. Nie boi się, ale nie podejmuje bezsensownego ryzyka. I chce, żebyśmy wiedzieli, że działa.

I że wkrótce znów zabije, myślę, ale nie dodaję tego na głos.

– Znaleźliście coś jeszcze w samolocie? – pytam.

– Nie – odpowiada Callie. – Musimy jeszcze przejrzeć to, co odkurzyliśmy, i mamy siedziska ze śladami krwi, ale to wszystko.

– A więc najistotniejszym śladem jest nadal to, że wytarł własne odciski palców – mówi James. – Jest gdzieś w jakiejś bazie.

– Tak. To i jego zachowanie to nasze najmocniejsze tropy. – Wzdycham. – Czyli mamy tyle co nic.

– Phi – odzywa się Callie. – Siedzimy nad tym dopiero od dwudziestu czterech godzin. I tak popełnił największy błąd z możliwych – zwrócił na siebie naszą uwagę.

James kręci głową.

– Owszem, ale raczej nie złapiemy go przed tym, nim znów kogoś zabije.

Callie wzrusza ramionami.

– Na to nie mamy wpływu. Ale mamy na co innego. Zabierzmy się do pracy.

Już mam jej przyklasnąć, ale rozdzwania się moja komórka. Alan.

– Złe wieści – mówi.

– Co się stało?

– Pamiętasz – kazałaś mi poszukać podobnych zbrodni?

Serce prawie mi staje.

– Aha.

– Zrobiłem to, zanim pojechałem do domu Ambrose'a. I już pojawił się trop. I to, uwaga, świeży. Z ostatnich dziesięciu dni.

– Żartujesz sobie?

– Chciałbym. Facet działa z rozmachem. Ma jakiś plan.

Zamykam oczy i pocieram czoło. Przez te złe wieści dopadło mnie totalne zmęczenie.

– Opowiadaj, o co chodzi – mówię.

## **Interludium**

### **Śmierć Rosemary Sonnenfeld**



Rosemary budzi się o szóstej trzydzieści, słysząc świdrujący dźwięk budzika. Zastanawia się, czy go nie wyłączyć i pospać dalej. W końcu jest sobota. To kusząca myśl, ale szybko i zdecydowanie ją odrzuca.

Nie, tak nie można. Nie tak się ćwiczy dyscyplinę, dzień po dniu, od dziś aż do śmierci. To jedyny sposób.

Zmusza się więc, by usiąść na łóżku, i zwiesza nogi nad podłogą. Na chwilę dotyka stopami desek, ostrożnie, odruchowo wzdrygając się z zimna.

Kawa. Muszę wypić kawę.

Przeciąga się i jak zwykle nie może się nadziwić, że rano wszystko ją boli i jest tak nieprzytomna. Ma dopiero trzydzieści cztery lata i już od czterech lat prowadzi się porządnie.

Taką cenę płaci się za grzech.

Wygląda przez okno. Mieszka w Simi Valley w Kalifornii, uciekła tu cztery lata temu, żeby zacząć życie od nowa. Ma ładne mieszkanie z dwoma pokojami, urządzone w bardzo spokojnym stylu. Beżowe dywany i brudnobiałe ściany, drewniana podłoga w pokojach i kuchni. Mogłaby tu mieszkać do końca życia.

Poranne powietrze jest chłodne, normalna rzecz w listopadzie. Rosemary siedzi nago. Od chłodu dostaje gęsiej skórki i twardnieją jej sutki.

Wstaje i drepcze do łazienki. Syczy, siadając na desce klozetowej – czuje, jakby dotknęła tyłkiem lodu. Sika ze złączonymi kolanami, wyciera się, wstaje, spuszcza wodę. Przed wyjściem z łazienki zerka na swoje ciało

w lustrze.

Jak zawsze wyglądam świetnie. Szkoda, że nigdy mi to nie pomagało.

Rosemary widzi, że wciąż ma sterczące piersi, idealny rozmiar 38C. Brzuch płaski, bez rozstępów i blizn. Przy stu sześćdziesięciu pięciu centymetrach wzrostu nie jest może szczupłą, ale na pewno też nie otyła. Jej uda są umięśnione, a tyłek jędrny. Włosy łonowe ma czarne, podobnie jak te na głowie, sięgające aż do pasa. Podoba jej się to, że nie musi się już golić tam na dole.

Doskonałe ciało, ale czemu nie miałyby być doskonałe? Zawsze robiłam skrobankę, kiedy zachodziłam w ciążę, prawda? Osiem razy, tak, tak. Moja macica jest już tak zniszczona, że chyba nigdy nie będę miała dzieci. I to chyba dobrze. Dzieci nie zasługują na taką matkę.

Odwraca się od lustra i przestaje o tym myśleć. Wraca do sypialni. Zakłada sobie na szyję wisiołek – mały srebrny krzyżyk na cienkim srebrnym łańcuszku. Klęka przy łóżku na twardych, zimnych deskach, pochyla głowę, zamyka oczy i modli się jak każdego ranka.

– Boże, dzięki ci za kolejny dzień wolny od tego grzesznego życia, jakie kiedyś prowadziłam. Dzięki ci za to, że dajesz mi siłę woli, by trzymać się z daleka od pokus i żądź, jakie wciąż mnie prześladują. Jest już lepiej, Panie, ale wciąż mnie męczą. Czasami myślę o narkotykach i pieprzeniu i chcę wstać, wyjść do miasta, strzelić trochę koki i drinka, a potem possać smacznego wielkiego fiuta. Nawet teraz, kiedy to mówię, wilgotnieje mi trochę cipka. Ale codziennie, z Twoją pomocą udaje mi się od tego powstrzymać. Odwracam się od tych pokus i dzięki Ci, Panie, za to, że pomagasz mi znaleźć do tego siłę.

Kiedy wiele lat temu zaczęła się modlić, nie używała takiego języka.

Mówiła bardziej przyzwoitymi słowami, starała się być czystsza. Ale nie dawało jej to ukojenia. Porozmawiała o tym problemie z księdzem Yatesem.

Ksiądz Yates miał około pięćdziesiątki, ale był naprawdę w porządku gościem. Dawał szansę każdemu – byłym dziwkom, narkomanom wychodzącym z nałogu. Wystarczyło mieć szczerą intencję, a ksiądz nie odmawiał pomocy. Nic nie było go w stanie zniechęcić.

– Rosemary, powiedz mi, co czujesz, kiedy nachodzą cię te nieczyste rzeczy, o których chciałabyś powiedzieć Bogu.

– Jakby pożądanie, proszę księdza. Kiedy bardzo chce mi się wypić albo popieprzyć – przepraszam, proszę księdza – ogarniają mnie takie czarne fale, jedna po drugiej. Jeśli je powstrzymuję, pożądanie wzmaga się jeszcze bardziej. Ale kiedy o nich mówię, obracam je w słowa, czuję pewną ulgę.

– Podaj jakiś przykład. Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Mam mówić to, co myślę?

– Właśnie.

– No nie wiem, proszę księdza. To naprawdę świńskie myśli.

Ksiądz Yates parsknął śmiechem.

– Rosemary, słyszałem już w swoim życiu każde świńskie słowo, jakie wymyślono. Podczas spowiedzi słyszałem o takich rzeczach, że sama byś się przeraziła – o seksie ze zwierzętami, fantazjach pedofilskich i mogę cię zapewnić, że zniosę wszystko, cokolwiek byś powiedziała.

Spojrzała na niego i uwierzyła mu, ale i tak było jej ciężko. To, co czuła, słowa, którymi należało to opisać, stanowiły jej tajemnicę. Kiedyś te słowa tworzyły jej prawdziwe życie, rzucała je bez namysłu. Ale w jej

życiu zaszła zmiana.

Z drugiej strony...

Wiedziała, że mogłaby poczuć pewną ulgę, mówiąc na głos te grzeszne myśli, które w niej bulgotały.

A co, jeśli...

Czuła niepokój, największą obawę, jaka wszystkich nas powstrzymuje przed wyznaniem grzechów.

– Proszę księdza, a... a jeśli... – Przygryzła drżącą wargę. – Czy ksiądz obieca mi, że nadal będzie mnie potem lubił?

Nie mogła na niego patrzeć. Ksiądz wziął ją pod brodę i uniósł twarz, żeby na niego spojrzeć. Dobroć, jaką zobaczyła w jego oczach, sprawiła, że omal nie rozplakała się z ulgi.

– Obiecuję, Rosemary. Przysięgam na moją miłość do Boga. Rozplakała się, a Yates czekał, aż wyschną jej łzy. W końcu Rosemary otarła oczy i zaczęła mówić, wyjawiać swoje tajemnice. Słowa popłynęły jak rzeka, ciemna i ohydna, ale rzeka, która musiała się wylać.

– Czasami, proszę księdza, chce mi się pieprzyć, rozumie ksiądz? Nie kochać czy coś takiego. Chcę poczuć fiuta w ustach i w cipce, chcę go tam czuć, a wcześniej chcę się upić i wciągnąć tyle koki, ile dam radę. Chcę tego i choć walczę z pokusą, podniecam się i chcę tego coraz bardziej, rozumie ksiądz? Zawsze tak było. Ludzie myślą, że takie dziewczyny jak ja są ofiarami. I pewnie niektóre są. Ale ja nigdy nie miałam dość. Nigdy. Im bardziej świńsko, tym lepiej. Mogli na mnie pluć, sikać, zrobić ze mnie prawdziwą kurwę, a ja przez to wszystko miałam jeszcze większy orgazm. Chcę, żeby to trwało całymi dniami, całymi tygodniami, chcę, żeby mnie ktoś pieprzył, aż zdechnę.

Wyrzuciła z siebie te słowa bez żadnej cenzury. W końcu popatrzyła na księdza Yatesa i z ulgą dostrzegła, że na jego twarzy nie malowało się ani przerażenie, ani osąd. Chyba jeszcze cenniejsze było to, że nie widać tam również nawet najmniejszego śladu pożądania. Nic z voyeurystycznego podniecenia.

– Dziękuję, Rosemary. Jak się czujesz, kiedy wyrzuciłaś z siebie to wszystko?

– Lepiej – odpowiedziała bez wahania. – Pokusa minęła. Trochę jak... – szukała odpowiedniej metafory. – Jakbym wycisnęła wielkiego starego pryszczaka z białym czubkiem. Boli, ale człowiek dziękuje Bogu, kiedy już pęknie, rozumie ksiądz?

Uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Tak, rozumiem. – Spoważniał i położył jej rękę na ramieniu. – Rosemary, myślę, że lepiej jest mówić o tych rzeczach, niż je robić, prawda?

Zamrugnęła oczami, zaskoczona tym, co powiedział.

Lepiej? W tym społeczeństwie czasami wcale nie. Wystarczyło powiedzieć publicznie „ssać fiuta”, a ktoś ci to mógł zaraz zaproponować w windzie.

Mimo to... jest ogromna różnica między mówieniem o picciu i pieprzeniu a przebudzeniem się z alkoholowego ciągu z Bóg wie czyją spermą w tyłku.

– Chyba tak, proszę księdza. Tak.

– W takim razie radzę ci, żebyś podczas modlitwy mówiła to, co musisz. Nie martw się, Bóg to zniesie.

Dziwna to była rada i szczerze mówiąc, ciężko jej było zacząć z niej

korzystać, ale jakoś się przemogła. Niektórym mogło się wydawać, że to bluźnierstwo, ale niech spadają na drzewo. Bo prawda była taka, że sposób zadziałał. Rozmawiała z Bogiem bez cenzora i od blisko pięciu lat prowadziła przykładne życie.

Doszła do wniosku, że Bóg wie, co się dzieje. Bóg wie, że Rosemary kocha go coraz bardziej z każdym dniem, który mijał jej bez pieprzenia się z obcymi, bez picia czy wciągania proszku.

Doszła do wniosku, że Bóg widział, jak zaczęła się puszczać jako siedemnastolatka, jak kręciła filmy porno jako osiemnastolatka. Musiał widzieć, jak w pełnym oświetleniu pieprzyła się z kilkoma Murzynami naraz (slogan na okładce kasety brzmiał: wielkie czarne fiuty w ciasnej białej dziurce!). Na pewno nie przeoczył też, jak pieprzyła się z psami, kręcąc filmy na potrzeby czarnego rynku dla zoofilii. Bóg posłał ją na sam kraniec. Tak jak wtedy, kiedy klęczała w hotelowym pokoju w groteskowej sytuacji: jakiś tłusty debil pluł jej w twarz i wołał na nią „lala do ruchania”, a ona uśmiechała się i zgadzała na to, bo potrzebowała pieniędzy na kokę i także dlatego, że trochę ją to kręciło.

Bóg był też przy niej w Dniu Wielkiej Odmiany, była tego pewna. Leżała w łóżku w kolejnym parszywym pokoju. Miała grype, pocila się i leciało jej z nosa, ale facet, który ją pieprzył, zupełnie się tym nie przejmował. Zapłacił ekstra, żeby zrobić to bez kondoma, miał krosty na fiucie, ale jej to nie obchodziło. W zasadzie pogodziła się z tym, że zaraz zejdzie z tego świata.

Leżał na niej i z wywieszonym językiem dyszał jak pies. Nagle twarz mu się zmieniła, wykrzywiła ją czysta nienawiść. Podniósł rękę i zaczął ją okładać pięścią.

Przestał dopiero wtedy, kiedy złamał jej nos w trzech miejscach i szczękę, wybił jeden czy dwa zęby. Oczy miała zapuchnięte tak, że nic nie widziała. Złamał jej też lewą rękę i kilka żeber. Na koniec przeleciał ją jeszcze raz, a Rosemary straciła przytomność.

Obudziła się w szpitalu, a przy łóżku siedział ksiądz Yates. Nic nie powiedział. Przysunął się tylko bliżej, wziął ją za rękę i spojrzał na nią tym bezbrzeżnie łagodnym wzrokiem.

Wtedy się rozplakała. Płakała z przerwami przez kilka dni. Ksiądz Yates i inni ludzie z kościoła czuwali przy jej łóżku, aż mogła wyjść ze szpitala. Nie pouczali jej, nie osądzali, w ogóle niewiele mówili. Po prostu czuwali.

Zrozumiała, że Bóg trwał przy niej i w dobrych, i w złych chwilach. Nie był okrutny, ale wiedział, że dobro to kwestia wyboru. Prawość to kwestia wyboru. Na drodze do zbawienia jesteśmy wolni i Bóg nie zamierzał nikogo zmuszać do czynienia dobra. Bóg ma za zadanie być przy człowieku zawsze, niezależnie od wyboru, jakiego człowiek dokonał.

Ojciec Yates i jego parafianie pomogli jej stanąć na nogi. Pomogli jej wyjść z nałogów, znaleźć mieszkanie i pracę. Byli przy niej na początku, kiedy dwa razy zdarzyło jej się zbłądzić.

Przypomina sobie teraz to wszystko. Często sobie to przypomina. Dodaje jeszcze kilka słów do modlitwy:

– Dzięki Ci, Boże, za pomoc, za słuchanie mojej niewyparzonej gęby i moich sprośnych myśli, za to, że pozwalasz mi mówić, co muszę, i że mogę się trzymać Twojej drogi. Amen.

Sprośne słowa i złe myśli stanowiły jej tajemnicę, a nie można wyjść z nałogu bez ujawnienia tajemnic. Bóg pomógł jej więc zdjąć ten kamień z

serca i nigdy nawet nie mrugnął, choć opowiadała naprawdę wielkie świństwa.

Wstaje i bierze prysznic. Nie idzie dziś do pracy, ale dyscyplina w jej życiu jest najważniejsza. Trzeba wstawać codziennie o tej samej porze, nie wylegiwać się w łóżku, nie chodzić jak fleja. Od niedzieli do piątku biega codziennie rano półtora kilometra. W soboty odpuszcza bieganie, ale wstaje rano, bierze prysznic, robi sobie kawę i chodzi pracować w kościele jako wolontariuszka.

Wszystko to pomaga jej zachować dystans do prawdziwej tajemnicy, prawdziwego brudu, jaki w niej tkwi. Tej jednej, strasznej rzeczy, kiedy...

Z tych myśli wyrywa ją pukanie do drzwi. Marszczy czoło.

Kto to może być, u diabła?

Zarzuca na siebie szlafrok i zerka na twarz w lustrze. Gani się za próżność, ale wie, że nigdy nie wyzbędzie się tego zwyczaju.

Otwiera drzwi, nie wyglądając przez judasza. Jest w końcu sobotni poranek, i to w Simi Valley, jednym z najbezpieczniejszych miast w Ameryce.

Mężczyzna stojący w drzwiach ma broń i uśmiech na twarzy. Przystawia pistolet do jej głowy i robi krok do przodu, zmuszając ją do cofnięcia się w głąb mieszkania.

– Krzyknij, a zastrzelę jak psa – odzywa się chłodno, spokojnie, bez nerwów. Zamyka drzwi wejściowe.

– Co z ciebie za jeden, do kurwy nędzy? – pyta drżącym głosem.

Obcy przykłada palec do ust.

– Ciiii..... Mam coś dla ciebie, Rosemary.

Sięga do kieszeni marynarki i wyjmuje woreczek. Rosemary z miejsca



rozpoznaje, co jest w środku.

Kokaina, słodka, cudowna, wspaniała kokaina.

– W porządku, Rosemary. Bóg ci to wybaczy, jeśli oddasz mu się, zanim cię zabiję. Pamiętaj: Bóg jest miłością.

Czuje, jak budzi się w niej stary znajomy demon, nawet teraz, po tych wszystkich latach, mimo broni przyłożonej do twarzy. Dociera do niej prawda, nad którą tak często się zastanawiała: urodziła się jako ladacznica, a nie stała się nią potem.

Dobry Boże, jestem przerażona, jestem tak cholernie przerażona, a mimo to pragnę tej koki tak kurewsko, i – nie może przecież być nieszczerą w rozmowie z Bogiem, nigdy, przenigdy – to naprawdę nie będzie moja wina, bo przecież on mnie do tego zmusza... więc to będzie jakaś ulga, trochę mniejsza wina z mojej strony, rozumiesz? Przebacz mi to.

– Chodź, Rosemary – mówi mężczyzna niemal łagodnym głosem. – Mamy coś do zrobienia.

Czy to ma znaczenie, Panie? Czy to ma znaczenie, że sama nigdy bym nie wzięła tej koki? Choć naprawdę chcę tego, co mi daje ten człowiek, to czy nie ma znaczenia, że sama tego nie szukałam?

Rosemary zawsze czuła obecność Boga w czasie modlitwy, ale nigdy nie słyszała Jego głosu. Tym razem jest tak samo. Bóg do niej nie przemawia, ale jak zawsze, jest przy niej.

Jest przy niej, kiedy pod pistoletem wciąga koke, jest nawet wtedy, kiedy nadchodzi koniec i ciemność.

Bóg nie przemawia, ale jest przy niej, i to wystarczy. Wie, że słyszy jej ostatnią myśl, ostatnie objawienie.

Tak, to prawda. To ma znaczenie. To ma największe znaczenie. Ojciec nasz, któryś jest w niebie... Boże, o mój Boże, tak bardzo Cię kocham.

Umarłaby z uśmiechem na ustach, gdyby nie czuła tak wielkiego bólu.

Właśnie minęło południe, rozmawiam przez telefon z wicedyrektorem Jonesem.

– Podobne zabójstwo? – dopytuje się. – Tutaj?

Nie jęknął, ale wiem, że ledwo się przed tym powstrzymał, podobnie jak ja.

Zabójca, który przenosi się z miejsca na miejsce, to zupełnie nowy potwór. Człowiek oddany swemu rzemiosłu, podróżnik, znaczący swój ślad na wielu obszarach administracyjnych. To rodzi problemy. Miejscowi nie chcą się z nami bawić w swojej piaskownicy. Prawdopodobieństwo zaniedbań w dziedzinie analizy kryminalistycznej rośnie wraz z liczbą policjantów zaangażowanych w sprawę. Nie mówiąc już o tym, że niektóre ofiary mogą nam umknąć. VICAP, czyli program tropienia brutalnych zabójców, to ogólnokrajowa baza danych zawierająca informacje o szczególnie okrutnych zbrodniach. Ale uczestnictwo w tym programie nie jest obowiązkowe, póki jakiś lokalny detektyw zajmujący się zabójstwami nie postanowi wprowadzić opisu zbrodni do bazy VICAP, nie da się jej odnaleźć.

– Prawdziwy ból głowy – przyznaje.

– Co chcesz zrobić?

Zastanawiam się nad tym. Prawda jest taka, że jestem zmordowana, tak jak cała moja ekipa, i nie ma mowy, żebyśmy długo pociągęli na takich obrotach jak do tej pory.

Ale...

Zabójca najczęściej myli się, popełniając zbrodnię. Im więcej ma czasu,

żeby ochłonać, tym więcej szans, by zatrzeć ślady, i co gorsza, by poprawić technikę. W większości wypadków pierwsze morderstwo jest najbardziej nieudolne.

Ale przecież to nie jest jego pierwszy raz, prawda? Może nawet nie dziesiąty ani setny.

Wzdycham.

– Nadal będziemy podążać tym tropem, dyrektorze. Ja wracam do Kalifornii i przyjrzę się morderstwu tej Sonnenfeld. Reszta ekipy zostaje tutaj.

– Jak się podzieliliście pracą?

– Callie i James osobiście sprawdzają mieszkanie Lisy. Alan współpracuje z miejscowymi w domu Ambrose’a.

– Naprawdę jest tam niezbędny?

Zastanawiam się.

– Pewnie nie. Myślę, że kryminolodzy z Wirginii Zachodniej nie są tacy źli. Zresztą moim zdaniem Ambrose i tak był tylko drugorzędną ofiarą.

– Śmiałe założenie.

– Jeśli Lisa nie zginęła przypadkowo, a jestem przekonana, że to nie był przypadek, to Ambrose był tylko środkiem do realizacji celu. – Wzdycham. – Był przypadkową ofiarą. Nie powie mi nic o motywach naszego zabójcy.

– W takim razie zabierz Alana ze sobą. – Cisza. – Smoky, żądam, żebyś miała zawsze kogoś przy sobie. Ten facet wyraźnie chce, żeby zainteresowały się nim organa ścigania. To znaczy, że będzie nas obserwował.

Już mi to przyszło do głowy, ale kiedy wicedyrektor Jones mówi o tym na głos, czuję zimny pot na plecach. Już co najmniej trzy razy ścigani przeze mnie zabójcy interesowali się mną i moją ekipą. Wprawdzie wszyscy wciąż żyjemy, ale żadne z nas nie wyszło z tych konfrontacji bez uszczerbku.

– Jasne, dyrektorze.

– Informuj mnie na bieżąco.

Rozłącza się bez pożegnania. Dzwonię do Alana.

– Niech zgadnę – odzywa się bez wstępów. – Wracam do Los Angeles.

– Jesteś chyba telepatą.

– Ale skąd. Gdybyś mnie jednak nie poprosiła, żebym z tobą poleciał, nalegałbym.

– Przyjadę po ciebie – mówię. – Pa.

Dzwonię sprzed mieszkania Lisy. Zaglądam przez drzwi do środka.

– Callie!

Wychodzi z sypialni Lisy, w dłoniach w rękawiczkach trzyma cyfrowy aparat.

– Co jest, kochaniutka?

Mówię jej o Rosemary Sonnenfeld. Unosi brwi ze zdumienia.

– Chłopak nie próżnuje.

– Tak. Wracam z Alanem do Los Angeles, żeby się temu przyjrzeć. Ty i James musicie tu jeszcze popracować. Zbierzcie, ile dacie radę. Kiedy skończycie, wezwijcie samolot i przywieźcie wszystko ze sobą.

– Będziemy się potem mogli wyspać?

– Jeśli nie, kupię ci pączki.

Callie jest uzależniona od małych pączków z czekoladą. Naprawdę je

uwielbia. To namiętny romans.

– Uczciwa propozycja – mówi. – Zgoda.

– Do szybkiego zobaczenia.

– Aha, Smoky. Pozdrów ode mnie mojego mężczyznę, jeśli go zobaczysz. Powiedz mu, że kiedy wrócę, oczekuję seksu. Mnóstwa seksu.

– Jestem pewna, że się ucieszy, gdy to usłyszy.

Callie odrzuca włosy i uśmiecha się promiennie.

– Chcę mu po prostu dać czas, żeby przygotował się do nadchodzącej burzy.

Siedzimy z Alanem w samochodzie i czekamy na odrzutowiec. Alan patrzy na zegarek.

– Powinniśmy dolecieć około szóstej. Rozmawiałem już z policją w Simi Valley i powiedziałem im, że przyjedziemy. Głównym detektywem w tej sprawie jest Atkins.

– Na jakim są etapie?

– Skończyli już analizę kryminalistyczną łącznie z sekcją zwłok. Nie mają żadnych tropów.

– Udostępnili już mieszkanie?

– Tak.

– Cholera.

Nie będzie tak jak u Lisy Reid.

– Co chcesz zrobić?

– Spotkajmy się z Atkinsem, dowiedzmy się wszystkiego o Rosemary Sonnenfeld, kim była i jak zginęła. Zobaczymy, czy dokądś nas to zaprowadzi.

– Myślisz, że zaprowadzi?

Zerkam na przyjaciela i wzruszam ramionami.

– Na pewno dokądś tak. Miejmy nadzieję, że w pomocne miejsce. Alan patrzy przed siebie i kiwa głową. Zastanawiam się, czy słyszy to, co ja, szum ciszy. Dwie nowe ofiary i następne w kolejce. Kręci mnie w żołądku od niepokoju i stresu. Czuję cykady brzęczące w żyłach.

– Przyjedziesz dziś wieczorem do domu?

Jeszcze lecimy, a ja dzwonię z samolotu do Bonnie.

– Mam nadzieję, kochanie. Tęsknię za tobą.

– Ja też za tobą tęsknię, ale nic mi nie jest. Jeśli musisz pracować, to trudno.

– Dzięki, skarbie. Ale naprawdę spróbuję.

Cisza.

– Smoky?

– Tak?

– Wiem, że jesteś zajęta, ale chcę, żebyś znalazła dla mnie czas, bo musimy o czymś pogadać.

Czułki stają mi dęba. Nie przypominam sobie, by Bonnie kiedykolwiek zwracała się do mnie z taką prośbą. Przez głowę przelatują mi najrozmaitsze myśli – dobre, złe i zupełnie banalne. Głównie złe. Staram się zachować spokój w głosie.

– O co chodzi, kochanie?

Kolejna chwila ciszy, też zupełnie nie w stylu Bonnie.

– Ostatnio sporo myślałam. Wiesz, że uwielbiam Elaine. I naprawdę lubiłam szkolne zajęcia w domu, kiedy dochodziłam do siebie, ale...

– Ale? – naciskam.

Wzdycha tak, że aż kłuje mnie w sercu. To westchnięcie dziewczynki, której coś mocno leży na wątrobie.

– Bo... myślę, że już czas, żebym poszła do normalnej szkoły. Wiesz, z innymi dziećmi.

Teraz to ja milknę na chwilę.

– Hm – wyduszam z siebie.

– Nie proszę cię, żebyś już teraz decydowała, mamó Smoky. Chcę tylko, żebyś wiedziała. O tym właśnie chcę porozmawiać.

Chrząkam i zmuszam się do tego, żeby mówić uspokajająco i ze zrozumieniem.

– Jasne, kochanie. Oczywiście.

– Fajnie. Dzięki. – W jej głosie słychać ulgę.

Zbyt wielką ulgę. Czego tak bardzo się bała? Mnie? Jeśli tak, to niedobrze. Mimo wewnętrznego wzburzenia nadal ją uspokajam i zapewniam, że wszystko rozumiem. Niektórych umiejętności rodzice nie zapominają nigdy.

W środku czujesz huragan emocji, ale na zewnątrz zachowujesz spokój i silisz się na uśmiech. Bułka z masłem.

– Później porozmawiamy, skarbie. Za bardzo.

– O wiele za bardzo – odpowiada.

Spędzamy ze sobą mnóstwo czasu, ale z powodu mojej pracy często też musimy się rozstawać. Mamy nasze emocjonalne skróty, które doskonale się sprawdzają. „Za bardzo” to jedno z naszych powiedzonek, odpowiedź na niezadane pytanie: „Jak bardzo cię Kocham?” Słowo jest superkrótkie i doskonale oddaje to, co czujemy.



Boże, naprawdę kocham to dziecko.

– Pa, kochanie – mruczę do słuchawki.

– Pa.

Rozłączam się i spoglądam przez małe okienko na przelatujące chmury. Szukam w duszy spokojnego miejsca, ale nie mogę znaleźć. Moim najstarszym przyjacielem jest strach, który wykorzystał teraz chwilę mojego zagubienia i podszedł bardzo blisko.

– Coś nie tak? – pyta Alan, wytrącając mnie z zamyślenia.

Wzruszam ramionami.

– Bonnie. Chce porozmawiać o chodzeniu do normalnej szkoły.

Alan unosi brwi w zdumieniu.

– O rany.

– Właśnie.

– Przestraszyłaś się, co?

Patrzy na mnie czułym, cierpliwym i dobrym wzrokiem. Alan zna mnie na wylot, to dowód, jak bardzo mu ufam. Wzdycham.

– Przeraziłam się. Bo wiesz, rozumiem. Ona ma dwanaście lat. Wiem, że nie mogę trzymać jej pod kloszem już do końca życia. Ale przeraża mnie myśl, że będzie... gdzieś tam.

Kiwa głową.

– To zrozumiałe. Miała ciężkie przeżycia. Ty zresztą też.

– I w tym problem. Każdy rodzic boi się wysłać dziecko w świat. Ale nie każdy rodzic widział to, co ja. Te wszystkie obawy w moim wypadku wcale nie są abstrakcyjne.

– Tak. – Alan milczy przez chwilę. – Smoky, kocham Bonnie, dobrze o tym wiesz. Prawdę mówiąc, mnie też to przeraża. Nie tylko ze względu na

nią, choć o nią oczywiście najbardziej się boję, ale także ze względu na Elaine i na ciebie. Bonnie daje ci drugą szansę, żebyś była matką, a Elaine jedyną szansę, żeby poczuła, jak to jest. Ty i Elaine jesteście najważniejszymi kobietami w moim życiu i gdyby cokolwiek stało się Bonnie... Nie wiem. Nie sądzę, by któraś z was dała sobie z tym radę. – Uśmiecha się ze smutkiem. – Ale z drugiej strony, cieszę się z tego. Bo to znaczy, że nasza mała dziewczynka czuje się naprawdę dobrze. – Wpatruje się we mnie intensywnie. – Rozumiesz? Nie boi się znów wyjść w świat. Smoky, to postęp. To znaczy, że jej pomogliśmy. I to naprawdę jest coś wspaniałego.

Uśmiecham się do mojego przyjaciela. Nie wygnał ze mnie strachu do końca, ale trochę go stłumił. Bo to, co powiedział, jest prawdą. Po wizycie pewnego potwora Bonnie była niemal stracona dla świata. Jej dusza migotała na skraju wieczności jak małeńka świeczka podczas burzliwej ulewy. Została niemal odarta z człowieczeństwa.

A teraz mówi mi, że jest na tyle silna, żeby zacząć budować życie nie tylko ze mną. To przerażające, może nawet jestem trochę zazdrosna, ale to naprawdę coś wspaniałego.

– Dzięki, Alan. Pomogłeś mi.

– Nie ma sprawy. Ale nie oczekuj, że będę taki mądry i wyrozumiały, kiedy zaczniesz się umawiać na randki.

Uśmiecham się do niego.

– Randki? Nie ma mowy o żadnych randkach.

Alan odwzajemnia uśmiech.

– Amen.

Simi Valley, jak większość hrabstwa Ventura, jest ładniejsze niż samo Los Angeles. Młodsze, mniejsze i bezpieczniejsze. Autostrada 118 łączy Simi i San Fernando Valley, ale między tymi miastami rozciąga się niezabudowany krajobraz, łagodne wzgórza i małe górki.

Wschodnia część Simi Valley jest starsza, tutejsze domy pochodzą z lat sześćdziesiątych. Jak wszędzie w USA, im bardziej na zachód, tym wszystko jest nowsze.

Tak kiedyś wyglądała Kalifornia, myślę. Czyste powietrze, słońce bez końca wiosną i latem, niczym niezasłonięty horyzont. Simi to spore miasto, ale nie ma w nim korków i trąbienia samochodów, które od lat gnębią Los Angeles.

Jeździ się tu powoli, ale jednak wciąż do przodu. Docieramy na posterunek policji około siódmej wieczorem.

– To pewnie Atkins – mówi Alan.

Na parkingu przed posterunkiem widzę łysiejącego bruneta w średnim wieku opartego o samochód. Ma na sobie grafitowy garnitur, szyty na miarę, ale nie jest to Armani. Zauważa nas i podchodzi, żeby się przywitać.

– Zapewne agent Washington – mówi Atkins do Alana i z uśmiechem wyciąga rękę. – Bez obrazy, ale trudno cię nie zauważyć.

– Wszyscy mi to mówią.

– Wcale się nie dziwię. – Atkins odwraca się do mnie. – A to agentka Barrett.

Obrzuca wzrokiem moje bliźny, dawno już do tego przywykłam. Nie

przeszkadza mi, kiedy niektórzy ludzie przyglądają się mojej twarzy. Na przykład detektywi z wydziału zabójstw, tacy jak Atkins. Jego zainteresowanie jest szczere i rzeczowe. Patrzy, gdzieś w środku wzrusza ramionami, i przechodzi nad tym do porządku dziennego, bez odrazy czy przerażenia na twarzy. Podobnie zachowuje się większość lekarzy. Małe dzieci reagują różnie, od pytania „czy to twoja prawdziwa twarz?“, aż po okrzyki dziewięcioletnich chłopców: „o rany, ale jazda!”

– Dzięki, że zgodziłeś się tak późno z nami spotkać – mówię i ściskam wyciągniętą dłoń.

– Nie ma za co, zrobię wszystko, żeby rozgryźć tę sprawę. – Patrzy beznamiętnie. – Naprawdę mnie to zżera.

Nie rozwodzi się nad tym. Nie musi. W naszej pracy widzimy wielu zmarłych. Nigdy nie jest to przyjemne, ale niektóre ciała stają się duchami.

– Opowiedz nam, co wiesz – prosi Alan.

Atkins przechyla głowę.

– Mogę wam opowiedzieć o jej śmierci i zrobię to, ale pomyślałem, że najpierw zawiozę was do człowieka, który może wam powiedzieć o jej życiu.

– Do kogo? – pytam.

– Do księdza Yatesa. To tutejszy katolicki ksiądz, który niemal dosłownie wyciągnął Rosemary z rynsztoka. To on znalazł ciało.

Alan patrzy na mnie i podnosi pytająco brew.

– Nie ma sprawy, może być i ksiądz – żartuję, próbując humorem pokonać zmęczenie. Wskazuję ręką samochód Atkinsa. – Ty prowadzisz. Po drodze nam wszystko opowiesz.

Przychodzi mi do głowy, że amerykańscy producenci samochodów nie zbankrutują, dopóki będzie istniała policja. Jedziemy podrasowanym samochodem ford crown victoria, już nie czarnobiałym, po prostu czarnym, eleganckim i groźnie mruczącym pod maską.

Jest już ciemno, na niebie wisi księżyc, a my znów mkniemy autostradą 118, tyle że w odwrotną stronę. Największe korki już minęły. Wokół jada inne samochody, ale z przyzwoitą szybkością i w odpowiedniej odległości. Niebo jest bez jednej chmurki, z księżycem w pełni. Srebrnym, nie żółtym. Skaliste góry w oddali wyglądają w tej poświacie jak ośnieżone.

Siedzę na przednim fotelu obok Atkinsa, Alan – z tyłu.

– Rosemary Sonnenfeld. Niezameżna, biała kobieta, lat trzydzieści dwa, metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, waga pięćdziesiąt sześć kilogramów, w dobrym stanie fizycznym. Znaleziona martwa w swoim mieszkaniu z woreczkiem koki na stoliku nocnym obok. Na pierwszy rzut oka wyglądało, że Rosemary wróciła do starego życia. Kiedyś była prostytutką, grywała w filmach porno, była uzależniona od koki i seksu. Myślałem, że postanowiła zafundować sobie odlot, a ponieważ trochę wyszła z wprawy, to przedawkowała.

– Rozsądne wytłumaczenie – mówi Alan. – Czemu zmieniłeś zdanie?

– Bo przyjrzałem się sprawie bliżej. Badanie toksykologiczne wykazało, że miała w organizmie końską dawkę koki, ale dźgnięto ją też w bok.

– Interesujące – wtrącam, ale na razie nic nie mówię o Lisie Reid.

– Tak. No i jeszcze ten krzyżyk. Srebrny, jakieś pięć centymetrów wysokości na dwa z kawałkiem szerokości. Z wygrawerowaną z tyłu czaszką i piszczelami oraz liczbą 142. Miała go w środku.

Tak jak Lisa Reid, myślę. 142? Lisa miała numer 143.

– Gdyby ktoś jeszcze miał wątpliwości, że to zabójstwo – ciągnie Atkins – to powiem tylko, że krzyżyk włożono po śmierci.

– No tak, to rozwiewa wszelkie wątpliwości – mówi Alan.

– No i jeszcze ksiądz Yates.

– Co ksiądz Yates? – pytam.

– Yates czyni sporo dobrego, ale nie jest naiwniakiem. Kazał Rosemary raz w miesiącu robić analizę moczu w miejscowym ośrodku.

– Naprawdę? – dziwię się. – Jak na księdza jest raczej podejrzliwy.

Atkins się uśmiecha.

– Ksiądz Yates należy do realistów. Jego wiara jest mocna i robi wiele dobrych rzeczy. Ale wyznaje zasadę trzech szans. Jeśli kogoś przygarnia i pomaga mu wyjść z nałogu, dopuszcza tylko trzy wpadki. Po trzeciej podopieczny wylatuje.

– Rozumiem więc, że Rosemary udawało się zachować trzeźwość.

– Przez pięć lat. Sprawdziałem jej akta. Żadnego wpisu w ciągu tego czasu. Miała stałą pracę, w każdy weekend działała w kościele jako wolontariuszka. Wszyscy mówią, że naprawdę wróciła na dobrą drogę.

– Rozumiem, dlaczego tak cię to gryzie – mówię.

Większość społeczeństwa sądzi, że gliniarze są cynikami. Jest w tym stereotypie część prawdy. Widzimy ludzi od najgorszej strony. Z tego powodu jesteśmy... czujni. Ale jesteśmy też ludzkimi ustami. Moi znajomi z organów ścigania to przeważnie twardziele, ale mimo to chcą wierzyć, że ktoś może zmienić swoje życie. Zły chłopak czy dziewczyna mogą przecież obudzić się pewnego dnia i stwierdzić, że chcą zostać dobrym chłopakiem lub dziewczyną. To „może” jest czysto hipotetyczne, ale i tak

kurczowo się tego trzymamy. Nikt nie umiałby przecież normalnie żyć z myślą, że człowiek jest z gruntu zły.

– Ano – odpowiada Atkins. – Tak czy siak, to było zabójstwo. Tyle że trafiliśmy na ścianę. Kryminolodzy nie znaleźli kompletnie nic. Nie dotarliśmy do nikogo z jej znajomych czy krewnych. Minęło dziesięć dni, a my nadal nie mamy żadnego podejrzanego. – Kręci głową z rezygnacją.  
– Trochę już siedzę w tym zawodzie, agentko Barrett. Wiem, kiedy sprawa nadaje się tylko do umorzenia. Tak właśnie było w tym przypadku, do chwili, kiedy zadzwonił do mnie agent Washington.

– Znaleźliście jakiegokolwiek ślady gwałtu? Ślady spermy w pobliżu ciała?

– Nie.

– Jak było ułożone ciało? Nogi razem czy rozsunięte?

– Razem. Ręce złożone na piersiach.

– Interesujące – mruczę.

– Co takiego? – pyta Atkins.

– Nasza pierwsza ofiara była transseksualistką. Rosemary – aktorką porno i seksoholiczką. Sądząc po doborze ofiar, spodziewałabym się w zabójstwach pierwiastka seksualnego, ale w obu go brakuje. Łączy je jedynie krzyżyk. Dziwne.

– Co to znaczy? – pyta mnie Alan.

Kręcę głową.

– Jeszcze nie wiem. Zobaczmy, co nam powie ksiądz.

– Rosemary była jednym z moich największych sukcesów. Jedna Rosemary wynagradzała dziesięć innych porażek. Rozumiecie?

Ksiądz Yates jest pięćdziesięciolatkiem w doskonałej formie. Ma przystojną, z grubą ciosaną twarzą, krótko przycięte szpakowate włosy i ciemne inteligentne oczy. „Wzrok księdza”, jak opowiadałam kiedyś znajomym. Zbyt dobrotliwy, żeby mu się za bardzo stawiać, zbyt doświadczony w dziedzinie grzechu, żeby cokolwiek przed nim ukryć. Wychowałam się w wierze katolickiej, choć dawno już od niej odeszłam. Z miejsca rozpoznaję, jakim typem księdza jest Yates – przystępny praktyk, głęboko wierzący, ale nie oderwany od normalnego życia.

Pewnie gdyby więcej było takich księży jak on, może nie odsunęłabym się od Kościoła.

Jest wysoki, ma ponad metr dziewięćdziesiąt. Szczupły, ale nie chudy. Nosi koszulkę z krótkim rękawem i koloratką. Wciąż rusza rękoma. To energiczny ksiądz, człowiek czynu. Praca dla Boga oznacza dla niego prawdziwą pracę dla Boga.

Podoba mi się.

– Naprawdę księdza rozumiem. My czasami cieszymy się z podobnych zwycięstw, które przeważnie wynagradzają nam gorycz porażek.

Wbijają we mnie wzrok księdza i czuję znajome dawne uczucie, wyrzuty sumienia. On wie, wie. Wie, że czasami masturbuję się wibratorem. Wie, że wielką rozkosz sprawia mi doprowadzanie mężczyzny do orgazmu ustami.

Słodki Jezu... i coś jeszcze, bluźnierstwo... A wydawało mi się, że już mnie to nie rusza!

Wiem, że do pewnego stopnia wszystko to dzieje się w mojej głowie. Ksiądz Yates nie potrafi czytać w myślach. Zresztą to znajome zjawisko – wystarczy zamknąć ze mną jakiegoś cywila w sali przesłuchań, a poczuje



się dokładnie tak samo.

– Tak – odpowiada, kiwając głową. – Podejrzewam, że w naszej pracy istnieje wiele podobieństw.

– Pewnie – przyznaję. – Oboje poznajemy ciemną stronę ludzkiej natury. Zapewne słyszał ksiądz wiele o zbrodniach, które ja widziałam na własne oczy.

Macha ręką.

– Podczas spowiedzi słyszałem już wszystko. Pedofilia. Kazirodztwo. Gwałt. Morderstwo. Mam wrażenie, że różnimy się jednak metodami pracy.

– Ja ich wsadzam do więzienia, a ksiądz próbuje uwolnić.

Brzmi to nieco sarkastycznie, choć wcale nie miałam takiego zamiaru. Uśmiecha się, lekko rozbawiony.

– I co, pani zdaniem, jest bardziej skuteczne?

Rozkładam ręce.

– Wie ksiądz, w więzieniu ci ludzie też odnajdują Boga. Ale tam przynajmniej nie mogą już nikogo skrzywdzić.

Chichocze.

– Słuszna uwaga, agentko Barrett. Nie będę bardziej naciskał. Wierzę, że prawdę o człowieku widać w jego czynach. Może nie jest to na razie zgodne z oficjalnym stanowiskiem Kościoła, ale bardziej obchodzi mnie to, jak pani żyje, niż to, jak często przystępuje pani do komunii. – Robi poważniejszą minę. – Słyszałem o tym, co pani przeszła, i o niektórych ludziach, których pani dopadła. Moim zdaniem stanowi pani siłę dobra, Śmieję się. Nie obrażam się za to delikatne grożenie palcem. Widzę, że się ze mną drażni.

– Dziękuję księdzu.

Alan i Atkins siedzą kilka ławek dalej. Nie rozmawiają, nie wtrącają się. To tylko rozmowa, nie przesłuchanie. Liczy się przede wszystkim intymna atmosfera.

– Proszę mi opowiedzieć o Rosemary – mówię.

– Jestem proboszczem w tutejszej parafii Chrystusa Zbawiciela od dwudziestu lat, agentko Barrett. Zapewne pani wie, że Los Angeles to zróżnicowane miasto, pełne kontrastów. Wystarczy przejść tutaj pięć przecznic, a można spotkać szacowne rodziny z klasy średniej, nastoletnie prostytutki, piątkowych uczniów, młodociane gangi – wszyscy chodzą tymi samymi ulicami.

– Zgadza się.

– Kiedy wezwał mnie Bóg, od początku wiedziałem, że chce, żebym był księdzem czynnym. Nie jestem mistrzem odprawiania mszy. Owszem, robię to, ale żaden ze mnie mówca. Bóg wiedział, że mogę mu zaoferować umiejętność patrzenia na zło u innych ludzi bez utraty wiary w możliwość zbawienia. – Uśmiecha się gorzko. – Wiedział też, oczywiście, że mam niewyparzony język i wrodzony sceptycyzm. Proszę mnie źle nie zrozumieć, całym sercem bronię mojego Kościoła, ale brak mi politycznego doświadczenia. Jeśli uznam, że należy zmienić prawo kanoniczne, to będę o tym mówił.

– Rozumiem – odpowiadam rozbawiona.

Fascynuje mnie, że nawet w obrębie Kościoła istnieje podział na „krawaciarzy” i ludzi z dołu, na oficerów i sierżantów.

– Zostałem zesłany do tego kościółka, bo musieli mnie gdzieś umieścić. Wiedzieli, że nie należy mnie zupełnie usunąć, bo wbrew temu, co sądzą

niektórzy, Kościół nie zawsze jest ślepy – ale nie chcieli też, żebym rzucał się w oczy. – Uśmiecha się i widzę w nim energicznego buntownika sprzed dwudziestu lat. – Nie posiadałem się z radości. Zawsze chciałem pracować w takim właśnie miejscu.

Przychodzi mi do głowy pytanie.

– Mogę zapytać, co ksiądz robił, zanim został kapłanem?

Kiwa głową.

– Gratuluję czujności, agentko Barrett. Zanim zostałem księdzem, byłem młodym człowiekiem z problemami. Spędziłem trochę czasu w poprawczaku za drobne kradzieże, zadawałem się z różnymi kobietami, piłem i od czasu do czasu wdawałem się w bójki.

Mówi o tym wszystkim z taką łatwością, bez śladu wstydu. Nie jest dumny ze swej przeszłości, ale też za nią nie przeprasza.

– Co księdza zmieniło? – pytam.

– Spotkałem na swej drodze starego kapłana, księdza Montgomery’ego. Twardy był z niego człowiek! Postawił mnie do pionu. Zrobił na mnie wrażenie. Był sługą bożym – a zawsze uważałem ich za mięczaków – ale nie krzywił się na widok krwi ani nie oburzał, kiedy przychodziła się pomodlić młoda dziewczyna w skórzanej mini i butach na obcasie. Udzielał jej komunii, choć wiedział, że zaraz po wyjściu z kościoła będzie sprzedawać swe ciało. Miał takie powiedzenie: „Zostawcie swoje noże przed drzwiami, zapraszam”.

– Gdzie to było?

– W Detroit. – Wzrusza ramionami. – Wyprostował mnie. Usłyszałem głos powołania i jak mówiłem, wiedziałem, że Bóg chce, żebym naśladował księdza Montgomery’ego. I to właśnie staram się robić.

– Rosemary – przypominam mu.

– Rosemary była młodą kobietą z ogromnymi problemami. Jej historię trudno uznać za oryginalną. Trudna nastolatka, która skończyła jako narkomanka i prostytutka. Przypadek Rosemary był jednak inny, bardziej złożony, bo dochodziło do tego jeszcze uzależnienie. Naprawdę lubiła połączenie narkotyków i wyuzdanego seksu. Nie mówię, że uważała to za coś dobrego i słusznego. Ale dostarczało jej wielu przyjemności. Gonila za tym. Rosemary nie była niewinną ofiarą jakiegoś wygadanego alfonsa. W jej rodzinie nie dochodziło do żadnego molestowania. – Kręci głową coś sobie przypomniawszy. – Powiedziała mi kiedyś, że „po prostu urodziła się zła”. O tym, że trafiła na oddział intensywnej opieki, powiedziała mi pielęgniarka z mojej parafii. Jej słowa można streścić w ten sposób: „Proszę księdza, ta dziewczyna sięgnęła dna. Albo zawróci z tej drogi, albo umrze”.

– I naprawdę tak było? Naprawdę sięgnęła dna?

– O tak. Jakiś typek niemal zatłukł ją na śmierć, kiedy była naćpana kokainą. W jej organizmie szalały chlamydie, syfilis i rzeżączka, a na dodatek miała jeszcze grypę.

– Nieźle.

– Właśnie. Na szczęście nie doszło do zarażenia HIV, a syfilis był świeży. Duch Święty musiał czuwać nad Rosemary.

Moim zdaniem można by się o to spierać, ale milczę.

– Niech ksiądz mówi dalej.

– Siedziałem przy niej, kiedy się obudziła. Nie mogła przestać płakać. Zadałem jej pytanie, które zawsze zadaję: czy jesteś gotowa na moją pomoc? Rosemary powiedziała, że tak. Załatwiłem jej mieszkanie,

parafianie pomogli jej wyjść z nałogu, wspólnie się modliliśmy. – Oczywiście posmutniały. – Żeby naprawdę przejąć się historią Rosemary, agentko Barrett, trzeba zrozumieć jedno. Nie chodzi o szczegóły jej powrotu do zdrowia ani o to, czym zgrzeszyła. Chodzi o to, że ta pozbawiona nadziei dziewczyna znalazła w sobie potężną siłę. Wcale nie było jej łatwiej. Mówiła mi, że wciąż, niemal codziennie myślała o narkotykach i seksie. Ta pokusa stawała się coraz słabsza, ale nigdy nie zniknęła całkowicie. A mimo to Rosemary wytrzymała. – Zacisnął bezsilnie pięści. – Od pięciu lat żyła z bożą łaską. Bez prochów, bez powrotu do poprzednich zachowań. Nie znoszę tego słowa, ale pasuje ono jak ulał: Rosemary została zbawiona.

– Rozumiem. – Nie jestem przekonana, ale mogę się zgodzić, że Rosemary rzeczywiście się zmieniła. Ksiądz Yates nie ma przecież kłapek na oczach.

– No i jeszcze to, że...

Waha się.

– Co?

– Jestem spowiednikiem. Nie zdradzę pani, oczywiście, co mi mówiła, ale powiem tylko tyle: zwierzyła mi się ze swoich najciemniejszych sekretów. Niczego nie zataiła.

Jestem zaintrygowana. Ciekawość do kwadratu. Ale wiem, że ksiądz nigdy w życiu nie zdradzi mi tajemnic Rosemary. Ta pewność z jakiegoś powodu poprawia mi nastrój.

Głębokie są korzenie katolickiego drzewa, myślę sobie.

– Czy chce mi ksiądz powiedzieć coś jeszcze? Cokolwiek, co mogłoby nam pomóc?

– Przykro mi, agentko Barrett. Obawiam się, że mogę tylko wspominać najgorsze i najlepsze chwile z życia Rosemary.

Sięgam do torebki po wizytówkę. Podaję mu kartonik.

– Proszę do mnie zadzwonić, jeśli sobie ksiądz coś przypomni.

– Obiecuję. – Patrzy mi przez chwilę w oczy. – A jakie ma pani zdanie na temat modlitwy, agentko Barrett?

Patrzę na niego zaskoczona.

– Osobiście uważam, że jest przereklamowana, a jej efekty są mizerne. Wyrzucam to z siebie bez namysłu. Od razu żałuję, że moje słowa są takie ostre. Wzruszam przepaszająco ramionami.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. Jeśli jest pani wkurzona na Boga, to znak, że wciąż pani wierzy, że On istnieje. To mi na razie wystarczy.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć, więc mamrocę tylko jak sześciolatka:

– Dziękuję, proszę księdza.

Idę w stronę drzwi wejściowych do kościoła. Alan i Atkins podążają za mną.

Cholerny wzrok księdza. Czasami świętość naprawdę mnie wkurza.

Dwudziesta trzydzieści. Siedzimy z Alanem i Atkinsem przy stoliku w głębi baru Denny's. Wieczór jest spokojny, a nasza kelnerka pada ze zmęczenia. Nalewając nam kawy, zdobywa się na półuśmiech, ale nie próbuje nas zagadywać. Pewnie przywykła do obsługi gliniarzy.

Wynyl i laminat, jak okiem sięgnąć, rozmyślam. Czy można sobie wyobrazić coś bardziej amerykańskiego?

Atkins dał nam kopię akt śledztwa oraz zdjęcia z miejsca zbrodni. Kiedy kelnerka odchodzi na bezpieczną odległość, otwieram teczkę i przyglądam się fotografiom.

– Wstrętne – zauważam.

– Ale eleganckie – odpowiada Atkins.

To przemyślana uwaga. Ma rację. Patrząc na zdjęcie Rosemary. Była ładną kobietą. Na fotografii leży na łóżku nago, na plecach. Nogi ma złożone razem. Ramiona ułożone na piersi. Głowę odrzuconą do tyłu, oczy szeroko otwarte.

Strużka zaschniętej krwi z nosa biegnie pod kątem po policzku aż do brody. To straszny widok, ale nie tak straszny, jak mógłby być. Nie widać żadnych śladów gwałtu. Poza krwią z nosa oraz dźgnięciem i siniakiem po prawej stronie ciało Rosemary wygląda niemal dziewiczo.

– Nie był wściekły – zauważa Alan.

– Tak – odpowiadam.

Psychopatia o podłożu seksualnym to nie tylko akt czystego gniewu. To akt bezmiernej wściekłości. Penetracja to za mało. Potrzebna jest destrukcja. Nie widzę niczego takiego na tych zdjęciach. Seks chyba nie

był tu motywem. Zamykam teczkę i popijam łyk kawy.

– Ekipa kryminalistyczna nie znalazła absolutnie nic – stwierdza Atkins.

– Nie dziwi mnie to – mówię. – Zabójca jest bardzo zorganizowany i bardzo doświadczony. Miał zadanie i je wykonał, bez zbędnych ceregieli. Wszedł i wyszedł. W takich okolicznościach zawsze zostaje mniej śladów.

– W takim razie, jak go złapiecie? Czasami się nie udaje, brzęczą cykadady.

– Musimy się domyślić, dlaczego robi to, co robi. I miejmy nadzieję, że wreszcie powinie mu się noga i zostawi jakiś ślad.

– Mało pocieszające.

Uśmiecham się do niego ponuro.

– W tej pracy raczej się nie pocieszamy, Atkins. Dobrze o tym wiesz.

Odwzajemnia uśmiech, równie ponury, i ze mną podnosi kubek z kawą.

Alan i ja znów jesteśmy na autostradzie, tym razem jedziemy w stronę domu. Alan siedzi za kierownicą. Zostawiliśmy Atkinsa z obietnicami, ale bez większej nadziei.

– Mam cię podwieźć do nas, żebyś zabrała Bonnie? – pyta.

Patrzę na zegarek. Dochodzi wpół do jedenastej w nocy.

– Nie, podrzuć mnie do domu. Jutro po nią wpadnę.

Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Callie i Jamesa, ale uświadamiam sobie, że u nich jest już po pierwszej w nocy. Jeśli śpią – a taką mam nadzieję – nie chcę ich budzić.

– Niezłe zamieszanie przez te ostatnie kilka dni – mówi Alan.

– To prawda.



Zerka na mnie.

– Masz już jakieś przemyślenia?

Kręcę głową.

– W zasadzie nie. Muszę się z tym przespać. Ale jest wiele rzeczy, które mnie niepokoją.

– Na przykład?

– Na przykład to, że zabójca działa już od dawna i chyba nieźle się w tym wyrobił. Moim zdaniem jest metodyczny i zorganizowany i szybko nie popełni błędu.

– Już popełnił błąd. Dał nam o sobie znać.

– Racja, ale zrobił to celowo. Nadal bawi się z nami w kotka i myszkę.

Alan uśmiecha się lekko.

– Przy każdej sprawie na początku grasz sceptyka. A w końcu i tak łapiemy sprawcę.

– W takim razie zgodnie z tą logiką pozwól, że na razie pozostanę pesymistką.

Wybuchła śmiechem. Dzwoni moja komórka. Żywiej bije mi serce, kiedy widzę numer na wyświetlaczu.

Tommy Aguilera jest moim chłopakiem od ponad dwóch lat. Tommy to były agent Secret Service, który teraz prywatnie pracuje jako ochroniarz i detektyw. Poznałam go, kiedy pracował jeszcze w Secret Service. Przydzielono go do ochrony kogoś, kto okazał się seryjnym zabójcą. W pewnej chwili Tommy uznał, że musi strzelić do tego młodego chłopaka, a podczas burzy, jaka się później rozpętała, moje zeznanie ocaliło mu głowę. Był mi za to bardzo wdzięczny i zaoferował pomoc, jeśli tylko kiedykolwiek będę jej potrzebować.

Kilka lat później rzucił rządową posadę. Do dziś nie wiem dlaczego. Pewnie by mi powiedział, gdybym zapytała, ale nigdy nie pytałam, a on sam nie wyrywał się z wyjaśnieniami. Tommy wcale nie jest chłodny, jest po prostu lakoniczny do bólu.

Podczas jednej ze spraw skorzystałam z jego pomocy. Przyjechał do mnie do domu, żeby sprawdzić, czy nie ma podsłuchu (i znalazł pluskwy oraz nadajnik GPS w samochodzie). Nie planowałam tego, ale w końcu zaczęliśmy się całować. Zaskoczył mnie, kiedy odwzajemnił pocałunek.

Mój mąż nie żył dopiero od pół roku, ciało miałam pokryte bliznami, czułam się brzydka na zewnątrz i od wewnątrz, cierpiałam. Tommy wziął mnie w ramiona i sprawił, że znów stałam się kobietą. To przyniosło mi satysfakcję zarówno duchową, jak i fizyczną. Tommy to uroczy mężczyzna. I naprawdę niezłe ciacho.

Jest Latynosem z obowiązkowymi czarnymi włosami, ciemną skórą i smutnymi oczyma. Nie jest pięknym chłoptasiem. Ma bliznę na lewej skroni i mocno zarysowaną szczękę. Do tego szorstkie dłonie budowlańca i ciało tancerza. Tommy bez ubrania stanowi smakowity widok, a seks z nim bywa ostry, delikatny, a czasem wyrafinowany. Cudownie jest się z nim pocić w pościeli.

– Hej – rzucam do słuchawki.

– Hej – odpowiada. – Nadal cię nie ma?

– Nie. Tak się składa, że właśnie jadę do domu.

– Potrzebujesz towarzystwa?

– Tak, poproszę. Dasz radę zrobić mi masaż stóp? Muszę się trochę odprężyć.

– Jasne. Do zobaczenia.

Rozłączam się i łapię na tym, że nucę pod nosem. Przerywam przerażona i zerkam na Alana. Wygląda, jakby koncentrował się całkowicie na drodze, ale po chwili się odzywa:

– Zdaje się, że ten facet cię uszczęśliwia.

– Jest w porządku – przyznaję.

– Hm. Patrę na niego.

– Co „hm”?

– Smoky, to nie moja sprawa, ale może powinnaś się zastanowić, czy nie warto wziąć na wstrzymanie. Zaslugujesz na to, żeby być szczęśliwa, a on chyba zasługuje na to, żeby wiedzieć, że daje ci szczęście.

Jestem zaskoczona nagłym przypiływem irytacji. Już mam na końcu języka ostrą ripostę, ale w ostatniej chwili rezygnuję z jej wygłoszenia.

– Rozważę to – mamroczę.

– Hej. – Mówi to z lekkim wyrzutem, jakby przyjazną ręką podnosił mi podbródek. Z wahaniem kieruję na niego wzrok. – Ja tylko tak sobie gadam. Po prostu podoba mi się, że znów śmiejesz się na myśl o facecie, to wszystko.

Irytacja znika.

Wzdycham.

– Mnie też chyba to się podoba.

Przekręcam klamkę i otwieram drzwi. W środku jest to, czego się spodziewałam: spokój i cisza pustego domu.

Ten dom kupiliśmy wspólnie z Mattem. Tu nauczyłam się być żoną, matką, i tu straciłam wszystko. To dom, w którym zostałam zniszczona i w którym znów się odrodziłam.

Od czasu, kiedy zginęli mój Matt i moja Alexa, upłynęły trzy lata. Nie budzę się już z krzykiem, nie wpatruję się w lufę pistoletu w środku nocy, zastanawiając się, czy bolałoby, gdyby kula odstrzeliła mi kawał głowy. Nie idę już przez życie ze zmrożoną na kamień duszą. Mam teraz Bonnie i Tommy'ego, no i oczywiście mam swój zespół. Znów nauczyłam się cieszyć życiem. Moja cyniczna natura nie pozwala mi powiedzieć, że życie jest świetne, ale mogę już powiedzieć, że jest lepsze.

Mimo to... strata potrafi dopadać nas z najróżniejszych stron. Największą siłę mają kontrasty.

Matt idealnie pasował do mnie, do nas, do naszego życia. Często bywało, że przyjeżdżałam do domu o dziewiątej wieczorem, wykończona psychicznie i cuchnąca śmiercią. Oczekiwałam chwilę przed otwarciem drzwi. Z kluczem w zamku zastygałam na chwilę i starałam się otrząsnąć z mrocznych rzeczy, pilnując, żeby nie zawlec niczego do mojego domu pełnego światła i miłości. Nie zawsze się to udawało, ale zawsze się starałam.

Otwierałam drzwi, a w domu paliły się wszystkie światła, bo Matt lubił jasność. Zwykle grał telewizor albo wieża, bo lubił, jak coś szumiało w tle. W powietrzu unosił się zapach czegoś smacznego. Matt był

fantastycznym kucharzem. Jeśli tylko miał przepis, potrafił wyczarować każde danie.

Mąż witał mnie w progu, kiedy wracałam do domu. Zawsze, nawet po wielu, wielu latach małżeństwa. Niezależnie od tego, czy się kłóciliśmy, czy kochaliśmy.

– Witaj w domu, wędrowcze – powtarzał. To było nasze powitanie, tak niezbędne i naturalne jak słońce czy deszcz.

Zanim urodziła się Alexa, karmił mnie czymś dobrym, częstował lampką wina i wysłuchiwał, jak zżymam się i jęczę na temat minionego dnia, a potem ja słuchałam jego narzekań i jęczenia, a potem wspólnie oglądaliśmy telewizję. Zwykle przed snem jeszcze się kochaliśmy. Na początku często uprawialiśmy seks. To był świetny seks, seks przeciętny, czasami nawet kiepski (choć jak upierał się Matt, nie ma czegoś takiego jak zły orgazm).

W miarę dojrzewania naszego małżeństwa częstotliwość seksu się zmieniała, ale najpiękniejsze w związku z Mattem było to, że nasze małżeństwo rozkwitało i wcale nie stawało się nudne. Przyzwyczailiśmy się do siebie, ale nigdy nie przestaliśmy się sobą zachwycać.

Kiedy urodziła się Alexa, powroty do domu nabrały nowego znaczenia. Kiedy była młodsza, to ja chodziłam do niej. Kiedy nieco urosła, to ona witała mnie w progu. Nauczyła się powitania od ojca i czasami słyszałam je w stereo.

Witaj w domu, wędrowcze, zrzuć buty. Pogoda na dworze może być różna, czasem pod psem, ale tu zawsze świeci słońce.

Przypomni mi się wyświechtany do bólu, ale tak przecież prawdziwy frazes: jest różnica między domem a budynkiem do mieszkania.

Teraz jest inaczej. Kiedy wchodzę do domu, światła są wyłączone. Jest nieco chłodno. W powietrzu nie rozchodzą się smakowite zapachy. Nie gra telewizor ani wieża.

Brakuje też roślin. Matt uprawiał w naszym domu małą dżunglę. A ja? Dla roślin jestem jak anioł śmierci. Nie zabijam ich, popełniają samobójstwo w mojej obecności. Podcinają sobie małe zielone żyłki, kiedy tylko trafią pod moją opiekę.

Witaj w domu, wędrowcze.

Ale to już nie to samo.

Przypominam sobie, co powiedziała mi Rosario w samochodzie. Że to miejsce, gdzie są moje korzenie i nie mogę się nadziwić prawdzie, jaka tkwi w jej słowach. Ruszyłam dalej, ale czy mieszkając w tym domu, rzeczywiście rozstałam się z przeszłością?

Zamykam za sobą drzwi i wchodzę przez salon do kuchni. Po drodze włączam światła i telewizor. Prezenterka szczebiocze coś i wypełnia nieco pustkę. Wstawiam do mikrofalówki trochę makaronu i sera. To kolejny trudny dla mnie teren – nie umiem gotować. Potrafię przypalić wodę.

Nalewam sobie wina i nakładam makaron z serem. Zabieram wszystko ze sobą na kanapę. Matt zawsze upierał się, żebyśmy jedli przy stole jak cywilizowana rodzina.

Więc zmień to, kretynko. Masz teraz Bonnie. Masz Tommy'ego. Zaczynij jeść przy stole. Cholera, ustaw timer w telewizorze, jeśli tak bardzo chcesz, żeby coś grało, kiedy wracasz do domu.

Robi mi się trochę lżej na duszy. Pragmatyzm zawsze był moją silną stroną. Lubię naprawiać to, co się psuje. Płkanie nad piwem (albo winem, zależy od nastroju) nie leży w mojej naturze. Przez ostatnie kilka lat dość

się napłakałam. Mniej łez, więcej potu. Do dzieła.

Świetny pomysł, pani Barrett, mówię sama do siebie. Brawo, brawo.

Chichoczę z tej wewnętrznej wymiany myśli. Nie boję się już, że coś jest ze mną nie w porządku, kiedy tak sama ze sobą rozmawiam. To znaczy, że albo mi się polepszyło, albo naprawdę całkiem mi odbiło.

Oglądam wiadomości i pochłaniam odgrzane pseudojedzenie. W telewizji nic nowego – cywilizacja chwieje się na skraju przepaści, czyli dzień jak co dzień, od kiedy wynaleziono dziennikarstwo. O Lisie Reid na razie ani słowa.

Kiedy słyszę pukanie do drzwi, czuję maleńkie ukłucie szczęścia. Wrzucam do kosza puste opakowanie po makaronie z serem i pędzę do drzwi.

Otwieram je i uśmiecham się na widok mężczyzny w moim życiu. Ma na sobie ciemną marynarkę i spodnie oraz białą koszulę bez krawata. Włosy nieco zmierzwione, ale jak zawsze wygląda tak, że mam ochotę go schrupać.

– Hej – odzywa się jednym słowem pełnym ciepła i wspartym szerokim uśmiechem. Jest równie szczęśliwy z tego spotkania jak ja.

Podnoszę głowę do pocałunku, a Tommy całuje mnie długo.

– Witaj w domu, wędrowcze – mruczę.

Unosi brew.

– Chyba ja powinienem ci to powiedzieć. – Uśmiecha się. Wchodzi i pada na kanapę. – Jesteś zapracowaną kobietą.

Siadam obok niego i kładę stopy na jego kolanach. To niema prośba o masaż. Tommy ją spełnia, a ja niemal wyginam grzbiet, kiedy jego silne dłonie usuwają ze mnie napięcie.

– To prawda – odpowiadam. – Szkoda, że w służbowym samolocie nie zbiera się punktów lojalnościowych. O Jezu, jakie to miłe.

– Chcesz o tym porozmawiać?

Uświadamiam sobie, że to jedna z ogromnych różnic między moim związkiem z Tommym i małżeństwem z Mattem. Nie rozmawiałam z Mattem o moich śledztwach, w każdym razie niezbyt często. Trzymałam to wszystko z dala od domu, z dala od niego i Alexy. Tommy jest inny. Rozumie śmierć i morderstwa i tak jak ja zabił już w swoim życiu kilku ludzi. Mogę z nim porozmawiać o swojej pracy bez ryzyka, że go skalam, bo on już jest skalany.

– Jasne – odpowiadam – pod warunkiem że dalej będziesz mnie doprowadzał do orgazmu przez stopy.

Opowiadam mu szczegółowo, co działo się przez ostatnie półtora dnia. Słucha, od czasu do czasu kiwając głową, i nawet na chwilę nie przerywa masażu.

– O kurczę – mówi, wysłuchawszy wszystkiego. – Skomplikowana sprawa.

– Co ty powiesz. – Liczę na palcach. – Podsumujmy: mam zamordowaną w trakcie lotu transseksualną córkę kongresmana, który to kongresman jest akurat najpoważniejszym kandydatem do prezydentury. Nie dość, że ja i mój zespół działamy poza swoim normalnym terenem, to jeszcze włączymy na polityczne pole minowe. Mam też była narkomankę, dziwkę i aktoreczkę porno, która narodziła się na nowo, a potem ktoś ją zabił. I to akurat tu, na naszym terenie. Obu ofiarom zabójca włożył w ciało krzyżyki, a numerki na krzyżykach mocno przekroczyły już setkę i wydaje mi się, że nie ma to nic wspólnego z symbolizmem. Nie mam na



razie żadnych tropów. A jakby tego wszystkiego było mało, Callie wychodzi za męża, a James zniecka wyznał, że jest gejem. – Przeczesałam ręką włosy. – Czyste szaleństwo. – Zmuszam się do uśmiechu. – Ale przynajmniej nie jest nudno.

Odwzajemnia uśmiech, ale jest w nim coś, czego nie potrafię odczytać. Masuje moje stopy automatycznie, niemal bezwiednie.

Jest zdenerwowany, dociera do mnie. Pan Stoik się denerwuje. Zabieram stopy.

– Zdaje się, że chciałeś ze mną o czymś pogadać?

Cisza. Opiera się wygodniej, patrzy w sufit i wzdycha.

– Tak. Jezu, Tommy.

– No więc?

Zaczynam się denerwować.

Obrzuca mnie bardzo, bardzo podejrzliwym spojrzeniem. Wcale mnie to nie uspokaja.

– Wiesz, mam pewną zagwozdkę moralną.

– To jakiś żart? Przecież ty jesteś harcerzykiem. Nawet nie przeklinasz.

– No tak. I właśnie w tym sęk. Rozumiem, na czym polega kompromis. To część życia i z całą pewnością część życia z kimś. Problem w tym, że jeśli chodzi o moralność, nie mogę się zgodzić na kompromis. W ogóle, nawet najmniejszy. Kiedyś miałem przez to problemy. W Secret Service czasami chciano, żebym widział świat bardziej szaro, nie w czerni i bieli.

– Nie wątpię, ale to chyba dobra cecha.

Uśmiecha się i kręci głową.

– To się jeszcze okaże. Kilka dni temu uświadomiłem sobie, że powinienem ci coś powiedzieć. Że muszę ci to powiedzieć. Może to nie

najlepszy czas na takie wyznania, może należałoby pójść tutaj na kompromis, ale – wzrusza ramionami – chodzi właśnie o moralność.

Żołądek wykonuje mi salta niczym złoty medalista w akrobatyce. Hop, hop, hop, hop.

– Pamiętasz, co ci przed chwilą powiedziałam? Że się denerwuję. – Klepię go po ramieniu. – No to teraz jestem już przerażona.

– No dobrze, to już powiem. – Bierze głęboki oddech i patrzy mi prosto w oczy. – Kocham cię, Smoky. Dwa lata temu wyznałem ci, że zapewne kiedyś to się stanie i że powiem ci, kiedy to nastąpi. No więc mówię. Zakochałem się w tobie. Gdy nabrałem pewności, uświadomiłem sobie, że muszę ci to powiedzieć. – Kolejne wzruszenie ramion, tym razem lżejsze. – To właśnie kwestia moralności.

Odebrało mi mowę.

Kocha mnie.

O rany.

Kocha mnie?

Powiedz coś, kretynko. Ale nie palnij czasem czegoś głupiego.

Chrząkam i zaczynam się jąkać:

– No... o kurczę... nie wiem, co mam powiedzieć.

Od razu żałuję tych słów. Ten facet, ten cudowny facet, wyznał mi właśnie miłość i tylko na tyle mnie stać?

– Do jasnej cholery, Tommy. Przepraszam. Zachowałam się jak prawdziwa idiotka.

Ku swemu zaskoczeniu widzę, że Tommy się uśmiecha.

– Spokojnie. Mam dość oleju w głowie i wiem, że musisz mieć trochę czasu na oswojenie się z nowiną. Nie muszę dostawać odpowiedzi

natychmiast. Musiałem ci tylko powiedzieć, przejść przez ten most; żeby nie było już odwrotu. Nadszedł właściwy czas.

Patrzę na niego i ostrożnie dobieram słowa, które chcę za chwilę wypowiedzieć, bo wiem, że to, co powiem, jest bardzo, bardzo ważne. Ostatecznie zdobywam się na starą dobrą szczerłość aż do bólu. Biorę go za rękę. Potrzebuję kontaktu.

– Rzeczywiście potrzebuję czasu. Chciałabym móc odpowiedzieć z miejsca, ale nie mogę. To nie znaczy, że nie czuję tego samego. To znaczy tylko... – Szukam właściwego słowa, które oddawałoby to, co czuję. – Że jestem przerażona.

Podnosi moje dłonie do ust. Całuje każdą miękko, jakby je błogosławił. W jego oczach widać lekkie współczucie, którego wcześniej nie dostrzegałam. Widziałam już miłego Tommy'ego, wściekłego Tommy'ego, zamyślonego Tommy'ego i groźnego Tommy'ego. Ale to zupełnie nowy Tommy: wyrozumiały i współczujący, ale bez fałszywej słodyczy.

Aha, dociera do mnie, tak wygląda kochający Tommy.

– Kochałaś jednego mężczyznę, Smoky. Poznałaś Matta, kiedy oboje byliście nastolatkami, i wiedziałaś, że to ten jedyny. Nigdy w to nie wątpiłaś, nigdy się nad tym nie zastanawiałaś, nigdy nie szukałaś niczego innego. Straciłaś go z powodu tragedii, nie z wyboru. To zrozumiałe, że coś takiego może człowieka wytrącić na jakiś czas z obiegu. Rozumiem, że nie możesz mi odpowiedzieć już teraz. Chcę tylko, żebyś się nad tym zastanowiła i pomyślała nad odpowiedzią.

Te słowa pełne współczucia, pozbawione presji i żądań, dobijają mnie do końca. Brakuje mi tchu. Po nieporanionym policzku spływa samotna

łza. Tommy wyciera ją kciukiem, najdelikatniej jak potrafi.

– Nie płacz, skarbie.

Nigdy wcześniej mnie tak nie nazwał. Skarbie. Nigdy nie mówił tak czule. Nie mam pojęcia dlaczego, ale całkowicie się rozklejam. Padam w jego ramiona i wypłakuję mu się na piersiach. Nie jest to zły płacz, nie ma w nim rozpacz. To po prostu burza, jaka we mnie wezbrała, chmury, które muszę wypłakać. Przez chwilę biję w jego twarde jak kamień piersi, a on to dzielnie znosi. W końcu łzy ustają, a ja tylko pociągam nosem. Tommy milczy i gładzi mnie po włosach. Uświadamiam sobie, że mogłabym tak zostać na zawsze, jeśli chciałby ode mnie tylko tego.

Ale w tym sęk. On nie chce tylko tego, chce wszystkiego.

Odsuwam się od niego i ocieram policzki dłońmi.

– A co z nami będzie w trakcie? – mówię głosem zachrypniętym od łez.

Patrzy na mnie trochę smutnym wzrokiem.

– Powinniśmy na jakiś czas się rozstać. Musisz się nad tym zastanowić, a ja nie mogę z tobą spać, póki tego nie zrobisz.

– Co? Dlaczego?

Pytam jak dziecko. Bo prawdę mówiąc, wiem dlaczego.

– Nie mogę sypiać z kobietą, której wyznałem miłość, póki nie dowiem się, czy czuje do mnie to samo. To nie kara ani ultimatum, Smoky. Po prostu nie mogę być z osobą, której zależy na mnie mniej niż mnie na niej.

Patrzę na niego przez długą chwilę i wzdycham.

– Tak. Ja też nie mogłabym być z tobą, gdyby coś mi nie pasowało. Pochyla się i bierze moją twarz w dłonie. Ma silne, szorstkie ręce. Gdzieniegdzie są miękkie, w innych miejscach stwardniałe. Zbliża usta do moich ust i całuje mnie perfekcyjnie. Głęboko, namiętnie, zupełnie jak w

*Casablance*. Znów brakuje mi tchu i mam łzy w oczach. Wstaje z kanapy.

– Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– Hej, Tommy – krzyczę za nim, kiedy idzie do drzwi. – Wiesz co, ta moralność potrafi być naprawdę upierdliwa.

Nie odpowiada.

– Tommy?

Zatrzymuje się i odwraca głowę w moją stronę.

– Tak?

Zmuszam się do uśmiechu.

– Ale i tak myślę, że to dobra cecha.

Odwzajemnia uśmiech, pstryka palcami w rondo wyimaginowanego kapelusza i znika.

Zostaję sama z moimi wątpliwościami. Są jak nietoperze, które chichocząc, wplątują się w moje włosy. Podciągam kolana pod brodę i obejmuję się rękoma. Kołyszę się w przód i w tył.

– Cholera, cholera, cholera, cholera, cholera. – Znów ciekną mi łzy, jak stado galopujących koni, które chcą się wydostać z moich oczu.

I nie mam nawet lodów.

Hej, odzywa się podstępny wewnętrzny głos. Masz przecież jeszcze w górnej szafce w kuchni trochę jose cuervo.

Nie zwracam uwagi na głos ze środka i trzymam z najwierniejszym druhem – porządnym płaczem. Po stracie Matta i Alexy spędziłam z nim mnóstwo czasu. Siedzimy tak razem przez kilka dobrych minut. To mi pomaga, ale w końcu wysyłam go w diabły.

Opieram się o kanapę i patrzę w sufit, pociągając nosem. Jestem wyczerpana i żałosna.

Ale w sumie w czym problem? Tommy to dobry człowiek. Nie, wróć, Tommy to wspaniały człowiek. Jest uczciwy, lojalny, seksowny jak cholera, kocha cię. Wahasz się, jakbyś miała stado innych kandydatów do wyboru.

Ale dobrze wiem, że nie chodzi o Tommy'ego. Nie chodzi o terażniejszość. Chodzi o przeszłość.

Owszem, był czas, kiedy myśl o związku z innym mężczyzną wydawała się zdradą Matta. Duch Matta był wszędzie, tu, w salonie, stał w kuchni, leżał przy mnie w łóżku. Ale dziś Matt to tylko cudowne wspomnienie, nie zjawa.

Zresztą wiem, że Matt chciałby, żebym znów była szczęśliwa.

A więc o co chodzi?

No cóż, jest jeszcze Bonnie.

Kręcę głową.

O nie. Nie zrzucaj tego na nią.

Jednym z ostatnich bastionów dzieciństwa w Bonnie jest jej uwielbienie dla porannych niedzielnych kreskówek. Ogląda je zawsze, a kiedy Tommy jest u mnie, oglądają je razem. Nie podzielam ich skłonności do wczesnego wstawania, ale kilka razy zdarzyło mi się zejść na pół śpiąco po kawę i widziałam, jak wspólnie śmieją się z przerażających przygód Kojota Wileya i Strusia Pędziwiatra. Nie wiem, czy czują do siebie to, co ojciec i córka, jeszcze pewnie nie, ale Bonnie zależy na Tommym i wie, że jemu zależy na niej.

Dociera do mnie, że tak naprawdę to ja jestem źródłem swego przerażenia, nikt inny.

Ale dlaczego?

Gdzieś z najmroczniejszych zakamarków duszy wypływa słowo niczym opary siarki ze szczeliny w ziemi.

Kara.

Obracam to słowo w myślach, smakuję jego gorycz i rozmyślam nad nutką strachu, jaki ze sobą niesie.

Kara? Za co?

Wiesz, za co. Za tę niewybaczalną rzecz, którą zrobiłaś po śmierci Matta i Alexy. Za to, o czym nikt nie wie, nawet Callie.

Klaszczę w ręce. Dźwięk brzmi zaskakująco w cichym domu. Jak strzał ze strzelby. Znów klaszczę. Trzask!

Nie myślimy teraz o tym! Nie teraz, może w ogóle nigdy. Nie ma mowy.

Mój wewnętrzny głos milknie. Wyczuwam w nim smutek, nie cwaniactwo.

No dobrze. Ale boisz się go pokochać, bo myślisz, że nie masz prawa pokochać kogokolwiek.

Nie mam na to żadnej riposty. Nie trzeba. Prawda jak oliwa zawsze na wierzch wypływa.

Wstaję i idę do kuchni. Muszę się czymś zająć, i to natychmiast. Jose cuervo wystarczy, dziękuję bardzo.

Wyciągam butelkę z kryjówki w górnej szafce i nalewam sobie lufkę tequili. Podnoszę kieliszek we wściekłym toaście.

– Za prawdę i za to, że prawda nie zawsze nas wyzwala.

Tequila spływa w gardło niczym rozpuszczalnik do farb. W brzuchu rozchodzi mi się przyjemne i odprężające ciepło. Odstawiam butelkę i myję kieliszek. Pilnuję się, żeby nie zdradzić tego małego sekretu. Jestem

zbyt zdyscyplinowana, żeby być pijaczką, ale zdarza mi się wychylić kieliszek w chwilach słabości. Zawsze czuję potem wstyd i muszę zacierać ślady.

Gorycz, ten rozedrgany smak przerażenia i konsternacji, wcale nie zniknęła, a raczej została rozmyta. Ostre krawędzie spowija teraz pianka, i to na razie wystarczy.

– A teraz – mruczę, wracając do salonu – czas na kolejną sztuczkę, czyli mój ulubiony nałóg.

Praca.

Praca, praca, cudowna praca. Jedną z zalet sensownej pracy jest to, że kiedy trzeba, można się w niej całkowicie zatopić. To brzęczenie cykad potrafi być równie wciągające, jak stresujące.

Biorę ze stolika żółty notes i długopis. Trzymam je tam z powodu jednego z moich rytuałów. Późną nocą (tak jak teraz), kiedy jestem sama, siadam po turecku i próbuję uporządkować nawał danych o sprawie, nad którą pracuję.

W ten sposób mogę się skupić i często zdarzało się, że doznawałam olśnienia. To także świetny talizman. Skrobanie w notatniku pomaga odgonić prześladowające mnie myśli.

Są pewne aksjomaty, jakie poznałam w ciągu wielu lat pracy nad zabójstwami. Sprawy pragmatyczne. Wnikliwe obserwacje. Skupiam się na nich i zapisuję je, żeby zaczęły się kręcić trybiki w głowie, żeby zapomnieć o Tommym i duchach, jakie wywołał.

Zawsze liczy się przede wszystkim ofiara. Nawet kiedy morderstwo jest przypadkowe. Pamiętaj: to, co wybieramy w przypiływie emocji, może powiedzieć najwięcej o człowieku.



Jeden z zabójców powiedział mi kiedyś, że ofiary do duszenia wybierał, obserwując, która kobieta nawiąże z nim kontakt wzrokowy. Przypomniałam mu, że jakimś trafem wszystkie te „pierwsze” kobiety były blondynkami. Zastanowił się nad tym, roześmiał i przyznał, że jego matka była blondynką. („Mama była prawdziwą cipą” – dodał sam z siebie. )

Metoda mówi nam o prawdziwej motywacji albo o tym, do jakiej motywacji chce nas przekonać.

Inny zabójca, którego złapałam, bił swoje ofiary, dopóki nie zdeformował im twarzy. Powodowała nim tak intensywna nienawiść, że czasami tracił świadomość.

– Kilka razy zdarzało się, że zaczynałem bić jakąś kurwę, ale nie pamiętam nic więcej – powiedział mi. – Dochodziłem do siebie dopiero po wszystkim. I to wielka szkoda, bo szczerze mówiąc, traciłem najlepszą część.

Naprawdę tego żałował.

Szaleństwo to nie to samo co głupota.

Prawda jest taka, że na swój sposób wszyscy zabójcy są szaleni, ale niektórzy są też błyskotliwi.

Seks albo jego brak to kluczowy czynnik przy rozpatrywaniu motywu.

To ostatnie zdanie skłania mnie do refleksji.

Obie ofiary, o których wiemy – Lisa Reid i Rosemary Sonnenfeld – zostały zamordowane, ale nie wykorzystano ich seksualnie. Lisa była transseksualistką przed operacją, co samo w sobie zawiera czynnik seksualny. Przeszłość Rosemary także wiązała się z seksem. A jednak jej nie zgwałcił.

Przygryzam długopis i rozmyślam. Dochodzę do tego samego wniosku co wcześniej.

Nie chodzi mu o seks.

To rzadki przypadek. Niemal zawsze chodzi o seks.

Ale nie tym razem.

No dobrze, w takim razie o co? Ofiary liczą się przede wszystkim. Co mają ze sobą wspólnego?

Obie były kobietami.

Wykreślam to. Lisa Reid nie była kobietą. To rozróżnienie może być nieuczciwe wobec niej, ale dla zabójcy mogło być bardzo znaczące. To nie jest cecha wspólna.

Szukaj w takim razie podobieństwa w metodzie zabójstwa.

Obie ofiary zabito w ten sam sposób. W prawy bok wbito im ostry przedmiot, pod takim kątem, by sięgnąć serca.

Obu ofiarom wsunięto w ranę krzyżyk.

Myślę o krzyżyku. W seryjnych zabójstwach po seksie i ogólnym szaleństwie ogromną rolę odgrywa fanatyzm religijny. Tylko rodzice są częściej obwiniani niż Bóg. Często wybierane są elementy satanistyczne, ale jest też wiele przypadków, kiedy zabójca czuł, że ocala ofiary, że pracuje dla Pana z góry, a nie dla tego z samego dołu.

Czy o to tu chodzi? Zabójca ocala przed czymś swoje ofiary?

Skrobie w notesie.

Przed czymś można kogoś ocalić?

Odpowiedź:

Przed konsekwencjami jego czynów.

Z punktu widzenia religii ocala się ludzi przed potępieniem.

Tak.

Kiedy człowiek zostaje potępiony?

Przetrząsam zakamarki umysłu, próbując przypomnieć sobie dawne lekcje katechizmu. Coś o grzechach śmiertelnych, grzechach głównych...

Zabieram ze sobą notatnik i idę na piętro do mojego gabinetu. Siadam przed komputerem i wpisuję w przeglądarce internetowej stronę wyszukiwarki.

W okienku wyszukiwania wpisuję: „*Definicja grzechu śmiertelnego*”.

Pierwszy odnośnik, jaki wyskakuje, to „Grzech śmiertelny – definicja”.

– Proście, a będzie wam dane – mruczę pod nosem i klikam w odnośnik.

Pojawia się definicja grzechu śmiertelnego ze słownika *American Heritage*:

„Grzech, taki jak morderstwo czy bluźnierstwo, który jest tak ciężki, że pozbawia duszę łaski uświęcającej. Jeśli nie zostanie odpuszczony przed śmiercią, skazuje duszę na potępienie”.

Dalej na stronie jest jeszcze wzmianka o definicji Św. Tomasza z Akwinu: „Grzech śmiertelny niszczy łaskę Boga w sercu grzesznika. Grzech śmiertelny musi spełniać trzy warunki:

- A. Grzech musi dotyczyć materii poważnej
- B. Grzech musi być popełniony z pełną świadomością
- C. Grzech musi być popełniony przy całkowitej zgodzie grzesznika.

Grzechu śmiertelnego nie można więc popełnić przypadkiem, bo dwoma jego wyznacznikami są świadomość i zgoda. Innymi słowy, grzesznik wie, że to, co robi, stanowi występki przeciw Bogu, ale robi to i tak z premedytacją. Grzesznik ma świadomość, że odrzuca prawo i miłość

Boga.

W *Liście do Galatów* (5:19-21) św. Paweł podaje listę grzechów ciężkich: »Jest zaś rzeczą wiadomą, jakie uczynki rodzą się z ciała: nierząd, nieczystość, wyuzdanie, uprawianie bałwochwalstwa, czary, nienawiść, spór, zawiść, wzburzenie, niewłaściwa pogoń za zaszczytami, niezgoda, rozłamy, zazdrość, pijaństwo, hulanki i tym podobne. Co do nich zapowiadam wam, jak to już zapowiedziałem: ci, którzy się takich rzeczy dopuszczają, królestwa Bożego nie odziedziczą«.

Natomiast w *Pierwszym Liście do Koryntian* (6:9-10) św. Paweł mówi też Koryntianom: »Czyż nie wiecie, że niesprawiedliwi nie posiadą królestwa Bożego? Nie łudźcie się! Ani rozpustnicy, ani bałwochwalcy, ani cudzołożnicy, ani rozwieżli, ani mężczyźni współżyjący z sobą, ani złodzieje, ani chciwi, ani pijacy, ani oszczercy, ani zdierycy nie odziedziczą królestwa Bożego«”

I tak dalej w tym stylu. Wracam stronę wcześniej i klikam w inny odnośnik podany przez wyszukiwarke. Bez większego zdziwienia przekonuję się, że to, co konkretnie można uznać za grzech śmiertelny, stanowi przedmiot wielkiej dyskusji. Kościół katolicki ma swoje poglądy i definicje, które różnią się od protestanckich. Kościoły prawosławne na wschodzie Europy mają inne poglądy od tych z zachodu kontynentu. Tradycjonałiści uznają siedem tak zwanych grzechów głównych za grzechy śmiertelne, ale inni z tym polemizują.

Jest jednak kilka punktów wspólnych w tej dyskusji. Każdy uznaje, że morderstwo to zło. Homoseksualizm powszechnie jest uważany za szybki bilet do piekła.

– Przykro mi, James – mruczę. – Nikt nie lubi bezbożnych sodomitów.

Z tego, co widzę, według najpowszechniejszych opinii wygląda to tak: wiesz, że grzech jest ciężki, wiesz, że w ten sposób odrzucasz miłość i prawo Boże, a mimo to i tak go popełniasz. Jeśli przed śmiercią nie weźmiesz odpowiedzialności za grzech śmiertelny, to masz przerąbane. Przygotuj się na przypiekanie na węgiel jak kielbaska nad wiecznym ogniskiem.

Siadam wygodnie na krześle i znów zerkam do notatnika.

W porządku, rozbierzmy to na części. A więc... jeśli ocala ich od potępienia, to co? Każe im się wyspowiadać przed śmiercią?

Wtem przychodzi mi do głowy inna możliwość.

A może on ich nie ocala. Może skazuje ich na potępienie.

Jeśli wie o czymś, co zrobili, o czymś, co uważa za grzech śmiertelny, i jeśli zabija ich, nim zdążą odpokutować za ten grzech, to według jego rozumowania wysyłałby ich prostą drogą do piekła.

Po co miałyby to robić? Wątpię, by łączyło go coś osobiście z ofiarami, więc bezpośrednia zemsta nie wchodzi w grę. To musiałoby być coś szerszego. Zemsta za kogoś? Jakieś przesłanie? Wola Boga?

– Ocalasz ich czy skazujesz na potępienie? Przejmujesz się losem ich dusz? – Sfrustrowana rzucam notatnik na biurko. – Czy jaw ogóle jestem na dobrym tropie?

Zastanawiam się nad tym. Tak, to dobry trop. Nie mogę tego udowodnić, czuję to. Tak to się już dzieje.

Nie zabija ich dla satysfakcji seksualnej. Zabija, bo śmierć ofiar ma znaczenie religijne, a grzech to oś, wokół której kręci się cała religia.

Biorę notatnik i wracam do salonu. Patrzą na kartkę, myślę i znów zaczynam pisać.

Zadał nam pytanie: „Co zbieram? Oto pytanie i zarazem klucz”.

Chyba znam właściwą odpowiedź, a przynajmniej odpowiedź właściwą na teraz, na podstawie obecnych informacji i przeczuć.

Grzechy. Zbiera grzechy. To jest motyw. To łączy jego ofiary. Nie kolor włosów, rozmiar biustu czy płeć. Jego ofiary to grzesznicy (albo tak mu się wydaje).

To się trzyma kupy. Rezonuje. Mój wewnętrzny kamerton drga, mówiąc mi, że uderzyłam we właściwy ton.

Pozostaje tylko jedno pytanie.

Czy wysyła grzeszników w miejsce, na które zasłużyli, czy daje im odkupienie, by usiedli po prawicy Boga?

Kolejne pytanie przychodzi samo, wraca wewnętrzny głos, który próbowałam stłumić.

A co z twoim grzechem? Czy można go uznać za śmiertelny?

O tak, z pewnością. Dobrze, że nie wierzysz w piekło ani niebo.

Prawda?

Zbywam to milczeniem, cudownym milczeniem.

– Bogu dzięki – mruczę z sarkazmem i goryczą, na jakie mnie stać. Bóg nie odpowiada, jak to ma w zwyczaju.

Fala zmęczenia powala mnie jak pędząca ciężarówka. Jest tak szybka i silna, że powieki same mi się zamykają. Notatnik wypada mi z palców, a ja kulę się na kanapie i zapadam w ciemność snu.

Budzi mnie telefon. Zrywam się z kanapy. Czuję kaca, choć nie jest to efekt wypitego wczoraj alkoholu. To kwestia wieku. Jako dwudziestokilkulatka potrafiłam nie spać przez całą noc, albo i dwie, potem nieco odsypiałam i budziłam się jak nowo narodzona. Teraz mój powrót do normalności trwa nawet kilka dni. Bolący kark to najlepszy dowód, że spanie na kanapie nie było najlepszym pomysłem.

Jęcząc, siadam z trudem. Poprzednią noc spędziłam samotnie. Teraz cieszę się, że nikt mnie nie ogląda w tym stanie. Wysiłkiem woli rozbudzam się i odbieram telefon.

- Barrett – mówię chrapliwie.
- Brzmisz jak skowronek, kochaniutka.
- Która jest godzina?
- Ósma trzydzieści rano.
- Co? Jasna cholera.

Wstaję i pędzę do kuchni, trzymając komórkę przy uchu. Wieczorem zapomniałam ustawić zegar w ekspresie. Wciskam więc włącznik i czekam, aż zacznie płynąć błogosławiony brązowy nektar. Jeśli chodzi o pierwszą poranną kawę, wykazuję się cierpliwością nałogowca na głodzie. Bonnie zawsze budzi się wcześniej i dobrze wie o mojej słabości. Nalewa mi kawę, kiedy tylko słyszy moje kroki na schodach.

– Leniuch, leniuch – drażni się Callie. – Zaspałaś z powodu nadmiaru akrobatycznego seksu?

Callie ma dobre intencje, ale pytanie przypomina mi poprzednią noc. Napięcie w moim głosie sprawia, że Callie się waha.

– Hm... czy to warknięcie oznaczające „nie” to efekt braku kofeiny czy jakichś problemów domowych?

– Jednego i drugiego, ale nie chcę teraz o tym gadać. Co się dzieje? Gdzie jesteś?

– Bliżej, niż ci się wydaje. Słyszę pukanie do drzwi.

– Świnko, świnko, wpuść mnie do domu.

Znów jęczę. Nie mam ochoty spotykać się teraz z Callie lub w ogóle z kimkolwiek.

– Chwileczkę – wzdygam.

Siedzimy u mnie przy stole. Jestem w połowie kawy i życie powoli nabiera kolorów.

Callie siedzi naprzeciw mnie i też pije kawę. Przypatruję się jej i jak zwykle nie mogę się nadziwić, że jest w stanie świetnie wyglądać w każdej sytuacji.

Ja miałam okazję przespać się w nocy, a siedzę w wygniecionym ubraniu i z włosami w nieładzie. Callie wygląda, jakby właśnie wyszła z całodziennego pobytu w spa.

Sięga do kieszeni marynarki i wyjmuję tabletkę przeciwbólową. Wracam do rzeczywistości. Popijam kawę i wpatruję się w jej oczy. Czai się w nich zmęczenie, ale jest starannie ukrywane – trzeba umieć patrzeć, by je dostrzec.

– I co, maruda ma się już lepiej? – pyta Callie.

– Trochę. Kiedy wróciłaś?

– Damien i ja przylecieliśmy jakieś dwie godziny temu. W naszym laboratorium sprawdzimy zawartość szkatułki z dowodami. – Podnosi



filiżankę w toaście. – A ja będę mogła znów zapanować nad moim ślubem.

Unoszę brwi.

– A coś idzie nie tak?

– Nic strasznego, ale niewykluczone, że Kirby potrzebuje trochę więcej... nadzoru.

– Co się stało? – Oczyma duszy widzę kwiaciarza Callie, który budzi się i widzi siedzącą przy jego łóżku Kirby obracającą w rękę sztylet.

– Jakież problemy z tortem. Kirby zbyt entuzjastycznie dbała o moje interesy. Właściwie nic nie zrobiła, ale za bardzo odsłoniła prawdziwą twarz.

– Aha – mówię.

Prawdziwa twarz Kirby jest przerażająca. Zwykle jest szczebiotliwa i urocza, ale chwilami jej wzrok staje się zupełnie nieludzki. Wtedy można się poczuć, jakby patrzyło się w oczy bardzo wygłodniałej pantery.

– Chcieli oddać mi zaliczkę, ale Sam znów ich oczarował. Kiedy kota nie ma, zabójcy harczą. – Odstawia filiżankę i pochyla się do przodu. – A teraz zdradź mi, co z Tommym.

Kusi mnie, żeby powiedzieć Callie, by pilnowała własnego nosa, ale wiem, że na nic by się to zdało. Wygłupiłabym się tylko.

– Powiedział mi, że mnie kocha.

– Naprawdę?

– Tak.

Callie opiera się wygodnie o krzesło. Zamyśla się.

– No cóż – odzywa się po chwili. – Rozumiem, że może to być dla ciebie trudne.

Inna twarz Callie, to między innymi dlatego tak się przyjaźnimy. Jest

mistrzynią ciętej riposty i potrafi dogryźć każdemu, ale wie też, kiedy trzeba zachować powagę.

– Sęk w tym, że sama nie wiem, dlaczego to jest takie trudne. Ale jest. To tylko częściowe kłamstwo.

– Chodzi o Matta? Bo wiesz, Smoky, Matt nie miałby zupełnie nic przeciwko twojemu związkowi z Tommym.

Callie знаła Matta i uwielbiała go. Wpraszała się często na kolację. Wprost zajadała się taco przyrządzanymi przez Matta.

– Wiem. Właśnie w tym rzecz, że dobrze o tym wiem. Jeśli chodzi o Matta i Alexę już się ze wszystkim pogodziłam, naprawdę. Zostały mi po nich wspomnienia i cieszę się z nimi. Już mnie nie dręczą.

Callie odzywa się z delikatnością w głosie:

– Czas ruszyć do przodu, Smoky.

Przyglądam się przyjaciółce. Przeszła ze mną przez wszystko. Nie zna tej jednej tajemnicy, którą zachowałam dla siebie, ale wie o całej reszcie.

– Mogę cię o coś zapytać, Callie?

– Jasne.

– Dlaczego wychodzisz za męża? Oczywiście, wiem, dlaczego ludzie się żenią... ale co się zmieniło? Zawsze byłaś samotną wilczycą.

Wodzi po filiżance paznokciem w kolorze burgunda.

– Osamotnioną wilczycą, nie samotną. To jednak różnica. Musiałam mieć absolutną, całkowitą pewność. Wilki wiążą się przecież na całe życie.

– I co, masz już tę pewność?

Patrzy na mnie z rezerwą. Callie to jedna z najbardziej skrytych osób, jakie znam. Jeśli jest się w stanie zwierzyć komuś innemu poza Samem, to

właśnie mnie, ale mimo wszystko rzadko kiedy opuszcza gardę.

– Tak. Mam pewność.

W końcu uśmiecha się, całkowicie mnie zaskakując. Odkrywam, że ta pewność bardzo ją cieszy. Nigdy nie popadała w depresję, ale istnieje zasadnicza różnica między zadowoleniem a radością. To właśnie radość.

– Miłe uczucie, co?

– Owszem.

Uśmiech znika z jej twarzy i Callie znów kryje się za ścianą przewrotnej ironii.

– No dobrze – mówi. – Zupełnie nie nadajemy się na bohaterki *Seksu w wielkim mieście*, więc zmieńmy temat i weźmy się do pracy.

Podnoszę filiżankę.

– Wypiję za to.

Dlaczego nie wymienią nam wykładzin? – narzeka Alan, idąc korytarzem w stronę naszych pokojów.

– Bo tutaj nikogo nie wpuszczają i Biuro nie musi na nikim robić wrażenia – odpowiadam.

Callie i ja spotkałyśmy Alana w windzie.

– Jeśli to prawda, to niech ta wykładzina zostanie – mówi Callie. – Lepsze to niż media.

W rzeczywistości wykładzinie nic nie brakuje. Ma cienki mocny splot, wytrzymuje duży ruch ludzi, jest może nieco wytarta, ale bez problemu nadaje się do użytku. Po drodze do wind przechodziliśmy jednak przez recepcję i Alan zauważył, że już drugi raz w ciągu pięciu lat wymieniane jest marmurowe tło za wielkim biurkiem recepcjonistek.

– Ale przyznaj uczciwie, Alan – mówię. – Poprzednio hol wejściowy musieli remontować z naszego powodu.

Dwa lata temu do recepcji wpadł pewien człowiek i wrzucił kilka granatów. Potem zaczął strzelać z karabinów maszynowych, a w końcu uciekł. Miał powiązania z człowiekiem, którego ścigaliśmy, więc w pewnym sensie była to nasza wina.

– No tak. Ale patrzcie! – Rozdrażniony wskazuje małą plamkę. – Tam kładą nowy marmur, a ja od czterech lat muszę patrzeć na tę plamę, ilekroć idę do swojego gabinetu. To nie w porządku.

– Nie wiedziałam, że taki z ciebie pedancik – drażni się z nim Callie.

Skrećamy ostatni raz w lewo i docieramy do kilku pokojów, zwanych w budynku FBI Centralą Śmierci.

Mój oficjalny tytuł to Koordynator NCAVC. NCAVC to skrót od National Center for the Analysis of Violent Crime – Narodowe Centrum Analiz Zbrodni ze Szczególnym Okrucieństwem. Jego centrala mieści się w Waszyngtonie. Każdy regionalny oddział FBI ma kogoś, kto jest miejscowym „przedstawicielem” NCAVC. Takim przedstawicielem do spraw śmierci. W pipidówce przeważnie jest to pojedynczy agent, który ma na głowie także liczne inne obowiązki. Tu w Los Angeles mamy pełnoetatowego koordynatora z własną ekipą, czyli mnie i mój zespół. Podejrzewam, że seryjni zabójcy, tak jak wszyscy inni, lubią słoneczną kalifornijską pogodę.

– Zdaje się, mówiłaś, że nie wszystkich tu wpuszczają – mówi Alan.

Kirby stoi przed drzwiami do naszego biura i okręca wokół palca pukiel blond włosów. Kiedy nas widzi, świecą jej się oczy.

– No cześć, ludziska! Jak leci? Jak tam było na wschodzie? Dla mnie tam jest za zimno. Jeśli gdzieś się nie da pić piwa na plaży przez cały rok, to znaczy, że to miejsce nie dla mnie. Ale co tam, mam do pogadania z Callie, słonko, o ślubnych przygotowaniach.

To cała Kirby – kiedy mówi, jest jak rozpedzony pociąg towarowy i nie zważa zupełnie na nic.

– Jak się tu w ogóle dostałaś? – docieka Alan.

– Znasz mnie przecież, mam swoje sposoby. – Mruga do niego i przymierza się, żeby dać mu przyjacielskiego kuksańca, ale Alan podnosi rękę w geście protestu.

– Kirby, nie chcę mieć kolejnego siniaka.

Kirby ma tylko metr sześćdziesiąt osiem, ale jej „przyjazne kuksańce” są jak uderzenia Mike’a Tysona. Uśmiecha się do Alana.

– No, nie bądź babą. Ale dobrze, odpuszczam ci, bo twoja żona robi zajebiste babeczki. Zjadłam wczoraj kilka i...

– Co?! – krzyczy Callie.

– Spokojnie, Callie, słonico, tylko próbowałam. Nie zeżarłam tych wybranych.

– Hm – mówi Callie. – I przestań mnie tak nazywać.

Ale tylko traci czas. Kirby będzie mówić na nią „kochana”, „Czerwona Sonia” i jak tylko będzie jej się żywnie podobało. Po prostu nie boi się Callie. Zresztą nikogo się nie boi.

– I przepraszam za tego faceta od tortów. – Przewraca oczami. – Kto by pomyślał, że przypadkowy widok broni może tak go wytrącić z równowagi?

– Przypadkowy, tak? – odzywa się Alan.

Niedowierzanie w jego głosie aż bije po uszach.

– Hej – rzuca Kirby z wyrzutem. – Przecież nie jestem barbarzyńcą. – Uśmiecha się, pokazując dołeczki w policzkach. – Po prostu wiem, jak utrzymać pozycję negocjacyjną.

Alan się uśmiecha.

– To tak się to teraz nazywa?

Pięść Kirby łąduje ze sporą siłą na bicepsie Alana. Alan krzywi się i pociera bolące miejsce, patrząc z irytacją na Kirby.

– Mężczyźni to takie dzieci. – Odwraca się w końcu do Callie. – No to powiem, co mnie tu sprowadza. Krawiec chciał nas orznać na dodatkowe pięć stówek z powodu zmian koloru sukien dla drухen. Powiedziałam mu, że moim zdaniem to nie w porządku, ale się upierał, więc mu powiedziałam, że powinien się nauczyć lepszych manier. I wiesz co?

Zgodził się. – Uśmiecha się jak dziecko, któremu właśnie wręczono świadectwo z czerwonym paskiem.

– Tak po prostu? – dziwi się Callie.

– No nie, to tylko skrócona wersja, ale przecież szczegóły dyplomatycznej kuchni są dość nudne, prawda? Zawszę mówię, że dopóki nikt nikogo nie zabił ani nie poszedł do więzienia, zadanie jest wykonane.

Callie postanawia odpuścić.

– Co jeszcze?

– Kwiaciarz jest słodziutki. Nawet przesłodziutki. Przez ostatnie kilka nocy odlatywał przy mnie... a ja przy nim, muszę przyznać. No, ale nieważne... najważniejsze, że zejdzie nam mocno z ceny. Nie chcę się chwalić, ale... – Uderza biodrem w moje biodro. – Jestem pewna, że to dlatego, że nie mógł zejść ze mnie. – Chichocze prawie jak mała dziewczynka. – Nie mógł ze mnie zejść. Chwytnie?

Alan jęczy. Ja kręcę głową i się uśmiecham. Callie przechodzi nad tym do porządku dziennego. Oto pragmatyzm przyszłej panny młodej.

– Możesz się puszczać na prawo i lewo, kochaniutka, jeśli zaoszczędzę na tym kilka stówek – mówi radośnie. – Coś jeszcze?

– Nie.

– Dzięki za wieści. Informuj mnie na bieżąco, proszę.

– Tak jest. – Odwraca się i idzie korytarzem.

– Aha, Kirby? – woła za nią Callie. – Nie pokazuj broni przy zakupach poniżej tysiąca dolarów.

– Ma się rozumieć, Callie, słonko.

Alan kręci głową.

– Nie martwi cię, że sypia z twoim kwiaciarzem, żeby dostać zniżkę?

Callie klepie go po policzku.

– Alan. Kwiaty są drogie.

– Miło, że wszyscy są.

James patrzy na nas z niechęcią.

– Nie rób miny skrzywdzonego geja – mówi Callie, mijając go. – Ja też nie spałam. A w ogóle to wina Smoky.

– A ty? – James zaczepia Alana. – Jaką masz wymówkę?

– Taką jak zawsze: nie twój interes.

– Założę się, że za chwilę zadzwoni do nas wicedyrektor – przerywam tę przyjacielską pogawędkę. – Spotkajmy się za pięć minut.

James piorunuje mnie wzrokiem, ale milczy. Idę do mojego gabinetu.

Centrala Śmierci składa się tak naprawdę z dwóch dużych pokojów. Większy to otwarta przestrzeń, w której stoją biurka Jamesa, Callie i Alana. Do mnie należy mały kantorek z drzwiami. Wystrój jest spartański, ale funkcjonalny.

Siadam w fotelu i dzwonię na komórkę Bonnie.

– Cześć, Smoky!

Głos Bonnie daje mi to, czego wieczorem bezowocnie szukałam w pracy i butelce tequili. Jest taka szczęśliwa, że ze mną rozmawia, cieszy się szczerą i bezwarunkową radością. Mężczyźni przychodzą i odchodzą, za to dziecko jest zawsze.

– Cześć, kochanie. Jak się masz?

– Świetnie. Zaraz zaczynam matkę z Elainą. Nuda.

– Skarbie, żadnego olewania lekcji.

Prawie słyszę, jak przewraca oczami, zauważając moją próbę użycia



młodzieżowego slangu. Chyba mnie olewa.

– Przyjedziesz dzisiaj po mnie? Chcę cię zobaczyć. Poza tym miałyśmy wypróbować ten przepis na stek.

Kilka miesięcy temu zawarłyśmy z Bonnie umowę. Uznałyśmy zgodnie, że choć mikrofalówka to cud techniki, to jednak stanowi ograniczone narzędzie kuchenne. Postanowiłyśmy, że jeden wieczór w tygodniu – nieważne który – poświęcimy na próbę prawdziwego gotowania. Kupiłam kilka książek kucharskich i parę razy świetnie się bawiłyśmy, wypełniając przy tym dom dymem i swądem przypalonego mięsa. Kilka razy udało się nam nawet przyrządzić coś jadalnego.

– Kupię po drodze steki i przyjadę po ciebie, skarbie.

– Super.

– To wracaj do matmy, kochanie. Do zobaczenia wieczorem.

Głośne westchnienie. Podnosi mnie to na duchu, jak każdy normalny objaw w zachowaniu Bonnie. Kiedy zostanie zwyczajną nastolatką i zacznie mi pyskować, pewnie nie będę skakać z radości.

– Dobra. Pa, pa.

Zastanawiam się, czy nie zamienić kilku słów z Tommym, ale nie dzwonię. Trochę za bardzo chcę z nim teraz porozmawiać.

Przechodzę z gabinetu do głównego pokoju. Stoi w nim wielka tablica do pisania markerami, przy której urządzamy burzę mózgów. Otwieram mazak i czuję na sobie wzrok pozostałych.

– Najpierw przypomnijmy sobie, co mamy – mówię. – Wiemy, że są dwie ofiary: Lisa Reid i Rosemary Sonnenfeld. – Piszę ich nazwiska na tablicy. – Wiemy, że zginęły w różnych miejscach kraju.

– To oznacza, że zabójca podróżuje – mówi Alan. – Pytanie, dlaczego?

James przytakuje.

– Właśnie. Czy podróżuje, bo lubi zabijać na dużym obszarze, czy dlatego, że śledził swoje ofiary?

– Moim zdaniem chodzi o tę drugą możliwość – wtrącam się.

Opowiadam im o mojej teorii kolekcjonera grzechów.

– Porąbane – stwierdza Callie. – Ale interesujące.

– Odrzućmy różnice między ofiarami – mówię. – Jedna była kobietą, draga mężczyzną zmieniającym się w kobietę. Lisa Reid pochodziła z bogatej, dobrze ustosunkowanej rodziny, Rosemary zaś to prostytutka i narkomanka. Rosemary miała włosy blond, Lisa – ciemne. Łączy je jedynie to, jak poniosły śmierć i być może jakieś rzeczy z przeszłości.

– To znaczy? – pyta James.

– Dziennik Lisy. Wspomina w nim o jakimś wielkim sekrecie, już ma napisać, co to takiego, ale ktoś wyrwał kolejne strony. Zabójca zostawia nam liścik. Wiemy już, że Rosemary przed nawróceniem wiodła mało chlubne życie.

– Twierdzisz, że jedyne, co ich łączy, to grzechy? – dopytuje Alan.

– No, to nam zawęży grupę ofiar – mruczy Callie.

– A co z wynikami analizy kryminalistycznej?

– Na razie zero. Mamy całą torbę śladów, które odkurzyliśmy w samolocie. Mamy zakrwawione siedzisko fotela, ale myślę, że to będzie krew Lisy. Mamy rozmazane ślady, ale żadnych odcisków palców z podłokietników. Może znajdzie się coś w tych odkurzonych śladach, ale...

– Podejrzewam, że nie – przerywam. – Zabójca jest starszy i doświadczony. Nie wydaje mi się, żeby popełniał szkolne błędy.

– Oddam krzyżyk do analizy – ciągnie Callie. – Analiza metalurgiczna

nie daje praktycznie nic, ale to nasz jedyny bezpośredni trop prowadzący do zabójcy.

Ma rację. Krzyżyk to jego symbol. Jest dla niego ważny. Kiedy go dotykamy, to tak jakbyśmy dotykali jego.

– Dobrze. Co jeszcze?

– Słuchajcie – mówi James – poza motywacją religijną, z którą też się zgadzam, na razie mamy jeszcze inny bardzo ważny pewnik. Sposób zabójstwa.

– Dźgnięcie w bok – przypomina Alan.

– Dźgnięcie w prawy bok – poprawia go James. – To ważne z perspektywy religijnej.

Patrzę na niego i doznaję olśnienia. Zastanawiam się, dlaczego sama na to nie wpadłam.

– Włócznia Longinusa – mówię.

– Bardzo dobrze – odpowiada James.

– Chwilka – przerywa Callie – bo się pogubiłam. Możecie obecnym tu poganom wyjaśnić, o co chodzi?

– Longinus to rzymski żołnierz, który przebił Chrystusowi bok włócznią żeby mieć pewność, że nie żyje – wyjaśnia James.

– „Ale jeden z żołnierzy przebił jego bok włócznią i natychmiast poląła się z rany krew i woda” – intonuje Alan.

Patrzę na niego zdumiona. Uśmiecha się.

– Szkółka niedzielna u baptystów. Moi kumple i ja bardzo lubiliśmy Apokalipsę i opowieść o ukrzyżowaniu. Dramatyczna i pełna krwi.

– Umknęło wam głębsze przesłanie – zauważam.

– Daj spokój, miałem wtedy dziesięć lat.

– Tak, tak, tak – wtrąca zniecierpliwiony James. – Chodzi jednak o to, że powszechnie jest przyjęte, iż Longinus wbił Chrystusowi w bok włócznię.

– Tak jak nasz sprawca swoim ofiarom – zauważa Callie.

– Najważniejsze jest jednak pytanie – ciągnie James – dlaczego je zabija?

– To proste – odzywa się Alan. – Bo są grzesznikami.

James kręci głową.

– Ale jeśli byli u spowiedzi, nie są grzesznikami. A ksiądz Yates twierdzi, że Rosemary się wyspowiadała.

– Zaraz, zaraz – wtrącam się. – Snujecie mnóstwo hipotez. Może on po prostu myśli, że Rosemary zgrzeszyła, bo kiedyś była dziwką. Lisa Reid zmieniała płeć, co chyba sieje zgorszenie na całym świecie.

– To prawda – przyznaje James. – Ale nie pasuje do jego metodologii. Jeśli wzburzyły go ich czyny, to dlaczego prawie nie używa przemocy? Zabójstwa są eleganckie, funkcjonalne i symboliczne. Brak w nich pasji.

– Nie ma też śladów torturowania – zastanawia się Callie. – Tak jakby ofiary były niezbędne. Jak rekwizyty w sztuce.

Brak gniewu nadal wydaje się istotnym elementem. W zbrodniach na tle seksualnym ofiary są gwałcone. Naszych ofiar nie zgwałcono. Ciało Rosemary zostało ułożone, ale nie w sposób upokarzający. Sama ich śmierć była dla niego ważniejsza niż cokolwiek innego.

– A zatem – mówi James. – Różne typy ofiar, brak motywów seksualnych, wątek religijny. Co nam to wszystko mówi?

– Jeśli nie chodzi o seks – rozmyślam – to chodzi albo o zemstę, albo o jakieś przesłanie. Albo odgrywa się na kimś, albo zabijając, stara się nam

coś przekazać.

– Nie chodzi o zemstę – rzuca James.

Stwierdza to stanowczo.

– Zgadzam się – przytakuję. – Widać byłoby więcej gniewu.

– To co w takim razie nam mówi? – pyta Alan.

– Nie wiem. Ale to musi być coś ważnego dla niego. Alan, czy w VICAP trafiłeś na jakieś podobne zabójstwa?

– Nie. Callie gwizdże.

– No pięknie. To jesteśmy w lesie. Rzucam jej mordercze spojrzenie.

– Bardzo nam pomogłaś.

– Mówię, co widzę.

Denerwuję się nie na Callie, lecz na to, że mówi prawdę. I z powodu konsekwencji tej sytuacji.

– Wiesz, że już wybrał następną ofiarę – oznajmia James, czytając w moich myślach. – I może jeszcze następną.

Patrzę na niego kwaśno.

– Powinieneś wziąć się z Callie do roboty w laboratorium.

– A my? Albo ja? – pyta Alan.

– Muszę zdać relację wicedyrektorowi Jonesowi i zadzwonić do Rosario Reid. Potem pojedziemy razem do księdza Yatesa. Chcę przesłuchać każdego, kto znał Rosemary i miał z nią do czynienia w ciągu ostatnich kilku lat.

Kiwa głową z uznaniem.

– Dobry detektyw sam szuka śladów.

– Wyświechtane powiedzenie – mówi Callie, bocząc się na niby. – Bawcie się dobrze. Damien i ja idziemy do laboratorium.

– Przestań mnie tak nazywać, narkomanko jedna – mówi James.

Z Jamesem nigdy nic nie wiadomo. Nabija się z Callie? Czy naprawdę próbuje nadepnąć jej na odcisk?

Callie nie daje sobie wejść na głowę.

– *Touchée*, Priscillo. A teraz wkładaj te swoje różowe kapciuszki i idziemy popracować.

Wychodzą, obrażeni na siebie.

– Zdaje, że James przyzwyczajają się do docinek Callie o jego orientacji – zauważa Alan.

– Myślę, że bardziej by go zaniepokoiło, gdyby mu nie dogryzała. W ten sposób James ma pewność, że zupełnie jej to nie wzrusza. Zresztą wie, że Callie będzie sobie na to pozwalać tylko w naszym gronie.

– Tak. To co, załatwiasz te swoje pozostałe obowiązki?

– Daj mi piętnaście minut. Spotkamy się na dole w holu.

W wiadomościach na razie nic nie mówili o Lisie Reid – mówi mi wicedyrektor Jones.

– Jestem pod wrażeniem. Pomijając już fakt, że to dziecko kongresmana, to przecież morderstwo w środku lotu powinno kogoś zainteresować.

– Dyrektor Rathburn wie, jak postępować z mediami. Ale nie da się tego ukrywać bez końca. Na czym stoimy?

Opowiadam mu wszystko, co się zdarzyło od naszej ostatniej rozmowy, w tym o rozmaitych teoriach, które rozważamy.

– Co ci podpowiada twój nos? – pyta na koniec.

Wicedyrektor Jones dotarł na swoje stanowisko, mozolnie awansując. Przepracował już w życiu swoje. Nigdy nie będzie z niego krawaciarz. Kiedy zadaje takie pytanie, robi to, bo szanuje moje poglądy i chce poznać prawdę bez upiększeń.

– Myślę, że za chwilę trafimy na mur, chyba że znajdziemy jakiś nowy trop albo...

– Albo on zabije kogoś nowego – kończy za mnie wicedyrektor Jones.

I znów to czuję, czuję, jak Ziemia przestaje się przez chwilę obracać. Gdzieś tam żyje zabójca i poluje. Może, kiedy spałam, jakaś kobieta straciła życie. Może jakaś inna zginęła, kiedy dziś rano piłam kawę i żartowałam z Callie.

Czy ta kobieta krzyczała, podczas kiedy my rozmawiałyśmy? Czy zabójca uśmiechał się, nieświadomy własnych namiętności, kiedy modlił się i słuchał bzyczenia tych cholernych cykad?

Zmuszam się, żeby przestać o tym myśleć.

– Tak, dyrektorze. To bardzo metodyczny przestępca. Jest pewny siebie i podejmuje ryzyko, ale nie jest szaleńcem. Nie zмага się z pożądaniem seksualnym, nie słyszy głosów w głowie. Podąża szlakiem w stronę wyznaczonego celu. Lecz co to dokładnie za cel, na razie jeszcze nie wiemy.

Wicedyrektor Jones rozsiada się wygodnie w obitym brązową skórą fotelu, który stoi w jego gabinecie, od kiedy znam swojego szefa. Już parę razy kazano mu się go pozbyć, ale nic sobie nie robił z tych poleceń. Potrafi być uparty. Uchodzi mu to na sucho, bo jest dobry w swoim fachu.

– No dobrze – odzywa się. – W takim razie co nam zostało? Mamy jakiś plan ataku?

– Callie i James sprawdzają ślady z samolotu. Może tam coś znajdziemy.

– Ale nie wydaje ci się.

– No nie, dyrektorze, ale... – Wzruszam ramionami. – Zakładam, że i ja, i pan możemy wyjść na durniów.

– No dobrze. Co jeszcze?

– Alan i ja wracamy do księdza Yatesa. Przesłuchamy wszystkich, którzy znali Rosemary, i zobaczymy, co nam to da.

Stuka palcami po biurku. Kiwa głową.

– Przekażę wszystko dyrektorowi. Informuj mnie na bieżąco.

– Dobrze, dyrektorze.

– Smoky, i zadzwoń do Rosario Reid. Niech i ona wie wszystko na bieżąco. Lepiej nie mieć w niej wroga.

– Właśnie miałam do niej dzwonić, dyrektorze.



– Nic nowego? Zupełnie nic?

Głos Rosario brzmi jak z zaświatów. Nie słyszę w nim tej siły, jaką czułam owego wieczoru w samochodzie.

– Nie, przykro mi. Ale to dopiero początek, Rosario, sam początek. Czasami tak właśnie bywa.

– A ta druga Bogu ducha winna dziewczyna, którą zamordował? Ma jakąś rodzinę?

– Nic nam o tym nie wiadomo. Ale miała swój kościół.

Cisza.

– Jutro jest pogrzeb Lisy.

Słyszę napięcie w jej głosie, potrzebę przełamania wewnętrznej tamy.

– Przykro mi.

– Smoky, mogę cię o coś zapytać?

– O wszystko.

– Co czułaś na pogrzebie Alexy?

Pytanie tnie z precyzją skalpela. W mgnieniu oka niszczy mój mur obronny.

Co czułam? Wciąż widzę to wyraźnie przed oczyma. Pochowałam ich oboje jednocześnie, Matta i Alexę, cały mój świat. Pamiętam, że dzień był piękny. Kalifornijskie słońce igrało po wiekach trumien tak, że błyskały metalowe okucia. Niebo było bez jednej chmurki. Nic nie słyszałam, niczego nie czułam, nic nie mówiłam. Nie mogłam się nadziwić słońcu i patrzyłam, jak całe moje życie idzie do piachu, na zawsze.

– To było jak horror bez końca – mówię do niej.

– Ale ostatecznie się skończył, prawda?

– Tak.

– I to było jeszcze gorsze, prawda? Że się skończył.

– To było najgorsze ze wszystkiego.

Obiecałam jej mówić zawsze prawdę i nie powstrzymuję się, by ją przekazać. Rosario Reid to moja duchowa siostra. Nie mamy we krwi skłonności do rozpaczania czy wpadania w nałogowy alkoholizm. Jesteśmy stworzone, by rozpaczać, krzyczeć, a kiedy wszystko minie, żyć dalej. Zmienione i poważniejsze, ale wciąż żywe. Chce wiedzieć, co się stanie, więc jej mówię. Nie potrafię jej przed tym ochronić, mogę ją tylko przygotować.

– Smoky, dziękuję za informacje. – Milczenie. – Wiem, że nawet jeśli go znajdziecie, nie poczuję się wcale lepiej. To mi jej nie zwróci.

– Ale nie o to chodzi, Rosario. Rozumiem cię, uwierz mi. On musi za to zapłacić.

Musi zapłacić za swój czyn nie dlatego, że to miałoby zwrócić nam Lisę, nawet nie dlatego, że zmniejszy to czyjś ból po jej śmierci. Musi zapłacić, bo zabił dziecko Rosario. Nie potrzeba żadnego innego powodu, ten jeden wystarczy. Ten, kto odbiera matce dziecko, musi ponieść odpowiednią karę. To uniwersalne prawo, którego trzeba przestrzegać.

– Tak. Do widzenia.

– Do widzenia, Rosario.

Rozłączamy się, a ja uświadamiam sobie, że w pewnym sensie miałam szczęście. Dopadłam człowieka, który zabił moje dziecko. Niczego to nie zmieniło. Moja Alexa wciąż nie żyje. Ale... kiedy myślę o nim, jak ginął z mojej ręki, mruczy we mnie lwica – przerażająca i usatysfakcjonowana. Krew na wąsach drapieżnika zawsze smakuje bosko.

Lato odchodzi tu długo, trzyma się kurczowo promieni słońca. Powietrze tego ranka było rześkie, chłodne, ale nie zimne. Teraz temperatura zmierza w stronę kilkunastu stopni Celsjusza.

Ruch na drodze nie jest przesadnie duży. Alan ma na liczniku cały czas ponad sto dwadzieścia na godzinę. Jak na autostradę 405 o tej porze dnia to prawie cud. Na czterystapiątce nigdy nie jest pusto, niezależnie od godziny.

Obserwuję, jak Los Angeles powoli zmienia się w San Fernando Valley. To subtelna zmiana, ale jednak. Gdyby Los Angeles było jabłkiem, psułoby się od środka. San Fernando Valley też się psuje, ale w tych pęknięciach mimo wszystko rosną kwiaty. Jest tu trochę więcej przestrzeni, nieco mniej brudu.

Zajeżdżamy na parking przed kościołem Zbawiciela.

– Nie wygląda atrakcyjnie, co? – zauważa Alan.

Poprzedniego wieczoru nie przyjrzałam się dokładnie budowli. Było ciemno, a ja padałam ze zmęczenia. Alan ma rację. Budynek jest mały, pewnie brakuje pieniędzy na jego utrzymanie. Ksiądz Yates raczej nie ma bogatych parafian i nie może liczyć na maselko do chleba. Raczej na margarynę. Ta parana kojarzy się z kranową, a nie z wodą z butelki.

– I przez to wygląda bardziej wiarygodnie – mówię. Alan się uśmiecha.

– Rozumiem cię.

W naszej pracy przekonujemy się, że nie szata zdoła człowieka. Zabójca może nosić koszulkę albo trzyczęściowy garnitur, może być bogaty albo biedny. Nóż jest nożem. Nie ufam całkowicie żadnemu

Kościółowi, ale najmniej ufam tym, które kapią od złota. Pobożność moim zdaniem wiąże się z ascezą.

– Dzwoniłem wcześniej – mówi Alan. – Ksiądz na nas czeka.

Ponownie oglądam wnętrze kościoła. I znów czuję jego zapach, zapach wybielacza. Ławki są drewniane i mocno zużyte. Podłoga z betonu, nie z marmuru. Ołtarz główny jest niewielki. Chrystus wisi tak jak zwykle, spoglądając na nas z góry. Naszemu Zbawicielowi przydałaby się renowacja, w kilku miejscach farba zaczyna się łuszczyć.

Ten widok wprawia mnie w drżenie od środka. Nie wiem, czy wciąż w Niego wierzę, ale kiedyś wierzyłam. W Niego i w Maryję Dziewicę. Modliłam się do Nich, błagałam, żeby wyleczyli moją matkę z raka. Ale mama mimo to zmarła. Ta zdrada zakończyła mój związek z Bogiem. Jak mógł mi wybaczyć moje grzechy, skoro ja nie wybaczyłam mu Jego win?

Ksiądz Yates zauważa nas i podchodzi uśmiechnięty.

– Agentka Barrett, agent Washington.

– Witamy księdza – mówię. – Raczej tu pusto. Spokojniejszy dzień?

Krzywię się w duchu. Najwyraźniej nie potrafię w tym miejscu powstrzymać się od gorzkich słów. Alan patrzy na mnie dziwnie. Ksiądz Yates jest niewzruszony.

– U Zbawiciela każdy dzień jest spokojny, agentko Barrett. Nie zbawiamy tu ludzi na pęczki. Po jednej duszyczce.

– Przepraszam księdza.

Wyrwało mi się. Macha ręką.

– Jest pani wściekła na Boga, rozumiem to. Jeśli On to zniesie – a wydaje mi się, że zniesie – to zniosę i ja. Jest tu ktoś, kogo chciałbym wam

przedstawić. Agent Washmgton wyjaśnił mi cel waszej wizyty. Kobieta, z którą zaraz się spotkacie, to jedyna osoba, która przyszła mi do głowy. O ile wiem, była przyjaciółką Rosemary. Rosemary nie miała już nikogo z rodziny. Ale może ta osoba wam pomoże.

– Dlaczego?

– Bo kiedyś była policjantką. Nawet detektywem. W Ohio.

– Naprawdę?

– Jak Boga kocham. – Uśmiecha się. Oto księży dowcip. – Czeka na was w zakrystii.

Jak wszystko w tym kościele, zakrystia też jest mała, ale czysta. Na prostych półkach stoi kielich mszalny. Widzę też wino i woreczek z opłatkami do komunii.

– Produkują je zakonnice – odpowiedziała mi matka, kiedy zapytałam, skąd się biorą.

Nie przepadałam wtedy za zakonnkami, ale muszę przyznać, że opłatków nie lubiłam jeszcze bardziej. Miały być nagrodą za przetrwanie mszy, ale smakowały jak styropian.

Widzę szafę z pomalowanego na biało drewna, nie ma drzwi. W środku wiszą szaty księdza Yatesa.

W tym małym pomieszczeniu nie ma biurka, tylko okno i trzy poobijane drewniane krzesła. Na jednym z nich siedzi kobieta.

– To Andrea – przedstawia ją ksiądz Yates. – Andreo, to agentka Smoky Barrett i agent Alan Washington.

Kobieta kiwa głową, ale się nie odzywa.

– Zostawię was samych na jakiś czas – mówi ksiądz i wychodzi.

Przyglądam się Andrei. Nie jest drobną kobietką, ale nie jest też wielka.

Ma mniej więcej metr sześćdziesiąt i waży niecałe sześćdziesiąt kilo. Gdyby nie oczy i włosy, wyglądałaby zupełnie przeciętnie. Włosy ma długie i błyszczące, tak czarne, że aż mieniają się na niebiesko. Oczy są wielkie i czyste, jeszcze ciemniejsze od włosów.

To inteligentne oczy. Widzę w nich naturę policjanta. Szczery, bezpośredni, ostrożny wzrok – taką mieszankę sprzeczności widać jedynie w spojrzeniach zawodowych funkcjonariuszy i twardych przestępców. Przygląda się moim bliznom bez widocznej reakcji.

Ma na sobie żółtą koszulkę, chyba nieco za dużą, oraz sprane niebieskie dżinsy i tenisówki.

Wyciągam rękę.

– Miło mi cię poznać, Andreo – odzywam się.

Mocny uścisk jest silniejszy, niż się spodziewałam. Ma suche dłonie. Udaje mi się ukryć zaskoczenie z powodu blizn na jej nadgarstku i ramieniu. Dwa cięcia – jedno wzdłuż, jedno w poprzek. Ślad prawdziwej próby samobójczej.

– Mnie również – odpowiada niskim, gardłowym głosem, mogłaby pracować w sekstelefonie. – Tak, tak, kiedyś próbowałam się zabić. – Pokazuje drugi nadgarstek, na którym widać kolejne blizny. – To do pary.

– Też kiedyś omal tego nie zrobiłam – zdradzam, choć sama nie wiem dlaczego.

Patrzy na mnie łagodnie i kiwa głową, żebyśmy usiedli.

– Dlaczego morderstwem Rosemary zainteresowali się federalni? – pyta.

Od razu do rzeczy. Próbuję standardowej odpowiedzi:

– Nie mogę tego ujawnić.

Uśmiecha się całkowicie bez rozbawienia, a potem chichocze drwiąco: naprawdę sądziliście, że tak łatwo dam się zbyć?

– W takim razie nie mogę wam pomóc. Albo rozmawiamy szczerze, albo w ogóle.

Zerkam na Alana. Wzrusza ramionami.

– W porządku – mówię. – Rosemary to nie jedyna ofiara tego zabójcy. Jeśli chcesz wiedzieć coś więcej, to musimy przerwać rozmowę.

– Nie, to brzmi sensownie. I cieszę się, że to mówicie.

– To, że zabił też innych?

– Oczywiście. Wielokrotne morderstwa łatwiej tropić niż pojedyncze przypadki.

Nie obchodzi jej szersza perspektywa. Jeśli śmierć innych może pomóc rozwiązać sprawę zabójstwa przyjaciółki, to proszę bardzo.

– Chcesz nam o tym opowiedzieć? – pyta Alan.

Patrzę na niego. Wpatruje się intensywnie w Andreę. Alan to chyba najbardziej uzdolniony spec od przesłuchań, jakiego znam, więc nie odzywam się i przez chwilę sama się jej przyglądam.

Dopiero po chwili wpadam na to, co dostrzegł Alan. Widać to w jej oczach, twarzy, we wszystkim. Jest smutna. To nie chwilowy smutek kogoś, kto ma zły dzień. Ale też nie rozpacz. To coś pomiędzy, ciężkie zmęczenie. Andrea ma jakąś historię, złą historię i zanim ją o coś zapytamy, trzeba jej pozwolić opowiedzieć tę historię.

Andrea nie reaguje od razu. Nie przestaje mnie oceniać swoimi wielkimi ciemnymi oczyma, a potem przygląda się Alanowi.

– Kiedyś byłam policjantką – zaczyna. – W Ohio.

Alan kiwa głową.

– Ksiądz Yates nam mówił.

– Byłam dobrą policjantką. Miałam talent. Potrafiłam wyczuć kłamstwo na kilometr i dostrzegałam powiązania tam, gdzie inni nic nie widzieli. Po pięciu latach trafiłam do wydziału zabójstw.

– Szybki awans – zauważa Alan. – Wszystko dzięki zdolnościom czy miałaś jakiegoś rabbiego?

Alan pyta o kogoś z góry, kto pomógł jej w karierze.

– I to, i to. Byłam dobra, naprawdę dobra. Ale miałam też tatę gliniarza, więc dbano o mnie. Takie jest życie w Ohio.

– Tutaj też – potwierdza Alan. – Ja przepracowałem dziesięć lat w wydziale zabójstw w Los Angeles. Zdolności nie zawsze wystarczały do awansu.

– No tak. Ale udało mi się jakoś wszystko nieźle pogodzić. Szybko awansowałam, wyszłam za świetnego faceta, ale nie gliniarza, i urodziłam dziecko. Pięknego chłopca imieniem Jared. Życie było wspaniałe. Ale wszystko się zmieniło.

Przestaje mówić. Wpatruje się przed siebie.

– Co się zmieniło? – naciska Alan.

– Wszystko. Przez jednego faceta. Zabijał rodziny. Hurtem. Pojawiał się na przedmieściu i rozglądał się, póki nie wybrał właściwej rodziny. Koniecznie musiała mieć kilkoro dzieci w wieku co najmniej dziesięciu lat, najlepiej nastoletnich chłopców i dziewczynki, oraz co najmniej jedno z rodziców. Najlepsze były samotne mamy, ale zawsze musiał istnieć jakiś chłopak – czy to tata, czy syn albo brat, nieważne. Pojawiał się, kiedy robiło się ciemno. Ofiarom kazał się rozebrać, a potem przez całą noc



szalał. Zmuszał ich do uprawiania seksu ze sobą. Siostry z siostrami, mamę z synem, tatę z córkami.

Rozumiecie. A potem pieprzył się ze swoim ulubieńcem albo ulubieńcami. Kiedy skończył, zostawiał ich wszystkich przy życiu, poza jedną osobą, którą dusił na oczach innych.

Przełyka ślinę, wspominając to wszystko.

– Zorganizowano grupę pościgową. Zostałam jej wiceszefem. Byłam mocno narwana. Coś w tej sprawie naprawdę mnie ruszyło. Do dziś nie wiem co. Owszem, ponura historia, ale nie takie rzeczy widziałam wcześniej.

– Czasami łatwiej jest zajmować się martwymi ofiarami niż żywymi – odzywam się.

Patrzy na mnie z żywszym zainteresowaniem.

– Zabawne, że to mówisz. Te rodziny, które dopadł, zupełnie się rozkładały. Większość ludzi się rozwodziła. Niektórzy ojcowie i dzieci popełniali samobójstwa. Ale nie zrobiła tego żadna matka. Nadal nie wiem czemu.

– Z powodu dzieci – mruczy Alan.

– Co? – pyta Andrea.

– Matki nie mogły się zabić, bo musiały się opiekować dziećmi. Patrzy przez chwilę na Alana, po czym mówi dalej:

– Najbardziej kręciła go chyba tragedia tych biednych ludzi. To była jego prawdziwa obsesja. Kiedy to zrozumiałam, wiedziałam już, dlaczego zostawiał ich przy życiu. Chciał wracać i obserwować ich rozpacz. Rozstawiliśmy ekipy obserwacyjne wokół domów ofiar i oczywiście ten złamas się pojawił. W Ohio obowiązuje kara śmierci, więc kilka lat temu

koleś nawdychał się cyjanku.

– Świetna robota – mówię.

– Złapaliśmy go – przyznaje Andrea – ale wcale mi to nie pomogło. Nie potrafiłam zapomnieć o ofiarach. O tym, do czego je zmuszał. Co się z nimi działo potem. Zaczęłam mieć kłopoty ze snem. Jak prawdziwy gliniarz nie mówiłam o tym nikomu, a w końcu skończyłam u tego samego terapeuty, do którego w trudnych chwilach zwracał się mój tata. Do doktora Johnny’ego Walkera. – Kolejny uśmiech bez cienia radości. – Doktor Walker był tani, potrafił dochować tajemnicy i zawsze dobrze wchodził.

– Sam u niego bywałem – mówi Alan.

– Naprawdę? – dziwi się.

– Jasne. Jak wielu gliniarzy.

Przez twarz przemyka jej cień gorzkości.

– Sęk w tym, że tak naprawdę wcale nie jest tani. Na początku bierze niewiele, ale w końcu zdziera z człowieka skórę.

– Ja omal nie straciłem przez niego małżeństwa – mówi Alan. – A ty?

Zamyka na chwilę oczy, otwiera je i patrzy na mnie, na Alana, a w końcu w sufit. Widzę w nich burzę, wiatr, deszcz i grzmoty, ból i wściekłość oraz coś jeszcze – coś straszniejszego, ale nieokreślonego.

– Wszystko – mówi. – Straciłam wszystko. – Głos Andrei staje się monotonny. – Może gdybym się do kogoś zwróciła, poprosiła o pomoc, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale gliniarze nie są w tym najmocniejsi, a ja jako kobieta byłam pod jeszcze większą presją. Każdy czekał tylko, aż się potknę. Nie mówiłam nikomu o problemach i dobrze je ukrywałam. Co jak co, ale kłamać gliniarze potrafią. – Patrzy na Alana. – Jechałam po

pijanemu, wioząc Jareda. Mieliśmy wypadek, Jared zginął.

Cisza. Andrea nie patrzy na nas.

Czuję w ustach gorzki smak, jak krew. To kolejna okropna historia, którą mogę dodać do mojego katalogu beznadziejnych i koszmarnych opowieści. To, co się jej przydarzyło, nie stało się dlatego, że była złym człowiekiem, złym gliniarzem czy złą matką. Ta sprawa bolała ją tak bardzo, że zaczęła zaglądać do butelki. Pewnego dnia jechała samochodem z synem i alkohol sprawił, że zamiast w lewo, skręciła w prawo. To był dla niej koniec, przynajmniej na jakiś czas. To, że złapała potwora, nie miało znaczenia. Stała się jego ostatnią ofiarą.

– Dwa razy próbowałam się zabić. Raz za pomocą pigułek, drugim razem brzytwą. Zwolnili mnie z policji na rentę inwalidzką. Zostawił mnie mąż. Miałam już trzeci raz targnąć się na życie, kiedy uświadomiłam sobie prawdę: śmierć jest dla mnie za dobrym wyjściem. Musiałam cierpieć. – Wciąż mówi lakonicznym, monotonnym głosem. – Przeniosłam się więc do Los Angeles i zostałam kurwą.

Krzywię się na to wyznanie.

– Dlaczego? – pytam.

Wbijają we mnie wzrok.

– Pokuta. Zabiłam syna. Zasłużyłam na cierpienie. Uznałam, że dawanie dupy obcym za pieniądze przez cztery czy pięć lat na początek wystarczy. – Parska śmiechem. – I wiecie, na czym polega ironia losu? Jeden facet, którego aresztowałam w Ohio, wyszedł z więzienia i przeniósł się do Los Angeles. Los mi go zesłał. Naprawdę się podniecił, że policjantka, która wsadziła go do pierdła, teraz klęczy przed nim i obciąża mu fiuta.

Jestem wzburzona. Nie potrafię znaleźć słów.

– Ale już z tym skończyłaś – mówi Alan. – Jak tu trafiłaś?

– Czas ma to do siebie, agencie Washington, że wciąż biegnie. Świat idzie naprzód. I człowiek się przez to zmienia, czy tego chce, czy nie. Nieważne, ile wycierpiał, jak bardzo siebie nienawidzi. Prędzej czy później, małymi kroczkami, dusza też posuwa się naprzód. Byłam szczęśliwa, że mogłam cierpieć za to, co zrobiłam Jaredowi. Tak należało. Ale pewnego dnia obudziłam się i przyszło mi do głowy, że może to nie wystarczy. – Wzrusza ramionami. – Musiałam się gdzieś nawrócić. Wychowano mnie jako katoliczkę, więc przyszedłam tutaj. Ksiądz Yates zrobił to, co robi cały czas, i przestałam być kurwą.

Uświadamiam sobie, że to bardzo skrócona wersja wydarzeń. Między prostytutką w ramach pokuty za śmierć syna a dniem dzisiejszym musiało upłynąć mnóstwo czasu, ale ta kobieta mówi nam tylko to, co chce. Nie ma zamiaru płakać ani się rozczulać, czy zwracać rozmodlone oczy ku niebu. Może kiedyś była wrażliwym kwiatem... kto wie? Ale ta róża już dawno skamieniała.

– Jak dobrze znałaś Rosemary? – pyta Alan.

Na chłodnej masce pojawia się drobne pęknięcie.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Zostałyśmy bliskimi przyjaciółkami.

– Przykro mi.

– Życie czasami daje w kość.

– Tu ją poznałaś?

– Tak. Obie w niedziele pracowałyśmy jako wolontariuszki. Pomagałyśmy innym wyrzutkom i tak dalej. Nie byłam zbyt rozmowna. To Rosemary rozwiązała mi język. Miała w sobie jakąś bezradną radość,

której trudno było się oprzeć. Wiedziała, że wszystko jest popieprzone, ale i tak nie mogła się powstrzymać od śmiechu. To mnie do niej przyciągnęło. Nie przestawała liczyć na to, że coś da jej szczęście.

Mówi to tak, że każe mi zadać pytanie:

– Byłyście kochankami? Mruży oczy, w końcu wzdycha.

– Przez chwilę. Ale nie chodziło mi tak naprawdę o seks. Chciałam po prostu z kimś być. I lubiłam Rosemary. Zakończyłyśmy to w dobry sposób. Nie kręcą mnie kobiety, Rosemary też nie. Skończyłyśmy z seksem, ale miłość została. Udało się.

– Rozumiem – przyznaje Alan. Mówi teraz delikatnie, zadaje pytanie, na którym najbardziej nam zależy. – Andreo, czy możesz nam powiedzieć coś, co twoim zdaniem mogłoby nam pomóc? Czy ktoś nadmiernie interesował się Rosemary? Może ktoś nowy pojawił się w kościele? Cokolwiek.

Kręci głową z rozgoryczeniem.

– Wierzcie mi, myślałam o tym tak, że mało zwoje mi się nie przegrzały. Kiedy dowiedziałam się, że ktoś zabił Rosemary, trochę mi odbiło. Od jakiegoś czasu nigdy nie płaczę, ale wyżyłam się na meblach. Cały czas myślę właściwie tylko o tym. Sęk w tym, że Rosemary trzymała się na bardzo, bardzo krótkiej smyczy. Była uzależniona od pieprzenia. Nie od seksu, to niewłaściwe słowo. Lubiała się pieprzyć. Im bardziej upokarzająco, tym lepiej. Aby się pilnować, musiała mieć swoją rutynę i dokładnie się jej trzymać. Wstawiała, ćwiczyła, pracowała, potem przychodziła tutaj. Do tego jeszcze czas spędzany ze mną i tyle.

– I nic się w tej rutynie nie zmieniło przed jej śmiercią? – pyta Alan.

Andrea rozkłada bezradnie ręce.

– Nie. Nic a nic.

– A co z kościołem? – wypytuje Alan. – Może jacyś nowi faceci?

– Wierzcie mi, że się nad tym zastanawiałam. Ale nie, nic z tych rzeczy. Przykro mi, chciałabym wam pomóc bardziej, ale wiem tylko, że nie mógł to być nikt z jej przeszłości.

– A to dlaczego? – pytam.

– Rosemary powiedziała mi, że wszyscy jej krewni i znajomi już dawno nie żyją. Zmarli ze starości, wskutek chorób lub po przedawkowaniu.

Alan i ja wracamy autem do siedziby FBI. Jestem niespokojna i zmieszana.

– Alan, to wszystko jest porąbane – mówię.

– Czemu?

– Jesteśmy w punkcie wyjścia. Nie posunęliśmy się o krok. Mamy tylko trzy ofiary – i to tylko dlatego, że je nam podsunął – i nic więcej, żadnego wiarygodnego rysopisu, żadnych odcisków palców, nic. Kołaczę mi się pewien pomysł, co nim powoduje. Ale to nic konkretnego, brakuje wyraźnego rysu.

Alan spogląda na mnie.

– Co? – pytam.

– Czasami tak bywa. Pracujemy nad sprawą, póki nie trafimy na trop, który pozwala nam ją rozwiązać. Dobrze o tym wiesz. Czemu tak się frustrujesz zaledwie po dwóch dniach?

– Bo to sprawa osobista.

– Jak to?

– Podejrzewamy, że ten facet od lat grasuje i zabija ludzi, tak? Podejrzewamy, że liczby na tych krzyżykach oznaczają kolejny numer ofiary. Jeśli to prawda, to będzie to najbardziej pracowity zabójca w historii. I działa tuż pod naszym nosem. Różne Lisy i Rosemary na całym świecie padają jak muchy, a on śmieje nam się w twarz przez cały ten czas.

Alan kiwa głową.

– Przejęłaś się ofiarami.

To precyzyjna operacja, słowa tną jak skalpel.

– Zawsze przejmuję się ofiarami.

– Oczywiście. Ale niektórymi przejmujesz się bardziej niż innymi. I to właśnie jeden z takich przypadków, tak?

Przestaję się opierać.

– Tak.

– Dlaczego?

– Z tego samego powodu, dla którego Atkins tak się przejął Rosemary. Większość ludzi płynie z prądem. Godzą się z tym, co im przynosi los. Lisa Reid i Rosemary Sonnenfeld płynęły pod prąd. Chociaż wiedziały, że może być ciężko, że może nawet się nie uda, ale i tak płynęły. A kiedy już dotarły na brzeg, za ich plecami pojawił się facet, poderżnął im gardło i wrzucił ciało z powrotem do rzeki.

Alan przez chwilę milczy i skupia się na drodze. Chrząka.

– No tak. Ja też się nimi przejąłem. Przypominają mi ciebie.

Patrzę na niego zaskoczona.

– Naprawdę?

Uśmiecha się i zerka na mnie zza kierownicy.

– Smoky, jeśli chodzi o pływanie pod prąd, jesteś absolutną mistrzynią świata.



Brak wyraźnych odcisków – zaczyna Callie. – Cała krew z siedziska fotela należy do Lisy Reid. W zebranych dowodach znaleźliśmy czarny włos, który nie należał do Lisy, ale bez cebulki. Nie będziemy w stanie sprawdzić DNA.

– Świetnie – mówię. – A co z krzyżykiem?

– Nie jest z czystego srebra – wyjaśnia James. – Srebro próby 925. Stop zawiera około dziewięćdziesięciu trzech procent srebra i domieszkę miedzi. Bardzo powszechny. Jeśli chciał robić te krzyżyki sam, to wybrał dobry metal. Srebro tej próby topi się w temperaturze około ośmiuset dziewięćdziesięciu stopni, jest twardsze od złota i bardzo plastyczne.

– Mówisz więc, że facet wziął parę srebrnych łyżeczek i przetopił je na krzyżyki? – pyta Alan.

– Bez problemu.

– Jakich narzędzi do tego potrzebował? Coś niecodziennego, co łatwo można namierzyć?

– Obawiam się, że nie – mówi Callie. – Jeśli ktoś nie przetapia całych wagonów, to wystarczy palnik gazowy.

– A co z mieszkaniem Lisy? Wiemy, że dotknął jej dziennika i pewnie trochę pomyszkował po pokojach.

Callie kręci głową.

– Tu też ani śladu. Sprawdziłam nawet klawiaturę komputera. Ostrożniaczek z niego.

– Tego się można było spodziewać – przyznaję.

Sfrustrowana podchodzę do tablicy. Zaczynam mówić o tym, co już

wiemy, choć jest tego niewiele. Szukam jakichś spójnych punktów, czegoś pomocnego.

– Nie chodzi o seks, widzi w ofiarach grzeszników – żałujących za grzechy lub nie.

– Żałujących – dorzuca James.

Odwracam się do niego.

– Wyjaśnij.

– Opowieść tej policjantki mówi nam też coś o Rosemary. Były przyjaciółkami, bo obie starały się wrócić na drogę przyzwoitości. Obie się mocno pilnowały. Dbały o to, żeby nie mieć w otoczeniu niczego, co by je skłoniło do powrotu do dawnego nałogowego życia. Czyli musiały czuć żal za grzechy.

– A Lisa? – pyta Alan.

– W jej dzienniku widać żal – przypomina James.

Kiwam głową.

– Świetnie, James. Zakładamy, że żałują za grzechy. Wracamy do metodologii: śmierć przez dźgnięcie w bok, tak jak zginął Chrystus na krzyżu. Zabójca zostawia krzyżyki w ranach i opatruje je liczbami, które mogą oznaczać dotychczasową liczbę ofiar lub nie. VICAP nie zawiera doniesień o podobnych zabójstwach, co oznacza, że dopiero niedawno postanowił zadbać o rozgłos.

– Kolejna sprzeczność? – mruczy James.

– W jakim sensie? – pytam.

– Krzyżyk. To jego symbol, sposób umieszczenia nosi znamiona rytuału. Jeśli pojawia się rytuał, jest on najważniejszy. Skoro zabił ponad setkę ludzi, to dlaczego do tej pory powstrzymywał się przed

umieszczaniem krzyżyka? Powinniśmy coś słyszeć o zwłokach z krzyżykami w boku. A nic takiego do nas nie dotarło.

Słuszna uwaga. Dla zorganizowanego seryjnego zabójcy morderstwo jest zawsze aktem pełnym znaczeń. Sposób jego przeprowadzenia jest określony, ważny, święty. Ofiara musi być blondynką, nie może mieć miseczki większej niż C, paznokcie u nóg w chwili śmierci musi mieć pomalowane na czerwono – to podpis zabójcy, raz złożony nigdy się nie zmienia. Nasz zabójca dźga ofiarę w bok i wkłada w ranę srebrny krzyżyk. Jeśli rzeczywiście zabija od lat, to nie powinno to być nowe zachowanie.

– Mamy tylko kilka możliwości – odzywa się Alan. – Zmienił sposób działania, liczby są blefem albo pozbył się zwłok poprzednich ofiar tak, że nie odnaleziono ich do dziś.

– Moim zdaniem prawdziwa jest odpowiedź trzecia – wtrąca się James.

– Cudowna myśl – mówi Callie.

Patrzę na własne pismo na tablicy, modląc się, żeby olśniło mnie coś jeszcze. Cokolwiek. Ale nic takiego się nie dzieje.

– No cóż, to wszystko trzyma się kupy, ale i tak jesteśmy w ślepych zaułku – przyznaję w końcu.

– I co, to już wszystko? – pyta Alan.

– Na razie tak. Idę porozmawiać z wicedyrektorem Jonesem. W tymczasem uzupełnijcie papierkową robotę i trzymajcie kciuki, żebyśmy trafili na jakiś przełom niekoniecznie dzięki następnej ofierze.

– Więc daj sobie na razie z tym spokój – mówi mi wicedyrektor Jones.

– Czasami tak trzeba zrobić, nabrać trochę dystansu.

– Jasne, szefie, tylko...

– Wiem, wiem, on nie będzie odpoczywał. To niełatwe, ale tak trzeba.

– Patrzy na mnie podejrzliwie. – Przez ostatnie kilka lat się rozpuściłaś. Reaguję na to rozdrażnieniem. Ledwie skrywam je w głosie.

– Co pan ma na myśli, szefie?

– Nie irytuj się. Mówię tylko, że miałaś świetną serię szybko rozwiązanych spraw. Prawdziwy sprint. Ale nie zawsze tak się dzieje. Smoky, każdy ma swojego Zodiaka. Kogoś nieuchwytnego. Nie mówię, że to akurat ten przypadek, tylko że nie zawsze wszystko da się rozwikłać.

Patrzę na niego, pilnując się, żeby nie wpaść we wściekłość.

– Szefie, nie chcę być niemiła, ale nie mam ochoty tego słuchać.

Wzrusza obojętnie ramionami.

– Nikt nie chce. Stawka jest za wysoka. Ale lepiej przygotuj się na dzień, w którym poniesiesz porażkę, bo taki dzień na pewno nadejdzie. Gwarantuję ci.

– Szefie, jestem pod wrażeniem. Świetna rozmowa motywacyjna.

Parska śmiechem.

– Dobrze już, dobrze. Biorę na siebie kontakty z dyrektorem Rathburnem. Rób, co masz robić.

– Dziękuję, szefie.

Rozglądam się po biurze. Callie gawędzi przez telefon z córką Marilyn, o ślubie. To, że Callie ma córkę, a na dodatek wnuka, wciąż nie mieści mi się w głowie. Zawsze była dla mnie wzorcem kobiecego kawalera – próbowała mężczyzn niczym najlepszy smakosz. Na stałe była związana jedynie z nami, z pracą.

Zapomniała o chwilach z przeszłości i o bólu, jaki czuła, dopóki jeden z

zabójców, którego tropiliśmy, nie doprowadził do jej ponownego spotkania z córką.

Od czasu do czasu drażni mnie, że to właśnie seryjny zabójca dał Callie ten prezent.

Alan gdzieś wyszedł, a James siedzi z nosem w aktach sprawy.

Wpatruję się w tablicę, aż zaczynają mnie piec oczy.

– Jedno wielkie nic – mamroczę pod nosem. – No dobra, na razie. Odłożenie sprawy nie przypomina odłożenia teczki na kupkę z opisem „do załatwienia”. Rozkłada się ramiona, zamyka oczy i ciska się to jak najdalej od siebie. Sprawa odpływa w dal, a ja pędzę na złamanie karku w stronę normalnego życia i udaję, że jej nie ma, że nie krąży mi nad głową jak nietoperz.

Ale krąży. Uwiązana do nadgarstka smyczą, szarpie i chichocze, czeka, aż zmieni się wiatr. Czasami budzę się w nocy i widzę ją, jak siedzi mi na piersiach, wpatruje się tymi wielkimi czarnymi oczyma i uśmiecha do mnie zbyt szeroko. Kocha mnie. To przerażające, ale mnie kocha.

Mam się spotkać z Bonnie, więc rozkładam ramiona i odrzucam balast jak najdalej. Siła woli znów działa. Przynajmniej na razie.

Sprawdzam w samochodzie listę zakupów, żeby niczego nie zapomnieć. Bonnie i ja zawsze wspólnie wybieramy przepis na dany tydzień. Tym razem jesteśmy ambitne i spróbujemy usmażyć na patelni steki z sosem maderowo-balsamicznym. Nieco przerażające jest to, że trzeba sporządzić przy tym niecodzienną mieszankę z madery, octu balsamicznego i musztardy z Dijon, ale uznałyśmy, że czas pokusić się o coś trudniejszego. Odczytuję listę i mruczę:

– Grube steki z Delmonico, grubo zmielony pieprz, oliwa z oliwek, no tak, wszystko mam.

Zadowolona, jadę zrobić to, co jest najważniejsze każdego dnia, tygodnia i roku: odebrać moją adoptowaną córkę i zawieźć ją do domu.

– Smoky!

Słyszę krzyk czystej radości, a potem wpada na mnie dwunastolatka. Ściskam ją z całej siły, dostrzegając ze zdziwieniem i żalem, jak bardzo Bonnie urosła. W wieku 12 lat ma metr pięćdziesiąt trzy wzrostu. Postronnemu obserwatorowi może to wydawać się normalne, ale to oznacza, że jest już wyższa ode mnie. Jeszcze dwa lata temu mogłam spojrzeć na nią z góry. Coraz dobitniej uświadamia mi to, jakie zmiany przechodzi Bonnie.

Nie dane mi było doświadczyć tego z Alexą. Nie widziałam, jak delikatnie zmienia się z dziewczynki w młodą damę. Bonnie lada chwila zostanie nastolatką i widać wyraźnie, że wrodziła się w matkę. Annie była piękną blondynką, która wcześniej dojrzała. Bonnie ma te same blond

włosy, te same niezwykle błękitne oczy, jest tak samo szczupła. Na moich oczach z nieporadnego dziecka zmienia się w energiczną dziewczynę. Znowu zauważam – jak zwykle z mieszanką smutku, niepokoju i bezradności – że nie ma już płaskich piersi, że chodzi uważniej, kołysząc biodrami.

Nachodzi mnie czarna myśl: chłopcy. Wkrótce zaczną cię zauważać. Nie będą wiedzieli dlaczego, ale zaczną się tobą bardziej interesować. Będą na ciebie spoglądać ci normalni, ale także ci wygłodniali, bo będą cię wyczuwać, jak pies wyczuwa mięso.

Chowam tę myśl głęboko. Zmartwienia później. Teraz czas na miłość.

– Cześć, kochanie – witam ją z uśmiechem. – Jak tam szkoła.

Odsuwa się i przewraca oczami.

– Nuda, ale da się wytrzymać.

– Świetnie sobie radzi – mówi Elaine. – Może jest nieco rozkojarzona, ale przerabiamy program klasy wyższej.

Bonnie uśmiecha się do Elaine i napawa jej pochwałą. Trudno ją za to winić. Pochwała z ust Elaine jest jak ciasteczko albo promień ciepłego słońca. Elaine to jedna z tych osób, które mówią zawsze szczerze, bez ogródek i jeśli się mylą, to raczej na korzyść chwalonego. Dla Bonnie i dla mnie jest jak druga matka. Szalenie ją obie kochamy.

– Cholera jasna – mruczy Alan.

Siedzi na kanapie przed telewizorem i chyba ma problem z pilotem.

– Co to za język – karci go Bonnie.

– Przepraszam – mówi. – Właśnie kupiliśmy Tivo i nie mogę tego rozgryźć.

Bonnie patrzy na mnie i Elaine i znowu przewraca oczami, po czym

idzie do Alana. Bierze od niego pilota.

– Alan, ależ z ciebie luddysta\* [luddysta – (z brytyjskiego) przeciwnik postępu technicznego, od nazwiska Neda Ludda, XVIII-wiecznego przeciwnika rewolucji przemysłowej w Wielkiej Brytanii (przyp. tłum. )] – mówi. – Patrz i ucz się.

Pokazuje mu wszystko krok po kroku, od wyboru programu do nagrywania i odtwarzania zapisanych audycji. Cierpliwie odpowiada na wszystkie pytania. Elaina i ja patrzymy na to rozbawione.

– I to już wszystko – kończy Bonnie.

– Dzięki, maleńka – mówi Alan. – A teraz zmykaj, bo chcę pooglądać telewizję.

– Nie będzie przytulania? – pyta z wyrzutem Bonnie.

Alan się uśmiecha.

– Tylko się drażnię – odpowiada i obejmuje ją potężnymi ramionami. Tych dwoje łączy niewzruszone uczucie. Jeśli Elaina jest dla Bonnie drugą matką, to Alan jest drugim ojcem.

– No dobrze, a teraz już zmiataj – oznajmia.

– Chodź – poganiam ją. – Mamy przecież przypalić steki.

Bonnie bierze plecak, ściska na koniec Elainę i wychodzimy.

– Luddysta? – dziwię się, kiedy dochodzimy do samochodu.

– Ma się ten słownik, nie? Słucham i się uczę – mówi i pokazuje mi język.

– *Facet z patelnią* – marudzę. – Dlaczego wybrałyśmy akurat tę książkę? Przecież jesteśmy dwiema kobietami.

– Bo napisano ją dla takich kucharskich półgłówków jak my – wyjaśnia



Bonnie. – Daj spokój, poradzimy sobie. Co tam jest napisane?

Wzdycham i czytam na głos przepis:

– „Natrzeć solidnie steki solą i pieprzem”.

– Zrobione.

– Mamy wlać na patelnię łyżkę stołową oliwy z oliwek.

– Zrobione.

– I... teraz mocno podgrzewamy oliwę z oliwek. Cokolwiek to znaczy.

Bonnie wzrusza ramionami i przekręca gałkę kuchenki na „mocno”.

– Chyba trzeba poczekać, aż się nagrzej.

– Natnę mięso pośrodku.

To nasze małe oszustwo. Przy pierwszych kilku próbach przyrządzania steków trzymałyśmy się ściśle przepisów. „3 do 4 minut po obu stronach” albo coś w tym stylu. Ale mięso zawsze było albo przypalone, albo niedosmażone. To Bonnie zaproponowała, żebyśmy rozcięły mięso, żeby móc po prostu sprawdzić, na jaki kolor zmieniło się w środku. Może to mało elegancki sposób, ale się sprawdza.

– Chyba już – mówi Bonnie.

Biorę dwa steki i patrzę na nią.

– No to do dzieła. – Rzucam steki na patelnię i słyszymy skwierczenie.

Patrzę, jak Bonnie dociska łopatką mięso do patelni.

– Na razie pachnie ładnie – mówi.

– Jeśli zupełnie to sknocimy, to w zamrażarce mam jeszcze makaron z serem do mikrofalówki – zastrzegam.

Uśmiecha się do mnie, a ja do niej. Nie mamy tak naprawdę pojęcia, co robimy, ale robimy to wspólnie.

– I co ty na to? – pyta Bonnie.

Pochyłam się nad patelnią i widzę, że środek stał się brązowy, ale nie za bardzo. I udało nam się to bez zwęglenia steków. Prawdziwy cud.

– Gotowe – uznaję.

Bonnie zdejmuje mięso łopatką z patelni i przekłada na czekające talerze.

– Super – mówię. – A teraz najtrudniejsza część. Sos.

– Damy radę.

– Możemy spróbować.

Bonnie trzyma kostkę masła.

– Ile?

Zaglądam do książki.

– Łyżkę stołową. Ale piszą tu, żeby najpierw ustawić palnik na średnie grzanie. Może powinniśmy poczekać chwilę, żeby patelnia się schłodziła. Masło może się przypalić.

Czekamy chwilę, wciąż nie mogąc się nadziwić.

– Już? – pyta Bonnie.

– Nie mam pojęcia, chyba tak.

Nabiera łyżkę masła i kładzie je na patelnię. Obserwujemy, jak powoli się topi.

– No nie wiem – mówi Bonnie. – Jakoś mało tego masła.

– Myślisz, że powinniśmy dodać więcej?

Marszczy czoło.

– Hm... to tylko masło. Chyba nic nam się nie stanie.

– Wrzuć jeszcze jedną łyżkę.

Bonnie dokłada masła, które topi się tak samo, jak poprzedni kawałek.

– I co teraz? – pyta.

– Teraz mamy dorzucić szalotki... o cholera. – Patrzę na nią. – Nie przypominam sobie, żeby była mowa o szalotkach.

– A co to jest szalotka?

– No właśnie.

Patrzemy na patelnię ze skwierczącym masłem. Potem spoglądamy na siebie.

– I co robimy? – pytam.

– Nie wiem – odpowiada Bonnie. – Może wystarczy dodać więcej masła?

– Dla mnie bomba – rzucam. I chichoczę.

Bonnie wymierza we mnie łopatkę.

– Opanuj się, Smoky – mówi to poważnym głosem. A potem sama chichocze.

Na to ja chichoczę jeszcze bardziej i grozi nam, że cały ten wesoły autobus za chwilę się wywróci.

– O Boże – wyduszam z siebie. – Pospieszmy się, bo zaraz przypalimy masło.

Bonnie znów chichocze.

– Masło lubi się przypalać.

– Otóż to. – Zaglądam do książki. – Znów wracamy na mocne grzanie.

Bonnie przekreśla gałkę.

– Teraz dolewamy trzy czwarte filiżanki madery i ćwierć filiżanki octu balsamicznego.

Wlewamy zawartość filiżanek i w efekcie znad patelni unoszą się kwaśne chmury octowych oparów.

– O rany! – krztusi się Bonnie. – Okropny zapach! Na pewno tak

napisali w tej książce?

Mrugam łzawiącymi oczami i zaglądam do naszej tymczasowej biblii.

– Tak.

– Ile to ma się smażyć?

– Mieszać dopóki... niech spojrzę... dopóki objętość nie zmniejszy się o połowę.

Trzy minuty później ku naszemu zdumieniu mieszanka robi to, co przewidziano w książce.

– Teraz mamy dodać łyżkę musztardy z Dijon – oznajmiam.

Chlapiemy musztardę w coś, co zaczyna wyglądać nieco wodniście. Bonnie miesza miksturę. Zapach nie jest już tak mocny jak wcześniej, ale nie pachnie specjalnie apetycznie.

– Jesteś pewna, że to nie jest jakaś książka z dowcipami kucharskimi? – pyta.

– Chwileczkę – mówię. – Okazuje się, że ostatecznie powinnyśmy wrzucić trzy łyżki masła. Dwie już mamy, dodaj teraz jeszcze jedną, tak żeby się roztopiła.

Ale od masła nasza mikstura czarownic wcale nie wygląda bardziej kusząco. Mija kilka chwil. Bonnie marszczy czoło.

– Myślisz, że już?

Spoglądam na mieszankę. Ma żółtawoszary kolor. Pachnie masłem, musztardą i octem.

– Za późno na modlitwę.

Zdejmujemy patelnię z ognia i rozprowadzamy sos po stekach, zgodnie z przepisem. Bonnie zanosz talerze na stół, a ja nalewam nam po szklance wody.

Pochylamy się nad stekami ze sztućcami w ręku.

– Gotowa? – pyta Bonnie.

Odkrawamy po kawałku mięsa i wkładamy do usta. Żujemy w ciszy...

– O kurczę – mówi zaskoczona Bonnie. – To jest...

– .... naprawdę smaczne – kończę za nią.

– Nie, bardzo smaczne.

– Wręcz smakowite.

Uśmiecha się do mnie z łobuzerskim błyskiem w oku.

– Szalotki? – mówi. – Po diabła nam jakieś cholerne szalotki.

Popijam wodę i aż krztuszę się, wybuchając przy tym śmiechem.

– Myślę, że następnym razem możemy spróbować dodać jeszcze jakąś surówkę warzywną – zauważam.

Zjadłyśmy właśnie steki i bułeczki.

– I może szalotki – żartuje Bonnie.

Uśmiecham się. Siedzimy na kanapie, jednym okiem zerkając na program w stylu „Idola”. Kolacja była wspaniała, podobnie jak cały wieczór. Normalność. Tęsknię za normalnością, ale tak rzadko jej doświadczam.

– Miałyśmy porozmawiać o szkole – mówi Bonnie.

No i po normalności.

Od razu się karcę za tę myśl. Co może być normalniejszego niż dziecko, które chce chodzić do szkoły z innymi dziećmi? Niepokój na jej twarzy mówi mi, że Bonnie obawia się, co odpowiem na jej prośbę.

A niech tam.

Patrzę na nią i skupiam się całkowicie.

– Tak. Słucham cię, skarbie. Mów.

Szukając właściwych słów, przekłada nogi, na których siedzi, i zaczesuje za ucho pukiel włosów. Widząc ten gest, mam poczucie *dejà vu* – jakbym zobaczyła ducha jej matki. Genetyczne dziedzictwo.

– Sporo ostatnio myślałam. – Patrzy na mnie i uśmiecha się nieśmiało.  
– Zdaje się, że w ogóle dużo myślę.

– Kochanie, to bardzo dobrze. Ludzie powinni myśleć jak najwięcej. O czym tak rozmyślasz?

– Co chcę robić, kiedy dorosnę. No wiesz... jak już będę duża.  
Interesujące rozróżnienie.

– I?

– Chcę robić to, co ty.

Patrzę na nią i zapominam języka w gębie. Mogła powiedzieć wszystko, mogła wybrać dowolny zawód, ale, na Boga, nie ten.

– Dlaczego? – jęczę. – A co z malowaniem?

Uśmiecha się do mnie jak do wariatki, ale mimo wszystko uroczo.

– Mamo Smoky, nie jestem aż tak dobra. Malowanie będzie mnie zawsze cieszyć. Daje mi spokój. Ale nie to jest moim powołaniem.

– Kochanie, masz dopiero dwanaście lat. Skąd możesz wiedzieć, co jest twoim powołaniem?

Wbija we mnie wzrok pełen chłodu, którym natychmiast mnie ucisza. Wcale nie wygląda jak dwunastolatka.

– Wiesz, co widzę najpierw, ilekroć zamknę oczy? – mówi spokojnie, kojąco, jakby śpiewała kołysankę. – Twarz mojej zmarłej matki. Taką, jaką widziałam przez trzy dni, kiedy byłam do niej przywiązana. – Wpatruje się gdzieś w pustkę i we wszechświat, przypominając sobie

wszystko. – Zastygła w krzyku. Pierwszego dnia bardzo płakałam. Pamiętam, że źle się z tym czułam, bo trochę moich łez pociekło w jej oczy i wydawało mi się, że to niedobrze, że powinnam je otrzeć. Potem przestałam płakać i próbowałam spać. Udawałam, że mama nie umarła, że po prostu mnie przytula. Przez jakiś czas nawet się to udawało. Dopóki nie zaczęła śmierdzieć. Potem były już tylko szare, niebieskie i czarne plamy. Czasami maluję te kolory i myślę o tym ostatnim dniu, bo ten ostatni dzień nie był rzeczywisty, a jednak był to najbardziej realny dzień w moim życiu. Kiedy śni mi się ten ostatni dzień, śni mi się krzyk i deszcz.

Słucham jej jak urzeczona. Kiedy wraca mi głos, słowa brzmią chropawo i są pełne żalu.

– Przykro mi, Bonnie. Tak bardzo mi przykro.

Wraca do terażniejszości. W jej oczach nie ma już tego odległego chłodu, nie ma śmierci. Jest za to obawa o mnie.

– Hej, hej, mamó Smoky, wszystko w porządku. To znaczy nie w porządku, ale nic mi nie będzie. Mogłam przecież skończyć w wariatkowie, prawda? Nie wiedziałam przecież, czy jeszcze będę w ogóle mówić i czy przestaną mi się śnić koszmary. Zastanawiałam się nawet nad samobójstwem. Ale teraz lubię swoje życie. Kocham Elainę i Alana, a przede wszystkim kocham ciebie. – Uśmiecha się. – Patrz, na przykład dzisiaj zrobiłyśmy razem steki.

– Tak – mówię z trudem. – Świetne steki.

– Właśnie. To może nic wielkiego, ale to bardzo ważne, rozumiesz?

– Tak, kochanie.

– Ale to, co się działo z moją mamą, naprawdę się zdarzyło, Smoky. Zdarzyło się i zawsze będę o tym pamiętać. Wiem, że mnie rozumiesz, bo

tobie też się coś takiego przydarzyło. I wiesz co? Wcale nie chcę tego zapomnieć. Wydaje mi się, że jeśli zapomnę, jak wyglądała mama w tamtym pokoju, będzie to znaczyło, że jestem w poważnych tarapatach.

Prostota i dojrzała mądrość tych słów nieco łagodzi ból, z jakim dźgają mnie w serce. Bonnie ma rację. Ja też myślałam kiedyś, że kiedy przestanę oplakiwać Matta i Alexę, będę ich zabijać raz za razem. W końcu dotarło do mnie, że nie muszę cierpieć, nie muszę nawet mieć poczucia winy. Wystarczy, że będę ich pamiętała. Ale – i tu pojawia się potężne ostrzeżenie – trzeba pamiętać.

– Rozumiem – mówię.

Uśmiecha się do mnie.

– Wiem, że rozumiesz. Powinnaś więc też zrozumieć, dlaczego chcę robić to, co ty.

– Z powodu tego, co przydarzyło się twojej mamie.

Znów patrzy na mnie chłodnym taksującym wzrokiem. Dwunastolatka znów gdzieś zniknęła.

– Nie tylko z powodu mojej mamy. Z powodu tego, co przeszłam ja. Co przeszłaś ty. Co przeszła Sarah.

Sarah była żyjącą ofiarą jednego z zabójców, którego ścigałam kilka lat temu. Chociaż jest o sześć lat starsza od Bonnie, połączyła je tragedia i do dziś są bliskimi przyjaciółkami.

– Mamo Smoky, wszyscy, których kocham, wiedzą, że te potwory istnieją naprawdę. A kiedy się wie, że istnieją, nie można więcej udawać, że ich nie ma, i trzeba coś z tym zrobić.

Wpatruję się w nią. Nie chcę tego słyszeć z jej ust.

O Boże, co za okropna rozmowa. I wiecie co? Przegram ten spór. Bo



maszyna poszła w ruch w chwili, kiedy Bonnie została przywiązana do swojej mamy pozbawionej wnętrzości i kiedy zmieniła się w osobę, którą jest dzisiaj.

Napełnia mnie to smutkiem. Żyłam w świecie fantazji, licząc na to, że Bonnie dorośnie i zacznie prowadzić normalne życie, dostanie normalną pracę, kupi dom z białym płotkiem i psa. Ale kogo ja chciałam oszukać?

Nie ją, to pewne.

Wzdycham.

– Rozumiem, kochanie.

Może mi się to nie podobać, ale ją rozumiem.

– Nie uda mi się to, jeśli nie będę chodzić do normalnej szkoły. Nie zrozumieć w pełni potworów, jeśli nie będę rozumieć normalnych ludzi, prawda?

A ty, kochanie, nie jesteś normalnym człowiekiem?

Zadaję sobie to pytanie, ale nie wypowiadam go na głos. Nie chcę słyszeć odpowiedzi.

– Myślałam, że chodzi ci o przyjaciół w twoim wieku.

– Ale ja jestem rozwinięta ponad swój wiek, mam Smoky.

W końcu wbrew mojej woli czuję to. Ta kropelka przelewa czarę i wydusza ze mnie łzę. Tylko jedną. Spływa mi prosto po policzku. Twarz Bonnie tężeje z niepokoju, sięga ręką i ociera mi łzę.

– Przepraszam, nie chciałam cię zasmucić.

Chrząkam.

– Chcę, żebyś zawsze mówiła mi prawdę. Nie przejmuj się tym, co będę czuła.

– Ale nie powinnaś się źle czuć. Przecież mogłam zginąć. Mogłam

skończyć w zakładzie dla obłąkanych. Mogłabym wciąż budzić się z krzykiem w nocy – pamiętasz to?

– Tak.

Obie to robiłyśmy, czasami w stereo. W koszmarach przypominałyśmy sobie nasze przeżycia i budziłyśmy się, zdzierając gardła.

– Więc teraz jest już lepiej, prawda? Nie chcę, żebyś myślała, że nie jestem szczęśliwa.

Przewierca mnie na wylot, tymi słowami sięga do najbardziej podstawowych obaw każdej matki.

– A jesteś, kochanie? Jesteś szczęśliwa?

Jestem nieco zszokowana żalnym brzmieniem własnego głosu, desperacko chwytającego się nadziei.

Bonnie obdarza mnie nowym uśmiechem – nieskrępowanym, dziecięcym, bez żadnej chmurki, bez krzyków, deszczu, zimna czy chłodnego wzroku. To po prostu dwunastoletnie słoneczko na błękitnym niebie, najpiękniejsze, jakie może być.

– Przez osiem dni na dziesięć, mamó Smoky.

Przypominam sobie, co mówił mi Alan, i wiem, że miał rację. Ciesz się tym, co masz – wyświechtane powiedzenie, ale przecież tak cholernie prawdziwe. Mam Bonnie, jest piękna, inteligentna, utalentowana, mówi, nie umiera ze strachu i nie budzi się z krzykiem w nocy. Owszem, to, co się stało, zmieniło ją, ale nie załamało i ostatecznie to właśnie jest największe szczęście. Właściwie cud.

Przytulam ją mocno.

– Dobrze już, dobrze. Ale możemy z tym poczekać do jesieni? Dokończysz ten rok z Elainą?

– Tak, tak, tak, dziękuję, dziękuję!

Wiem, że podjęłam właściwą decyzję, bo słyszę pisk szczęścia i znów widzę przy sobie prawdziwą dwunastolatkę.

Przez resztę wieczoru pławimy się w normalności, w zasadzie nic nie robimy, cieszymy się sobą nawzajem. Przez krótką chwilę nie martwię się, że ktoś gdzieś umiera.

Świat kręci się jakoś beze mnie.

Uporczywy dzwonek komórki wyrywa mnie ze snu. Zaspanymi oczami widzę numer Alana.

– Jest piąta rano – mówię do słuchawki. – To nie może być nic dobrego.

– Owszem – odpowiada. – Za chwilę rozpęta się piekło.

## **Część II**

### **Burza**

Zadzwoił do mnie Atkins. Przegląda dużo serwisów z filmikami.

– Że co proszę? – pytam.

– Stron, na które użytkownicy mogą wrzucać filmy wideo – wyjaśnia James. – Zwykle od pół minuty do trzech. Ludzie kręcą je sami albo zgrywają kawałki z telewizji, płyt DVD czy z innych źródeł.

Marszczę czoło.

– Ale po co?

– Dla zabawy – mówi Callie. – Żeby podglądać, nawiązywać znajomości. Można tam znaleźć wszystko, od nagrań, jak deskorolkarze przewracają się na chodniku i łamią sobie nadgarstki, po nastolatki w bikini, mówiące o problemach świata.

Wzdycham.

– Bonnie pewnie wie o tym wszystkim.

Callie klepie mnie po głowie.

– Wszyscy wiedzą poza tobą, kochaniutka.

Alan otwiera przeglądarkę i wpisuje adres: [Usertube.com](http://Usertube.com). Po chwili ekran komputera wypełnia się serią równo ułożonych małych zdjęć. Pod każdym z nich znajduje się podpis.

– „Masakra” – czytam pod jednym z nich.

Na zdjęciu widać kogoś spadającego z motocykla, który rozbija się o ziemię.

Alan klika w zdjęcie i po chwili ładuje się nowa strona. Film zaczyna się odtwarzać. Oczywiście widać, jak motocykl wjeżdża na podjazd, wylatuje w powietrze i nie trafia tam, gdzie trzeba. Motocyklista leci jak Superman,

a maszyna rozbija się o ziemię. Mężczyzna upada, odbija się kilka razy i kończy jako masa połamanych kończyn.

– Auuu – mówię, krzywiąc się.

– To nie koniec – wyjaśnia Alan.

Autor tego klipu zadbał, żebyśmy my i inni widzowie jeszcze raz mogli obejrzeć chwilę przed katastrofą, i powtórzył nam ją w zwolnionym tempie. W tle słychać trzaski, brzęk i zwielokrotnione narkotycznym echem „o nieee”, a my patrzymy, jak nieszczęsny motocyklista leci w powietrzu i odbija się od ziemi niczym ludzka piłka.

– Obrzydliwe – stwierdzam.

– Współczesna wersja rzymskiej areny – mówi Callie.

– A co jest tam pod spodem? – pytam.

– Komentarze użytkowników – wyjaśnia Alan. – Zakładasz konto w serwisie. Możesz wtedy wrzucać własne filmy i komentować klipy, które zamieścili inni.

Przewija stronę kawałek w dół, żebym mogła przeczytać część uwag od widzów.

„Ja pierdołę, masakra!”

„I kto mówi, że człowiek nie potrafi latać?”

„Jasna cholera, widzieliście, jak skakał? Ja pierdziele!”

„Wszyscy widzieliśmy, ty durna cioto...”

– Klasa – stwierdzam.

– Nie wszystko jest tak koszarne – mówi Alan i wraca na stronę główną.

– Filmy są podzielone na kategorie. Widzisz?

Czytam. „Zabawy rodzinne”. „Zwierzęta”. „Miłość”.

Zaczynam rozumieć tę zabawę.

– Więc każdy może wejść na tę stronę, wrzucić filmik, a inni mogą o tym dyskutować?

– Tak. Trafia tu mnóstwo chłamu, ale zdarzają się też rzeczy naprawdę kreatywne. Krótkie etiudy, komedianci i muzycy próbujący zaistnieć i tak dalej.

– No i zapewne seks?

– Trzeba przyznać, że tego pilnują dość dobrze. Nagość jest zabroniona.

– Ale krwawe koszmary, proszę bardzo – zauważa James.

– Ano tak.

Zerkam na Alana.

– Często tu zaglądasz?

Wzrusza ramionami.

– Co mogę powiedzieć? To uzależniające. Każdy filmik jest jak przekąska, nie pełny posiłek.

– Nie da się zjeść tylko jednego – wtrąca się Callie.

– W porządku – mówię. – Rozumiem, na czym to polega. Teraz wyjaśnijcie, co to ma wspólnego z nami.

Alan wskazuje na listę kategorii.

– Jest tu dział „religia”. W zasadzie udziela się tu kilka rodzajów użytkowników. Kaznodzieje albo kandydaci na kaznodziejów wygłaszający trzyminutowe kazania, jacyś skrajni prawicowcy mówiący o grzechach aborcji, skrajni lewicowcy mówiący o grzechach zorganizowanej religii w ogóle. Klika na tę kategorię i na ekranie pojawia się nowa seria małych zdjęć.

– Górna dziesiątka to te, które musisz obejrzeć.

Klika na jedno ze zdjęć. Ekran robi się czarny. Pojawiają się białe

drukowane litery: „Początek dzieła: Studium prawdy i duszy”.

Napisy nikną, znów na kilka sekund zapada czerń, po czym na ekranie pojawia się tułów mężczyzny. Siedzi przy prostym stole z brązowego drewna. Widać go tylko od ramion do blatu stołu. Za sobą ma pustą ścianę z szarego betonu. Oświetlony jest z góry tak, że dostrzega się tylko jego i niewiele ponadto. Przychodzi mi do głowy słowo „surowy”. Jak śnieg na polu bez drzew. Ręce położył przed sobą na stole. Owinięte są różańcem. Ma na sobie czarną koszulę i czarną marynarkę.

„ – Badanie natury prawdy – zaczyna – to badanie natury Boga. – Głos ma niski, ale nie jest to bas, raczej baryton. To przyjemny głos. Spokojny, wyważony, zrelaksowany. – Dlaczego tak jest? Bo podstawą prawdy wszystkich rzeczy jest to, że są takie, jakimi stworzył je Bóg. Zobaczyć prawdę jakiejś rzeczy, to zobaczyć ją taką, jaka jest, bez bielma własnych poglądów, własnych uprzedzeń, własnych dodatków do istoty owej rzeczy. Zobaczyć prawdę jakiejś rzeczy, to zobaczyć ją nie taką, jaką byśmy chcieli, ale taką, jaka jest. Innymi słowy, zobaczyć ją dokładnie taką, jaką stworzył Bóg w chwili stworzenia. Dlatego kiedy widzi się prawdę jakiejś rzeczy, to w rzeczywistości dostrzega się fragment Bożego oblicza”.

– Interesujące. Logiczne – mruczy James.

„ – Co zatem nie daje nam dostrzec tej prawdy? Wszyscy rodzimy się z oczami do patrzenia, z uszami do słyszenia. Mamy mózg do przetwarzania tego, co dostrzegą nasze zmysły. Dlaczego zatem dwaj świadkowie wypadku samochodowego opowiadają zupełnie różne wersje prawdy? Co więcej, dlaczego kamera rejestrująca ten sam wypadek udowadnia potem, że spostrzeżenia obu świadków były błędne? Odpowiedź jest oczywista: tylko kamera rejestruje zdarzenia bez zniekształceń. Jaka jest zatem



różnica między człowiekiem i kamerą? – Przerywa na chwilę. – Różnica polega na tym, że kamera nie ma filtra własnego „ja”. Nie ma duszy, nie ma umysłu. Stąd można wnioskować, że jeśli pojawiają się błędy oceny, to ich źródłem są dusza i umysł. Ale jeśli Bóg stworzył wszystko, a tak było, to musimy przyznać, że stworzył też duszę i umysł. Bóg nie popełnia błędów. A więc dusza i umysł w chwili narodzin są doskonałe, zdolne postrzegać pełną i fundamentalną prawdę. Można więc stwierdzić, że w chwili narodzin nie istnieje żaden filtr między prawdą świata a naszym „ja”. Co zatem jest owym filtrem? Tą rzeczą, która z czasem zmienia człowieka i sprawia, że jego pamięć jest bardziej zawodna niż pamięć kamery?”

Znów pojawia się czerń i te same białe litery oznajmiające: „Koniec części pierwszej”.

Odwracam się do Alana.

– To fascynujące, ale co to ma wspólnego z nami?

– Oglądaj dalej.

Klika w kolejne zdjęcie i znów pojawia się czarny ekran, wpływają białe litery i powraca narrator.

„ – Tym filtrem jest grzech. Katalizatorem jest wolność wyboru. Bóg dał nam możliwość wyboru między niebem i piekłem. Wyboru między nieskończoną chwałą a wiecznym potępieniem. Od chwili, kiedy zostajemy wyciągnięci z łona, zaczynamy dokonywać wyborów. Natura naszych wyborów z czasem decyduje o naszym losie, kiedy śmierć puka do naszych drzwi. W chwili, kiedy wybierzemy grzech, tworzymy filtr. Zaciągamy sobie na oczy welon, tworzymy barierę między nami a fundamentalną prawdą rzeczy, jakimi stworzył je Bóg. Rozumiecie?”

Zmieniając fundamentalną prawdę o sobie, tę, którą stworzył Bóg, zmieniamy nasze postrzeganie wszelkich innych prawd i dzieł Boga. Jest o tym mowa w wielu miejscach Biblii, na przykład w opowieści o Szawle.

»Gdy zbliżał się już w swojej podróży do Damaszku, olśniła go nagle światłość z nieba. A gdy upadł na ziemię, usłyszał głos, który mówił: »Szawle, Szawle, dlaczego Mnie prześladujesz?« »Kto jesteś, Panie?« – powiedział. A On: »Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz. Wstań i wejdź do miasta, tam ci powiedzą, co masz czynić«. Ludzie, którzy mu towarzyszyli w drodze, oniemieli ze zdumienia, słyszeli bowiem głos, lecz nie widzieli nikogo. Szawel podniósł się z ziemi, a kiedy otworzył oczy, nic nie widział. Wprowadzili go więc do Damaszku, trzymając za ręce. Przez trzy dni nic nie widział i ani nie jadł, ani nie pił«. Rozumiecie? Szawel nie widział Jezusa, choć ten stał przed nim. I dalej: »Wtedy Ananiasz poszedł. Wszedł do domu, położył na nim ręce i powiedział: »Szawle, bracie, Pan Jezus, który ukazał ci się na drodze, którą szedłeś, przysłał mnie, abys przejrzał i zostałeś napelniony Duchem Świętym«. Natychmiast jakby łuski spadły z jego oczu i odzyskał wzrok, i został ochrzczony. A gdy go nakarmiono, odzyskał siły«. Szawel wyraził żal za grzechy, udał się do Chrystusa i przestał być ślepcem. Wiem, że są tacy, którzy będą odczytywać to dosłownie, niejako metaforę. Ja postrzegam to jako bezpośrednie przesłanie, przykład paradygmatu, o którym mówię. Szawel był grzesznikiem i dlatego był ślepy na Boga, choć Bóg stał przed nim. Szawel napelniał się Bogiem i odzyskał wzrok. Czy może być coś bardziej oczywistego, bardziej podstawowego, bardziej prawdziwego? Powiadam wam zatem jako ktoś, kto przez całe życie starał się obserwować Bożą prawdę, że wasze grzechy, wasze sekrety, wasze

kłamstwa nie pozwalają wam dostrzec w otaczającym świecie prostoty miłości. Być może słuchacie tego, zgadzacie się ze mną i postanawiacie sobie: teraz będę żył w prawdzie.

Będę uczciwy, nie będę więcej grzeszył. Mogę tylko przyklasnąć i zachęcić do tego, ale uczciwie muszę też was ostrzec, że nie uda wam się, jeśli nie zrozumiecie jednego: do prawdy nie trzeba dążyć, prawda pojawia się od razu. Jak macie to rozumieć? Wyjaśnię wam to w naszym kolejnym rozważaniu: o naturze prawdy, która skrywa kłamstwo, a przykładem będzie Lisa/Dexter Reid”.

Ekran ciemnieje.

– O cholera – mówię.

– Dalej jest jeszcze gorzej – odpowiada ponuro Alan.

Klika w kolejne zdjęcie. Oglądam i walczę z niepokojem, który zaczyna kiełkować w moim brzuchu.

Znów widzę te ręce. Od kiedy zaczęliśmy oglądać filmy, nie poruszył nimi ani razu.

„ – Lisa Reid urodziła się jako Dexter Reid, syn Dillona i Rosario Reidów. Dexter stał się nieszczęśliwy z powodu ciała, jakim obdarował go Bóg, i postanowił zmienić to ciało i spróbować stać się kobietą. Wszyscy zgodzą się, że to obraza boska. Ale to właśnie na podstawie tej zbłąkanej duszy najlepiej widać zjawisko prawdy, która skrywa kłamstwo. To zjawisko wygląda następująco: człowiek ujawnia sekret, grzech, kłamstwo. I to nie coś małego. To wymaga odwagi i przynosi człowiekowi ulgę i podziw. Chwali się go za »oczyszczenie«. Wszystko byłoby dobrze... gdyby nie to, że ów człowiek skrywa pewną głębszą, mroczniejszą i nieujawnioną jeszcze tajemnicę. Rozumiecie? Wyznając jeden wielki grzech, odsuwa od

siebie wszelkie podejrzenia, że mógł popełnić inny. Patrzymy, jak wyznaje prawdę, płaczemy wraz z nim z ulgi i życzymy mu siły ducha, odwagi i cnoty. Tyle że nie wiemy, iż człek ów skrywa przed nami coś o wiele straszniejszego. To właśnie miałem na myśli, mówiąc, że do prawdy nie trzeba dążyć, prawda pojawia się od razu. Człowiek albo ujawnia od razu całą prawdę, albo nie ujawnia jej wcale. Ścieżką do Boga nie da się iść jedną nogą. Albo jest się z Nim, albo nie. Dexter Reid został Lisą Reid. Powiedział o tym publicznie, ujawnił swoją tajemnicę – chęć zostania w oczach świata kobietą. Przyjął na siebie wszelkie zgorszenie, wyrzuty i winę, jakie się z tym wiążą. Szedł tą ścieżką bez wahania, mimo dezaprobaty społeczeństwa. Niektórzy – nawet wielu ludzi – widziało to i podziwiało. Dexter wiódł trudne, nawet niebezpieczne życie, ale zrobił to, co zrobił, bo czuł, że musi, wbrew przeszkodom. Oto definicja odwagi”. Kolejna przerwa. Tym razem ręce się poruszają. Mężczyzna unosi kciuk i pociera paciorki różańca.

„ – Ale Dexter miał jeszcze jedną tajemnicę. Opisał ją szczegółowo w swoim dzienniku. Mam tu kartki z tego dziennika. Ukradłem je po tym, kiedy go zabiłem”.

Znów ściemnienie. Białe litery zachęcają: „Ciąg dalszy w następnym odcinku”.

– Jasna cholera! – krzyczę.

– Trudno przywyknąć do tego medium – przyznaje Alan.

Klika w kolejne zdjęcie. Na początku filmiku na ekranie pojawia się kartka papieru. Rozpoznaję odręczne pismo Lisy. Narrator odsuwa kartkę od obiektywu i trzyma ją w prawej dłoni tak, by mógł z niej czytać. Różaniec ma zawinięty na lewej dłoni, kciukiem i środkowym palcem przesuwając

nabożeństwem paciorki. Widać, że ten ruch jest dla niego równie naturalny jak chodzenie. Zaczyna czytać.

# Grzech Dexterę Reida

I o był wspaniały letni dzień. Fantastyczny. Gorący i niezbyt wilgotny, obiecujący wszystko, poza szkołą.

Dexter stał na werandzie domu i obserwował okolicę. To była dobra okolica, bez dwóch zdań. Dobra nie z powodu nowych domów, ale dzięki starym domom utrzymanym w świetnym stanie.

Niebo było błękitne i tak czyste, jak może być tylko w Teksasie, jak mawiała mama. Texas jest płaski, ma tylko małe wzgórza, a w Austin nikt nie przepada za drapaczami chmur, więc w wielu miejscach widać błękit od horyzontu po horyzont. Supersprawa.

Dexter obudził się tej soboty, by zrobić to, co robił zwykle. Ten zwyczaj był dla niego cenny i stawał się coraz cenniejszy, w miarę jak przybywało mu lat i zaczęło docierać do niego, że świat się zmienia. Miał jedenaście lat i już coraz wyraźniej widział różnice między płciami, niegdyś zatarte. Chłopaki zaledwie o rok starsi mówili o takich rzeczach jak „cipka” znacznie częściej i z o wiele większym zainteresowaniem i głodem. To było niepokojące.

Od szóstego roku życia w sobotnie poranki Dekter potrafił wstawać o wpół do szóstej rano, i to bez budzika. Odkrył, że właśnie o tak wczesnej porze lecą najlepsze kreskówki, te stare czarnobiałe, jakich już teraz się nie ogląda.

Wstawał, schodził do kuchni i przyrządzał sobie domowy tost z cynamonem. W jego wersji tost był okraszony kawałami masła, niezdrowymi porcjami cukru i wystarczającą ilością cynamonu, żeby nadać wszystkiemu odpowiedni smak. Tak przyrządzony tost wędrował do

piekarnika i wychodził z niego ze skwierczącym masłem. Dexter patrzył, jak się piecze, oglądał, jak spirale piekarnika rozgrzewają się do pomarańczowego koloru.

Uwielbiał te poranki, podobało mu się, że wszyscy inni śpią, że dom jest tylko dla niego, przynajmniej tak sobie wyobrażał. Miał poczucie wolności i bezpieczeństwa, nie to, że w ogóle nie zdarzy się nic złego, ale że na pewno nie zdarzy się to teraz, w tej chwili. Czas między wpół do szóstej a ósmą rano w sercu Dextera stanowił rozejm.

Kiedy tost już ostygł (ale nie za bardzo), Dexter kładł go na papierowy ręcznik i szedł do salonu, gdzie stał telewizor. Włączał odbiornik, ustawiał właściwy kanał i siadał na swoim worku. Mama nie zносиła worka, tata też nie był nim zachwycony – mówił, że to relikw z lat siedemdziesiątych, ale Dexter uparł się, żeby go zatrzymać. To był talizman, część rytuału.

Czasami o tej wczesnej godzinie w Teksasie udawało się obejrzeć *Inky'ego i ptaka Mynah*, ale najczęściej leciał *Pies Huckleberry* albo jakieś bliżej nieznane stare kreskówki. Potem zastępował je *Tom i Jerry*, a następnie *Królik Bugs* i *Struś Pędziwiatr*. Dexter oglądał je wszystkie, a w czasie reklam zapamiętywał świetne nowe zabawki, o które chciał potem męczyć mamę i tatę.

Pierwsza część magii kończyła się około ósmej rano, kiedy wstawali mama i tata. Kochał ich oboje, ale rytuał wiązał się z samotnością. Ich obecność sprawiała, że czar pryskał. Podczas gdy oni pili pierwszą kawę, Dexter wchodził pod prysznic i ubierał się. Potem całował mamę w policzki, witał się z tatą i przed wpół do dziewiątej wychodził.

Teraz siedział właśnie, oglądając kreskówki z cytrynowym tostem za plecami. Miał przed sobą cały dzień. Co by tu zrobić? Schował w kieszeni



kilka dolarów, które zarobił, kosząc trawniki. Mógłby pojechać do Circle K i kupić trochę komiksów. Mógłby wsiąść na rower i wybrać się na basen. Ba, może zrobić, co tylko zechce!

Postanowił pójść na spacer. Wybór nietypowy, ale dzień był tak wspaniały, że zapragnął poczuć ziemię pod tenisówkami. Poszedł do skrzyżowania w kształcie litery „T”, na którym na znaku „Stop” jego ulica spotykała się z inną. Droga w prawo wiodła do parku i basenu, ta w lewo – do Rambling Oaks, które dzieciaki nazywały „lasem”.

Nie był to właściwie „las”, raczej rozrastająca się dziko kępka drzew. To miejsce leżało na uboczu, polna droga nie była jeszcze rozjeżdżona przez ciężarówki przygotowujące teren budowy nowego osiedla.

Zwykle nie lubił chodzić do lasu sam, ale dziś było inaczej. Dexter był towarzyskim chłopcem, ale teraz nie pragnął towarzystwa. Skreślił więc w lewo, a nie w prawo. Ta prosta decyzja zmieniła jego życie na zawsze, tak to zresztą zwykle bywa.

Ulica przechodziła w polną dróżkę. Dróżka kończyła się przy drzewach. Wystarczyło przejść kawałek między drzewami, a dochodziło się do trawy, która prowadziła do kolejnej utwardzonej drogi i nowych domów. Las był czymś w rodzaju ostatniego bastionu i zdarzały się tu najrozmaitsze rzeczy.

Bóg wie, ile dzieciaków popalało tu pierwsze papierosy. Smakowano pierwsze pocałunki, krążyły też oczywiście plotki o pierwszym obciążeniu i takich tam, ale Dexter nie wiedział, czy w to wierzyć. Nie był przesadnie błyskotliwy, ale miał nieco więcej oleju w głowie niż jego rówieśnicy i nieodparcie podejrzewał, że do sytuacji, gdy dziewczyna z sąsiedztwa ssie chłopakowi fiutka, musi dochodzić w lepszym otoczeniu niż las.

Przynajmniej w samochodzie.

Czytano tu sprośne pisemka. Dexter też oglądał ich kilka w ciągu ostatniego roku, ale reagował na nie dziwnie, nieco inaczej niż jego kumple. Gapił się więc i żartował wraz z nimi, rzucając prawdziwe słowne perełki w rodzaju „włochata muszelka” czy „cipkoburger” z równą pewnością siebie jak inni. Ale wszystko to wydawało mu się bez sensu, bo dziewczyny na zdjęciach nie miały przecież tam włosów. I co wspólnego miały z tym wszystkim burgery?

Dexter wiedział też, że niektórzy w tym lesie płakali. Dzielnica może była spokojna, ale zdarzało się od czasu do czasu, że jakieś dziecko zostało pobite. Przemoc istniała, choć nie mówiło się o niej zbyt wiele. Las był sanktuarium, niebem, miejscem na rzeczy proste, nielegalne, na obmacywanie, na smutek. Już jako jedenastolatek Dexter rozumiał, że las to takie miejsce, o jakim nigdy nie zapomni. Będzie zawsze miało swoją siłę, nawet we wspomnieniach.

Niespiesznie szedł ulicą. Cieszył się słońcem i nasłuchiwał. Nikt nie był na tyle szalony, żeby kosić tak rano, ale dwie osoby myły samochody, co Dexter uważał za świetny pomysł. Włożył ręce do kieszeni, a koło krawężnika znalazł biały kamyczek do kopania. Ależ to będzie fantastyczny dzień!

Asfalt się skończył i Dexter wszedł na polną dróżkę. Ziemia w Teksasie dzieliła się na dwa rodzaje. Część była ciemna, sucha, gliniasta, taka, na jakiej rośnie trawa i która odpada całymi kawałkami. Była też brązowa, prawie granulowana. Ta ziemia chłoneła słońce i pełno w niej było żwiru, kamieni i tak dalej. Droga do lasu pokryta była ziemią tego drugiego rodzaju.

Do drzew było już niedaleko. Dexter postanowił, że zrobi sobie świetny poranny spacer. Przejdzie przez las na drugą stronę aż do sąsiedniej dzielnicy. Pokręci się tam trochę i wróci do domu na parówki, a może masło orzechowe i galaretkę. A do tego pewnie koolaid do picia. Potem może wybierze się do sklepu z komiksami i na basen.

Dlaczego nie? Miał przed sobą cały dzień.

Przyspieszył kroku w stronę drzew, podniecony wszystkimi perspektywami, jakie się przed nim otwierały.

I wtedy ich usłyszał.

– Pocałuj to, cholerny debilu – mówił jakiś głos.

Dexter go rozpoznał. Tak jak każdy okoliczny dzieciak. Głos należał do Marka Phillipsa, miejscowego osiłka i diabła wcielonego. Historia Marka była równie mało oryginalna, jak teksaska ziemia zryta tenisówkami Dextera: rósł szybko, wyrósł na wysokiego i postawnego chłopaka i uwielbiał przewagę, jaką dawało mu to nad innymi.

Jak każdy osiłek wymuszał od kolegów pieniądze pod różnymi pretekstami. Zabierał im drobniaki na obiad, na komiksy, pobierał procent od kieszonkowego. Brak posłuszeństwa oznaczał karę i w tym Mark był zaiste mistrzem. Mistrzem absolutnym chętnym zawsze postawić kropkę nad „i”.

Zwykły osiłek pobiłby człowieka, może zakręcił cycka albo przydusił do ziemi i napluł do ust. Mark również stosował te techniki, ale różnica polegała na tym, jak długo. Kiedy ktoś się popłakał, znaczyło to zwykle, że cel został osiągnięty. Ale nie u Marka.

Dexter raz od niego oberwał. Z jakiegoś powodu – do tej pory nie ma pojęcia dlaczego – nie chciał oddać komiksu, którego zażądał Mark.

Reakcja Marka była błyskawiczna i brutalna. Uderzył Dextera w twarz tak mocno, że ten poczuł, jak oczy kołatają mu w oczodołach. Mark dodał do tego cios w splot słoneczny i Dexter osunął się na kolana, ledwo łapiąc powietrze.

Mark w jednej chwili rzucił się na niego z góry, powalił na ziemię i przygniótł ręce kolanami.

– Pedzio chce pokazać, że ma jaja, co? Głupi pomysł, pedziu. Teraz za to zapłacisz.

Dexter czuł, że już płaci. Nie mógł zaczerpnąć oddechu i poczuł obezwładniający przyływ paniki. Był pewien, że umiera. Oczywiście nie umierał, ale czuł się jak nad grobem.

– Pokażę ci coś, co widziałem w programie o sztukach walki, pedziu – powiedział Mark. Mówił to niemal szczęśliwym głosem. Dexter spojrzał na osiłka i stwierdził, że „niemal” można sobie darować.

Mark przyłożył kciuki po obu stronach twarzy Dextera w miejscu tuż pod górną kością policzkową. Nacisnął. Niezbyt mocno, co było tym bardziej przerażające, bo nawet ten niewielki nacisk mocno bolał.

– To jakieś zakończenie nerwowe, punkt nacisku czy coś takiego. Nieważne, liczy się to, że boli bardziej niż kopnięcie w jaja.

I wtedy nacisnął naprawdę mocno. Jego kciuki zmieniły się w stalowe pręty popychane wcale niemałą siłą rąk.

Dexter nie mógł wytrzymać. Wybałuszył oczy i nie krzyknął, lecz wrzasnął. Ból był natychmiastowy, straszny, czuł go wszędzie. Miał wrażenie, jakby Mark wciskał mu w szczękę szpikulce.

Mimo koszmarne bólu widział Marka, który w najlepsze się uśmiechał. Błyszczały mu oczy i Dexter poczuł, że chłopak ma wzwód.

Mark zmuszał Dextera do krzyku, i to go podniecało.

Na tym powinno się skończyć. Inny osiłek pewnie dałby już spokój. Ale tego dnia Dexter przekonał się, że Mark lubi postawić kropkę nad „i” i zaangażować się na całego.

Nie przestał. Docisnął mocniej. Cisnął go kciukami i uśmiechał się, a Dexter wrzeszczał. Cisnął dalej, aż Dexter posikał się w spodnie. W końcu Dexter zaczął błagać Marka, żeby przestał.

– Czy twoja matka jest kurwą? – zapytał osiłek.

– Tak, tak, tak! – wrzeszczał Dexter.

– No to powiedz to. Powiedz, że twoja mama jest brudną starą kurwą, która lubi się rznąć w tyłek i ssać fiuta!

I znów poczuł, że członek Marka jest twardy i aż drży. Trzeba przyznać Dexterowi, że przez chwilę opierał się temu żądaniu. Ale wtedy Mark nacisnął mocniej.

– Dobra już, dobra! Jest brudną starą kurwą, która lubi ssać fiuta! – wrzasnął.

– Lubi się rznąć w tyłek i ssać fiuta.

– Lubi się rznąć w tyłek i ssać fiuta! Przestań, proszę, przestań, proszę, przestań, proszę...

I wtedy Mark odpuścił. Zabrał kciuki. Ale nie wstał jeszcze z Dextera. Siedział na nim, przyciskając mu ręce kolanami i patrzył na niego z góry z półprzymkniętymi powiekami jak drapieżnik. Dexter czuł na brzuchu pulsujący członek Marka. Był odurzony władzą, swoją potęgą i zdolnością zadawania bólu.

– Posłuchaj, pedziu. Jeśli powiesz komukolwiek, że ci to zrobiłem, to znajdę cię i urwę ci fiuta. Myślisz, że żartuję?

Dexter nie mógł wydobyć z siebie słowa. Drżał, a pulsujący ból w policzkach nie chciał ustąpić. Miał wrażenie, jakby Mark wciąż naciskał go kciukami. Pokręcił głową i zaczął płakać, zanosić się długimi mokrymi szlochnięciami.

Mark spojrzał na niego z odrazą.

– Pierdzielony pedzio.

Chwilę później osiłek zniknął. Dexter przewrócił się na bok i zwymiotował na tę piękną teksaską ziemię. Policzki mu płonęły. Dopiero po prawie dwóch dniach pulsujący ból ustąpił całkowicie. Do tego czasu nie mógł normalnie jeść.

W ten sposób Dexter po raz pierwszy zetknął się z prawdziwym przerażeniem i zostawiło to ślad w jego psychice. Nie miał wątpliwości, że ten osiłek spełni dowolną groźbę. Mark lubił zadawać ból. Zadawanie bólu sprawiało Markowi przyjemność, dostarczało mu rozrywki.

Mark był diabłem wcielonym. Dexter to zrozumiał. Dzieci nie doszukują się odcieni szarości. Moralna wieloznaczność pojawia się później, kiedy muszą uzasadnić własne złe uczynki. Mark był potworem, czarnobiałym. I Dexter przyjął to za pewnik.

Kiedy więc usłyszał, jak Mark mówi: „Pocałuj to, cholerny debilu”, wiedział, że to zły, bardzo zły znak.

Wiele lat później Dexter zastanawiał się, dlaczego, wiedząc o tym wszystkim, nie odwrócił się na tej brązowej teksaskiej ziemi i nie wrócił na asfalt, a dalej z powrotem na skrzyżowanie, dlaczego nie poszedł drugą drogą, która wiodła do parku i na basen i która pozwoliłaby mu pozostać jedenastolatkiem.

A jednak tego dnia poszedł przed siebie, w stronę głosu. Przepędził go

strach, ale nie mógł się odwrócić.

Kiedy minął pierwszą linię drzew, pojawiła się mała polanka. Dexter zobaczył na niej Marka stojącego nad Jacobem Littlefieldem.

Jacob był starszy i od Marka, i od Dextera, miał prawie siedemnaście lat, ale był niższy od Marka i umysłowo gorzej rozwinięty niż jego młodszy koledzy. Dexter zrozumiał, że Mark nie bez powodu mówił „debilu”. Oczywiście użył najgorszego możliwego wyzwiska, takiego, które Jacob na pewno już nieraz słyszał i zapewne dobrze rozumiał.

Jacob klęczał na czworakach i płakał jak zagubione dziecko. Miał dużą pełną twarz i krótko przystrzyżone blond włosy. Jego skóra była mlecznobiała. Dexter osobiście zawsze uważał, że Jacob ma najpiękniejszą skórę, jaką widział u chłopaka. Jacob był uroczym dzieckiem, zawsze uśmiechniętym, bardzo ufnym. Jego mama zwykle miała go na oku. Dexter zachodził w głowę, co się, u licha, stało.

Mark wskazał swoją prawą stopę. Dexter zauważył, że jest bosa. Wyglądała ohydnie, z brudnymi paznokciami i w ogóle nieapetycznie.

– Powiedziałem, pocałuj to, głupi pojebany debilu. Dość już się zaśliniłeś, więc dasz radę wyczyścić mi brud spomiędzy palców.

– Ale ja nie chcę – bełkotał Jacob. – Proszę, nie każ mi.

Mark uderzył chłopca w twarz. Mocno. Dexter usłyszał plaśnięcie i aż zadrżał.

– Rób, co każę, albo ci wpięprzę, cholerny debilu! Słyszysz?

Mark znów uderzył chłopca w twarz. Jacob zaczął ryczeć jak dziecko, zupełnie bez zahamowań, było mu wszystko jedno. Dexter patrzył z przerażeniem i fascynacją, jak Jacob pochyła się i zaczyna całować, a następnie lizać obrzydliwą stopę Marka.

O kurwa, to jedyne, co przyszło mu do głowy. Dexter raczej nie kłął, ale o kurwa było bardzo uniwersalne i pasowało do wielu sytuacji. Na przykład do takiej.

– O tak, debilu, wyczyść je dokładnie.

Dexter rozpoznał tę minę na twarzy Marka. Brutalna radość. Był prawie pewien, że Mark zrobił namiocik, jak mawiali z kumplami. Dowcip tego określenia zupełnie nie grał w tej sytuacji. Dexter miał sucho w gardle, czuł smak piachu. Oto był świadkiem najgorszej rzeczy, jaką widział w życiu. Nie miał co do tego wątpliwości.

Nie miał również wątpliwości, że powinien stąd spieprzać jak najszybciej. I to, kurwa, migiem. Jeśli tego nie zrobi, to zaraz będzie klęczał razem z Jacobem i wylizywał żalobę spod paznokci i brud spomiędzy palców u stóp Marka, póki nie będą błyszczeć.

Ale co z Jacobem?

Taka myśl musiała się pojawić. W końcu Dexter był przyzwoitym chłopcem. Pojawiła się też od razu wstydliva odpowiedź:

Przykro mi, Jacob. Masz przerwane.

Może to mało szlachetne, ale na samą myśl, co Mark zrobił mu kiedyś, Dexter czuł, że zaraz posika się w spodnie. Jacob był zdany na siebie, ma, kurwa, pecha, ale trudno, tak już musi być.

Dexter odwrócił się, żeby odejść, i wtedy stało się coś żywcem z kiepskiego filmu, najstarszy numer świata: stanął na suchym patyku. Lato było suche, więc drewnienko pękło z głośnym trzaskiem.

Dexter rozmyślał potem długo, że u koleś takich jak Mark najgorsze jest to, że nie wahają się nawet chwili, bo są całkowicie pozbawieni jakiegokolwiek moralności. Najpierw usłyszał ruch osiłka, a po chwili



poczuł na karku wielkie mięsiste łapsko Marka. I to wszystko, zanim Dexter zdążył przekuć w czyn myśl „uciekaj”.

– Proszę, proszę – zarechotał Mark. – To chyba jakiś spędek debili.

– Puść mnie, Mark – powiedział Dexter bardziej z przyzwyczajenia niż z jakąkolwiek nadzieją na to, że osiłek go posłucha. – Po prostu przechodziłem obok. Nie interesuje mnie, co tu się dzieje, słowo.

Mark ścisnął go trochę mocniej i Dexter się skrzywił. To jeszcze nie był ból, ale jego zapowiedź.

– Nie ma mowy, pedziu – odparł Mark. – Robię tu małą imprezkę, chyba mi nie odmówisz.

Odwrócił się bez słowa i nie puszczając karku Dextera, zaciągnął go na polanę. Jacob wciąż klęczał na czworakach. Nadal się trząsał i bełkotał. Dexter nie dziwił się, dlaczego chłopak nie uciekł. Mark pewnie zagroził mu, że go zabije. Lepiej lizać ohydny stopę przed nosem, niż być zmuszonym ciągle oglądać się za siebie. Tę logikę rozumie każde dziecko, które doświadczyło przemocy ze strony rówieśników.

Mark puścił Dextera i popchnął go mocno. Chłopiec potknął się i upadł na ziemię. Podparł się nadgarstkiem pod tak dziwnym kątem, że nie mógł się podeprzeć, jedynie spowolnił upadek. Skończyło się na uderzeniu brodą o ziemię. Zęby zgrzytnęły tak mocno, że aż zadzwoniło mu w czaszce, jakby stuknął w nie z całej siły wielką drewnianą łyżą.

– Liź dalej, debilu – polecił Mark Jacobowi.

Jacob nie przestawał szlochać, ale jego opór został złamany. Znow zaczął czyścić językiem brudne palce Marka. Dexter usiadł i otarł sobie usta. Zęby go bolały.

Słońce grzało mocno, ale nie było to już miłe słoneczko, raczej

surrealistyczne. Dexter poczuł się, jakby ktoś go piekł żywcem. Brzęczenie owadów i świergot ptaków w powietrzu tylko potęgowało ten efekt.

Czuję się jak w koszmarnym syropie, jest wszędzie...

Tak właśnie babcia nazywała takie koszmary, w których człowiek chciał uciekać, ale tylko brnął jakby w gęstej zawieszynie. Nazywała to koszmarnym syropem i przekonywała Dextera, że taki koszmarny syrop pojawiał się czasem w biały dzień.

Mark odwrócił się do Dextera i uśmiechnął się jak jaszczur spod półprzymkniętych powiek. Czuł przyjemność. Prawdziwą rozkosz. Zdominował kogoś, upokorzył, wykorzystał swoją siłę. Mark wiedział, czego chce, i nie miał z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia.

– Słuchaj, pedziu. Masz wybór. Albo zrobisz to, co ci każę, albo znowu ci wpięprzę jak wtedy, kilka miesięcy temu.

Na te słowa Dexterowi przebiegł dreszcz po plecach. Na czoło wystąpił mu pot. Poczuł suchość w ustach.

Zrobię, co zechce, to nie może być nic gorszego niż wtedy. Nie ma nic gorszego.

– Zrobimy tak. Wyciągniesz swojego małego fiutka i dasz do possania temu debilowi. Niech się udławi twoją parową. – Mark uśmiechnął się kolejnym leniwym uśmiechem pełnym niezmaconego szczęścia. – On ci obciągnie, a ty się spuścisz, kretynie. Jak się nie spuścisz, to znowu zacznę ci wciskać kciuki. – Pomachał kciukami i uśmiechnął się szerzej.

Wiele lat później Dexter zastanawiał się, skąd Mark i jemu podobni wiedzieli, gdzie wbić nóż tak, żeby bolało jak najbardziej. To była niezwykła umiejętność, zupełnie jak zdolność rekina do wyczuwania krwi

w wodzie.

Dexter nie był doskonały, ale starał się być dobrym chłopcem. Miał chwile zdenerwowania i samolubstwa, ale do tej pory nie zrobił nic naprawdę obrzydliwego. Nigdy nie wyżywał się na kimś słabszym od siebie, nie skrzywdził bezbronnego zwierzęcia, jeśli kłamał, to tylko trochę i w drobnych sprawach. Mark jakimś cudem o tym wiedział. Chciał to zmienić, bo wiedział, że to zabolę Dextera bardziej niż lizanie brudu spod jego paznokci czy wicie się pod naciskiem żelaznych kciuków.

– A jak nie?

– Liż dalej, debilu! – warknął Mark na Jacoba. Odwrócił swój senny wzrok do Dextera i uśmiechnął się. – To będziesz wrzeszczał, pedziu. Tak ci wpięprzę, że będziesz wrzeszczał, aż ochrypnie.

Dexter walczył ze strachem. Kiedy wspominał ten dzień wiele lat później, przyznał to sam przed sobą. Próbował. Ale tamtego dnia przekonał się, że odwaga w obliczu tortur jest możliwa tylko w komiksach, nie u jedenastoletniego chłopca, który może coś zrobić, żeby uniknąć bólu.

Wstał i podszedł do Marka. Spojrzał z góry na Jacoba, który przestał się już zanosić szlochem. Nadal lizał stopy Marka, które powoli robiły się coraz czystsze.

Dobra robota! – pomyślał Dexter, znajdując się na skraju hysterii.

Jacob przerwał na chwilę i podniósł wzrok na Dextera. Ten chłopiec naprawdę miał piękną skórę. Do tego oczy dziecka – wielkie i ufne. Z nosa kapały mu gile, a po policzkach spływały łzy.

– Ale zanim zaczniesz ci obciążać, masz go walnąć w ryj – powiedział Mark. Mówił to rozleniwionym głosem.

Nie rób tego! – zadudnił głos w głowie Dextera. Takiego czynu nie da się odwrócić.

Dexter nie mógł oderwać wzroku od twarzy Jacoba. Jego pełnej, głupiutkiej twarzy. Czuł, jak wzbiera w nim gniew, irracjonalny gniew, który mówił mu, że to przez Jacoba znalazł się w tym położeniu, że to przez Jacoba został zmuszony do zrobienia czegoś tak okropnego.

Gdybyś nie był takim cholernym debilem, nie byłoby cię tu i mnie by tu nie było. Szedłbym sobie na świetny spacer w sobotni poranek.

Gniew Dextera wzbierał coraz bardziej. Później uświadomił sobie, że tak naprawdę był to strach zmieszany ze wstydem.

Zamachnął się. Zawiesił drżącą dłoń w powietrzu.

– No już, pedziu – popędzał go Mark, pławiąc się w rozkoszy jak żaba.

Dexter zstąpił do piekła.

Zamknął oczy, żeby nie patrzeć dłużej na twarz Jacoba. Zebrał w sobie wściekłość i uderzył z całej siły.

Uderzyłem tego biednego chłopca i... zrobiłem to, co kazał mi Mark, a potem patrzyłem, jak po wszystkim Mark go straszy – czyta mężczyzna na filmie.

– Powiedział Jacobowi, że go zabije, jeśli piśnie słowo, a potem jeszcze, że zerznie mamę Jacoba w tyłek.

To był koniec moich dziecięcych sobót. Próbowałem jeszcze budzić się wczesnym rankiem, ale kreskówki wydawały mi się jakieś mdłe, a cynamonowe tosty nie smakowały już tak, jak dawniej.

Po tym zdarzeniu poczułem się zupełnie inaczej. Zwłaszcza w dzieciństwie człowiek ma o sobie jakieś wyobrażenia. Ideały. Zakłada, że w potrzebie będzie odważny, że w trudnej sytuacji podejmie właściwą decyzję. Mark zrujnował mi tę iluzję. Uświadomiłem sobie, że jestem w stanie zrobić krzywdę, a nawet skrzywdzić drugiego człowieka – bezradnego człowieka – byle tylko ocalić własną skórę. W chwili próby nie okazałem się bohaterem i cokolwiek by się zdarzyło, ta świadomość będzie mnie prześladować do końca życia.

Opowiedziałem babci o tym, co się wydarzyło. Mówiłem i płakałem, a ona długo mnie przytulała. Przez długą chwilę milczała, rozmyślając nad tym, co jej opowiedziałem. W końcu odezwała się tak: »Każdy skrywa w sobie jakiś wstrętny sekret. Pamiętaj o swoim, kiedy przyjdzie ci do głowy osądzać innych«.

Do tego roku wiedziała o tym tylko babcia. Znalazłem księdza, dobrego człowieka, który zechciał wysłuchać mojej spowiedzi. Mówiłem, słuchałem, a potem – o cudzie – on udzielił mi rozgrzeszenia. Powiedział,

że Bóg mi przebacza, a ja mu uwierzyłem. Dociera do mnie, że Bóg to nie problem. Nie jestem po prostu pewien, czy jestem gotów przebaczyć sam sobie.

Ale próbuję. Naprawdę bardzo się staram”.

Mężczyzna odkłada kartkę na stół i znów splata ręce. Kciukiem i środkowym palcem wciąż przesuwają paciorki różańca.

„ – A więc Dexter Reid ujawnił światu jedną tajemnicę, swoją chęć zostania kobietą. Ale zataił inną tajemnicę, coś chyba o wiele bardziej wstydliviego. Z pewnością bardziej wstydliviego dla niej. Jak to się mówi, prawda i tylko prawda, tak mi dopomóż Bóg. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. A bez tego nie ma mowy o zbawieniu. Kolejnym przykładem będzie śmierć Rosemary Sonnenfeld”.

Film ciemnieje.

– Czy moje złe przeczucia się sprawdzają? – pytam Alana.

– Tak.

– Puszczaj dalej.

Klika kolejny filmik. Tym razem napisy głoszą: „Śmierć i grzech Rosemary Sonnenfeld”.

„ – Rosemary była grzesznicą nad grzesznicami – zaczyna mężczyzna. Nie mówi tego z jakąś szczególną pogardą. Po prostu relacjonuje. – W młodości uprawiała seks bez zahamowań i za pieniądze, nurzała się w narkotykowym nałogu i perwersji. Kiedy doszła już do dna, wpuściła do swego życia Boga i wyznała przed Nim swoją przeszłość. Ujawniła swoje sekrety i próbowała iść ścieżką prawości. Ale tak jak Dexter, miała też drugą tajemnicę, jeszcze większy grzech. Przypatrzcie się”.

Na ekranie pojawia się kobieta z twarzą nad kupką kokainy, w rękach

trzyma słomkę. Jest naga i drży. Słysząc dźwięk wciąganego nosem powietrza i kupka narkotyku robi się znacząco mniejsza. Rozpoznaję w kobiecie Rosemary.

„ – Jeszcze raz – mówi jakiś głos. To głos dotychczasowego narratora filmów.

Rosemary podnosi wzrok. Oczy ma nieco zmętniałe, ale widzę w nich strach.

– Jeśli dalej będę wciągać, umrę – mówi.

– Otóż to – odpowiada mężczyzna. – Ale jeśli tego nie zrobisz, odstrzelę ci kolana i odetnę piersi. I tak umrzesz, ale będzie o wiele bardziej bolało. – Cisza. – No, jeszcze raz”.

Przez twarz przebiega jej grymas rezygnacji. Pochyliła się na kupką i bierze silny wdech. Mam wrażenie, że trwa wiecznie. Słomka wypada jej z palców, odrzuca głowę do tyłu. Oczy biegają jej na wszystkie strony, włosy opadają wzdłuż pleców. Koszmarne dzieło sztuki – estetyka śmierci i atmosfery śmierci.

„ – A teraz połóż się – mówi mężczyzna łagodnym głosem. – Połóż się, moje dziecko”.

W obiektywie pojawia się ręka w rękawiczce, która popycha drżące, trzęsące się ciało Rosemary na łóżko. Dziewczyna uśmiecha się, przygryza dolną wargę. Kropelki potu występują jej na czoło. Oto kobieta w szponach czegoś ekstatycznego i cudownego. Raz za razem zaciska uda, jakby powstrzymywała orgazm.

„ – Rosemary, opowiedz nam o Dylanie.

Przestaje zaciskać uda i najwyraźniej nieco się skupia. Marszczy czoło i wzdryga się. Zaczyna się pocić.

– Sskąd wwiesz? Jjak? Mówiłam tylko...

– Wiem, Rosemary – przerywa jej. – Umierasz. Idź na spotkanie z Bogiem z prawdą na ustach. Powiedz nam o Dylanie. Był twoim bratem, prawda?

– Ttak. Bratem. Pięknym bratem.

– Ile lat miał Dylan?

Wstrząsa nią dreszcz i zamyka oczy.

– Trzyńście – syczy.

– A ty ile miałaś?

– Piętnaście, piętnaście, piętnaście – mówi rytmicznie.

– Opowiedz nam, Rosemary. Opowiedz nam, opowiedz im, opowiedz Bogu, co zrobiłaś pięknemu Dylanowi.

Długie milczenie. Teraz Rosemary zaczyna naprawdę się trząść. Ma coraz szybszy i płytszy oddech.

Nie zostało jej wiele czasu, myślę.

– Pewnej nocy zakradłam się do jego łóżka i zaczęłam obciągać mu fiutka! – krzyczy. – Zaczęłam obciągać, a on nie mógł mnie powstrzymać. A potem znów zrobił się twardy i pieprzyłam się z nim.

– I co się stało następnego dnia, Rosemary?

Cisza. Spazmy. Pot.

– Co się stało następnego dnia?

Kręci głową w prawo, w lewo, w prawo, w lewo.

– Nie, nie, nie, nie, nie, nie.

– Bóg jest miłością, Rosemary.

Te słowa przynoszą w Rosemary zmianę, której właściwie nie rozumiem. Dziewczyna zaczyna płakać.



– Zabił się. Poszedł do łazienki i podciął sobie żyły i nie zostawił żadnego listu, bo wiedział, że ja będę wiedziała dlaczego. Nikt inny nie wiedział, ani mama, ani tata, ale ja wiedziałam, wiedziałam, wiedziałam. Nienasycony zły, który we mnie siedział, zabił słodkiego Dylana, zmusił mnie, żebym zrobiła coś złego wbrew jego woli, pożarł go żywcem. Ten nienasycony zły go zabił”.

Krzywię się, słysząc cierpienie w jej głosie i na myśl, że ktoś nazywa coś, czego w sobie tak nienawidzi. Nienasycony zły.

„– Bardzo dobrze, Rosemary” – mówi mężczyzna.

Jestem zaskoczona głębią współczucia w jego głosie. Chyba naprawdę się tym przejmuję.

„– Teraz dam ci spokój, wyślę cię do domu, do Boga. Czy chcesz tego?”

Rosemary zaczyna odmawiać modlitwę powszechną:

– Ojciec nasz, który jesteś w niebie...”

W polu widzenia obiektywu pojawia się długi metalowy pręt z ostrym końcem.

„– Święć się imię Twoje” – dopowiada mężczyzna.

Znów ujęcie mężczyzny siedzącego za stołem. Co za różnica. I tak wiem, co się stało dalej. Wbił jej pręt w bok, pod kątem, tak by dotarł prosto do serca. Tak jak obiecał, dał jej szybką śmierć.

„– I widzicie? Znów jedna ujawniona tajemnica skrywa inną, utajoną. Do prawdy nie trzeba dążyć, prawda pojawia się od razu”.

Po raz pierwszy zmienia się język jego ciała. Odkłada różaniec na bok stołu i kładzie ręce płasko na blacie.

„– Całe życie przygotowywałem się na tę chwilę, na to objawienie. Nie

robiłem tego dla siebie. Nie robiłem tego dlatego, że lubię zabijać”.

– Akurat – mówi Callie sardonycznym tonem.

„ – Przez cały czas przygotowywałem absolutny, twardy, niepodważalny dowód na temat prawdy. Bo najbardziej podstawowa prawda brzmi tak: życie w kłamstwie, życie w grzechu nie pozwala człowiekowi zaznać owoców niebieskich. Życie w prawdzie, wyznanie grzechów, bez zatajania czegokolwiek, pozwala po śmierci zasiąść po prawicy Boga. To takie proste. Nie ma tu co dyskutować czy kombinować bez końca. Potrzeba tylko działania na poziomie absolutu. Kochamy nasze małe grzeszki. Tajemnice, które skrywamy dla siebie, czasami to jedyne sprawy, które możemy naprawdę nazwać naszymi własnymi. Rozumiem to. Wiem, że życie potrafi być ciężkie. Matka pracująca na trzy etaty i wychowująca samotnie trójkę dzieci wymyka się na godzinę z żonatym mężczyzną. Dzięki temu smakuje życia i podniety oraz ukradkowego, chwilowego poczucia wolności, bez którego nie wyobraża sobie życia. Grzech czasem może być jak woda na pustyni. Prawda jest niezmienna: owa matka może pracować na wielu etatach, dobrze wychowywać dzieci, wieść życie, w którym brak jest jakichkolwiek innych złych uczynków. Ale jeśli umrze i nie wyzna wcześniej szczerze tego grzechu, nie pójdzie do nieba. Zadajcie więc sobie pytanie: czy te ukradkowe chwile warte są wieczności? Od dwóch dekad zabijam nie dla dreszczyku emocji, ale po to, bym mógł stanąć tu i teraz przed wami i podzielić się z wami prawdą tego, co widziałem. Jak się przekonacie, moje ofiary dobieierałem uważnie. Każda ma jakiś sekret, ciemną stronę duszy, coś, czego nie chce ujawnić. Wszystkie teraz siedzą po prawicy Boga i cieszą się cudami niebios. W końcu ci ludzie oddali życie po to, żebyście wy mogli zrozumieć. Nie

chcieli zostać męczennikami, ale i tak nimi są. Nie jestem mesjaszem. Był tylko jeden mesjasz, Jezus Chrystus, syn Boży. Ale pokornie przyznaję, że jestem prorokiem współczesności. Żyjemy w czasach przesiąkniętych grzechem. Bezbożność stała się niemal normą. Jeśli to oglądacie, słuchacie moich słów, to czas się przebudzić. Istnieje dobro i zło. Istnieje Bóg. Istnieje niebo i piekło. Droga do nieba to droga absolutnej prawdy. Droga do piekła to droga kłamstw, kluczenia, zatajania owych cennych sekretów. Którą drogą pójdziecie? Jeśli wybieriecie drogę do nieba, to obejrzyjcie pozostałe moje filmy i posłuchajcie. Może dostrzeżecie własny grzech ujawniony przez innych. Może pogodzicie się z tą wielką i prostą prawdą: Bóg jest w stanie przebaczyć nawet najgorszą rzecz, jaką zrobiliście. Musicie go tylko o to poprosić. Dwadzieścia lat temu uświadomiłem sobie, że Bóg powołał mnie, żebym podzielił się tą prawdą ze światem. Grzech jest wszechobecny. Zaczynamy grzeszyć już w chwili narodzin. Ale jeśli oglądacie to, musicie zrozumieć: możecie zostać ocaleni, jeśli tylko wyznacie wszystko Bogu i niczego nie zataicie. Niektórzy zapytają, jak mogę usprawiedliwić morderstwo. Odpowiem prosto, że na tych filmach nie widać morderstwa. Widać na nich poświęcenie. Oni wyznali mi swoje grzechy, wyrazili skruchę i dlatego wszyscy zostali wpuszczeni do nieba. Zważcie na fakty – wielu ludzi w historii mówiło już to, co ja mówię teraz. Ale ludzie nie słuchają. Nadal pilnują swoich małych tajemnic. Słyszą słowa, ale nie czują ich w sercu. Wydaje się, że słowa nie wystarczą. Okazuje się, że człowiek musi zobaczyć, jak jego bliźni płaczą, krwawią i umierają. Musi usłyszeć najciemniejsze sekrety innych, uświadomić sobie, że nie jest sam, że inni też robili okropne rzeczy. Ci, których poświęciłem, zostali odesłani do Boga po to, żebym tym razem miał pewność, że

będziecie słuchać, usłyszycie i poczujecie tę podstawową prawdę: szczerść wobec Boga pozwala osiągnąć wieczne zbawienie. Zatajanie choćby najmniejszego drobiazgu kończy się piekłem na wieki – podkreśla”.

Te ostatnie słowa wypowiada gorączkowo, z pasją, jak cichy grom. To jest to, myślę. To dlatego robi to, co robi. Albo przynajmniej dlaczego wydaje mu się, że robi to, co robi.

Tworzy przed Bogiem dowód prawdy. Ofiary są niezbędne, by udowodnić ten ideał, a ich śmierć jest usprawiedliwiona możliwością zbawienia innych, którzy będą oglądać i uczyć się tego, co mężczyzna próbuje im przekazać. Nie musi się czuć winny. W końcu wyznali grzechy, prawda? To oznacza, że wysyłał ich do lepszego miejsca. Ba, wyświadczał im wręcz przysługę.

Co za gówniane tłumaczenia. A jak usprawiedliwić śmierć Ambrose’a?

Psychopaci, choćby najbardziej błyskotliwi, zawsze mają jakieś słabe punkty. Ich systemy racjonalizacji, na pierwszy rzut oka choćby nie wiem jak logiczne, nie są w stanie ukryć podstawowego motywu: psychopatę cieszy cierpienie i śmierć innych.

Mężczyzna znów bierze różaniec i zaczyna przesuwac paciorki.

„– Z samego siebie chcę uczynić ostateczną demonstrację zasad, które wyznaję. Do funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa, którzy będą to oglądać: wszystko, co musicie wiedzieć, żeby mnie znaleźć, jest w tym i innych nagraniach. Wszystko. Ale musicie mieć czysty umysł. Musicie umieć dostrzegać prawdę. Róbcie to, o czym nauczam, a znajdziecie mnie tuż przed sobą. Jeśli będziecie trzymali się waszych kłamstw, które zasłaniają wam oczy, zajmie wam to znacznie więcej czasu. A w tym

wypadku, drodzy oficerowie i agenci, czas to życie. Jeszcze nie skończyłem. Mam listę nazwisk i już zadbałem o to, żeby ci ludzie najpierw spotkali się ze mną, a potem usiedli po prawicy Boga. W ciągu następnych dwóch dni znów zabiję i tym razem będzie to dziecko”.

– Cholera – mówi bezgłośnie Alan.

Wszystko zamiera. Świat przestaje się kręcić, wracają cykady. Nie mam wątpliwości, że mówi prawdę, a jeszcze mniej wątpię, że dotrzyma słowa.

„– Na razie to wszystko. Zdaję sobie sprawę, że czasy są takie, że jakoś zostanę nazwany. Nie chcę, żeby czyjaś radosna twórczość przesłaniała wam cel mojego przesłania. Niech więc będzie to prosty pseudonim: możecie nazywać mnie Kaznodzieją”.

Ekran ciemnieje.

Wszyscy milczą.

– Kaznodzieja – odzywa się w końcu Callie, nieco drwiącym tonem. – Ależ ma rozdęte ego.

– Nie oglądałem dalszych filmów – mówi Alan – ale wygląda na to, że dotrzymał słowa. Na tej stronie zostało jeszcze jakieś sześć filmów, a dalej... – Klika ma odnośnik z napisem „następna strona” i w przeglądarce pojawia się nowa strona pełna zdjęć oznaczających filmiki. – Popatrz tutaj, w informacjach o każdym klipie znajdziesz autora. To wszystko jego robota.

Pochyliam się i rzeczywiście, pod każdym obrazkiem widzę: „Autor: Kaznodzieja”. Przyglądam się samym fotografiom. Są najróżniejsze. Niektóre to tylko czarny ekran. Inne zawierają znajome białe litery, z których układa swoje „napisy początkowe”. Na niektórych widać kobiety,

młode i stare. Część z nich wygląda na martwe, część jest przerażona. Kilka ma zakneblowane usta. Nie widać tu wyraźnego typu ofiar.

– Ile tych obrazków mieści się na stronie? – pytam.

– Dziesięć rzędów po pięć – odpowiada Alan.

– Ile stron? – Aż boję się odpowiedzi.

– Prawie trzy.

– Jeśli więc każdy z nich opowiada o oddzielnej ofierze – zastanawia się Callie – to cyfry na krzyżykach, które zostawił u Lisy Reid i Rosemary Sonnenfeld jednak oznaczają liczbę ofiar.

– Jest jeszcze jeden problem – mówi Alan. Przechodzi z powrotem na stronę główną działu religijnego. – Filmy trafiają na tę stronę w zależności od popularności. Innymi słowy, w zależności od tego, ile razy są oglądane.

– Świetnie – mruczę. – Domyślam się, że jest też jakiś ogólny ranking popularności, prawda?

Alan kiwa głową.

– Jeśli film jest oglądany wystarczająco często, trafia nie tylko na stronę główną kategorii religijnej, ale też na stronę główną całego serwisu.

– Wkrótce ktoś dopatrzy się nazwiska rodziny Reid – zauważa James.

– Nie mówiąc o groźbie zabicia dziecka. To trafi na czołówki mediów.

Niepokój, jaki płynie strumykiem przez mój żołądek, rozlewa się w wielką rzekę.

– Gówno ochlapie wszystko wokół – mówię. – Musimy spróbować temu zapobiec. – Zaczynam chodzić po pokoju i mówić na głos, żeby zebrać myśli. – Media będą aż huczeć od tego, a potem zaczną się telefony w sprawie ofiar. To, że do tej pory zdołał pozostać w ukryciu, oznacza zapewne, że większość jego ofiar to przypadki osób zaginionych bez

wieści. Trzeba się liczyć z tym, że wiele rodzin będzie się domagało potwierdzenia, czy chodzi o ich bliskich.

– Dobry Boże – mówi Callie, rozumiejąc, co naprawdę mówię. – Ci biedni ludzie nas tu zdeptają.

– Oni i wariaci – zauważa Alan.

Głośne morderstwa, zwłaszcza te, które zyskują rozgłos mediów, przyciągają wariatów niczym świeże mięso psy z całego miasta. Ludzie stają w kolejkach, żeby się przyznać. Im bardziej niezwykła zbrodnia, tym dłuższa kolejka. Pocieram czoło i nie przestaję chodzić.

– Trzeba zdjąć te filmiki – stwierdzam.

– Tak – zgadza się Callie.

– Chwileczkę – mówi James i zaczyna wpisywać w nowych okienkach przeglądarki kolejne adresy. Po chwili opiera się wygodniej i kręci głową.

– Tak jak myślałem.

– Co? – pytam.

– Te filmiki rozchodzą się jak wirusy – odpowiada. – Usertube to najpopularniejsza strona do dzielenia się tymi klipami, ale wcale niejedyna. Wpisałem adresy dziesięciu innych. Sami zobaczcie.

Pochylamy się wszyscy nad komputerem, a James pokazuje nam kolejne okienka przeglądarki, które otworzył. W każdym widać rzędy obrazków.

– Czy to...? – pytam.

Kiwa głową.

– Filmiki Kaznodziei. Opublikowane przez użytkowników podobnych serwisów na całym świecie. – Wzrusza ramionami. – Wszelkie szaleństwa w sieci rozchodzą się najszybciej.

Alan pociera twarz obiema dłońmi.

– Jasna cholera.

– I co? – pytam. – Mówicie, że nie ma znaczenia, że usuniemy je z Usertube?

– Mówię ci, że to strata czasu. Są już wszędzie, także na twardej dyskach u ludzi. Będą wypalane na płytach CD i DVD, ludzie będą je sobie wysyłać e-mailami, dzielili się nimi na forach i grupach dyskusyjnych. To idealne medium do tego, co zamierza ten człowiek.

Patrzę na niego przez chwilę i mrugam.

– Muszę zadzwonić do wicedyrektora Jonesa – mówię. – Potrzeba nam więcej ludzi.

James kiwa głową.

– Grupa specjalna.

– Tak. Alan jęczy:

– Świetnie. Banda żółtodziobów potykających się o własne stopy i próbujących ukraść moje biurko.

– Wykorzystamy ich głównie do obsługi telefonów i do pomocy w zbieraniu informacji. Badaniem wszelkich wątków i głównym śledztwem zajmujemy się nadal my.

– Oni się naharują, a my zbierzemy chwałę. – Callie kiwa głową. – To mi się podoba.

– Ale po kolei – mówię im. – Musimy obejrzyć te filmy. Podał nam nazwiska Dextera i Rosemary. Może tę samą zasadę stosował stale. Musimy stworzyć listę i zacząć przetrząsać bazy danych w całym kraju w poszukiwaniu podobnych zabójstw.

– Szukajmy podobieństw w lokalizacji – wtrąca się James. – Miejmy



nadzieję, że podpowie nam coś, co pozwoli nam zidentyfikować ofiary i zawęzić docelowy obszar. – Patrzy na mnie. – W końcu i tak czeka nas rozesłanie tej listy ofiar do lokalnej policji. Jeśli zdołamy ograniczyć promień, będzie nam łatwiej. – Zerka na mnie. Możemy też poprosić Usertube, żeby natychmiast ściągali wszelkie jego nowe pliki i przesyłali do nas.

– Świetny pomysł. Podzielmy się filmami. Ja wezmę ostatnią stronę i zacznę je oglądać, kiedy tylko zadzwonię do wicedyrektora Jonesa i Rosario Reid.

Alan się krzywi.

– Myślisz, że wiedziała? O tym, co jej syn zrobił temu biednemu Jacobowi?

Czuję się zmęczona, zmięta i ledwo żywa, a zarazem o wiele za bardzo nabuzowana.

– Nie. Bierzmy się do roboty.

Jezus Maria – mówi wicedyrektor Jones i milknie. Czekam. – To się rozejdzie wszędzie – mówi.

– Już się rozeszło, szefie.

Zadzwoiłam do niego na komórkę. Nigdy jej nie wyłącza.

– Mamy choćby blade pojęcie, co za dziecko chce zabić?

– Nie, szefie.

Znów cisza.

– Rozmawiałaś z Rosario?

– Jeszcze nie, szefie. Najpierw zadzwoniłam do pana. Ale będę z nią rozmawiać.

– Nie będzie im łatwo. – Wzdycha. – Rozumiem, że chcesz zorganizować grupę specjalną?

– Będziemy potrzebowali dodatkowych ludzi, szefie. Kiedy to wyjdzie z Internetu i trafi do głównych mediów, rodziny ofiar muszą mieć gdzie zadzwonić. Skoro nie możemy odciąć od tego mediów – a nie możemy – to wykorzystajmy je jak najlepiej.

– Zgoda. Będziesz potrzebowała kogoś z doświadczeniem, kogoś rzutkiego.

– Ma pan kogoś na myśli?

– W dziale kontaktów z mediami pracuje agentka, która już raz organizowała infolinię. Jezebel Smith.

– Naprawdę nazywa się Jezebel?

– Tak, wiem. Wszyscy mają najdziwsze skojarzenia religijne. Pracuje u nas od ośmiu lat, i to naprawdę świetna dziewczyna. Pomagała nam przy

alarmie terrorystycznym w 2007 roku. Ludzie z okolicy stu kilometrów telefonowali, że właśnie widzieli bojowników al Kaidy. Stek bzdur i strata czasu, ale Jezebel świetnie oddzielała ziarno od plew.

– Przynajmniej nie jest nowicjuską. Podejrzewam, że agenci, których posadzimy przy telefonach, to żółtodzioby?

– Obawiam się, że tak. Czego jeszcze potrzebujesz?

– Powinnam zadzwonić do dyrektora?

– Tak, ale nie będę cię do tego zmuszał. Sam z nim pogadam i dopilnuję, żeby dzwonił do mnie, a nie do ciebie. Będzie musiał nam pomóc okiełznać media.

– Dzięki.

– Smoky, bierz się do roboty. Jak tylko dojadę do biura, zgram agentkę Smith i wyślę ją do ciebie. Powinna się pojawić w ciągu godziny. Dzwoń do Rosario Reid.

– Tak, szefie.

Rozłącza się, a ja zwlekam przez chwilę. Naprawdę nie mam ochoty dzwonić do Rosario. Mam tylko złe wieści dla tych, co przeżyli.

– Odwal to i już – mówię sobie.

Wykręcam numer, który mi dała. Podnosi słuchawkę już po trzech dzwonekach.

– Smoky?

– Witaj, Rosario.

– Masz jakieś złe wieści, prawda? – mówi to bez wahania. Dzięki temu jest mi trochę łatwiej, bo wiem, że tego się spodziewa. Niewiele łatwiej, ale trochę.

– Bardzo złe.

I znów bez wahania, stanowczym głosem:

– Mów.

Opowiadam więc. O Kaznodziei, o filmach w Internecie, o stronach, które wyrwał z dziennika Lisy. Rosario słucha w milczeniu i nie odzywa się jeszcze przez dłuższą chwilę.

– Pamiętam Jacoba Littlefilelda – mówi. – Słodki chłopiec. Marka Phillipsa też pamiętam. Mały potwór, który wyrósł na wielkiego potwora. Trafił za kratki już jako dwudziestolatek. Biedny Dexter. Mój biedny, biedny syn.

Głos jej się łamie, po raz pierwszy odkąd się poznałyśmy. Wiem, że strata dotyka nas czasem mocniej, niezależnie od tego, ile czasu minęło. Nie straciła panowania nad sobą kiedy zamordowano jej dziecko, ale traci je teraz, wspominając młodość syna i koniec jego sobotnich poranków.

– Wiemy już coś więcej, kim jest ten potwór? – pyta po chwili.

– Ogólnie tak. Pokazał nam nagrania wideo wcześniejszych ofiar. Im więcej mamy danych, tym większe szanse, że go złapiemy.

– Po co to robi? Po co wyjawia światu tajemnicę Lisy? Nie wystarczyło mu, że ją zamordował?

Rosario chce zrozumieć, a ja próbuję jej pomóc, choć wiem, że jej to nie pocieszy.

– Zawsze chodzi o władzę, Rosario. Władzę nad życiem i śmiercią i wszelkimi ich składnikami. Jeszcze nie mogę dokładnie opisać ci jego motywów, ale odpowiedź jest krótka: nie, nie wystarczyło mu, że zamordował. Chce czuć kontrolę nad wszystkim, nad najbardziej osobistą, prywatną, najpilniej strzeżoną sferą życia. To dla niego jak seks. Świetny seks.

– A ta cała gadka o „prawdzie” i Bogu? – Głos drży jej z obrzydzenia.

– Wierzy, że jest wierzący. Tego jestem pewna. Ale jest szaleńcem, więc nie widzi prawdziwej prawdy.

– Czyli?

– Wmawia sobie, że czerpie radość z tego, że osiąga wyższy cel, zabijając. Prawdziwa prawda, niestety, brzmi tak, że to zabójstwa są jego jedynym celem.

Rosario milczy przez chwilę.

– Skąd wiesz takie rzeczy?

Rozmyślam nad tym pytaniem. Nie pierwszy raz mi je zadano.

– Chyba stąd, że próbuję się wczuć w to, co czują oni.

Znów cisza.

– I co on teraz czuje? Ten potwór, który zabił moje dziecko?

– Radość – odpowiadam bez wahania. – Orgię radości.

– Chcę, żeby poczuł ból, nie radość, Smoky – odzywa się po chwili chrapliwym i oschłym głosem.

– Wiem. Ja mogę go tylko złapać.

– Nie przejmuj się tym, jaki to może mieć wpływ na mnie czy na moją rodzinę. Będzie ciężko, ale damy sobie radę. Skup się na odszukaniu tego... czegoś. Proszę.

– Obiecuję.

Kiedy wracam do biura, Alan podnosi kartkę papieru.

– Za każdym razem, podaje nam nazwiska – mówi. – Niektóre z nich sprzed wielu lat. Sądząc po ubraniach, fryzurach i podobnych rzeczach może nawet sprzed dwudziestu.

– Wszystkie filmy mają tę samą podstawową konstrukcję – mówi Callie. – Kaznodzieja każe ofierze wyznać jakiś głęboki, wstydlivy sekret, a potem daje do zrozumienia, że ją zabije.

– Ale każdy film kończy się przed śmiercią – zauważa James.

– Dziwne – mruczę. – Można by sądzić, że najważniejszy będzie dla niego sam moment śmierci.

– Może to część konstrukcji, za pomocą której sobie to racjonalizuje – mówi James. – Wmawia nam i sobie, że robi to, co robi, dla idei prawdy, która najbardziej zbliża ludzi do Boga. Próbuje podzielić się tą prawdą ze światem, żeby inni też mogli doznać zbawienia. Może uważa, że gdyby pokazał samo morderstwo, wyszedłby na voyeurystę.

– Założę się, że i tak sfilmował morderstwa, co do jednego – odzywa się Alan. – Po prostu nie zamieszcza ich w filmach. Pewnie siedzi w domu i co chwila się przy nich onanizuje.

– Sama nie wiem – mówię. – Moim zdaniem widać u niego raczej autorepresję. Święty człowiek, który z powodzeniem opiera się własnym żądzom, ktoś tego typu. To by pasowało do wzorca tożsamości, do którego próbuje nas przekonać. Przeglądajmy dalej te filmy i spisujmy nazwiska. Jeśli nam je podaje, to zrobmy z tego użytek.

Przekazuję im wieści o Jezebel Smith i streszczam resztę rozmowy z wicedyrektorem Jonesem. Alan zerka na zegarek.

– Zaraz powinna się pojawić. Ona załatwi ten specjalny numer? Mówi o infolinii, o której będziemy informować w mediach.

– Tak. Pokieruje całym tym bałaganem i zdaje się, że wie, jak to robić. Coś jeszcze?

Nikt się nie odzywa.

– No, to do roboty.

Chwilę później siedzę w swoim gabinecie. Wchodzę na serwis Ustube i znajduję stronę. Klikam w pierwsze zdjęcie. Patrzę na ciemny ekran, potem białe litery: „Grzechy i śmierć Maxine McGee”. Notuję nazwisko na kartce. Pojawia się twarz kobiety. Ładna, choć nie nazwałabym jej piękną. Ma brązowe włosy do ramion, ułożone w stylu, który wskazuje, że film pochodzi z lat osiemdziesiątych. Kobieta ma wielkie brązowe oczy, a jej twarz jest prawie pucołowata. Te wielkie brązowe oczy są okrążone ciemnymi obwódkami, jak u szopa, bo dziewczyna płacze, jest przerażona i tusz do rzęs rozmazał się pod wpływem łez.

Obok nazwiska notuję opis bohaterki. Próbuję w ten sposób zdystansować się od tego, co oglądam. Ta kobieta kiedyś żyła, teraz jest martwa. To jej ostatnie chwile życia, wie o tym, a ja to oglądam. Męczy mnie to.

„– Maxine McGee” – mówi Kaznodzieja tym swoim miłym głosem, którego zaczynam nienawidzić. – „Opowiedz tym, którzy cię oglądają, o swoim grzechu”.

Maxine nie może przestać szlochać.

„– Ooo o czym ty mówisz? – bełkocze.

– Maxine. – W głosie słyhać ton ostrzegawczy, jakby mężczyzna groził jej przyjaźnie palcem. – Nie chcesz usiąść po prawicy Boga? Opowiedz o swoim dziecku. Opowiedz o małym Charlesie. Ile miałaś wtedy lat? Szesnaście?”

Jej zachowanie zmienia się natychmiast. Szerzej otwiera oczy, przestaje płakać i rozdziawia usta. Wygląda jak karykatura szoku i zaskoczenia.

„ – Widzisz? Dobrze wiesz, o czym mówię”.

Znów wraca to uczucie niepokoju w żołądku.

Maxine mruga szybko. Zamyka usta i znów je otwiera. A potem znów zamyka.

Wygląda jak zdychający gupik.

„ – No dalej, Maxine. Charles. Pamiętasz przecież Charlesa, prawda? Maleńkiego Charlesa, który ostatnie tchnienie wydał w koszu na odpadki w jakimś zaułku, wyrzucony jak śmieć”.

Grymas przemykający po twarzy Maxine przeraża mnie. Czuje się zgwałcona do głębi, tak całkowicie i szczerze, że mam ochotę natychmiast zatrzymać film. Skrzywdził ją tym, że wie o sprawie i udowadniając, że wie. Przedarł się przez największe zasieki jej duszy i dla Maxine to gorsze niż przywiązanie do krzesła, może nawet gorsze niż świadomość rychłej śmierci.

Uświadamiam sobie, że właśnie tego pożąda Kaznodzieja. Tej chwili upokorzenia.

Maxine zaczyna znów płakać, ale wolniejszym, głębszym szlochem. Płacze ze wstydu, nie ze strachu. Pochyla głowę do przodu, a czarne łzy zmieszane z tuszem kapią na jej nagie nogi, na których zostawiają plamy.

„ – Miałam zaledwie szesnaście lat – mówi cichym głosem.

Jej głos brzmi jak u kilkulatki.

– Prawda – mówi mężczyzna. – Ale ile miał wtedy maleńki Charles?

– Kilka minut – ledwo mówi. – Miał zaledwie kilka minut.

– Co z nim zrobiłaś?

– Mia.... miałam tylko szesnaście lat. Zaszłam w ciążę z tatą. On i mama udawali, że niczego nie widzą. Byłam dość szczupła, a brzuch nie



urósł mi za wielki, ale dzieci w szkole zauważyły. Mimo to tata wciąż przychodził do mnie w nocy. – Znow podniosła głowę. Patrzy w dal, wspominając. Cofnęła się w czasie i mówi głosem dziecka. – Nienawidziłam tego czegoś we mnie. To się wzięło z tego, że tata ze mną był, i pamiętam, że myślałam, że noszę w sobie diabła, demona. Że rośnie we mnie potwór z kłami i szponami. Czasami się poruszał, a ja zaczynałam drzeć. Tak się go bałam. Pod koniec tata przestał udawać, że go nie widzi. Kiedyś dotknął mojego brzucha i powiedział: »Jeśli to chłopak, nazwiemy go Charles«. – Wzdryga się. – Przez to jeszcze bardziej nienawidziłam tego dziecka. Byłam pewna, że to syn szatana albo kogoś takiego. Obudziłam się w nocy, miałam mokro w łóżku. Wody mi odeszły. Bardzo mnie bolało. Wiedziałam na pewno, że nie chcę rodzić tam, w domu. Ubrałam się więc, wzięłam samochód taty i pojechałam do dzielnicy zamkniętych fabryk. Znalazłam jakieś miejsce w ciemności, żebym nie musiała go widzieć, kiedy wyjdzie, z tymi swoimi kłami, ogonem i szponami”.

Przerywa. Znow wykrzywia twarz w bólu.

„– Co się stało potem, Maxine? – pyta mężczyzna.

– Urodziłam go. Przyszedł na świat. Leżał po prostu na ziemi, a ja trochę odleciałam, ale wiedziałam na pewno, że jestem przerażona. Nie chciałam na niego patrzeć. I wtedy... zapłakał. – Słyszę zdziwienie w jej głosie. – Ten płacz brzmiał tak normalnie. Wcale nie jak płacz demona, tylko normalnego dziecka. Spojrzałam więc na niego, był taki mały. Wrzeszczał jak najęty, jakby był na mnie zły, zły, że leży na zimnej ziemi, zły na cały świat. Był pokryty moją krwią. Wzięłam go i uważnie mu się przyjrzałam.

– I co zobaczyłaś, Maxine?

Zamyka oczy.

– Zobaczyłam dziecko. Po prostu dziecko.

– I? Co jeszcze zobaczyłaś?

Otwiera oczy. Jest w nich upór, ból w najczystszej postaci.

– Zrozumiałam, że będzie należał do taty. Tata go jakoś wykorzysta, zarazi albo zgwałci. Nie urodził się jako demon, ale tata był diabłem i w końcu zmieniłby go w złego człowieka. I wtedy... – Bierze jeden wielki oddech. – Wtedy zrobiłam jedyne, co uznałam za słuszne. Wzięłam Charlesa, znalazłam jakiś śmietnik, włożyłam go tam i przywaliłam śmieciami, aż przestałam słyszeć jego wrzask.

– Co się stało potem?

– Wróciłam do domu. I wiesz co? – Patrzy teraz w kamerę. Błagalnym wzrokiem. – Tata nigdy nie zapytał, co się stało z dzieckiem. Ani razu.

– Ale gorsze było to, że nie zapytała też matka, prawda?

– Tak – szepcze – to było najgorsze ze wszystkiego. Jakby nigdy dla nich nie istniał i może rzeczywiście tak było. Może byli zdolni do tego, żeby żyć bez poczucia winy, bez przejmowania się kimkolwiek.

– Ale ty nie byłaś takim człowiekiem, prawda, Maxine?

Znów zaciska wymalowane oczy i zawodzi:

– Nie! Nigdy nie zapomniałam. Nigdy! Rok później uciekłam z domu i przyjechałam tu, do Kalifornii. Przez jakiś czas się puszczałam, trochę się szprycowałam, nienawidziłam się. Ale... ale potem odnalazłam Boga i zmieniłam swoje życie. – Znów otwiera oczy, znów są pełne bólu. – Wiesz co? Zmieniłam się. Uciekłam od diabła i powierzyłam duszę Bogu. Pracuję teraz z dziećmi, pomagam im, wszystko po to, by wynagrodzić to,

co zrobiłam Charlesowi. Nie rozumiesz tego?”

Błaga o litość, ale z mamrotania, które słyszę, wynika to, co już wiedziałam: on nie zna litości. Mamrotanie zmienia się w odmawianie modlitwy:

„ – Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje... – Tu przerwa. – Bóg jest miłością, Maxine” – mówi mężczyzna.

Ściemnienie.

W ustach czuję niesmak. Adrenalina krąży we mnie i sprawia, że serce skacze mi tak, że aż nie nadąża z biciem. Skóra mi się zarumieniła. Kręci mi się w głowie.

Dociera do mnie, że się rozklejam. Tu i teraz, bez żadnego ostrzeżenia.

To coś krzyczącego, co kołacze się nocami po mojej głowie, teraz zbiera się, żeby nabrać prędkości i wyskoczyć z ciemności w światło.

Zobacz mnie, krzyczy, warczy i ryczy. Wiesz, czym jestem. Zobacz mnie.

Zaciskam mocno oczy i kręcę głową.

Nie, nie, nie, nie, nie.

Zjawa z poprzedniej nocy wróciła, urosła do rozmiarów potwora i zaskoczyła mnie zupełnie.

Czuję, że tęsknię za butelką tequili, tęsknię za nią tak bezwstydnie, że aż mnie to przeraża. Uświadamiam sobie, że taka właśnie siła pcha alkoholika do kolejnego drinka. Poczucie, że jeśli nie wypije, będzie umierać powoli, niespiesznie, krzycząc z bólu.

Wyciągam rękę i kładę dłoń na biurku. Trzęsie się.

Zobacz mnie, domaga się znów głos, tym razem głośniej i o wiele pewniej. To już nie pytanie, to polecenie.

Czuję, że zbiera mi się na wymioty. Dociera do mnie, że to nie ustąpi, że tego nie powstrzymam.

Jezu Chryste, zaraz się porzygam!

Wypadam z gabinetu i pędzę do łazienki w korytarzu. Drzwi nie można zamknąć na rygiel, ale na szczęście w środku nie ma nikogo poza mną, dzięki Bogu.

Otwieram na oścież drzwi do jednej z trzech kabin i bez ceregieli padam na kolana na kafelki. Czuję, jak wszystko we mnie wzbiera, a żołądek się skręca. Krótki słodki ból kłuje mnie w głowę i w następnej milisekundzie wyrywa mi wnętrzności. Wymiotuję krótko, ale gwałtownie. Czuję, że aż twarz mi poczerwieniała. Wymioty były tak silne, że aż pociekły mi łzy z oczu. Chwytam się sedesu i czekam, czy to już koniec.

Zobacz mnie.

Skrećam się jak lina w silnych rękach żeglarza, wyginam się jak smyczek od skrzypiec, czuję spazm mięśni i znów wymiotuję. Tym razem trwa to nieco dłużej i aż czuję mroczki przed oczami.

Tym razem wiem, że już po wszystkim, i siadam na podłodze, opierając się o ścianę kabiny. Siedzę tak przez chwilę i oddycham z ręką przyłożoną do czoła. Z całej siły staram się wepchnąć potwora i jego szpony z powrotem do pudełka.

Nie teraz, mówię do siebie. Będzie na to czas, ale nie teraz. Proszę.

Zamykam oczy i opieram głowę o kabinę. Odpływam. Czas odmierzają mi wewnętrzne przebłyski jak zza mgły. Widzę obrazy. Nie mają ze sobą nic wspólnego, są pomieszane, bez rytmu, bez sensu. Widzę Marta, Bonnie, widzę Tommy'ego, który mówi, że mnie kocha. I widzę Maxine z

oczami jak u szopa.

Znów otwieram oczy i przekonuję się, że głos zniknął. Wykorzystuję tę chwilę spokoju, by stanąć na chwiejnych nogach. Spuszczam wodę w toalecie i kiedy to robię, czuję, że po twarzy ciekną mi łzy.

– Cholera jasna – mruczę.

Nie znoszę płakać, nigdy tego nie lubiłam.

Czuję się już trochę pewniej. Żołądek przestał wywijać salta, a zawrodozenie w głowie ustało, słyszę tylko szept gdzieś w tle. W ustach czuję jednak kwaśny smak wymiocin. Otwieram drzwi kabiny i wytaczam się na zewnątrz.

– Lepiej już?

Jestem tak zaskoczona, że omal nie sięgam po broń. Obracam się na dźwięk głosu i prawie się potykam, bo moje nogi są wciąż jak z waty. O framugę drzwi do łazienki opiera się Kirby z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Żuje gumę i patrzy na mnie wzrokiem, którego nie potrafię rozszyfrować.

– Co ty tu robisz? – pytam.

– Pilnuję, żeby nikt nie wszedł i nie zobaczył, jak się rozklejasz. – Wzrusza ramionami. – Przyszłam do Callie i zobaczyłam, jak pędzisz do łazienki. Zaciekawiałam się.

Odwracam się do umywalki, żeby na nią nie patrzeć. Odkręcam wodę.

– Nie rozklejałam się – protestuję.

Robi balona.

– Skoro tak mówisz. Ale siedziałaś w tej kabinie prawie przez dwadzieścia minut.

Prostuję się zszokowana.

Dwadzieścia minut? Tak długo?

Zerkam na Kirby. Stoi po prostu i żuje gumę. Na jej twarzy maluje się cierpliwość z domieszką obojętności. Chyba czyta w moich myślach, bo podnosi rękę i pokazuje zegarek.

– Sprawdziłam czas.

Znów się odwracam i ochlapuję wodą policzki, które płoną z zażenowania.

– I co mi teraz powiesz? – warczę.

– Tylko tyle, że nie szanuję zbyt wielu ludzi, Smoky, ale ciebie szanuję. I pomyślałam, że skoro musisz się rozkleić, to potrzebujesz do tego trochę prywatności, rozumiesz?

Mówi to takim samym beztroskim, szczęśliwym głosem, jakim mówi o pogodzie czy o zmarłych.

Kurdelebele, ale odpał, co? Przykro mi, że muszę cię zabić, ale mogło być gorzej, bo mogła to być wolna śmierć, a nie szybka. Ha, ha, ha! Bum!

Płuczę usta, żeby usunąć smak wymiocin i przez chwilę przyglądam się sobie w lustrze. Wyglądam na zmęczoną, ale nie na wariatkę. A to już coś.

– Dzięki – wykrztuszam.

– Nie ma za co.

Patrzę na siebie po raz ostatni.

Tajemnice.

Można je skrywać nawet przed samym sobą. Ale nie zawsze.

W Centrali Śmierci czeka na mnie kobieta. Jest bardzo wysoka, ma prawie metr osiemdziesiąt i – choć to niewiarygodne – może spokojnie konkurować z Callie w dziedzinie urody. Ma prawdopodobnie około

trzydziestu dwóch lat, długie proste blond włosy i karnację koloru świeżo startego jabłka i owsianki. Do tego jasne, inteligentne błękitne oczy i szczupłe wysportowane ciało. Mam ochotę z miejsca ją znienawidzić, ale kobieta się uśmiecha. Nie rozbrajają mnie jej doskonałe białe zęby, ale szczerłość, którą widzę w tym uśmiechu. Wyciąga rękę.

– Jezebel Smith – przedstawia się.

Witam się i nie zważam na parsknięcia Kirby za moimi plecami. Jezebel niezmiernie kiwa głową w stronę Kirby.

– Tak, wiem, imię mam nie z tej ziemi. Mama była antyfundamentalistką, więc...

– Spokojnie, mój tata dał mi na imię Kirby, więc wiem, jak to jest. Powinno być jakieś prawo, które zakazuje rodzicom nazywać dzieci, jak im się żywnie podoba, nie sądzicie?

– Amen. – Jezebel się uśmiecha.

– Kirby – mówię, odwracając się do niej. Nasza znajoma zabójczyni podnosi rękę.

– Nic nie mów, szefowo. Wracaj do swojej pracy. Ja muszę tylko pogadać z Callie, słonko, o tych ślubnych sprawach.

Zmywa się, mrugając i machając na pożegnanie do Jezebel.

– Interesująca kobieta – stwierdza Jezebel.

– Nie znasz jej nawet w połowie i nie chcesz znać całej reszty. Czy wicedyrektor Jones opowiedział ci o wszystkim?

Poważnie kiwa głową.

– Mogę zobaczyć jeden z tych filmików? – pyta. – Lubię wiedzieć, w czym biorę udział.

Nie pytam, czy jest tego pewna ani czy widziała już coś takiego. Jeśli

tak, to pytanie ją obrazi. Jeśli nie widziała, i tak będzie nieprzygotowana. Zabieram ją do mojego gabinetu i puszczam losowo wybrany klip. Odwracam się, żeby nie patrzeć. Jezebel pochyla się w stronę monitora. Ogląda w milczeniu.

– Potwór – mówi tylko na koniec.

– Tak.

– W mojej pracy regularnie kontaktuję się z ofiarami. Spotykam się z nimi, rozmawiam... u wielu z nich bywam w domu. To, co robi ten człowiek, skrzywdzi wiele rodzin.

– I on o tym wie.

Jezebel siada prosto.

– W porządku. W takim razie założę infolinię w sali konferencyjnej piętro niżej. Obsadzę telefony sześcioma agentami – chciałabym mieć ich więcej, ale na razie tylko tyłu może mi dać wicedyrektor Jones. Mamy numery telefoniczne zarezerwowane na takie właśnie sytuacje. Wybiorę jakiś i przekażę go wam. Znam dziewczynę z centrali, która będzie się kontaktować z mediami w tej sprawie, więc dogadam się z nią, jak rozpowszechnić ten numer.

– Powinniśmy zadziałać wyprzedzająco – mówię. – Jeszcze zanim media wpadną na trop.

Uśmiecha się delikatnie.

– Zaufaj mi. Oni już są o krok przed nami. Gwarantuję ci, że wszystkie media w kraju zostały już powiadomione. To jest jak tsunami: zbliża się nieuchronnie i nie ma co się przed nim opierać.

– Super.

– Dobra wiadomość jest taka, że jestem naprawdę dobra w tym, co



robię. Podobnie jak ludzie z centrali, którzy będą się tym zajmować. Nie powinnaś się w ogóle zadawać z mediami, odsyłaj ich po prostu do mnie. Moja ekipa odfiltruje wszystkie rozmowy na infolinię. Dostaniesz tylko sensowne tropy.

Jej pewność siebie dodaje mi otuchy. Wypisuję na karteczce numer swojej komórki i podaję Jezebel – Informuj mnie o wszystkim na bieżąco, proszę. Będę musiała składać regularnie raporty... na pewno wiesz, o co chodzi.

– Wiem, jak się tu pracuje, i znam kolejność dziobania – mówi z uśmiechem. Po chwili uśmiech znika. – Dorwijmy tego drania.

Zabrzmiałoby to melodramatycznie, gdyby nie to, że obie naprawdę tego chcemy.

Metafora Jezebel z tsunami okazała się trafna. Fala uderzeniowa dociera do nas około drugiej po południu.

Oglądam dalej przydzieloną mi porcję filmów. Tak jak reszta zespołu. W pokojach jest cicho, ale w powietrzu wisi atmosfera niepokoju i pragnienia, by go dopaść, nim spełni swoją obietnicę.

Telefon dzwoni, kiedy zapisuję nazwisko jakiejś mocno przerażonej brunetki.

– Materiał pojawi się o siedemnastej we wszystkich serwisach informacyjnych – mówi Jezebel bez zbędnych wstępów. – Na Wschodnim Wybrzeżu już jest siedemnasta.

– Co w nich będzie?

– Że jakiś facet, który każe nazywać się Kaznodzieją, umieścił w Internecie filmy z rzekomymi ofiarami morderstw. I że zdołaliśmy już potwierdzić tożsamość dwóch z nich.

– Świetnie.

– Wiedzieliśmy, że to nastąpi, i jesteśmy gotowi. Mam łączność z szefową biura do spraw kontaktów z mediami w Quantico, za pół godziny organizują tam konferencję prasową. Relacja będzie nadawana we wszystkich telewizjach, na konferencji zostanie podany numer naszej infolinii.

– Możesz mi jak najszybciej podać nazwiska dwóch potwierdzonych ofiar?

– W ciągu pół godziny. Chcesz obejrzeć konferencję prasową?

– Nie.

– Naprawdę?

– Nie dlatego, że nie jest ważna, po prostu to nie moja bajka. Ja i moja ekipa nie powinniśmy się odrywać od identyfikacji ofiar. Nic lepszego nie możemy teraz zrobić.

– Rozumiem. Zdobędę te nazwiska i będę cię dalej informować. Podejrzewam, że w ciągu kilku godzin nasza infolinia rozgrzeje się do czerwoności.

– Jestem tu cały czas.

Odkładam słuchawkę, znów podnoszę długopis i klikam na film, który oglądałam.

– Proszę – błaga brunetka.

Proszę, proszę, zawsze proszę. Szlagwort z piosenki każdej ofiary.

Alan stoi przy tablicy i wypisuje nazwiska. Jeśli wie, skąd jest ofiara, dopisuje też miejsce. Podaję mu moją listę i przez chwilę przyglądam się zebranym informacjom.

– Same kobiety – mówię.

– Czyli jednak chodzi o seks – zauważa Callie.

Ma rację. Gdyby istotna była prawda i jego dzieło na ten temat, pojawiliby się i mężczyźni. Prawdopodobnie nie dociera to do niego i byłby zaskoczony, gdyby mu na to zwrócić uwagę. Morderstwo to morderstwo i zawsze jest aktem gniewu. Gniewu, który może być bezpośredni – sprawca nienawidzi kobiet – albo przeniesiony – nienawidzi samego siebie z powodu czegoś, co ma związek z kobietami. To intrygujące.

– Różnice wiekowe? – pytam.

– Dopóki nie potwierdzimy tożsamości, nie możemy być pewni, ale na podstawie obserwacji wydaje się, że nie ma tu żadnej kobiety starszej niż trzydzieści pięć lat. Większość jest młodsza.

– O ile młodsza?

– Wszystkie są dorosłe. Dwadzieścia i więcej lat. Jeśli rzeczywiście zabije jakieś dziecko, to chyba po raz pierwszy.

– Czy wszystkie ofiary były atrakcyjne? Nie, wróc. Nie wszystkie kobiety, które widziałam, były klasycznymi pięknościami. Niektóre były dość pospolitej urody.

– Potwierdzam. – James kiwa głową. – Jedna z mojej porcji filmów była wręcz otyła. Inna miała naprawdę okropny trądzik. Wygląd nie jest dla niego najistotniejszy.

– Ale płęć owszem – myślę na głos. – W porządku. A lokalizacja? Jak wielki miał zasięg?

– Drukuję właśnie mapę, żebyśmy zobaczyli to w formie graficznej – mówi Callie. – Podróżował, ale poza kilkoma wyjątkami trzymał się raczej zachodniej części Stanów, głównie Kalifornii, Oregonu, Waszyngtonu, Nevady, Arizony, Nowego Meksyku, Utah i Kolorado.

– Interesujące. A więc Wirginia leżała poza jego normalnym obszarem zainteresowań.

Callie potwierdza.

– Żadna z innych ofiar nie znajdowała się aż tak daleko na wschód. Przychodzi mi coś do głowy.

– Nie było żadnych innych transseksualistów?

– Nie – odpowiada James.

– Więc Lisa Reid była kolejną anomalią. Jest jedyną ofiarą

transseksualną i jedyną, którą do tej pory odnaleziono poza jego normalną strefą działania. Co oznacza, że właśnie dlatego została wybrana.

– Postanowił się ujawnić. – Alan przyznaje mi rację. – Uznał, że w ten sposób zrobi to najbardziej spektakularnie. Zabójstwo dziecka to kolejny pomysł z tej serii.

– Ale dlaczego teraz? – zastanawiam się. Nikt nie odpowiada. – Co je jeszcze łączy?

– W przypadku każdej ofiary film zatrzymuje się tuż przed morderstwem – mówi James. – Tak jak mówiliśmy wcześniej, pokazuje nam, że ogólne przesłanie jest dla niego ważniejsze niż sama śmierć. Te morderstwa zostały popełnione w imię jakiegoś celu, nie dla zabawy.

– Przejmował się nimi albo chce, żebyśmy tak myśleli – mówię. – Z jednej strony, odziera je ze wszystkiego, każe im wyznawać sekrety. Az drugiej, zaciąga kurtynę na ich ostatnie chwile. Szanuje prywatność, pozwala im zachować godność.

– Nigdy nie wpada w gniew – zauważa James. – Wobec każdej z ofiar jest stanowczy, ale spokojny. Posuwa się czasem do gróźb, żeby je do czegoś zmusić, ale robi to bez zaangażowania. To środek do celu, a nie realizacja fantazji.

– Rozumiem, że na wszystkich filmach powtarza się motyw wyznawania tajemnic?

– Obawiam się, że tak – mówi Callie. – I na wszystkich ma podobną formę.

Marszczę czoło.

– Słucham?

– Callie chce powiedzieć, że nie było tam żadnych sekretów typu

„ukradłem mamie z portfela dwadzieścia dolców” – wyjaśnia Alan. – Te tajemnice są albo mroczne, albo pokręcone, albo smutne, albo i takie, i takie. – Zerka do swojego notesu, czyli Neda. – Wiele z nich ma oczywiście tło seksualne. Jest kilka ukrywanych przypadkowych morderstw, ale jest też kilka zabójstw z premedytacją. Jedna kobieta była latami bita przez męża, więc wyżywała się na dziecku. Przypalała je papierosami. – Spojrzał na mnie z uśmiechem bez humoru. – Prawdziwa przerażająca galeria popaprańców.

Mój żołądek się kurczy i znów czuję ten głos, jeszcze go nie słyszę, ale czuję, że wzbiera we mnie. Chce się ujawnić. Odpycham go jak najdalej i siłą woli skupiam się na liście nazwisk i tym, co mogą mi one powiedzieć.

– Oczywiście nagrywał każdą zbrodnię – odzywa się James. – Zmiany w jakości obrazu i dźwięku dowodzą, że robi to od pewnego czasu. Zaczął pewnie od taśm Super 8 albo czegoś podobnego i z czasem używał coraz lepszej technologii. Technicznie jest dość sprawny, żaden geniusz, ale nieco lepszy od przeciętnego użytkownika komputera. Musi być niezły, bo przekopiował do postaci cyfrowej filmy ze starych nośników, zmontował te filmy itd.

– To mu dodaje wiarygodności – zauważa Callie ponurym tonem. – Dokumentował swoje czyny od początku, czekając na dzień, kiedy będzie mógł ujawnić światu swoją „sprawę”.

– Skąd miał pewność? – zastanawia się Alan.

Patrzę na niego i marszczę czoło.

– O co ci chodzi?

– Pomyślcie, kiedy zaczął tę zabawę, nie istniał nawet Internet, przynajmniej nie był dostępny publicznie. Od początku planował, że

ujawni swoją twarz i widać wyraźnie, że zamierzał to zrobić za pomocą wideo. Jeszcze dwadzieścia lat temu dostalibyśmy od niego stertę kaset VHS.

– I co z tego?

– Wtedy byłby to kontakt bezpośredni. Jego z nami. Ale to? – Alan wskazuje na komputer. – Umieścił te filmy w publicznym serwisie. Skąd mógł mieć pewność, że zwróci to naszą uwagę?

– Dobrze wybrał serwis – odpowiada James. – Strona, na której zamieścił te filmy, to najpopularniejszy serwis wideo na świecie. Podejrzewam, że gdybyśmy sami nie zwrócili na to uwagi, podesłałby nam e-maila albo zwykły list.

Alan kiwa głową i rozumie.

– Może nawet by zadzwonił.

– Jest jakiś sposób, żeby wyśledzić źródło tych filmów? – pytam.

James kręci głową.

– Nie. Płyty CD, DVD, nawet wydrukowane na drukarce strony można do pewnego stopnia wyśledzić, ale cyfrowy film domyślnie nie ma żadnego znaku wodnego czy podpisu.

– A miejsce, z którego je wrzucał? Musiał się jakoś podłączyć do Internetu, żeby wrzucić je do Usertube.

– Wydział przestępczości komputerowej już to sprawdza, kochaniutka – odpowiada Callie. – Właśnie w tej chwili występują o nakaz sądowy.

– Pewnie to ślepa uliczka – zauważa Alan.

– Pewnie tak – przyznaję – ale...

– Tak – mówi Alan. – Czasami przestępcy okazują się głupi.

– Czasami tak. Coś jeszcze?

– Tak – zgłasza się James. – Skąd on bierze te informacje?

Mówi głośno to, co stanowi największą zagadkę w sprawie. Lisa Reid opisała swoją historię w dzienniku, w porządku, ale inne ofiary?

– Może jest księdzem – zastanawia się Alan.

– Podróżujący ksiądz? – mówię. – Nie sędzę. Za duży rozgłos. A nawet gdyby udawał kapłana, to przecież ksiądz Yates nie wspominał o wizycie żadnego duchownego.

– Tak czy inaczej trzeba znaleźć odpowiedź na to pytanie – mówi Alan.

– A jakieś grupy wsparcia? – myślę na głos. – O tego rodzaju sekretach mogło się mówić właśnie w takich środowiskach.

– Tak jak w przypadku Rosemary czy Andrei – zgadza się Alan. – Przypomnij sobie zresztą, jak szybko Andrea nam się zwierzyła.

– Nie musi czerpać z jednego źródła – zaznacza Callie. – Takie osoby mógł znajdować w najrozmaitszych miejscach. W kościołach pomagających ludziom z marginesu. W klubie anonimowych alkoholików, narkomanów i wszelkich innych. Mógł się wkręcać między nich jako „brat po nałogu”, zdobywać ich zaufanie, wysłuchiwać problemów.

– Niezły pomysł – mówię. – Musimy sprawdzić pod tym kątem jego ofiary.

– Spiszmy, co już o nim wiemy – proponuje James.

Kiwam głową.

– Jasne. Zaczynam: działa na wysokich obrotach, jest prawdopodobnie atrakcyjny. Zachowuje się pewnie w obecności kobiet. Nie stanowią zagrożenia dla jego samooceny. Nie denerwują go, przynajmniej tego nie okazuje.

– Może być prawiczką – mruczy James.



Unoszę brwi.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Pomyśl sama. Zachowuje się racjonalnie. Jego podejście do ofiar jest zawsze spokojne. Wszelkie groźby użycia przemocy to tylko środek do celu, nie coś, co służy jego zadowoleniu. U ofiar, których ciała pozwolił nam znaleźć, nie ma dowodów seksualnego gwałtu czy zbędnej przemocy. Jego fantazje dzieją się wyłącznie w mózgu. Obracają się wokół religii i prawdy, a zatem również wokół czystości. – Wzrusza ramionami. – On się nie powstrzymuje od aktu seksualnego, on w ogóle o nim nie myśli.

– Madonna i kurwa – odzywa się Callie.

– Że co proszę? – mówię.

– No wiesz, takie stare powiedzenie. Mężczyźni chcą się żenić z madonnami, ale chcą uprawiać seks z kurwami. Żona, która lubi seks, nie jest żoną i tak dalej.

– Racja, ale jaki to ma związek z nim?

– Nie uprawia seksu z tymi kobietami. Dlaczego? Bo je czci.

Coś mi zaskakuje w głowie, jak seria trzasków migawki profesjonalnego aparatu. Czuję, że oto znikąd pojawia się jakiś brakujący element.

– Tak – mówię, patrząc w dal. – To by pasowało. Ale jak może je czcić, skoro ukrywają takie tajemnice? Jak?

Podchodzę do tablicy i mocno się w nią wpatruję, próbując dostrzec to, co mi umyka. Moi ludzie milczą, czekają. Już widzieli takie sytuacje.

– I co? – pyta w końcu Alan.

Wypuszczam powietrze, sfrustrowana.

– Jeszcze tego nie widzę.

– W takim razie idźmy dalej, zrobmy coś innego – mówi Alan. – W końcu i tak to zobaczysz.

Wiem, że ma rację. Jeśli ktoś próbuje sobie przypomnieć, gdzie zostawił klucze, nigdy sobie nie przypomni.

– Więc jak wyglądają nasze dalsze plany, o pani? – pyta Callie.

– Rejestr osób zaginionych – mówię. – Jeśli tak długo nie rzucił nam się w oczy, to znaczy, że ukrywał ciała i pilnował, żeby nikt ich nie znalazł i nie dowiedział się o nich, póki on nie będzie gotów. – Odwracam się i patrzę na listę nazwisk. Wypisane jedno za drugim, tyle ich. Za dużo. – Podejrzewam, że w najgorszym scenariuszu uda nam się rozwikłać ponad setkę spraw zaginionych osób. Musimy sprawdzić, kim są ci ludzie.

– I to szybko – zgadza się Alan.

Zapowiedź śmierci nie rysuje się już gdzieś na horyzoncie. Jest tuż obok nas. I co chwila zerka na zegarek.

Proszę mi wybaczyć język, agentko Barrett, ale mam wrażenie, że stoimy tuż przy przemysłowej turbinie podłączonej do miliona sedesów, na których siedzą ludzie ze sraczką.

– Sama bym tego lepiej nie określiła, dyrektorze.

Odebrałam komórkę i w słuchawce usłyszałam głos dyrektora FBI. Zastanawiałam się przez chwilę, skąd ma mój numer, ale tylko przez chwilę. W końcu to dyrektor FBI.

– Wygląda to źle, dyrektorze, i będzie jeszcze gorzej.

– Zdaje się, że nie była pani na kursie z motywacji dla menedżerów.

– Wolę mówić prawdę.

– No dobrze – odpowiada. – Niech mnie pani oszołomi tą prawdą.

– Prawda jest taka, dyrektorze, że to potężna i koszmarna sprawa i nie zazdroszczę panu najazdu mediów. Ale prawdą jest też to, że cała ta gorączka rozgorzała tylko dlatego, że zabójca postanowił się ujawnić. W filmach podał nam nazwiska swoich ofiar. Ma niepowtarzalny sposób działania. Jeśli go nie złapiemy dzięki tym tropom, to powinno się nas wszystkich wylać z pracy.

– Proszę nie kusić losu. – Wzdycha. – Mówi pani, że dzięki temu przekleństwu popularności dostaliśmy też błogosławieństwo, czyli sposób, by go złapać.

– Tak. Niezwykle precyzyjnie pan to ujął, dyrektorze.

– Proszę zostawić cwane odzywki agentce Thorne, jest w tym lepsza.

– Rozumiem i zgoda, dyrektorze.

– Powiedz mi, co masz, Smoky. W skrócie.

Przez chwilę zastanawiam się nad odpowiedzią. Ta rozmowa wydaje się prosta, ale rozmawiam z Samem Rathburnem. Nie dość, że jest dyrektorem FBI, to podobno kiedyś był utalentowanym przesłuchującym. Może mnie podpuszcza, uspokaja tylko po to, żeby za chwilę zacisnąć mi pętlę na szyi?

Wzdycham w duchu. Nie mam czasu na makiaweliczne rozważania. Zresztą i tak nigdy nie byłam w tym dobra. Potrafię się wczuć w złych ludzi, nie w bezwzględnych.

– Mam sto czterdzieści trzy martwe kobiety, dyrektorze. Mam mnóstwo rodzin, które dostaną bardzo złe wiadomości. I wiem, że facet, ujawniając się, popełnił ogromny błąd. Złapiemy go i musimy to zrobić, zanim znów zabije.

Dyrektor milczy przez chwilę. Pewnie rozważa to, co mu powiedziałam.

– Do roboty, agentko Barrett.

Rozłącza się, zanim zdążam powiedzieć „tak jest, dyrektorze”.

Od razu wykręcam numer wicedyrektora Jonesa. Może nie jestem najlepsza w polityczne klocki, ale tę regułę znam: kiedy rozmawia z tobą szef szefów, trzeba o tym powiedzieć bezpośrednio przełożonemu, i to migiem.

– Co? – odzywa się wicedyrektor.

– Dzwonię nie w porę, szefie?

– Tak. Ale nie dzwoniłabyś bez powodu.

– Dzwonił do mnie dyrektor.

– Zadzwoił do ciebie osobiście?

– Tak, szefie.

Słyszę, że coś mruczy i przeklina pod nosem.

– Czego chciał?

Relacjonuję mu przebieg naszej rozmowy.

– W porządku. Wiem, co się tam dzieje. – Jego głos trochę się uspokaja. – Pewnie ktoś zadaje mu pytania. Może sam prezydent.

Sądziłam, że jestem raczej odporna na ludzi u władzy. W końcu prywatnie pewnie pierdzą tak jak wszyscy inni, tyle że w jedwabne majtki. Jednak przekonuję się, że wzmianka o prezydencie Stanów Zjednoczonych mimo wszystko robi na mnie wrażenie.

– Nie wiem, co mam o tym sądzić, szefie.

– Właściwa reakcja to mieć pietra. Dzięki, że zadzwoniłaś.

I znów rozłącza się, zanim zdążam powiedzieć „tak jest, szefie”. To frustrujące.

Zerkam na zegarek. Jest siódma wieczorem. Noc jeszcze młoda. Mam przed sobą mnóstwo pracy, ale nim rzucę się w wir, chcę sprawdzić, co u Bonnie.

– Cześć, Smoky – odzywa się. W głosie słyszę niepokój.

– Coś się stało, kochanie?

Cisza.

– Oglądałam niektóre z tych filmów.

Zapadam się w fotel. Dobry Boże.

– Skarbie. Ale po co?

– Bo... bo... pamiętasz, o czym niedawno rozmawialiśmy. Chcę robić to, co ty. Widziałam informacje w dzienniku, a potem poszłam do komputera i trochę obejrzałam.

– Ile obejrzałaś, kochanie?

Słyszę, jak przełyka ślinę.

– Na początku tylko jeden. O tej dziewczynie. Miała na imię April. Ten facet kazał jej mówić, jak krzywdziła swoje dziecko. Zrobiło mi się niedobrze. Głupia jestem – mamrocze. – A potem bardzo się zdenerwowałam, że zrobiło mi się niedobrze, więc wróciłam i obejrzałam jeszcze trochę.

– Ile?

– Jakieś trzydzieści.

– Jezu, Bonnie!

– Nie wściekaj się, mamo Smoky. Proszę, nie wściekaj się. Wściekłość? To ostatnia rzecz, jaką czuję. Nawet mi to nie przyszło do głowy, póki Bonnie o tym nie wspomniała. Ale gdzieś w głębi zaczynam się nad tym zastanawiać. Czy powinnam być na nią wściekła?

Uświadamiam sobie, że nigdy tak naprawdę nie dyscyplinowałam Bonnie. Nie dlatego, że jej pobłażam, ale nigdy nie było to potrzebne. Myślę, że może... może nadszedł na to czas.

– Bonnie, nie jestem wściekła, ale... – Myślę szybko, szukając właściwej kary. – Ograniczę ci na jakiś czas dostęp do komputera. Powinnaś najpierw zapytać mnie albo Elainę i jestem pewna, że dobrze o tym wiesz.

Wzdycha.

– Tak. Wiem.

– I?

– I wiedziałam, że mi nie pozwolisz.

Szczerłość tego zdania wywołuje uśmiech na mojej twarzy.

– Nie powinnaś tego oglądać, kochanie.

Kolejne westchnięcie.

– Wiem.

– W porządku, a zatem przez następne dwa tygodnie szlaban na Internet, poza stronami, których potrzebujesz do nauki. Zrozumiano?

– Tak.

Dobrze, już dobrze, dość tego. Jak się czuje moje kochanie?

– Jak się czujesz, skarbie? Wszystko w porządku?

– Nie wiem. Najbardziej chyba niepokoi mnie, że to, co mówi ten facet, ma sens. Te rzeczy o prawdzie. Przecież ktoś, kto robi takie rzeczy, nie powinien mówić z sensem, rozumiesz?

– Rozumiem, kochanie.

– To mnie najbardziej gryzie. Jasne, że te kobiety, to, przez co przeszły, co robiły, było okropne, ale najgorsze jest to, że przyznają mu rację.

– Jeśli robi się to, co ja, często trafia się na takie sytuacje. To, co ludzie robią, na przykład morderstwo czy gwałt, może być czarnobiałe. Ale sami ludzie? Tu przeważnie masz do czynienia z wszelkimi odcieniami szarości, skarbie. Dlatego najbardziej liczą się czyny.

– Jak to?

– Facet może ci wmawiać, że najważniejsze w życiu dla niego to być dobrym ojcem, a kiedy wraca do domu, bije swoje dzieci. Albo coś jeszcze bardziej skomplikowanego – może ten sam facet udziela porad dzieciom innych ludzi, na przykład jest terapeutą. Robi to od lat i może nawet pomógł wielu dzieciakom. Ale z perspektywy mojej pracy liczy się jedynie to, że ilekroć wraca do domu, bije własne dzieci.

Bonnie milknie i zastanawia się nad tym.

– Muszę o tym trochę pomyśleć.

I na pewno będzie myślała. Bonnie jest jak nieruchome jezioro bez jednej fali, z taflą jak lustro. Ale pod wodą, gdzie nie sięga słońce i gdzie zimują raki, dzieje się dużo.

– Porozmawiasz jeszcze ze mną o tym? Kiedy już pomyślisz?

– Dobrze.

– Obiecujesz?

– Obiecuję, mamó Smoky. Już lepiej się czuję. Przepraszam, że zrobiłam coś wbrew twojej woli.

Dostrzegam w tym zdaniu pewne nagięcie sytuacji. Nie przeprasza mnie za to, co zrobiła, ale za to, że zrobiła coś, co mnie zdenerwowało. Odpuszczam jednak.

– Przeprosiny przyjęte. Ale pamiętaj – dwa tygodnie.

– Pamiętam.

– A teraz daj mi Elainę. Za bardzo.

– O wiele za bardzo – odpowiada Bonnie.

Po chwili słyszę w słuchawce Elainę.

– Och, Smoky – mówi to tak żałośnie, że mam ochotę wejść do telefonu i ją przytulić.

– Nie rób sobie wyrzutów, Elaino. Do tej pory miałyśmy szczęście z Bonnie. Chyba czas na kłopoty.

– Chyba tak, ale czuję się winna. Pracowała na laptopie, połączyła się z Internetem bezprzewodowo. Źle spałam w nocy, więc postanowiłam uciąć sobie drzemkę i porządnie przysnęłam. Na kilka godzin. Oglądała te filmy, kiedy spałam. Tak mi przykro, Smoky.

– Elaino, proszę cię. Jesteś dla niej drugą matką. Uczysz ją w domu, opiekujesz się nią, kiedy ja pracuję w najdziwniejszych godzinach – robisz



dla niej mnóstwo. Nie biczuj się.

– Dziękuję, ale jakbyś się czuła na moim miejscu?

Czułabym się jak szmata.

– Rozumiem. Ale wiesz, że Bonnie nie jest już dzieckiem. Nie zapomnialiśmy przecież zamknąć proszku do prania przed niemowlakiem czy coś takiego. Wiedziała, że nie będzie nam się podobało to, co robi, i z premedytacją to przed nami zataiła. – Mówię jej o dwutygodniowym szlabanie na Internet.

– Dopilnuję, żeby go przestrzegą, słowo.

– Wydaje mi się, że to nie powinno być problemem. W ogóle nie protestowała. Nawet nie pisnęła.

– Hm. – Z radością słyszę w głosie Elainy cień rozbawienia.

– Może to powinno nam dać jeszcze bardziej do myślenia.

– Słusznie. A teraz przestań się już zadreczać. Kocham cię.

Elaina wzdycha.

– Ja też cię kocham. Przekaż całusa mojemu mężowi. Bonnie jeszcze chce z tobą zamienić słówko.

– Daj ją.

– Zapomniałam ci o czymś powiedzieć – mówi Bonnie, ledwo dysząc.

– Co takiego?

– Ten facet, ten, który nazywa siebie Kaznodzieją...

– Tak?

– Złap go i wsadź do więzienia na zawsze. Chcę, żeby tam umarł.

To nie prośba, to oświadczenie. Bonnie zobaczyła, co zrobił, i niezależnie od tego, co ją gryzie, niezależnie od czerni, szarości, dylematów moralnych, jednego jest już pewna: ten człowiek nie może

przebywać na wolności.

– Złapię go, kochanie.

– To dobrze.

Rozłącza się bez słowa. Patrzę przez chwilę na komórkę, zaskoczona i zaniepokojona. Bonnie jest najprostszym i zarazem najbardziej złożonym elementem mojego życia. Prosta jest moja miłość do niej. Nieskrępowana, bezgraniczna, czysta. Złożona jest sama Bonnie. Bije od niej blask dziecka, ale składa się też z różnych warstw jak dorosły. Ma wiele własnych zakamarków, do których pewnie nigdy nie dotrę. Nauczyła się skrywać własne sekrety i – co chyba ważniejsze – jak z tym spokojnie żyć. Czasami mnie to niepokoi, ale nie zawsze. Po prostu tak już jest.

Teraz Bonnie lada chwila zmieni się w nastolatkę, niczym wilkołak przy pełni księżyca. Najwyraźniej z tym wiekiem przychodzi zdolność do wymykania się i skłonność do kłamstwa. Samo w sobie by mnie to nie martwiło, takie jest przecież życie. Problem w tym, że Bonnie nie wymknęła się z domu ani nie kłamała na temat papierosów, całowania czy zbyt szybkiej jazdy. Wszystkie te nowe umiejętności wykorzystała, żeby obejrzeć ostatnie, straszne chwile tych biednych kobiet.

Tylko macierzyństwo może sprawić, że człowiek czuje się tak bezradny i niedoświadczony, myślę sobie.

Wychodzę z gabinetu. Wir pracy czeka.

– Tego rodzaju sprawy uświadamiają nam w pełni, jakie mamy dziury w systemie rejestracji osób zaginionych – marudzi Alan. – Czy wiecie, że NCIC obejmuje około stu tysięcy spraw ludzi zaginionych, za to w AFIS jest ich niespełna sto?

NCIC to Narodowe Centrum Informacji Kryminalnej. AFIS to Automatyczny System Identyfikacji Odcisków Palców. Pozostałe dwie duże bazy danych, z których korzystamy, to CODIS, czyli System Identyfikacji DNA Osób Zaginionych, i wspomniany już VICAP.

– Do NCIC wprowadzono tylko około piętnastu procent informacji o niezidentyfikowanych szczątkach ludzkich. CODIS istnieje mniej więcej od 2000 roku i cały czas rośnie, ale to wciąż kropla w morzu.

CODIS był przebłyskiem geniuszu. Jeśli ktoś przepada bez wieści i nie odnajduje się w ciągu trzydziestu dni, pobiera się próbkę jego DNA. Może to być albo próbka bezpośrednia z jakiejś rzeczy należącej do zaginionego (włos czy ślina ze szczoteczki do zębów) albo próbka porównawcza od jakiegoś krewnego. DNA zostaje poddane analizie i profil zaginionego trafia do bazy danych. Jeśli zostają odnalezione jakieś zwłoki, często można je zidentyfikować dzięki CODIS. Zdarzały się też przypadki dzieci, które przepadały bez wieści i odnajdywały się po latach żywe właśnie dzięki CODIS.

Problem z tymi wszystkimi bazami sprowadza się do współpracy, czasu i pieniędzy. Wpisy do nich nie są obowiązkowe. Jeśli lokalna policja nie wypełni formularzy czy nie pobierze DNA, dane nie trafiają do bazy. A nawet jeśli są informacje, ktoś je musi jeszcze wpisać do systemu.

To system niekompletny i obarczony błędami, ale lepszy taki niż żaden. Udało nam się rozwiązać wiele spraw dzięki tym różnym bazom danych. Może nie jest to rozwiązanie perfekcyjne, ale przydatne.

– Co znaleźliśmy?

– Dopasowaliśmy na razie nazwiska do czterdziestu zaginionych. Ludzie z działu przestępczości komputerowej nam pomagają. Z filmów

wyciągają zdjęcia twarzy ofiar, a potem rozsyłamy je do odpowiednich służb lokalnych. Ci idą do rodziny ze zdjęciem i nazwiskiem i identyfikują ofiarę. Moim zdaniem będziemy mieli trafność stuprocentową. Nie wierzę, żeby nazwiska z tych filmów pasowały tylko przypadkiem do nazwisk osób z bazy zaginionych.

– Zgadzam się. A przy okazji, masz całusa od żony.

– Dzięki.

– Pracuj dalej. Będziemy tu siedzieć do jedenastej.

– Sama radość.

Podchodzę do Jamesa, który właśnie odkłada telefon.

– Informacje, które podsyła nam Jezebel, sprawdzają się – mówi. – Prawie osiemdziesiąt osób zgłosiło się, żeby zidentyfikować ofiary z filmów.

– Nieźle.

Niektórzy mogliby się dziwić, dlaczego tak szybko zgłosiło się aż tylu ludzi. Ale mnie to nie dziwi. Pod wieloma względami zaginięcia są o wiele gorsze niż morderstwa. Zaginięcie to jedno wielkie „może”: Może wciąż żyje. A może nie. Zaginięcie nie pozwala zamknąć sprawy, uniemożliwia prawdziwą żałobę. Pewnie dlatego rodziny nie przestają szukać, stale chwytają się choćby iskierki nadziei.

Kiedyś powiadomiłam matkę, że znaleźliśmy zwłoki jej córki, która zniknęła trzy lata wcześniej. Oczywiście płakała, ale najbardziej poruszyło mnie to, co powiedziała.

– Ta niepewność jest taka ciężka jąkała się przez łzy. – Któregoś razu... O Boże... pamiętam, że któregoś razu byłam tak słaba i chciałam, żeby to się skończyło, nawet gdyby miało się okazać, że ona nie żyje.

Patrzyłam, jak szerzej otwiera oczy, kiedy w pełni zrozumiała, co właśnie powiedziała – że przez krótką chwilę życzyła śmierci swojej córce. Nigdy nie zapomnę, jak się zmieniła, kiedy sobie to uświadomiła.

Płaczką to tradycja śpiewanego lamentowania po czyjejsz śmierci, występująca w Szkocji i Irlandii. Dawniej, nim została zakazana przez Kościół katolicki, była częścią stypy. Wynajmowano kobietę lub kobiety, które wymieniały całe drzewo genealogiczne zmarłego, chwaliły go, podkreślały ból jego bliskich. Płaczką lub płaczki często robiły to, zawodząc przeciągle i kołysząc się w przód i w tył albo klaszcząc. W ten sposób oczyszczano się, godzono z utratą życia. Przypomniała mi się wtedy ta tradycja, bo to samo zrobiła owa kobieta. Stała się płaczką.

Myślę teraz o tym, o tych wszystkich rodzinach. Lamentują. Osiemdziesiąt ofiar. To niewiarygodna liczba i trudno sobie wyobrazić, jaki to będzie miało wpływ na innych ludzi.

– Dzwonię na wszystkie lokalne komendy policji – mówi James. – Poleciłem im się kontaktować tylko ze mną. Każę im przyjmować, że wszystkie zidentyfikowane osoby z bazy zaginionych to ofiary zabójstw, i mają rzucić do śledztwa swoich najlepszych detektywów. Wszelkie ustalenia mają trafiać do mnie, a ja będę to zbierał i dodawał do naszej bazy danych o ofiarach.

– Mamy jakąś bazę danych?

James pokazuje komputer.

– Właśnie ją przygotowałem.

– Świetna robota, James.

– Wiem.

Odwraca się ode mnie, audyencja skończona.

Drzwi do pokoju otwierają się zamasyście i wchodzi Callie z wielką mapą Stanów Zjednoczonych, przypiętą do tablicy korkowej. Za nią wchodzi Kirby terkocząca jak najęta.

– To co, kwiaty załatwione? Cena w porządku?

– Cena jest wspaniała, Kirby. A co z tortem?

– Nie będę się pieprzyć z cukiernikiem. Ma włosy na plecach.

– Bardzo śmieszne. Jaka cena?

– Mieścimy się w budżecie. Aha, i jeszcze dobre wieści na temat fotografa. Znam jednego takiego kolesia. Razem pracowaliśmy, no wiesz. Kiedyś robił w grupach śledczych, ale ma smykałkę do aparatu i w końcu to przecież podobna robota, nie?

Patrzę, jak Callie zastanawia się, czy rozsądnie jest pozwolić Kirby sprowadzić na ślub jej dawnego kolegę z pracy, zważywszy na to, gdzie pracowała Kirby.

– Dobrze.

– Pragmatyka panny młodej znów górą – stwierdza Alan. – To będzie niezłe wesele. Kirby przeleci albo zastraszy połowę usługodawców, a resztę załatwią jej dawni kolesie, eksnajemnicy.

– Wcale nie eks – zaznacza Kirby. – Wielu z nich wciąż działa na rynku.

– Żal mi przerywać tę pogawędkę – wtrącam się – ale... Callie?

– Hej, już mnie nie ma – mówi Kirby. – Na razie wiem już wszystko. Do zobaczenia potem, Callie, słonko.

– Tak, tak, zadzwoń później.

– Ale nie później niż o czwartej nad ranem – szczebiocze Kirby. – Dziewczyna musi się wyspać, żeby ładnie wyglądać, nie?

Callie podnosi mapę, żebyśmy mogli się jej przyjrzeć.

– Poprosiłam Jamesa, żeby wydrukował mi listę wszystkich miejsc, z których pochodzą nasze ofiary. Zaznaczyłam je pinezkami.

Zbieramy się wokół mapy, żeby się przyjrzeć.

– Widzę, że mamy kilka skupisk – mówi Alan. Wskazuje na Las Vegas, gdzie widać ponad dwadzieścia pinezek. – I tutaj. – Las Vegas, stan Nevada.

– Miasta słońca i grzechu – mówi Callie.

Reszta pinezek jest rozproszona w innych stanach, w których działał Kaznodzieja. Niektóre tkwią w miastach, które zna każdy, inne w małych miasteczkach, o których w życiu nie słyszałam. Ogólny efekt jest otrzeźwiający.

– Jak jakiś cholerny las – jęczy Alan.

Myślę zupełnie tak samo.

– Słuchajcie – odzywa się Kirby. Jednak nie wyszła. – Dlaczego to nazwisko jest na tablicy?

Pokazuje na jedną z ofiar w Los Angeles. Willow Thomas.

– A co? – pytam.

Uśmiecha się zupełnie bez humoru i przerażająco. Odzywają się we mnie dzwonki alarmowe.

– Odpowiedz, proszę, na moje pytanie.

Mówi to łagodnym tonem. Równie dobrze mogłaby w ten sposób pytać o pogodę. Ale widzę zimne, przeraźliwie zimne oczy leoparda. To absolutna obojętność najemnego zabójcy, takiego, który zabija człowieka nie dlatego, że jest zły, ale dlatego, że ktoś chce, żeby zginął, i jest gotów za to zapłacić.

– Nie oglądałaś wiadomości, kochaniutka?

Kirby błyska okiem na Callie i znów wpatruje się we mnie.

– Przecież gdybym oglądała wiadomości, to pewnie nie zadawałabym tego pytania, prawda, Callie?

Kirby używa samego imienia Callie bez żadnych „słonek” i innych dodatków. Głos wciąż ma łagodny, ironia, którą rzuciła w stronę Callie, to zaledwie leniwe machnięcie łapą ale w powietrzu czuć napięcie i niebezpieczeństwo.

Co jest, u diabła?

– Jest pewien człowiek – zaczynam i obserwuję jej reakcję. – Uważamy, że od dwudziestu lat zabija kobiety. Jesteśmy niemal pewni, że nazwiska na tablicy to nazwiska jego ofiar.

– Ofiar? Znaczących zmarłych?

– Tak.

Podchodzi do mnie i obejmuje mnie za ramiona. Ta bliskość wcale nie jest przyjazna, jest dla mnie pełna napięcia i dyskomfortu.

– I co? – szepcze mi tuż nad uchem. – Wiemy już, co to za człowiek? – Mówi to tak zimnym głosem, jakby rzeźbiła słowa w bloku lodu.

– Jeszcze nie. – Odsuwam się i patrzę jej prosto w oczy. – I nie wiem, czy bym ci powiedziała, nawet gdybym wiedziała.

Patrzy na mnie tym lodowym wzrokiem przez całą wieczność.

– Mogę z tobą porozmawiać? – pyta. – Na osobności?

Nie czekając na odpowiedź, idzie do mojego gabinetu. Odwracam się do Alana, Callie i Jamesa.

– Nie mam pojęcia – zastrzega Callie.

– Nigdy nie wiem, co się dzieje w głowie tej psycholki – mówi Alan.



Tylko James milczy.

Siedzimy w moim gabinecie za zamkniętymi drzwiami. Czekam, aż Kirby zacznie mówić. Nienaturalne jest już to, że milczy. Wiatr wieje, Kirby mówi – to podstawowe życiowe prawdy.

Siedzi w fotelu przed moim biurkiem. Skubie wargę i patrzy gdzieś w bok. Uśmiecha się do mnie krzywo.

– Jeśli czekasz, aż się rozkleję, to jeszcze dłuuuuuugo będziesz czekać, Smoky. – Próba zażartowania, w czym Kirby zwykle jest bardzo dobra, tym razem wypada blado.

– Zdaje się, że widziałam już, że się rozkleiłaś.

Mierzy mnie wzrokiem, uśmiecha się i wzrusza ramionami.

– No cóż, może trochę przesadziłam z reakcją.

– Kirby, daruj sobie pierdoły. Jestem ci wdzięczna za to, co zrobiłaś dla mnie w łazience. Pozwól, że też ci oddam przysługę.

Grozi mi palcem.

– Chwila, chwila, Smoky, ja nikogo nie dopuszczam tak blisko. Powinnaś to wiedzieć.

– Opowiedz mi o Willow Thomas. Kim była? Kim była dla ciebie? Znów skubie wargę. Nigdy nie widziałam Kirby tak milczącej i schowanej. Zwykle wykazuje się subtelnością dwuletniego dziecka.

– Willow była... przyjaciółką przyjaciółki. Była cywilem. Cały czas. Urodziła się jako niewiniątko i pewnie tak umarła. Była jak szczeniaczek, kocię. Miała za bardzo błyszczące oczy i za śliczny ogonek jak na ten świat, w którym żyjemy, rozumiesz? Nie była taka jak ja czy moja przyjaciółka. My nigdy nie byliśmy cywilami. Byliśmy zawsze gotowe

do akcji, przygotowane na cały ten syf, jakim obdarza nas świat. Ale nie Willow. Ona była słaba.

– Jak się nazywała ta twoja przyjaciółka?

Kolejne grożenie palcem i krzywy uśmiech.

– Sprytne, ale nic z tego. Nie wyciągniesz ze mnie tej informacji.

– Czy to ma jakiś związek ze sprawą?

– Gdybym uważała, że pomoże ci to odszukać tego żywego trupa, to bym ci powiedziała.

Żywy trup. W jej ustach zabrzmiało to z ogromną pewnością.

– Jesteś pewna?

– Willow dokonała właściwego wyboru. Odeszła od nas, żeby prowadzić miłe normalne życie. Nigdy więcej nie rozmawiałyśmy, ale od czasu do czasu sprawdzałam, co u niej, żeby mieć pewność, że nikt nie wykorzysta tego naiwnego szczeniaczka. Pewnego dnia okazało się, że zniknęła. Wykorzystałam swoje... źródła, żeby ją wytropić, ale zapadła się pod ziemię. Zupełnie jakby którejs nocy wypłynęła w ocean i nie wróciła.

– Kiedy to się stało?

– Jakies dziesięć lat temu.

– Czy ma jakąś rodzinę?

Dłuższą chwilę czekam na odpowiedź.

– Nie. Była sierotą.

– Rozumiem.

Czekam na ciąg dalszy. Kirby się uśmiecha.

– Niedoczekanie twoje. Była sierotą zniknęła dziesięć lat temu ze słonecznego Los Angeles, nigdy w życiu nie skrzywdziła nikogo świadomie poza sobą samą. Tyle ci wystarczy.

– Kirby, musiała coś ukrywać. Ten facet tak działa.

Wyjaśniam jej sprawę filmów Kaznodziei. Obserwuję jej twarz, szukam jakiegoś znaku, jakiegoś pęknięcia na masce Kirby. Ale ona tylko słucha i okręca wokół palca pukiel blond włosów.

– Rozumiem – mówi, kiedy kończę.

– Kirby, czy Willow miała jakieś problemy? Może piła albo brała narkotyki? Chodziła może na jakieś grupy terapeutyczne czy coś takiego?

– Właściwie tak. Piła. Ale to rzuciła. Często chodziła na spotkania AA. Bingo, myślę.

– Możesz coś jeszcze o niej opowiedzieć?

– Nic, co by miało ci pomóc. – Pochyliła się do przodu. Znów w powietrzu czuć napięcie i obecność drapieżnika. – Więc nie masz pojęcia, co to za jeden?

– Nie.

Kiwa głową.

– No dobrze, w porządku. To by było chyba na tyle. – Wstaje do wyjścia.

– Kirby. Chcesz zobaczyć ten film?

Zatrzymuje się plecami do mnie z ręką na klamce.

– Nie. Wiem, jaką tajemnicę ukrywała.

Otwiera drzwi i wychodzi.

Cywil. Tak Kirby określiła Willow Thomas. Kiedy patrzę na kobietę na filmie, rozumiem, co miała na myśli.

Tak właśnie wygląda. Na pewno zaskoczyłoby ją jak okrutne bywa życie, czułaby się przez nie zdradzona. Latałaby samolotem z bajek

pełnych nadziei, idealizując wszystko i marząc, póki nie zderzyłby się z czymś i nie spadł na ziemię.

Tak działałoby się zawsze, począwszy od pierwszej wielkiej traumy, z której nigdy do końca nie wyszła.

Była posągowo piękna. Miała proste ciemne włosy i była niezwykle szczupła. Ta szczupłość wydobywała jej piękno, niektóre kobiety tak mają. Niezwykle blada skóra zaróżowiała się lekko jedynie na policzkach. Do tego pełne czerwone usta.

„– Opowiedz mi o bliznach, Willow” – mówi do niej Kaznodzieja.

Kobieta trzęsie się. Rzuca oczami na wszystkie strony – na niego, w prawo, lewo, potem patrzy prosto w kamerę, tak że czuję się, jakby patrzyła bezpośrednio na mnie. Płacze z przerwami. Kąciki oczu długo napęniają jej się łzami, po czym spływają po policzkach pojedyncze wielkie krople, które kapią niemal natychmiast na jej nagie uda. Robi mi się nieswojo, kiedy widzę, że Willow dostała gęsiej skórki. Kaznodzieja musiał czuć jej przerażenie.

„ – Willow – naciska jak zwykle delikatnie. – Blizny. Albo znów będzie bolało”.

Drży tak mocno, że słyszę, jak nogi krzesła grzechoczą o podłogę.”

– Nie! – krzyczy.

– W takim razie mów, proszę. Opowiedz mi o bliznach.

– Ale, ale już wiesz – zawodzi. – Wiem, że wiesz, mówiłeś mi.

– Tak, ale musisz to powiedzieć do kamery”.

Przestaje drżeć. Bierze głęboki oddech. Potem jeszcze jeden, wciąga mocno powietrze i wypuszcza je z sykiem. Głowa jej opada tak, że proste włosy zwisają w dół i muskają uda mokre od łez.

„ – Często się cięłyśmy – szepcze.

– Kto, Willow? Ty i kto?

– Ja i Mandy. Mandy była moją siostrą. Była dwa lata starsza ode mnie. Poszłyśmy razem do sierocińca, bo mama i tata bardzo nas bili. Mandy powiedziała mi o cięciu, o tym, że człowiek czuje się lepiej, kiedy zadaje sobie dużo bólu.

– I co? Zadawałaś sobie dużo bólu?

– Tak.

– Mów dalej.

– Robiłyśmy to brzytwą. Przeważnie nacinałyśmy sobie wewnętrzną stronę ud, powyżej linii spódniczki. Czasami nacinałyśmy je sobie nawzajem.

– To właśnie robiłyście tego dnia, prawda? Nacinałyście się nawzajem?

– Tak. – To najcichszy głos, jaki słyszałam. Ledwie go słyszeć.

– I co się stało?

– Ona nacięła mnie najpierw. Czułam się... cudownie. Nie potrafię tego opisać. Zanim człowiek się natnie, czuje się odrętwiały i obolały zarazem, wszystko jest takie nierzeczywiste. Ale kiedy zrobi się cięcie, ból staje się prawdziwy, ostry i słodki. Liczy się tylko teraz, nie ma przyszłości, nie ma przeszłości. Tylko teraz. W nacinaniu chodziło tylko o tę chwilę. Czułam się prawdziwa, coś znałam.

– Mów dalej.

– Czułam się podniecona i rozgrzana. Mandy nacięła mnie dość głęboko. Zobaczyła, jak świetnie się czuję, i kazała mi też zrobić jej głębokie nacięcie. Naprawdę głębokie. Więc zrobiłam.

– Nacięłaś zbyt głęboko, Willow?”

Pojawia się twarz kobiety i jestem zszokowana jej bladością. To twarz trupa.

„– Przecięłam tętnicę – szepcze. – Mandy zawsze była taka chuda, obie byłyśmy chude. Nacisnęłam i nie uważałam, bo ciągle czułam przyływ adrenaliny i endorfin od jej cięcia, więc pojechałam zbyt głęboko. Zaczęła szybko i mocno krwawić”.

Przerywa.

„– Dokończ. Co wtedy zrobiłaś?”

Dopiero teraz widzę, że w tej kobiecie drzemie siła. Rzuca Kaznodziei wzrok pełen nienawiści. Gdyby mogła, pewnie jego też by mocno pocięła.

„ – Powiedziała jej, że mocno krwawi. Spojrzała na ranę i uśmiechnęła się. Uśmiechnęła się. Powiedziała mi, żebym uciekała i nie mówiła nikomu, że to ja ją nacięłam. Protestowałam, mówiłam, że trzeba sprowadzić pomoc, ale powiedziała, że już za późno, że umrze i że nic nie szkodzi. Nie była zła, właściwie nawet jej się to podobało, naprawdę, ale nie chciała, żebym miała kłopoty, więc kazała mi uciekać, a potem wrócić i zachowywać się, jakbym ją znalazła, miałam udawać wielkie zaskoczenie, więc tak zrobiłam, odliczyłam do pięciu i w końcu weszłam, a ona była już nieprzytomna, zaczęłam krzyczeć, wszędzie była krew i.... – Przerywa potok słów tylko po to, żeby znów mocno zaczerpnąć powietrza. – Trzymałam ją i próbowałam zatamować krew, ale było jej za dużo. Klęczałam w kałuży, mogłabym w niej pływać. – Chwila ciszy. – Mandy umarła.

– Zrobiłaś to, co kazała ci siostra, Willow? Udawałaś?”

Kiwa głową. Pobladła jeszcze bardziej. Oczy błyszczą jej od nienawiści, zupełnie czystej i nieskrywanej.

„ – Powiedz to, dziecko – mówi Kaznodzieja”.

Wzdryga się raz, znów nogi krzesła grzechoczą o podłogę.

„ – Zabiłam moją siostrę, a wszyscy myśleli, że sama się zabiła. –

Wyrzuca z siebie te słowa z goryczą i jadem.

– I ludzie ci współczuli?

– Tak.

– Mówiłaś ludziom o własnych cięciach?

– Tak.

– I jeszcze jedno, Willow. Czy powiedziałaś, że to siostra wciągnęła cię na tę drogę? Ludzie myśleli, że to ona cię do tego zmuszała?

– Taaaaaak. – Z jej ust wydobywa się jęk. Oczy ma rozbiegane. Twarz wyraża to nienawiść, to rozpacz i wszelkie stany pośrednie.

Kaznodzieja czeka. Mam wrażenie, że jest usatysfakcjonowany i czuję, że we mnie samej wzbiera nienawiść.

– Dziękuję, Willow. Pamiętaj: Bóg jest miłością”.

Ściemnienie.

Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymuję oddech. Wydycham powietrze i opieram się wygodnie w fotelu. A więc to była przyjaciółka Kirby, myślę.

Zastanawiam się, czy to naprawdę ten sekret, o którym wspominała Kirby. Rozmyślania przerywa mi pukanie do drzwi. Do środka zagląda James.

– Mamy trop.

Dostaliśmy nakazy, żeby sprawdzić, czy uda nam się przypisać jakiś adres IP do wrzucanych plików wideo – wyjaśnia James. – Chcieliśmy sprawdzić, czy nie okazał się na tyle głupi, żeby doprowadzić nas do swojego łącza internetowego. Zważywszy na wyrafinowanie tego kołesia, to raczej mało prawdopodobne, ale wrzucał sporo materiału, więc warto było spróbować.

– I co? Mówisz, że zostawił ślad?

– Większość połączeń zestawianych jest za pomocą dynamicznych adresów IP. Dostawca Internetu przypisuje komputerowi użytkownika nowy adres IP, ilekroć ten połączy się z siecią, albo też zmienia go codziennie. Ale adres, z którego wrzucano te filmy jest statyczny.

– Co oznacza, że nie może należeć do nikogo poza konkretnym użytkownikiem płacącym rachunek za Internet.

– Właśnie.

Chodzę i myślę o tym.

– Wygląda to naprawdę dziwnie. To się nie trzyma kupy, że jest taki cwany w innych sprawach, a okazał się takim kretynem w tym przypadku. Czy jest możliwe, że to nie nasz facet?

– Bardzo możliwe. Jeśli właściciel tego adresu IP używa bezprzewodowego routera i nie zabezpieczył sieci hasłem, to można sobie wyobrazić, że ktoś parkuje samochód pod jego domem, otwiera laptopa i korzysta z jego sieci, żeby wrzucać filmy.

– Takie domowe sieci bez zabezpieczenia często się zdarzają?

– Tak. Mnóstwo ludzi kupuje router, wpina go do sieci i już. Nie



przychodzi im do głowy, żeby zabezpieczyć sieć, głównie dlatego, że nie mają świadomości skutków.

– Pokaż mi tego faceta.

James stuka w klawiaturę i pokazuje na ekran. Na monitorze widać zdjęcie kalifornijskiego prawa jazdy.

– „Harrison Bester – czytamy. – Czterdzieści jeden lat, czarne włosy, niebieskie oczy”. Wygląda normalnie. Wiemy już coś o nim?

– Teraz już tak – mówi Alan, który wchodzi do pokoju i macha szarą kopertą.

Opada na swój fotel i czyta na głos:

– „Harrison był inżynierem systemowym, który sporą odprawę wykorzystał, żeby kupić franczyzowe przedstawicielstwo firmy kurierskiej. Nie robi na tym kokosów, ale zdecydowanie jest to klasa średnia. Mieszka w Thousand Oaks. Żonaty, żona ma na imię Tracy. Mają dwoje dzieci, dwie córki, siedemnaście i piętnaście lat”.

– Wszystko to zupełnie nie pasuje – zauważa Callie. – Harrison i Tracy musieli zacząć się dość wcześnie „całować”, żeby w tym wieku mieć już siedemnastoletnią córkę. I nie pasuje to do kalendarza naszego chłoptasia. Facet jest oddany sprawie. Nie miałby czasu na życie rodzinne.

– Zgadza się – mówi James.

– Ja też – odpowiadam.

Zastanawiam się przez chwilę i podejmuję decyzję.

– Callie, weź laptopa i swój samochód i zaparkuj przed domem Bestera. Sprawdź, czy Harrison ma bezprzewodową sieć i czy ją zabezpieczył. A ja tymczasem porozumiem się z wicedyrektorem Jonesem i postaram się posadzić facetowi na karku całodobową ekipę obserwacyjną.

– Po co?

Wzruszam ramionami.

– Ja też nie sądzę, że Harrison to Kaznodzieja, ale to nie znaczy, że się nie znają. Może są w zмовie? A może to dawni kumple od kieliszka i Harrison nie ma pojęcia, że jego znajomy to seryjny morderca.

– W zмовie – prycha Alan, drażniąc się ze mną.

– Pojadę i sprawdzę pana Bestera – mówi Callie.

Bierze torbę z laptopem i idzie do drzwi.

– Zadzwoń i powiedz, jak ci poszło – krzyczę za nią.

– Tylko jeśli obiecasz mi, że będę mogła wpaść potem do domu na szybki numer z moim przyszłym mężem – odkrzykuje i już jej nie ma.

Wicedyrektor Jones poprosił, żebym zdała mu relację osobiście, nie przez telefon. Pukam do drzwi jego gabinetu.

– Wejdz – mówi.

Kiedy wchodzę, siedzi za biurkiem. Wygląda kiepsko. Ma poluzowany krawat i podwinięte rękawy. Opadam w jeden ze skórzanych foteli. Jones przekrzywia głowę i mi się przygląda.

– Wyglądasz strasznie – mówi.

– Nawzajem, szefie. I dzięki.

Kąciki ust zakrzywia w cień uśmiechu.

– Tak. Niezły dzień. O niczym innym się tu nie mówi tylko o Kaznodziei. Mediom odbija, co oznacza, że odbija też dyrektorowi. Musiałem odbierać rozmowy od komendantów policji z Los Angeles, San Francisco, z Vegas, Carson City, Phoenix, Salt Lake City... sama rozumiesz. Zdołałem ich przekonać do całkowitej współpracy. Bez

żadnego obsikiwania terenu.

– Jak pan dokonał tego cudu?

Pociera czoło.

– Oni też mają rodziny domagające się wyjaśnień, krwi albo jednego i drugiego. Oraz wielu występów w mediach. Komisarze muszą bawić się w politykę i potrzebują szybkich odpowiedzi. Dotarło do nich, że najlepiej będzie, jak wszyscy razem się nad tym pochylimy.

– Dziękuję, szefie. To nam pomoże.

– Teraz kolej, żebyś ty pomogła mnie. Na czym stoimy.

Referuję mu trop związany z adresem IP. Krzywi twarz.

– Zgadzam się, że trzeba to sprawdzić i dam zgodę na ekipę obserwacyjną, ale to nie nasz facet.

– Też tak sędzę. Poświęcił mnóstwo czasu, żeby przygotować ten moment. Jest dla niego ważny. Zbyt ważny, żeby potknąć się na czymś tak prostym. Musimy do tego podejść, szukając najmniejszego wspólnego mianownika.

– Wyjaśnij.

– To problem logiczny, szefie. Zabójca jest sprytny, ale ma też swoje przyzwyczajenia. Wszystkie ofiary były kobietami, poza Lisą Reid. Wszystkie skrywały jakiś głęboki mroczny sekret i można wydedukować, że zabijał je wszystkie w ten sam sposób. Musimy z tego wyodrębnić konkretny wzorzec i tę jedną rzecz, która nas do niego doprowadzi.

– Jak myślisz, co to takiego?

– Wszystko obraca się wokół tajemnic i prawdy. Musimy sobie odpowiedzieć na pytanie: skąd wie to, co wie? Myślę, że jeśli na to wpadniemy, mamy go.

– Macie jakieś pomysły?

– Wydaje nam się, że wybiera ofiary z grup AA, grup wsparcia i z kościołów. Pewnie infiltruje je jako jeden z członków. – Wzruszam ramionami. – Zresztą może też występować jako terapeuta. A w kościele jako ksiądz.

– Ale nie wydaje ci się.

– To zbyt bezpośrednie, zbyt ryzykowne. Jeśli ktoś by ginął za każdym razem, kiedy pojawiał się nowy ksiądz, to...

– No tak – mówi w zamyśleniu wicedyrektor. – Więc jak to wykorzystamy, żeby go dopaść?

– Jeszcze nie wiem. – Słyszę frustrację we własnym głosie.

– W tej sytuacji można zrobić dwie rzeczy, agentko Barrett. Albo na razie sobie odpuszczasz, albo całkowicie się zanurzasz w tym środowisku.

– Tak, szefie.

– Rozwiąż szybko tę sprawę, Smoky. Z tego, co widzę, ten facet chce, żebyśmy go złapali. Spełnijmy jego życzenie. Do roboty.

Wychodzę z gabinetu i wciąż dźwięczą mi w głowie jego słowa.

Zanurz się w tym środowisku.

Kiedy wracam do Centrali Śmierci, staję przy biurku Alana.

– Pojedźmy do księdza Yatesa.

Kolejny wieczorny wyjazd do San Fernando Valley. Księżyc ukrywa się dziś za chmurami i przebija je srebrnymi ciosami.

– W Los Angeles nigdy nie widać gwiazd – mruczy Alan.

– To przez światła miasta, odbijają się od nieba. – Uśmiecham się. – No i mamy jeszcze smog.

Koła szumią na nierównym asfalcie. Mkniemy przez ciemność.

Ksiądz Yates ma na sobie dzinsy i koszulę. Potargane włosy i zmęczone oczy. Nie może powstrzymać ziewnięcia.

– Przepraszam. – Uśmiecha się i ściska rękę mnie, a potem Alanowi. – Ranny ze mnie ptaszek, ale spać chodzę z kurami.

– Niech się ksiądz nie przejmuję – mówię mu. – Jedziemy na tym samym wózku, tyle że ja chodzę spać późno i też wstaję rano.

Zaprasza nas do przedniego rzędu ławek.

– Mówiła pani, że potrzebujecie mojej pomocy.

– Czy ksiądz oglądał filmy, które nakręcił ten człowiek?

– Tylko kilka pierwszych, w których wyklada swoją argumentację na rzecz prawdy. Nie mam ochoty patrzeć, jak kogoś morduje.

– I? Co ksiądz o tym myśli.

Yates siada wygodniej w ławce i przygląda się wielkiemu krucyfiksowi. To jego kotwica w kościele, uświadamiam to sobie, widząc, że część niepokoju i zmęczenia znika mu z oczu.

– Agentko Barrett, czy zna pani w ogóle katechizm Kościoła katolickiego?

– No, tak. Wychowano mnie jako katoliczkę.

– A oficjalny katechizm?

– Chyba nie wiem, o czym ksiądz mówi.

– Chwileczkę.

Znika na chwilę w zakrystii i wraca z małą grubą czarną książeczką w twardych okładkach. Podaje mi ją. Czytam tytuł: *Katechizm Kościoła katolickiego*.

– Wszystko, co chciałaby pani wiedzieć o Kościele katolickim, ale bała się zapytać. – Uśmiecha się. – Jest tam akapit, którym kieruję się w swoich czynach. Przeczytałem go jeszcze raz tuż po obejrzeniu tych filmów. – Bierze ode mnie książeczkę i otwiera na jednej z pierwszych stron. – Proszę bardzo. „Jedyny cel nauczania należy widzieć w miłości, która nigdy się nie skończy. Można bowiem doskonale przedstawić to, co ma być przedmiotem wiary, nadziei i działania, ale przede wszystkim trzeba zawsze ukazywać miłość naszego Pana, by wszyscy zrozumieli, że każdy prawdziwie chrześcijański akt cnoty nie ma innego źródła niż miłość ani innego celu niż miłość\*” [*Katechizm Kościoła Katolickiego*, Pallottinum 1994. ]. – Zamyka książeczkę. Dotyka okładki z czułością. – Uwielbiam ten akapit. Jest w nim prawda. Cokolwiek zdarzy się w moim kościele, jakiegokolwiek błędy popełnią zbyt fanatyczni czy nietolerancyjni parafianie, jakichkolwiek zbrodni dopuszczą się źli ludzie strojący się w szaty sług bożych, mogę przeczytać ten akapit i wiem, że problem tkwi w ludziach, nie w Kościele czy w mojej wierze. W Kościele zawodzą ci, którzy nie podporządkowują swoich czynów czystemu celowi zawartemu w tym prostym akapicie, idei, że nie mamy „innego celu niż miłość”.

– To ładna idea – przyznaję. – Szkoda, że niezbyt często wcielana w życie. – Krzywię się. – Przepraszam księdza.

Uśmiecha się.

– Tak się składa, że się z panią zgadzam. Konfrontacja i atak to kiepski sposób, by kogoś przywieść to Chrystusa. Nie mówi się ludziom, że są głupi i skazani na piekło; trzeba pokazać im słowa Chrystusa albo dać przykład własnymi uczynkami. Albo po prostu podać pomocną dłoń komuś w potrzebie. Wiara to akt wyboru, a nie coś, co można wymusić, trzymając kogoś na muszce.

– Rozumiem, co ksiądz chce powiedzieć – wtrąca się Alan. – Kaznodzieja raczej nie ucieleśnia ideału miłości.

Ksiądz Yates się krzywi.

– Morderstwo nigdy nie jest aktem miłości. Ten człowiek w najlepszym wypadku jest obłąkany.

– A jego idee? – pytam. – To, co mówi o prawdzie?

Ksiądz wzdycha.

– Będę szczery. Te idee same w sobie są mocne. Od dawna wysłuchuję spowiedzi i znam to zjawisko, o którym mówi. Ludziom wcale nie jest najtrudniej wyznać prawdę – najtrudniej jest wyznać całą prawdę. Jestem pewien, że będzie wielu takich, którzy zgodzą się z jego słowami. Nie zabraknie mu zwolenników.

– Ksiądz żartuje? – mówię z niedowierzaniem.

– Niestety, nie. Wielu chrześcijan wierzy w czarnobiały podział świata i w kwestii Boga i Biblii postępuje zgodnie z zasadą „ma się to, na co się zasłużyło”. Jeśli człowiek nie wyznał wszystkiego w konfesjonale, to i tak idzie do piekła. Niektórzy będą postrzegać tych ludzi przede wszystkim jako ofiary własnej niechęci do wyspowiadania się przed Bogiem.

Patrzę na krucyfiks z wypłowiałym Chrystusem pomalowanym

łuszczącą się farbą. Szukam u niego tego samego pocieszenia, jakie najwyraźniej znajduje ksiądz Yates. Nie znajduję niczego, jak zwykle. Jak mogę uwierzyć Kościołowi czy wierze, która wydaje z siebie takich ludzi?

– Proszę nie zapominać, ile czynimy dobra – mówi, jakby czytał w moich myślach. – Miliony dzieci co dzień mają co jeść dzięki chrześcijańskim organizacjom charytatywnym, bezdomni dostają domy, przed misjami ustawiają się kolejki po żywność. Nie tak dawno grupa chrześcijan z Korei Południowej pojechała do Afganistanu. Wiedzieli, że jest tam niebezpiecznie i pewnie nie był to najlepszy pomysł, ale nie pojechali tam z nie wiadomo jakich powodów. Pojechali nieść pomoc. Pojmano ich jako zakładników. Większość wypuszczono, ale kilku zginęło. Religia od dawna jest i zawsze będzie mieczem obosiecznym. Liczy się to, jak jej używamy, a to zawsze zależy od konkretnego człowieka. To tak, jak z innymi rzeczami. Gdyby nie było Internetu, byłoby mniej pornografii i wykorzystywania dzieci. Ale proszę pomyśleć, ile dobra przyniósł Internet: handel, nieskrępowany przepływ informacji, pokonywanie barier kulturowych i ksenofobii dzięki temu, że ludzie z różnych krańców świata mogą ze sobą rozmawiać. Wszystko można wykorzystać dobrze lub źle. Także Kościół i interpretację Biblii.

– Niech ksiądz mi opowie o spowiedzi. Co ona dla księdza znaczy? Znów szuka wzrokiem Jezusa.

– Moim zdaniem spowiedź święta to najważniejsze, co Kościół ma do zaoferowania człowiekowi. Tak naprawdę słowa tego potwora przemówią do wielu ludzi nie dlatego, że są jakoś szczególnie rewolucyjne, ale dlatego, że większość z nas nosi w sobie sekrety, które gryzą nas cały czas, każdego dnia. Zdarzało się, że spowiadający szlochali z ulgi, kiedy



wyznali jakiś drobny zły uczynek.

– Większość tych ludzi zrobiła okropne rzeczy. Co Kościół na to?

– Zdarzało mi się słyszeć sporo okropnych rzeczy. To prawda. Okropne rzeczy. I są tacy, którzy przesadnie nie żałują za grzechy. Ale zdecydowana większość bierze na siebie brzemień dokonanych złych uczynków. Większość ludzi osądza się znacznie krytyczniej, niż oceniłaby ich pani czy ja. Wysłuchiwanie spowiedzi nie sprawia, że tracę wiarę w ludzi, efekt jest zupełnie odwrotny. Naprawdę wierzę w to, że człowiek jest z gruntu dobry.

– Jakoś ciężko mi w to uwierzyć, proszę księdza – mówię.

– Amen – mruczy pod nosem Alan.

Yates się uśmiecha.

– To zrozumiałe. Obracacie się wśród mężczyzn i kobiet, którzy grzeszą bez wyrzutów sumienia... gorzej, cieszy ich to. Powiadam wam, znacznie powszechniejszym przykładem człowieka jest matka, która musi sobie wybaczyć, że zmęczona podniosła głos na dziecko. Jesteśmy niedoskonali, nie źli.

– Ksiądz wysłuchuje wszystkiego? – pytam.

– Większości rzeczy. Ludzie nie zawsze mówią o wszystkim. Spowiedź to nie czynność mechaniczna. To rodzaj sztuki. Trzeba wzbudzić w parafianach zaufanie. Muszą mieć pewność, że ksiądz nie będzie traktował ich inaczej po tym, gdy dowie się o ich seksualnych aluzjach, występkach czy czymś gorszym.

– Na pewno zdarzało się, że słyszał ksiądz o czymś naprawdę strasznym. O morderstwie czy molestowaniu dziecka. Jak ksiądz traktuje potem kogoś takiego?

Wzrusza ramionami. Jakby chciał powiedzieć „kto wie”. Tym ruchem daje do zrozumienia: „Nie mam na to innej odpowiedzi niż ta, którą za chwilę usłyszycie.

– To mój święty obowiązek.

– Czasami musi być ciężko.

– Zdarza się – przyznaje.

– Co ksiądz robi, kiedy słyszy o czymś, co się dzieje współcześnie? – pyta Alan. – Na przykład kiedy ojciec molestuje dzieci. Albo kiedy facet wyznaje, że złapał HIV od dziwki, a mimo to nadal sypia z żoną?

– Modłę się, agencie Washington. Modłę się o siłę. Modłę się o to, by sam akt spowiedzi skłonił tę osobę do porzucenia grzechu. Tak, jest mi ciężko. Ale gdybym złamał tajemnicę spowiedzi z powodu grzechów jednego człowieka, nie byłoby mnie dla setek innych przyzwoitych ludzi, którzy potrzebują mnie jako księdza spowiednika. Czy setki powinny płacić za grzechy jednego człowieka?

– I to wszystko? Bez żadnych wyjątków?

– Jeśli chodzi o przestępstwo karne, mam prawo nakłaniać pokutnika, by oddał się w ręce policji. Mogę nawet nie udzielić rozgrzeszenia, jeśli odmówi, ale nie mogę złamać tajemnicy spowiedzi.

Alan kręci głową.

– Nie zazdroszczę księdzu pracy, zwłaszcza że, jak widzę, ksiądz sporo myśli. Pewnie ciężko jest w nocy z tym zasnąć.

Ksiądz Yates się uśmiecha.

– Niektórzy trwają dzięki sile wiary. Niektórzy trwają dzięki intelektowi, myślą kierując się *Pismem*. Ja jestem przypadkiem pośrednim. Miewam kryzysy, jak wszyscy księża. A także zakonnice. Matka Teresa

przez większość życia zmagala się z wewnętrznym mrokiem i wątpliwościami co do Boga.

– Czy zdaniem księdza ludzie naprawdę się zmieniają? – pytam.

– Oczywiście. Nie zawsze, ale na tyle często, że jestem zadowolony.

– Co mają wspólnego ci, którzy się zmieniają?

Zastanawia się nad moim pytaniem.

– Żal za grzechy. Prawdziwy żal za grzechy. Wyznanie grzechu to jedno. Ale według mnie szczerzy żal za grzechy wymaga przede wszystkim zmiany. Jeśli człowiek żałuje, zmienia się. Jeśli nie żałuje, nie ma zmiany.

– Czy Rosemary żałowała?

– Moim zdaniem tak.

Migotanie w mojej głowie przybiera na sile. W tym, o czym rozmawiamy, coś jest. To już nie tylko mignięcie dostrzeżone kątem oka. To coś wyraźnego, do czego jeszcze nie mogę dotrzeć.

– Czy mogę zobaczyć wewnątrz konfesjonału?

Milczy przez chwilę, przyglądając się mi. Ten wzrok nie budzi mojego oporu czy zakłopotania. Jest w nim za dużo dobroci. Ksiądz Yates wstaje z ławki.

– Proszę za mną.

– Zaczekam tu – woła za mną Alan. – Może pomodłę się, żebyś się dziś dobrze wyspała.

Macham do niego szybko i idę za księdzem Yatesem do konfesjonału. Jednocześnie dzieją się dwie rzeczy: to migotanie, które próbuję dostrzec, staje się wyraźniejsze, silniejsze, jaśniejsze; i znów słyszę głos w mojej głowie, ten, który sprawia, że mój żołądek wykonuje salto za saltem.

Czuję na czole tłusty zimny pot.

– Zróbmy pełną wizję lokalną – mówi ksiądz Yates, kiedy stajemy przed konfesjonalem. – Ja usiądę tam gdzie zawsze, a pani zajmie miejsce pokutnika.

– W porządku – mówię, ale ledwie słyszę własny głos. W głowie trzepoce mi skrzydłami stado nietoperzy.

Otwieram drzwiczki i wchodzę do konfesjonálu. Wisi tam mała lampka. Konfesjonał jest ciasny i spartański, wykonany z ciemnego, kiepsko zabezpieczonego drewna. Na podłodze poniżej kratki oddzielającej księdza od pokutnika znajduje się klęcznik. Zamykam drzwiczki i spoglądam na klęcznik.

No cóż, może być i ksiądz, myślę. Chce mi się śmiać i płakać zarazem.

Tym razem głos słycać wyraźnie: Zobacz mnie.

Natychmiast klękam. Z jakiegoś powodu głos cichnie.

Ksiądz Yates odsuwa zasłonkę kratki.

– Wydawało mi się, że jest tu więcej miejsca – mówię.

– Zapewne podczas ostatniej spowiedzi była pani o wiele młodsza – odpowiada rozbawiony.

– No to przypomnijmy sobie... Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Ostatni raz byłam u spowiedzi... hm, jakieś dwadzieścia siedem lat temu.

– Rozumiem. Czy chcesz wyznać jakieś grzechy, moje dziecko?

Zastygam. Czuję, że coś we mnie wzbiera. Coś gniewnego, obrzydliwego i gorzkiego.

– O tym ksiądz myślał, patrząc na mnie tam, w ławkach? Że mnie tu zaciągnie, żebym wyrzuciła z siebie wszystko i odzyskała wiarę?

– Wystarczy, że pani to z siebie wyrzuci – mówi spokojnie. – Na to

drugie jest nieco za wcześnie.

– Mam to gdzieś.

Wzdycha.

– Agentko Barrett, jesteśmy tu tylko my dwoje i w tych ciasnych ścianach jest pani bezpieczna. Może pani się tu wściekać, może pani płakać, może mi pani powiedzieć wszystko, i zostanie to między panią, mną i Chrystusem. Widzę, że coś panią niepokoi. Czemu nie chce pani o tym porozmawiać? W końcu chciała się pani... jak to pani ujęła? Zanurzyć w środowisku. No więc proszę bardzo.

– Facet, któremu poprzednio wyznałam wszystkie sekrety, próbował mnie zabić, proszę księdza. – Jestem zaskoczona chłodem własnego głosu.

– Tak, czytałem o tym. Rozumiem pani uprzedzenie. Skoro nie jest pani w stanie uwierzyć Bogu, to może uwierzy pani mnie? Nigdy nie zawiodłem niczyjego zaufania.

– Wierzę księdzu – przyznaję.

Naprawdę wierzę. Nie mogę zaprzeczyć, że w tym miejscu zaczynam odczuwać tęsknotę. Głęboką, bolesną. I to właśnie ona budzi we mnie taki gniew.

Zobacz mnie, powiedział głos. Problem nie w tym, że nie widzę tego, co każe mi zobaczyć. Raczej w tym, że nie jestem w stanie przestać tego widzieć.

Potrzeba wyznania komuś w końcu mojej tajemnicy, wyrzucenia jej z siebie, myśl o tym, że mogę zyskać święty spokój albo i nie święty, zapowiada tak wielką ulgę, że aż czuję ją na skórze, jakby maszerowała po niej armia mrówek.

Oddycham szybko. Serce wali mi jak młotem. Zaciskam splecione

dłonie, bardziej z rozpacz niż w modlitwie.

– Nie wiem, czy jeszcze wierzę w Boga, proszę księdza – szepczę. – Czy mogę na spowiedzi wyznać, że nie jestem nawet pewna, czy Bóg istnieje?

– Spowiedź, o ile naprawdę żałuje pani za grzechy, może pani tylko pomóc, agentko Barrett. Naprawdę w to wierzę.

– Smoky. Proszę mówić do mnie Smoky.

– W porządku. Smoky, czy chcesz wyznać jakieś grzechy?

Mam wiele grzechów, tak wiele, proszę księdza: grzechy dumy, grzechy zazdrości, grzechy pożądania. Zabijałam ludzi. W samoobronie to prawda, ale gdzieś w środku cieszyło mnie to. Byłam wniebowzięta, że zabiłam człowieka, który odebrał mi mojego Matta i Alexę. Zawsze będzie mnie to cieszyło.

Grzechy?

Zgrzeszyłam przeciw własnej rodzinie, znajomym, tym, którzy mnie kochali i ufali mi. Często kłamałam. Popijam w nocy. Sypiałam tylko z dwoma mężczyznami w życiu, ale zatraciałam się w tym. Czasami rzecz jasna z miłości, ale czasami po prostu dla przyjemności, jaką mogli mi dać. Czy to grzech cieszyć się z penisa w ustach, szeptać do ucha Mattowi lub Tommy'emu: „pieprz mnie, pieprz mnie, pieprz mnie, na Boga”? Czy Bóg jest mi wdzięczny, że go przywołuję w tych gorących chwilach?

Patrzyłam, jak cierpią inni, jak stają się ofiarami, patrzyłam na ich martwe i okaleczone ciała, nauczyłam się od tego odwracać. Nauczyłam się wyłączać te obrazy i emocje, wracać do domu, jeść spaghetti i oglądać telewizję, jakby cierpienie tych ludzi nie istniało albo nie miało znaczenia. Żyję z polowania na złych ludzi. Dostaję pensję, bo umierają ludzie.

Czy to są grzechy?

Poruszam się na klęczniku. Wszystko to, co przemknęło mi przez głowę, to może grzechy, a może i nie. Żadna z tych myśli nie budzi potwora w mojej głowie.

Zobacz mnie, mówi głos, ale tym razem delikatniej. A ten głos to oczywiście ja.

Czuję, jak łzy spływają mi po twarzy. Powiem mu to, dociera do mnie. Od początku miałam mu to powiedzieć, wiedziałam o tym już wtedy, kiedy tu weszłam. Dlatego właśnie zniknął pot i mdłości.

– Zrobiłam straszną rzecz, proszę księdza – szepczę. – Myślę, że przez to, co zrobiłam, nie pozwolę sobie nigdy na prawdziwą radość. Nie pozwolę sobie nigdy naprawdę kogoś pokochać. Bo nie zasługuję na to.

Wyznanie tego na głos dusi niepokój w zarodku. Potwór żalu próbuje wyjść ze swojej jamy i wydobyć się z mojego gardła w postaci jęku. Poskramiam go, zmuszam, żeby wykrzyczał się w środku. Tu jest za cicho. Alan mnie usłyszy. Zaciskam dłonie w jedną wielką pięść i wpycham ją sobie do ust. Zaciskam zęby, aż przegryzam skórę. Czuję smak własnej krwi i trzęsę się z bólu.

Ksiądz Yates do tej pory milczał, czekał. Znów się odzywa. Głos ma łagodny. Bezpieczny. Przez chwilę przypomina mi ojca, nie Boga, ale mojego tatę, którego bały się potwory spod mojego łóżka.

– Ubierz to w słowa, Smoky. Wyrzuć to z siebie. Będę słuchał, nie będę oceniał. Tego, co tu powiesz, nigdy nikomu nie powtórzę. Czas zdjąć z siebie to brzemień, które nosisz.

Kiwam głową łzy wciąż ciekną mi po twarzy. Wiem, że nie widzi, jak kiwam głową ale gardło mam nadał ściśnięte i nie mogę wydusić słowa.

Ksiądz chyba to wyczuwa.

– Nie spiesz się.

Klęczę, a on czeka. Mijają chwile i ucisk w gardle nieco ustępuje. Znow mogą mówić.

– Po napadzie leżałam przez jakiś czas w szpitalu. W wielu miejscach Sands pociął mi twarz aż do kości. W innych miejscach posiekał mnie na plasterki, przypalał mnie cygarem. Nie były to rany groźne dla życia, ale bardzo mnie bolało, poza tym obawiano się infekcji, bo niektóre skaleczenia były naprawdę głębokie. Chciałam umrzeć, proszę księdza. Całkowicie, zdecydowanie, na sto procent postanowiłam, że strzelę sobie w łeb. Chciałam wyjść ze szpitala, wrócić do domu, uporządkować wszystko i zabić się.

– Mów dalej.

– O tym wiedzą wszyscy. Musiałam spotkać się z psychiatrą... i sam ksiądz wie, jak to się skończyło. Chodzi mi o to, że ludzie wiedzieli, że myślałam o samobójstwie. Wiedzieli o gwałcie i z całą pewnością widzieli blizny. To wszystko nic. Takie rzeczy można zrozumieć i wybaczyć. „Oczywiście, że myślała o samobójstwie, spójrzcie, przez co przeszła, biedaczka!” Rozumie ksiądz?

– Tak.

– I jakaś część mnie, proszę księdza, jakaś część mnie chłoneła to. Całe to współczucie. Biedna, biedna Smoky. Czyż nie jest silna? Czyż to nie wspaniałe, jak to wszystko przetrwała i żyje dalej?

Wzbiera we mnie gorycz, jak w czarnej kawie czy kwaśnym mleku. Niemal czuję ją w ustach. To smak niechęci do samego siebie. Nie, to za słabe określenie. Nienawiści do samego siebie.



– Powiedz mi więc o tym, czego nie wiedzieli, Smoky. O tym, co nie było godne podziwu.

Nagła fala wrogości jest tak silna, że aż mnie oszalała. Policzki i czoło aż biją mi z gorąca. Czysty gniew, determinacja jak u zwierzęcia przypartego do muru. Ta tajemnica tak łatwo ze mnie nie wyjdzie. Widzę światło, i to właśnie ono budzi wściekłość i wrzask.

– Pieprzyć Boga – mówię pod nosem i podoba mi się smak tych słów, dreszczyk, jaki budzą.

– Słucham?

– Pieprzyć Boga i jego przebaczenie. Czemu miałabym prosić tego dupka, żeby mi cokolwiek przebaczył? Co trzeba było przebaczać mojej matce? Czy ksiądz wie, że pod koniec życia błagała, żebyśmy ją zabili? Tak bardzo cierpiała, błagała nas, żebyśmy to zrobili, żebyśmy odebrali jej życie. A była najpobożniejszą katoliczką jaką znałam!

– A ty? – pyta spokojnym głosem.

– Co? Ni cholery. Nie. – Wściekłość jest jak tsunami, zalewa mnie i nic nie mogę na to poradzić.

– W takim razie powiedz mi, Smoky, co zrobiłaś. Jeśli nie chcesz, nie musisz prosić Boga o przebaczenie. Ale musisz poprosić siebie samą.

Zgrzytam zębami i zaciskam dłonie, aż drętwieją.

– Przebaczyć sobie? – pryham szeptem. – I co, tylko dlatego, że powiem to tutaj na głos, nagle wszystko będzie cacy?

– Nie. Ale to dobry początek. Nie mogę ci wyjaśnić, dlaczego wyznanie komuś własnych czynków przynosi ulgę, Smoky, ale naprawdę tak jest. Owszem, to tylko słowa, ale naprawdę poczujesz się lepiej. Musisz powiedzieć mi, co zrobiłaś, a wtedy uświadomisz sobie, że nie

nastąpił koniec świata z tego powodu, że mi powiedziałaś.

Jego spokój jest niewzruszony. To mieszanka wiary, cierpliwości i nieuchronności. Gdyby miał opróżnić basen łyżeczką, zrobiłby to bez narzekania, niezależnie od tego, ile by to potrwało. Czuję się przy nim i bezpieczna, i rozdrażniona. Mam ochotę jednocześnie go przytulić i uderzyć w twarz.

– Byłam w ciąży – wyrzucam z siebie.

Cisza.

Przez chwilę myślę, że już zaczyna mnie oceniać, ale uświadamiam sobie, że ksiądz po prostu czeka.

– Mów dalej – słyszę.

– Pierwsze miesiące. To było wielkie zaskoczenie. Używałam wkładki. Matt i ja nie byliśmy starzy, ale nie byliśmy też już tacy młodzi. Po prostu... wpadka.

– Czy twój mąż o tym wiedział?

Ksiądz jest dla mnie za sprytny.

– Nie. Nie wiedziałam, czy w ogóle mu powiem. Nie wiedziałam, czy chcę urodzić to dziecko.

– Dlaczego nie?

– Nie wiem. Pewnie z egoizmu. Dobiegałam czterdziestki, moja kariera rozwijała się w najlepsze, wymówki jak zwykle w takich sytuacjach. Niech ksiądz mnie źle nie zrozumie, nie zdecydowałam się usunąć, nie byłam jeszcze pewna. Ale myślałam o tym i ukrywałam to przed Mattem.

– Dużo mieliście przed sobą tajemnic?

– Nie. I w tym rzecz. Przynajmniej częściowo. Matt i ja mieliśmy szczęście. Wiem doskonale, jak potrafią się rozsypywać małżeństwa.

Mężczyźni zdradzają, zdradzają też kobiety, mężczyźni kłamią, i kobiety też. Kochanki zabijają żony, żony zabijają mężów. A bywa też, że wszystko jest w porządku, a i tak oboje zabija rak. Czasami bywa to długa, powolna śmierć. Lata drobnych tajemnic zmieniają się w wielką nieufność i w małżeństwie liczy się nie tyle miłość, ile przetrwanie. A Matt i ja niczego takiego nie przeżywalismy. Owszem, kłóciliśmy się. Potrafiliśmy nie odzywać się do siebie całymi dniami. Ale zawsze wracaliśmy do siebie i kochaliśmy się. Nigdy go nie zdradziłam i jestem pewna, że on mnie też nie zdradził.

– A więc... to ukrywanie przed nim ciąży... to było coś niezwykłego.

– Bardzo. Ukrywać można drobne rzeczy. Tak bywa, kiedy się z kimś mieszka. Niektóre rzeczy zachowujemy tylko dla siebie. Ale nie ukrywa się poważnych spraw. Nie ukrywa się ciąży i na pewno nie ukrywa się aborcji. Nie w naszym związku.

– Dowiedział się przed śmiercią?

– Nie.

– Myślisz, że byś mu powiedziała?

– Lubię myśleć, że tak. Ale nie jestem pewna.

– Co się stało z dzieckiem, Smoky?

Rzecz jasna, to jest to pytanie. Zobacz mnie, powiedział głos. Widzę, widzę, w jaskrawym blasku silniejszym niż dziesięć tysięcy dziesięciokilowatowych lamp.

– Problem nie w tym, że w ogóle dokonałam aborcji – mówię – ale dlaczego. – Mój głos brzmi głucho. Jestem wyczerpana. Wolałabym być w dowolnym miejscu, byle nie tutaj. – Widzi ksiądz, chciałam popełnić samobójstwo, ale wiedziałam, że nie mogę tego zrobić, nosząc w łonie

dziecko. Poprosiłam więc lekarza, żeby się tym zajął. – Zmęczona... jestem taka zmęczona. – To było ostatnie, co mi zostało z Matta, tam we mnie, gotowe urosnąć, urodzić się i żyć. To nie musiał być jego koniec, to nie musiał być koniec nas, rozumie ksiądz? Sands mi tego nie odebrał. Nie zabił mojego dziecka. Sama to zrobiłam. Ja sama.

Zaczynam płakać.

– Jest coś jeszcze? – pyta ksiądz Yates.

– Jeszcze? Oczywiście, że tak. Przecież klęczę tu przed księdzem. Pozbyłam się dziecka, żeby móc się zabić, ale w końcu nie zrobiłam nawet tego! Dziecko zginęło na próżno! Bez żadnego powodu! – Nie chcę tego mówić, ale muszę. – Zamordowałam to dziecko, proszę księdza. Za... zamordowałam je.

Nie mogę więcej mówić. Mogę tylko płakać. Nie płaczę z własnego powodu. Płaczę dlatego, że jednym z ostatnich moich uczynków w małżeństwie było kłamstwo. Płaczę dlatego, że Alexa mogła mieć młodszego brata lub siostrę. A przede wszystkim płaczę nad tym nienarodzonym dzieckiem. Dawało mi szansę, by odzyskać część z tego, co skradł mi Sands. Ale w chwili cierpienia odrzuciłam tę szansę. Nie chodzi o dobro czy zło, jakim jest aborcja. Chodzi o powody tej decyzji, cierpienie, egoizm, ewentualności, możliwości, niewykluczoneści. Chodzi o żal, jaki czuje się po zrobieniu czegoś okropnego, czego nie da się już cofnąć ani wynagrodzić.

Płaczę, a ksiądz Yates mi nie przerywa. Nie odzywa się, ale czuję jego obecność i lepiej się z tym czuję.

Nie wiem, ile mija czasu. Żal wypala się, nie znika całkowicie, ale nieco się uspokaja.

– Smoky, nie będę cię zarzucał cytataми z Biblii. Wiem, że twoja wiara jeszcze nie jest na to gotowa. Powiem po prostu: tak, to, co zrobiłaś, to, dlaczego to zrobiłaś, było złe. I dobrze o tym wiesz. Ale gdzie tkwi prawdziwy grzech? Przez co czujesz się tak okropnie? Czy przez to, że odrzuciłaś dar życia? Nie obchodzi mnie, skąd twoim zdaniem wziął się ów dar: od Boga, z pierwotnej zupy czy po trochu z jednego i z drugiego... Ale życie to dar i jestem pewien, że o tym wiesz. Myślę, że wiesz o tym lepiej niż większość ludzi, bo taki masz zawód.

– Tak – szepczę.

– A więc nie rozumiesz? Dalsze odmawianie sobie przebaczenia, odmawianie sobie miłości to trwanie w tym samym grzechu... bo to wszystko znaczy, że odmawiasz sobie życia.

– Ale, proszę księdza, jak mogę być szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa? Nie mogę odwrócić tego, co zrobiłam.

– Musisz pokutować. Nie zapominać. Nie usprawiedliwiać. Musisz się zmienić. Wychowujesz córkę przyjaciółki. Wychowaj ją dobrze. Bądź dla niej dobrą matką. Naucz ją kochać życie. Masz jakiegoś mężczyznę? Kochaj go. Jeśli wyjdiesz za niego, nie miej przed nim tajemnic. Masz pracę, dzięki której wsadzasz do więzienia tych, którzy odbierają życie innym. Wykonuj ją dobrze, a ocalisz wielu ludzi. To dobrze, że cierpiałaś przez ten grzech, ale nie jesteś wcielonym diabłem, Smoky. I jeśli sama nie potrafisz sobie wybaczyć, to czas pozwolić, żeby wybaczył ci ktoś inny. Wyzaczyłem ci pokutę. Może nawet na całe życie. A teraz rozgrzeszam cię w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

To tylko słowa. Nie pogodziłam się z Bogiem, nie jestem pewna, czy w ogóle do tego dojdzie. Być może więcej nie wejdę już do konfesjonału, a

gdzieś w głębi serca myślę, że Jezus mógł być jedynie zwykłym cieślą. Ale ksiądz Yates miał rację. Wyznanie tego przed kimś innym, na głos, i przekonanie się, że to nie koniec świata, daje mi ulgę, jakiej się w życiu nie spodziewałam. Czuję się... czysta. Smutek wciąż we mnie tkwi, i to dobrze. Tylko mężczyźni, których ścigam, niczego nie żałują.

– Dziękuję księdzu.

Nie wiem, co jeszcze powiedzieć.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Dałabym głowę, że uśmiecha się za kratką. – Widzisz? W moim zawodzie też nie brakuje przygód.

– Jak cholera – przyznaję.

Niektórzy ludzie przemierzają świat wokół. Wspinają się na góry, żeglują po oceanach, polują z tubylcami. Niektórzy posuwają się w tym poszukiwaniu przygód do ekstremum, jak Hemingway, który uciekał przed bykami, dużo pił i żył pełną piersią. Ale są i tacy ludzie jak ksiądz Yates czy ja, którzy całymi dniami buszują po świecie wewnętrznym, gdzie za zakrętem zawsze czai się coś nowego i zazwyczaj okropnego. „Tu muszą być tygrysy” – takie znaki stawiali kiedyś podróżnicy na mapach. To ostrzeżenie najbardziej pasuje u nas do obszaru między uszami a sercem człowieka.

I pomyśleć, że można wejść do takiej drewnianej budki i porozmawiać z innym człowiekiem o rzeczach, o których nie mówiło się nikomu innemu...

– Jasna cholera – szepczę.

– Smoky...

– O Boże.

„Zanurz się w środowisko”. Zanurzyłam się jak cholera. A odpowiedź

cały czas miałam przed nosem. Prosta, bezpośrednia, prawdziwa.

– Smoky, wszystko w porządku?

Wstaję. Jak Kaznodzieja dowiadywał się o ich tajemnicach? Jakże by inaczej?

– Proszę księdza, mam chyba złą wiadomość. Myślę, że w księdza konfesjonale jest ktoś jeszcze. I to wcale nie Bóg.

Doskonałe miejsce na założenie podsłuchu – zauważa Alan. – W środku jest ciemno, a ludzie skupiają się na sobie, nie na otoczeniu.

Stoimy tuż przed konfesjonałem. Odeszłam od niego z twarzą moką od łez.

To się trzyma kupy. Zastanawialiśmy się nad grupami wsparcia, spotkaniami AA i podobnymi rzeczami, ale po co zarzucać tak wielką i niedoskonałą sieć, skoro szuka się tajemnic? Kaznodzieja mówi wyłącznie o religii. A do kogo zwraca się religijny człowiek, by wyznać swoje najmroczniejsze tajemnice, takie jakie widzieliśmy na filmach?

Do księdza.

Podchodzimy do konfesjonału i niczego nie zatajamy. Zrobiłam to samo, a przecież jestem niepraktykującą katoliczką. Największym zmartwieniem grzeszników jest przeważnie to, czy ksiądz dochowa tajemnicy, nikt nie bierze pod uwagę możliwości, że ktoś założy podsłuch w konfesjonale.

Ksiądz Yates chodzi w tę i z powrotem. Jest zaniepokojony, zły i pewnie trochę go mdli. Trudno się dziwić. Wspominam to, o czym rozmawialiśmy przed chwilą w konfesjonale, i sama drzę na myśl, że ktoś mógłby podsłuchiwać. Dla niego to musi być dziesięć razy gorsze, bo przecież czuje się odpowiedzialny.

– Jeśli to prawda, to stała się rzecz straszna, po prostu straszna – mówi cicho. – Parafianie będą bali się chodzić do spowiedzi. Ci, którzy się spowiadali, poczują się zdradzeni. Będziemy mieli falę kryzysów wiary.

Biedny ksiądz, jeszcze nie widziałam go tak zaaferowanego i



wzburzonego. To niepokojące. Dotychczas zachowywał niewzruszony spokój, co przynosiło mi ulgę.

– Proszę księdza, muszę o coś zapytać.

Zatrzymuje się. Przeczesuje włosy ręką.

– Oczywiście, proszę bardzo.

– Potrzebuję potwierdzenia. Mówił ksiądz, że nie oglądał żadnego z filmów z ofiarami. A z Rosemary? Ten fragment był na samym początku.

– Absolutnie nie. Ominąłem go. Nie mogłem tego oglądać.

– Muszę księdza zapytać o tajemnicę, którą Rosemary ujawniła w filmie. To było coś naprawdę złego, coś, o czym Kaznodzieja już wiedział. Powiem księdzu, o co chodziło, i muszę wiedzieć, czy Rosemary wyznała to księdzu na spowiedzi.

– Nie mogę złamać tajemnicy spowiedzi – protestuje ksiądz. – Jej śmierć wcale mnie z tego nie zwalnia.

– Ależ proszę księdza! Nawet jeśli miałyby to pomóc dopaść jej zabójcę? Powiedział nam, że jeśli go nie złapiemy, wkrótce zabije dziecko! – Wymierzam w niego palec. – Nie wywinie się ksiądz tak łatwo. Zdaję sobie sprawę, że to dla księdza trudna sprawa i może potrzebna będzie jakaś wyrafinowana interpretacja prawa kanonicznego, ale musi ksiądz trzeźwo spojrzeć na zło i dobro w tej sprawie. Wielki sekret Rosemary i tak już został ujawniony w Internecie, każdy może to obejrzeć. W jaki sposób ksiądz może pogorszyć sytuację? Wydaje mi się, że można ją tylko naprawić.

– Naprawdę? – mówi chrapliwym głosem. – Zapytam tak, Smoky. Gdybyś jutro umarła, chciałabyś, żebym ujawnił to, o czym właśnie rozmawialiśmy w konfesjonale?

Tym pytaniem uderza mnie jak obuchem w głowę. Natychmiastowa odruchowa reakcja brzmi: „Kurwa, nie”. *Touchée*, proszę księdza.

– W normalnych warunkach oczywiście, że nie. Ale gdybym została zamordowana jak Rosemary? Zmuszona, żeby opowiedzieć o tym jeszcze raz, i to przed całym światem? – Podchodzę bliżej i spoglądam mu prosto w oczy. – Chciałabym wtedy, żeby ksiądz zrobił wszystko, by wymierzyć sprawiedliwość temu posrańcowi.

Widzę jego wewnętrzny konflikt i rozumiem go. Ksiądz Yates jest człowiekiem wiary, prawdziwym katolikiem, który swoje słowa potwierdza czynkami. Żyje według pewnych nienaruszalnych zasad. Pewność tych zasad, ich czern i biel, utwierdza go w jego wierze, kiedy porusza się po szarej strefie życia. Różne Rosemary tego świata to złożone przypadki. Niełatwo jest się nimi zajmować. Rozumiem, dlaczego ksiądz Yates tak bardzo potrzebuje swoich niewzruszonych zasad.

– Dobrze, opowiedz mi o tym – mówi w końcu. – Jeśli twoja teoria jest coś warta, dam ci znak. Nie powiem nic bezpośrednio o treści spowiedzi Rosemary, ale dam ci znak. – Widzę, że nawet ten kompromis sporo go kosztuje.

– Dziękuję księdzu.

Opowiadam mu o tym, jak Rosemary uprawiała seks z własnym bratem i jak Dylan potem odebrał sobie życie. Twarz księdza Yatesa cały czas pozostaje maską. Kiedy kończę, patrzy mi prosto w oczy i robi znak krzyża.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego – mówi cicho. – Amen.

Podniecenie, jakie mnie ogarnia, tłumi wszelkie inne odczucia.

– Proszę księdza, muszę mieć jutro dostęp do konfesjonału. Z samego

rana. Sprowadzę tu kogoś, żeby sprawdził, czy w konfesjonale i w ogóle w kościele nie ma podsłuchu.

Wzdycha.

– Oczywiście.

– Alan, możesz nas zostawić na chwilę?

Mój przyjaciel kiwa głową.

– Będę czekał przy samochodzie.

Kiedy zostajemy sami, wskazuję ławkę przed ołtarzem.

– Niech ksiądz usiądzie.

Siada. A ja siadam obok niego.

– Wiem, że jest księdzu ciężko.

Znów patrzy na Jezusa. Nie znajduje tam jednak takiego spokoju i pocieszenia jak wcześniej.

– Naprawdę? – pyta. – Mówisz poważnie?

– Tak. Czuje się ksiądz, jakby go ktoś zgwałcił. Ta jedyna rzecz, na którą ksiądz zawsze mógł liczyć, roztrzaskała się w drobiazgi.

Odwraca się do mnie, wciąż zaniepokojony, ale też zaintrygowany.

– W zasadzie masz rację.

– Znam to uczucie na wylot. Mój zawód też mnie zdradził, sprowadził do mojego domu zabójcę, który zabrał mi rodzinę i twarz. – Rozchyłam kurtkę, żeby pokazać mu broń. – Zawsze wierzyłam w mój pistolet i legitymację FBI. Byłam pewna, że mnie obronią. To była pewność absolutna, bez żadnych wątpliwości. – Wzruszam ramionami. – Myliłam się.

– I co się wtedy robi, kiedy coś takiego się zdarzy?

– Człowiek idzie spać, budzi się następnego dnia rano i wraca do pracy.

Liczy się praca, proszę księdza.

Uśmiecha się i bardzo mnie to cieszy. Jest zasmucony, ale wygląda lepiej.

– Smoky, mówisz, że moja praca się liczy. Czy to znaczy, że pogodziłaś się z Bogiem?

– Niech ksiądz się nie spieszy z wnioskami. Nadal jestem mocno wkurzona na Boga. Nic nie wiem o... – pokazuję gestem kościół, w którym siedzimy – ... o tym wszystkim. Wiem za to, że ksiądz mi pomógł. Naprawdę pomógł, bez ściemniania. A więc, jeśli to jest jakiś wskaźnik efektów, to owszem, księdza praca się liczy.

Znów widzę niepokój w jego oczach.

– Wpuściłem szatana do mojego kościoła.

– I co z tego? Raz ksiądz upadł i już się poddaje? Gdzie się podział twardeł z Detroit? Owszem, wszystko jest popieprzone. Niech ksiądz to przyzna przed sobą, walnie solidnego drinka, pomodli się albo zrobi cokolwiek, co robią księża, żeby ochłonać. A potem niech ksiądz wraca do pracy. Kolejny uśmiech. Mam wrażenie, że uśmiecha się wbrew sobie.

– Rozważę twoje porady. Tymczasem proszę cię, żebyś przestała kłać w moim kościele, Smoky.

– Obiecuję nie kłać, jeśli ksiądz przestanie uważać się nad sobą.

Ksiądz Yates tym razem wybucha szczerym śmiechem.

– Zgoda. – I znów twarz mu smutnieje. – Proszę cię, złap tego człowieka.

– Złapię go.

– Dobrze. A teraz zostaw mnie samego. Muszę się pomodlić.

Alan stoi oparty o samochód i wpatruje się w bezgwiezdne niebo nad Los Angeles.

– Pocięzałaś księda? – pyta.

– Nic mu nie będzie.

– Jak chcesz to załatwić?

Zerkam na zegarek. Jest po jedenastej.

– Na dzisiaj wystarczy. Zadzwońę do Callie i Jamesa i wygonię ich do domu. Jutro z rana zabierzemy się do pracy.

– Jestem za. Padam na twarz. Dzwon, a ja poprowadzę.

– Pan Harrison Bester nie wygląda na internautę świadomego zagrożeń – mówi Callie. – Siedzę teraz przed jego domem i wybieram papier na moje ślubne zaproszenia.

– Czy ekipa obserwacyjna już się pojawiła?

– Nie.

– Powinni być lada chwila. Poczekaj tam, póki nie przyjadą. Callie wydaje z siebie długie, głośne westchnienie.

– Naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, w jakim napięciu żyję. Planowanie ślubu, śledztwo, kontrolowanie Kirby, a jeszcze muszę gdzieś wcisnąć mój conocny seksmaraton z Samem. To bardzo stresujące.

– Biedulka. – Uśmiecham się.

– Dziękuję, kochaniutka. Tego mi właśnie trzeba, żeby od czasu do czasu ktoś okazał mi współczucie. Jak ci poszło z księdzem Yatesem?

– Prawdziwe oświecenie. Jutro wszystko ci opowiem. Musimy zacząć z samego rana.

– Pójdę spać, kiedy będę chciał, dzięki. Jesteś moją zwierzchniczką, a nie matką.

– Jak sobie życzysz, James. Ale mam trop, naprawdę mocny. Potrzebuję was wszystkich od samego rana.

– Zawsze przychodzę rano – odpowiada i rozłącza się.

Kręcę głową i składam telefon.

– Jak tam Damien? – pyta Alan.

– Jak zwykle czarujący.

– Wiesz, co jest najdziwniejsze dla mnie w tym, że James jest gejem?

– Myśl o tym, że może być z kimś blisko?

Uśmiecha się.

– Właśnie. Zanim oznajmił, że jest gejem, naprawdę wydawało mi się, że to eunuch. Osoba aseksualna. Nie wyobrażam sobie, że ktokolwiek może go znosić na tyle długo, żeby pójść z nim do łóżka.

– Nie takie rzeczy się zdarzają.

– Cieszę się z tego.

– Dlaczego?

– To irytujący mały palant i czasami mam go ochotę zdzielić przez łeb, ale to przecież rodzina. Cieszę się, że ma w życiu coś jeszcze poza pracą.

Uśmiecham się do niego.

– Alan, ależ z ciebie stary mięczak.

– Tylko nie mów nikomu. Wiesz, obserwowałem księdza Yatesa, kiedy mówiłaś mu o Rosemary i tym filmie. Ten facet jest dobry. Naprawdę dobry. Kompletnie nie byłem w stanie odczytać jego reakcji.

Alan słynie jako specjalista od przesłuchań. To sława dobra lub zła, zależy, o której stronie stołu mówimy. Czyta w ludziach tak, jak inni

czytają książki. Rozszerzone źrenice, zmiany oddechu, a nawet takie nerwowe tiki, jak poprawianie obrączki na palcu – to wszystko pomaga dociec prawdy. Jego zdaniem ksiądz Yates potrafi bardzo, bardzo dobrze tłumić takie właśnie reakcje.

– To interesujące – zauważa Alan. – Może powinniśmy się przyjrzeć bliżej księdzu? Tego rodzaju opanowanie rzadko się zdarza, jeśli ktoś nie przeszedł szkolenia.

– To nie on – mówię.

– Jesteś pewna?

Nie powinnam mieć takiej pewności. Zdarzało mi się już błądzić, ufałam aniołom, którzy okazywali się diabłami w przebraniu. Ale tym razem się nie mylę.

– Jestem pewna.

– Nic ci nie zaciemnia obrazu?

W ten zawoalowany sposób Alan pyta mnie o to, co zaszło w konfesjonale. Dalej się nie posunie, zrobiłabym zresztą tak samo, gdybym była na jego miejscu.

– W porządku, sprawdź go, Alan. Popytaj. Ale mówię ci, że to nie on.

– W porządku, w porządku. – Milknie i jedziemy dalej przez mrok. Wokół widać światła miasta, jak brudne diamenty na szarym aksamitnym tle. To Los Angeles – piękne, ale ze skazą. Na wieki nieoszlifowane. Na swój sposób urocze w tej płytkiej pogoni za wielkością. – Czy to znaczy, że zaczniesz chodzić na mszę, przyjmować komunię i takie tam? – pyta.

– Nie przesadzaj. Pomógł mi. Ale nie pogodził mnie z Bogiem. Mam przeczucie, że kiedy ta sprawa dobiegnie końca, będę miała dość katolicyzmu na jakiś czas.

– Amen.

– A ty?

– Nie rozmawiałem z Bogiem od czasu, kiedy po raz drugi zobaczyłem martwe dziecko.

W naszej pracy za dużo widzimy. Mamy problem, żeby uwierzyć w Boga, bo jeśli Bóg istnieje, to albo szatan daje mu popalić, albo Bóg ma wszystko gdzieś. A nie ma nic gorszego niż Bóg, którego nic nie obchodzi.



Witaj w domu, wędrowcze – mówię do siebie, otwierając drzwi.

Słowa nie brzmią już tak beznadziejnie, jak dzień wcześniej. Po spowiedzi mam w sobie pustkę, ale nie w złym tego słowa znaczeniu. Nie zije we mnie czarna dziura. To pusty stół, który czeka, żeby go nakryć.

Co mam na tobie postawić? Nową porcelanę czy stare srebra przekazywane z pokolenia na pokolenie?

Pewnie trochę tego i trochę tego.

Otwieram komórkę i dzwonię do Tommy'ego.

– Hej – słyszę w słuchawce.

– Spałeś?

– Nie. Akurat o tobie myślałem.

– To dobrze. Bo jestem gotowa do rozmowy i muszę ci o czymś powiedzieć. Możesz do mnie wpaść? Bonnie jest u Alana i Elainy.

– Głupie pytanie – odpowiada. – Zaraz będę.

Staje przed moimi drzwiami i jest bardziej wymiętoszony niż zwykle. Tommy nie ma hopla na punkcie wyglądu, nie zauważyłam, żeby obsesyjnie przeglądał się w lustrze. Ale zawsze jest uczesany, ogolony i pachnie mydłem. Teraz ma lekki zarost, włosy chyba przyczesał tylko w przelocie, a na koszuli z przodu widzę małą plamkę od jedzenia. Wyciągam rękę i dotykam jego policzka.

– Wszystko dobrze? Wyglądasz koszmarne.

– Czekalem, aż się odezwiesz.

Zmieszana robię krok w tył.

– To przeze mnie?

Uśmiecha się półgębkiem.

– Silny i milczący mężczyzna to stereotyp, Smoky. Jestem Latynosem, zawsze mamy serce na dłoni. Albo czuję coś całym sobą, albo w ogóle. – Wzrusza ramionami. – Czasami bywa to kłopotliwe.

Znów gładzę go po policzku, zadziwiona, że ten facet nie spał i odchodził od zmysłów z mojego powodu.

To dlatego, że od dawna uważasz się za kogoś bezwartościowego, podpowiada usłużnie mój przyjaciel głos. I może przyzna ci rację, kiedy powiesz mu to, co powiedziałaś księdzu Yatesowi.

– Piwo? – pytam.

– Jasne. Ale jeśli wypiję, to będę musiał przenocować u ciebie na kanapie. Już piłem: mogłem dojechać w tę stronę, ale po jeszcze jednym wolę nie ryzykować.

Uśmiecham się do niego.

– Trudno, w takim razie zaryzykuję.

Biorę dla nas po piwie z lodówki i siadam na kanapie z podkulonymi nogami. Zaczynam podwazyć paznokciem etykietkę z butelki.

– Muszę ci o czymś powiedzieć, Tommy. O czymś, co zrobiłam, czymś bardzo złym. I obawiam się, że kiedy ci to powiem, nie będziesz mnie już więcej chciał.

Patrzy na mnie ciemnymi oczyma i powoli upija łyk piwa.

– Musisz mi to powiedzieć?

Marszczę czoło.

– Co masz na myśli?

– Tylko tyle, że każdy skrywa jakieś tajemnice. Nie muszę znać całej

twojej przeszłości, żeby cię teraz kochać.

Butelka w mojej dłoni zaczyna drżeć.

– W zasadzie się z tym zgadzam. Ale o tym muszę ci powiedzieć. Przez to czuję się jak... – Szukam właściwych słów. – Jak ktoś inny, niż się powszechnie wydaje.

Prosto, zwięźle. Tommy znów popija piwo, odstawia butelkę na stolik, bierze moją butelkę i również odstawia. Chwyta mnie za ręce i obejmuje je swoimi dłońmi. Patrzy mi prosto w oczy.

– No to mów.

No to mówię. Mówię mu wszystko. O tym, jak się czułam, leżąc po ciemku w szpitalnym łóżku. O pragnieniu śmierci. O absolutnym egoizmie, o zabiciu dziecka, które powstrzymało mnie przed wpakowaniem sobie kulki w łeb. Tommy słucha moich słów, nie odzywa się, cały czas trzyma moje dłonie i nie odwraca się. Kiedy kończę, milczy przez chwilę.

– Powiedz coś – szepczę.

Podnosi moje dłonie do ust i całuje je powoli. Nie ma w tym krztyny seksu, nawet zmysłowości, ale to gest bardzo intymny i pocieszający. Całuje mnie w każdy palec, kończąc na kciuku. Odwraca moje dłonie i całuje ich wewnątrz suchymi ustami, a potem wodzi palcem po liniach. Zaczesa mi kosmyk włosów za ucho i uśmiecha się.

– Kocham cię, Smoky. Może spodziewałaś się czegoś innego, ale muszę to powiedzieć. Potrzebuję cię stale u mego boku, nie na pół gwizdka. Chcę cię całą, chcę każdego skrawka ciebie, każdej blizny, każdego doskonałego fragmentu i każdego ze skazą.

– Czy... jesteś tego pewien? Tommy, nie jest ze mną łatwo. W ciągu

ostatnich dwóch lat już dziesięć razy mówiłam sobie, że zrywam z przeszłością, z tym, co się stało. To prawda, czuję się o wiele lepiej, ale wciąż trafiam na jakieś miny, które rozpieprzają mi to postanowienie. A jeśli to się nigdy nie skończy? Chcesz kochać kogoś, kto może nigdy nie zdoła zerwać z przeszłością?

– Jesteś tym, kim jesteś, właśnie z powodu tego, co przeszłaś, Smoky. I nie chodzi tylko o dobre rzeczy. Kocham cię taką, jaka jesteś teraz.

– A Bonnie?

– Też ją kocham i ona o tym wie.

– Naprawdę?

– Kilka miesięcy temu powiedziała mi, że mnie kocha. Oglądaliśmy wspólnie kreskówki i oświadczyła: „Tommy, wiesz, że cię kocham?” – Kręci głową, nie mogąc się nadziwić. – Nawet nie oderwała wzroku od telewizora. Zachowałam się, jak gdyby nigdy nic. Potwierdziłam, że też ją kocham, i oglądaliśmy dalej kreskówki, jakby nic się nie wydarzyło.

– O rany. – Uśmiecham się. – Zabezpieczyłeś się na wszystkie strony. Znow zaczyna obracać moje dłonie w swoich rękach. Są szorstkie, z odciskami i przerośniętymi kostkami boksera.

– Smoky, jestem przyzwoitym facetem. Nie zdradzam. Jestem naprawdę szczery. Lojalny. Ale miewam też złe chwile. Potrafię być arogancki, naprawdę egoistyczny. Nie zdarza się to często, ale kiedy się zdarzy, daję głowę, że się wściekniesz.

– Wiem, że nie jesteś ideałem, Tommy. Nie musisz tego robić.

– Pozwól mi dokończyć. Nie biorę narkotyków i nie palę, ale raz czy dwa razy w roku lubię sobie porządnie wypić. Może nie powinienem, ale to robię. To jedna z moich słabości. Nigdy mnie jeszcze nie widziałaś w

takim stanie.

– Na pewno dam sobie radę.

– Nie wątpię, ale musisz o tym wiedzieć. Kiedy się upiję, robię się napalony, a wtedy uprawiam seks samolubnie i oczywiście opieprzę cię, jeśli mi powiesz, że nie chcesz spać z pijakiem. Następnego dnia będę miał z tego powodu moralnego kaca.

– Coś jeszcze?

Milczy. Gładzi mnie po dłoniach, bez końca.

– Zabiłem w pracy pięć osób, Smoky. Przynajmniej dwa razy sprawiło mi to sporą uciechę. Nie mówię o prostej satysfakcji, ale o czymś, co ocierało się o prawdziwą radość. – Znow podnosi na mnie wzrok. – Ze wszystkich moich wad chyba ta właśnie najbardziej mnie martwi.

Przyglądam się mu i odnajduję w nim część samej siebie. Dla mnie Tommy zawsze jest silny, ale delikatny, trudno go zdenerwować, najpierw myśli, dopiero potem działa. To wszystko prawda, ale jest w nim też coś z dzikusa, jest w stanie poplamić sobie ręce krwią wroga i czuć satysfakcję.

– Z doświadczenia mogę ci powiedzieć, że dopóki to cię gryzie, to chyba dobrze.

– To samo sobie powtarzam.

– Ja też. – Patrzymy sobie w oczy. – Naprawdę cię kocham, Tommy.

Kiedy wypowiadam te słowa, czuję ulgę, która wstrząsa mną do głębi, jakbym zrzuciła potężny ciężar z ramion, choć wydawało mi się, że latam. To inna miłość niż ta, która łączyła mnie z Mattem. Matt poznał mnie, zanim zostałam zabójcą, znał mnie jako dziecko, całowałam się z nim po raz pierwszy w życiu. Poza pracą był moją kotwicą w świecie – on i Alexa. I to było piękne.

Ale potem życie zmasakrowało mnie siekierą. Niektóre części mi amputowało, inne okaleczyło. Robię straszne rzeczy facetom, którzy zapewne na to zasługują, i chyba czasem za bardzo cieszy mnie to, co im robię. Przyglądam się potworom, a one obserwują mnie. Potwory się nie zmieniają. A ja? Jest we mnie dziś coś z bestii i wątpię, czy kiedykolwiek się od tego uwolnię.

Tommy widzi to we mnie i w sobie samym, dzieli ze mną to brzemię. Rozumie, że ten mrok jest jak narkotyk, że daje ci poczucie władzy jak nic innego, że granica między dobrem i złem potrafi być mikroskopijna.

– No i super – odpowiada, uśmiechając się do własnych myśli.

– Ale mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę – mówię. – Może ci się nie spodobać.

– Co to za niespodzianka?

– Chcę wszystkiego, Tommy. Do końca. Chcę odzyskać dom. A więc miłość miłością, ale chcę, żebyśmy też zamieszkali razem.

Tommy, zaskoczony, mruga oczami. Na chwilę serce mi zamiera. W końcu rozchyła usta w uśmiechu. Całuje mnie.

– Mogę się na to zgodzić. Tym razem to ja mrugam.

– Naprawdę? Tak po prostu?

– Smoky, jesteśmy razem od dwóch lat. Trudno uznać, że to nagła propozycja.

– Słusznie. A więc mam rozumieć, że mówisz „tak”?

– Oczywiście, że tak.

Bierze moją twarz w dłonie i tym razem wkłada w pocałunek całą namiętność, jaką w sobie tłumiliśmy.

Odsuwam się od niego bez tchu, cała rozpalona.

– Skoro przegadaliśmy już te miłosne pierdoły, to może zabierzemy się do pieprzenia? – dyszę.

– Ależ romantycznie – mruczy, całując mnie w szyję i dotykając piersi. Szarpię go za głowę i każę mu spojrzeć mi w oczy.

– Tommy, mówię poważnie. Miałam dwa ciężkie dni. Nie chcę dziś czułości. Jestem jak rozpalona kocica.

Odpowiada czynem, bierze mnie w ramiona i zanosz po schodach do sypialni. Rzuca mnie bezceremonialnie na łóżko i zaczyna się rozbierać. Robię to samo, drżąc z pożądania i najprostszej tęsknoty – za bliskością.

Pół godziny później znów wzywam imienia Boga, wykrzykując je razem z bluźnierstwami. Chcę więcej, więcej i więcej. Mam wrażenie, że wzięwszy pod uwagę wszystkie okoliczności, w takiej chwili jakoś nie będzie Mu to przeszkadzało.

Tego ranka obudziłam się z nogą Tommy'ego na brzuchu. Pościel pachniała wczorajszym seksem.

Przede wszystkim jednak obudziłam się szczęśliwa. Jestem w największym wirze sprawy, która za chwilę ma wybuchnąć ze zdwojoną siłą, ścigam zabójcę rekordowej liczby osób, a mimo to czuję się dobrze. Skupiona. Gotowa na wyzwanie.

Wstałam i poszłam pod prysznic, z żalem zmywając z siebie zapach Tommy'ego. Nim zdążyłam skończyć, przyszedł do mnie. Przyparł mnie do ściany porannym wzwodem.

– Wiem, co chcesz na śniadanie – powiedziałam, wpuszczając go do środka. – Ale pospiesz się. Muszę być wcześniej w pracy.

Posłuchał mojej prośby i dziesięć minut później zmywał z siebie mój zapach, a ja przetrząsałam garderobę w poszukiwaniu jakiegoś ubrania. Związałam włosy w koński ogon, bo nie miałam czasu na ich układanie. Gwiżdżąc, zapinałam paski butów. Tommy pojawił się w drzwiach łazienki, wycierając włosy ręcznikiem. Obrzuciłam go wzrokiem od stóp do głów.

– Ale ciacho – powiedziałam, a on wybuchnął śmiechem.

– Wychodzisz?

Zerknęłam na zegarek i zerwałam się z łóżka. Podeszłam do niego, przytuliłam się, żeby pocałować go w usta i dłonią przez chwilę buszowałam w jego włosach na klatce piersiowej.

– Tak, muszę pędzić. – Wypadłam z sypialni, ale po drodze przypominałam sobie coś bardzo ważnego. Odwróciłam się. – Kocham cię



– powiedziałam.

Uśmiechnął się najcudowniejszym uśmiechem.

– Ja też cię kocham. Zadzwoń do mnie później.

Przesłałam mu całusa i zbiegłam na dół. Po drodze wessałam filiżankę kawy i wypadłam z domu.

Teraz prawie dojeżdżam do pracy i przez chwilę napawam się tym, że powiedziałam mężczyźnie, że go kocham, i to z przekonaniem. Pamiętam, jak Callie uśmiechała się, kiedy wyznała mi, że ma pewność co do Sama.

– Miałaś rację, Callie. To rzeczywiście wspaniałe uczucie. Już zdążyłam zapomnieć.

Wewnętrzny głos, który mnie nękał, gdzieś przepadł. Duch Matta też się nie pojawia, choć jestem pewna, że kiedyś jeszcze go zobaczę. Rozumiem, że nie mam co liczyć na to, że on i Alexa znikną na dobre. Od czasu do czasu będą pojawiać się w różnych okolicznościach. Podejrzewam, że zobaczę ich przy moim łożu śmierci.

Uświadamiam sobie, że znów pomógł mi potwór. Kaznodzieja mówił o wartości prawdy. Zrobiłam to, o czym mówił, i proszę bardzo, pomogło.

Ale nie jestem mu wdzięczna.

W pracy zastaję już Jamesa oraz Jezebel.

– Właśnie z wami chciałam pogadać – mówię. – Chyba wiem, skąd Kaznodzieja czerpie informacje.

Wyjaśniam im swoją teorię.

– To ma sens – przyznaje James. – Pasuje do motywu religijnego. Facet lubi technologię. Infiltracja grup wsparcia i liczenie na rozmowę z właściwą ofiarą to zawodny sposób. Podśluch w konfesjonałach pozwala

namierzać ofiary precyzyjnie.

– Jeśli mam rację, to wszystkie ofiary powinny być praktykującymi katolikami. Musimy wymyślić, jak to potwierdzić, nie ujawniając, dlaczego chcemy to wiedzieć.

– Co chcemy wiedzieć? – Callie wchodzi z kawą w jednej ręce i pączkami w drugiej. Tuż za nią wkracza Alan.

Znów powtarzam swoją hipotezę.

– No nieźle – chwali Callie, kiedy kończę. – Będzie z tego niezła afera.

– Chcę tego w miarę możliwości uniknąć.

James marszczy czoło.

– Jest jeszcze kwestia etyczna. Mamy podejrzenie, jak wybiera swoje ofiary. Być może powinniśmy ogłosić to i ostrzec wszystkich, którzy wyznali coś istotnego w konfesjonale.

To interesująca myśl, na którą nie wpadłam.

– Jeśli to zrobimy, przekroczymy granicę – mówię. – Na razie musimy się dowiedzieć, czy ofiary były katolikami. Jeśli tak, to potem zaczniemy się zastanawiać, co dalej.

– Możemy przygotować kwestionariusz – rozważa Jezebel. – Obdzwonimy rodziny, zadamy im serię ogólnych pytań i powiemy, że szukamy wszelkich pomocnych informacji. Jedno z pytań może dotyczyć religii. W ten sposób nikogo nie zaniepokojimy.

– Świetny pomysł – przyklaskuję. – Zróbcie od razu z Jamesem szkic takiego kwestionariusza.

– Callie, musisz pojechać do parafii Zbawiciela. Ksiądz Yates już czeka. Musimy sprawdzić, czy w konfesjonale nie ma podsłuchu.

– To nie do końca moja specjalizacja. Jestem kryminologiem, nie

elektronikiem, zapomniałaś?

– Zadzwoń do Tommy’ego. Jest specjalistą. Powie ci, czego potrzebujesz.

Unosi brew.

– Znowu ze sobą rozmawiacie?

– Można tak to określić.

– Tak mi się wydawało, że widzę wokół ciebie tę aurę samozadowolenia po dobrym seksie – mówi.

– Sprawa jest o wiele bardziej interesująca, ale opowiem ci później, nie teraz.

Callie bierze kawę, torebkę i mierzy we mnie palcem.

– Niech ci się nie wydaje, że zapomnę.

– Zupełnie się tym nie przejmuję. Aha, Callie? – Zatrzymuje się w drzwiach i odwraca. – Zadzwoń od razu, czy coś znalazłaś.

Bo chciałabym mieć pewność, czy moja własna spowiedź nie została gdzieś nagrana, ale nie mówię tego głośno.

Sądzę, że to mało prawdopodobne. Kaznodzieja raczej usunął podsłuch, żeby go nie wykryto, ale lepiej dmuchać na zimne, jak mawiała mama.

Callie salutuje dwoma palcami.

– A ja? – pyta Alan.

Nim odpowiem, gwałtownie otwierają się drzwi do pokoju. Wchodzi wicedyrektor Jones. Jest blady.

– Spóźniliśmy się.

– Valerie Cavanaugh, lat dziesięć. Znaleziona martwa w sypialni dziś rano. Pchnięta w bok, tak jak inne ofiary.

Jesteśmy w gabinecie wicedyrektora. Alan siedzi. Ja chodzę w tę i z powrotem. Chce mi się krzyżeć, mam ochotę strzelić do czegoś. Aż mi niedobrze z poczucia winy.

– Wiemy, czy jest katoliczką?

Wicedyrektor Jones marszczy czoło.

– A co to ma do rzeczy?

Nie miałam kiedy zreferować mu swojej hipotezy. Robię to teraz.

– To by wszystko wyjaśniało – przyznaje. – Skąd bierze informacje, religijne tło tego wszystkiego. Pasuje jak ulał.

– Na razie tego nie rozgłaszajmy. – Wyjaśniam mu pomysł z kwestionariuszem.

– Dobrze. Niech się tym zajmą, a potem jedźcie z Alanem do domu Cavanaughów.

– Może to jakiś naśladowca – odzywa się Alan. – W ten sposób się maskuje.

– A rodzice? – pytam.

Wicedyrektor wzrusza ramionami.

– Wszystko jest prawdopodobne.

Muszę przyznać, że może mieć rację. Rodzice mogli obejrzeć w telewizji wiadomości o Kaznodziei, a potem zabili małą Valerie w ten sam sposób, licząc na to, że winą obarczymy seryjnego zabójcę. Większość dzieci ginie z rąk rodziców.

Ale nie wydaje mi się. Nie tym razem.

– Zatrzymajcie tę teorię dla siebie – mówi wicedyrektor Jones. – Z tego, co wiem, mamę musieli naszprycować środkami uspokajającymi.

– Pomysł jest prosty – wyjaśnia Jezebel, a ja czytam kwestionariusz. – Dwoje ludzi zostaje przy obsłudze infolinii. I tak już potwierdziliśmy tożsamość wszystkich ofiar. James i ja będziemy nadzorować piątkę innych i zaczniemy dzwonić do rodzin. Potrwa to do późnego popołudnia, ale damy radę.

– Świetnie – mówię.

Pytania opracowano tak, żeby pasowały do teorii, że zbieramy „wszelkie” informacje na temat ofiar. Są bardzo ogólne i niekontrowersyjne. „Czy kiedykolwiek chodziła na studia?” „Czy miała dzieci?” „W jakich grupach towarzyskich się obracała?” I pośród nich wrzucone pytanie, które interesuje nas najbardziej: „Czy i jaką religię praktykowała?”

– Media niczego w tym nie zwęszą – stwierdza Jezebel – a rodziny przeważnie z chęcią odpowiedzą na wszystko.

– Do roboty.

– W tym kościele nie ma podsłuchu, alleluja – mówi mi Callie przez telefon. – Ale znalazłam w konfesjonale kawałek drewna, który wygląda, jakby ktoś niedawno go czymś zakłajstrował.

– Jakież odciski? – rzucam bez większej nadziei.

– Przykro mi, ale nie. A ta szpachla do drewna, choć intrygująca, też niczego nie przesądza. Nie mam pojęcia, jak sprawdzić, od kiedy tam jest. Może od kilku miesięcy, a może od lat.

– Ale nie dni? – pytam, znów myśląc o własnej spowiedzi.

– Nie, jest starsza.

– Ale byłby to wielki przypadek, że w ogóle tam jest – zauważam.

– Co mam robić?

– Spotkajmy się na miejscu zbrodni. – Opowiadam, co się stało.

Callie milczy.

– Zrobił to? Zabił dziecko?

– Na to wygląda.

– Podaj mi adres.

Państwo Cavanaugh mieszkają na jednym z podmiejskich osiedli w Burbank, w piętrowym domu zbudowanym na początku lat osiemdziesiątych i potem remontowanym. To jedna z tych małych uliczek w dzielnicy mieszkaniowej tak charakterystycznych dla Los Angeles: cicha, na uboczu, obsadzona drzewami. Ale zaledwie trzy przecznice dalej pełno jest betonu, stali i wiecznego pośpiechu.

– Sępy z mediów już krążą – zauważa Alan.

– Martwa biała dziewczynka z klasy średniej – mówię. – To czołówka w każdym amerykańskim medium.

Przejeżdżamy przez kordon rozstawiony po to, by nie dopuścić mediów. Sąsiedzi stoją na trawnikach, przerażeni, że potwór podszedł tak blisko, wdzięczni, że nie wybrał ich dziecka. Nie mogą jednak oderwać wzroku.

– Trzy radiowozy – stwierdza Alan. – Pewnie, żeby zapanować nad tłumem. Dwa nieoznakowane auta. Jeden lincoln towncar, pewnie ktoś z wierchuszki, z powodu mediów. Drugi to samochód detektywa prowadzącego śledztwo. – Kręci głową. – Nie chciałbym być na jego miejscu.

Prycham.

– Jego? A co z nami?

– Gliniarze mają gorzej. My jesteśmy z FBI. Możemy zrobić swoje i odejść. A ci detektywi będą musieli tu zostać i świecić oczami.

– Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

– Jak chcesz to zrobić? Rozglądam się wokół. Większość dziennikarzy

zajęta jest robieniem zdjęć, filmowaniem domu, okolicy, policjantów. W górze krążą śmigłowce. Reporterzy ściskają mikrofony i ćwiczą krótkie podsumowania tego, co już wiedzą. Ale nimi akurat się nie przejmuję. Rozglądam się dalej i w końcu znajduję to, czego się bałam.

– Cholera – mruczę. – Znalazło się też paru spryciarzy. Mówię o tak zwanych „prawdziwych dziennikarzach”, tych, którzy wolą się rozglądać, niż gadać, którzy z nosem przy ziemi węszą za prawdziwym tropem. Tym razem zauważam kobietę. Blondynka po trzydziestce, dobrze ubrana w szytą na miarę marynarkę i dopasowane ciemne spodnie. Nie obserwuje domu, lecz patrzy prosto na nasz wóz. Widzę, że rozmawia ze swoim kamerzystą i wskazuje w naszą stronę. Przez przyciemniane szyby nie widzi, kim jesteśmy, ale skądś wie.

– Przy czymś takim nie da się uniknąć kamer – stwierdza Alan.

– Raczej nie – wzdycham. – Zobaczmy, kto tu rządzi, spotkajmy się, z kim trzeba i spadajmy.

Wysiadamy z samochodu i idziemy ku domowi. Staram się nie patrzeć w stronę kamer, ale poddaję się, kiedy sobie uświadamiam, że i tak mnie dopadną przy wyjściu. Docieramy do drzwi, przed którymi zatrzymuje nas umundurowany policjant.

Starszy, pewnie bardziej doświadczony. Postawili tu kogoś, kto będzie nie tylko stał, ale też myślał.

– Co słyhać, Alan? – pyta policjant bez uśmiechu.

Policjant jest wielki. Nie tak wielki jak Alan, ale szeroki w barach. Ma białe włosy i szorstką nalaną twarz. Gdyby nie oczy, pomyślałabym, że jest zwykłym mięśniakiem. Ale oczy ma bystre, inteligentne i nieprzyjazne.



– Muszę pogadać z kimś, kto tu rządzi, Ron – odpowiada Alan.

Policjant trochę się droczy.

– A czego tu szuka FBI? Czy to nie za niskie progi jak na was?

Alan uśmiecha się równie nieprzyjaznym uśmiechem, jak wzrok Rona.

– Widzę, że nadal jesteś dupkiem. I nadal obwiniasz mnie za to, że zdegradowali cię do krawężnika.

Policjant już się nie droczy, wygląda, jakby zaraz miał warknąć. Uznaję, że czas wkroczyć.

– Cześć, Ron. Wiesz, kim jestem?

Z ociąganiem odrywa wzrok od Alana. Przygląda się mojej twarzy i przytakuje.

– Znam cię.

– W takim razie na pewno wiesz, że jestem tu tylko z jednego powodu. Tej martwej dziewczynki. Możesz mi w tym pomóc? A z Alanem poprzytkacie się później, dobrze?

Patrzy to na mnie, to na Alana. W końcu wzdycha głośno.

– Chwilkę. – Wyciąga krótkofalówkę z kabury i wciska przycisk. – Detektywie Alvarez?

Po dłuższej chwili pojawia się odpowiedź.

– Mów.

– Mam tu dwoje federalnych. Alan Washington i Smoky Barrett. Chcą wejść.

Dłuższe milczenie.

– Wpuść ich.

– Zrozumiałem.

Ron przypina krótkofalówkę do paska i bez słowa otwiera drzwi.

Wrogim wzrokiem odprowadza Alana do środka.

– O co poszło? – pytam już w korytarzu.

– W żołnierskich słowach? Ron Briscoe pracował jako detektyw w wydziale zabójstw. Całkiem niezły. Prowadził sprawę faceta, który dusił małe dziewczynki. Wiedział, kto to robi, ale nie mógł zdobyć dowodów. Więc poszedł na skróty. Podrzucił dowody. Dowiedziałem się o tym i doniosłem. Facetowi się upiekło, a Briscoe został krawężnikiem.

– Co się stało z dusicielem?

– Ojciec jednej z ofiar strzelił mu w łeb. Odsiaduje teraz wyrok. Patrzę na mojego przyjaciela, zafascynowana i zdumiona opowieścią.

Powiedział to właściwie beznamiętnie, a przecież wiem, jak musiało mu być ciężko.

– O, mamy krawaciarza – rzuca pod nosem Alan. – To sam Daniels. Fred Daniels jest komisarzem wydziału policji w Los Angeles od ponad dziesięciu lat. Dobiega sześćdziesiątki, ale jest bardziej żywotny niż niejeden młody mężczyzna. Wysoki, szczupły, ze szpakowatym wojskowym językiem i zaciętą twarzą sierżanta. Mówi się o nim, że porusza się gdzieś między uczciwością a bezwzględnością, przy czym bezwzględność częściej wygrywa. Podchodzi do nas i wyciąga rękę na powitanie.

– Witam, agentko Barrett – mówi.

– Witam, komisarzu. Ściska też dłoń Alanowi.

– Agent Washington, pan chyba kiedyś służył w naszym wydziale?

– Dziesięć lat w wydziale zabójstw, komisarzu.

– Miło słyszeć, że część ludzi w FBI ma jakieś policyjne doświadczenie. Bez obrazy, agentko Barrett.

– Bez obrazy.

– Przyjechaliście, bo waszym zdaniem sprawa ma związek z Kaznodzieją? Od razu przechodzi do rzeczy.

– Bierzemy pod uwagę taką możliwość – odpowiadamy.

– Miejsce zbrodni jest na piętrze – wyjaśnia i wskazuje schody. – Alvarez to dobry detektyw. Nie deptajcie mu po piętach. – Pod ręką Daniels ma policyjną czapkę. Wyciąga ją i wkłada na głowę. – A teraz idę nakarmić piranie z kamerami.

Wychodzi na zewnątrz, po drodze niemal wpadając na Callie.

– Oooo, pan komisarz – dyszy i trzepocze rzęsami niczym cheerleaderka. – Już się czuję wyróżniona.

– Znasz Alvareza? – pytam Alana.

– Tylko ze słyszenia.

Wzdycham.

– Nie ma co zwlekać. Chodźmy do niego i obejrzymy miejsce.

Raymond Alvarez jest niskim mężczyzną, ma nie więcej niż metr sześćdziesiąt trzy. Dość przystojny, a pod lateksową rękawiczką na lewej ręce widzę ślubną obrączkę. Aż kipi od energii i mówi, wymachując rękoma, wskazując i w ogóle żywo gestykulując.

– Tata jest z mamą w szpitalu. Odbiło jej. Zaczęła demolować kuchnię. Wyrzucała krzesła przez okna, rozbijała talerze. Pocięła się dość mocno i zalała wszystko krwią. Musieli dać jej środek uspokajający.

– Widział pan to?

– Ten szal? Tak. Wyglądał prawdziwie.

Czasami winni udają histerię, żeby zbić nas z tropu. Trudno to zrobić

przekonująco. Prawdziwy żal, taki, jaki czuje się po zabójstwie ukochanej osoby, jest spontaniczny i nie do odegrania. Niektórzy ludzie krzyczą, inni zawodzą, jeszcze inni siedzą otępiali albo z miejsca mdleją.

– Możemy zobaczyć Valerie? – pytam.

– Tędy proszę – mówi Alvarez.

Nie pyta dlaczego. Nic nie zastąpi widoku zwłok na miejscu zbrodni. Prowadzi nas korytarzem, mijamy główną sypialnię z beżową wykładziną i białymi ścianami. Tę samą wykładzinę widać wszędzie, podobnie jak biel ścian. Bezpieczny, anonimowy styl kalifornijski w najlepszym wydaniu. Mijamy zdjęcia na ścianach. Wszystkie w czarnych ramkach, wszystkie w tym samym stylu. Państwo Cavanaugh stanowią ładną parę. On ma krótkie blond włosy, ona długie. Oboje mają najbielsze zęby, jakie w życiu widziałam. Uśmiechają się i demonstrują swe uzębienie na każdym zdjęciu. Piękni ludzie. Na wielu fotografiach pojawia się dziewczynka, zapewne Valerie. Też jest blondynką o białych zębach, które odziedziczyła po rodzicach.

Łapię się na cynizmie i próbuję go poskromić. Na żadnym z tych zdjęć, w żadnym z uśmiechów nie ma niczego, co sugerowałoby, że ich radość jest sztuczna albo że ci ludzie są płytcy.

Teraz się nie uśmiechają, myślę. Uświadamiam sobie, że Alexa miała dziesięć lat, kiedy zginęła, że Bonnie wkroczyła w moje życie również jako dziesięciolatka.

Magiczna liczba.

– Zapraszam. Włóżcie rękawiczki i te papierowe buty – mówi Alvarez i pokazuje pudełko na progu pokoju.

Wraz z Alanem spełniamy jego prośbę i czuję teraz ten

charakterystyczny zapach, niepowtarzalną mieszankę lateksu i krwi.

Wchodzimy do pokoju. Wszystko tu jest różowe. Styl małej księżniczki w wersji ekstremalnej. Różowe ściany. Łóżko z baldachimem i fikuśną różową pościelą oraz kocem. Rozmaite pluszaki okupują łóżko i podłogę. Jest też małe różowe biurko z komputerem. Zauważam, że monitor jest włączony.

Naszą uwagę, uwagę wszystkich w pokoju, przykuwa Valerie. Leży na plecach z rękoma złożonymi na piersiach. Oczy ma szeroko otwarte. Blond włosy rozsypane wokół głowy. Z rany w boku płynie krew, która wsiąka w różową pościel i beżową wykładzinę. Plama koloru burgunda stanowi ostry kontrast. Dziewczynka ma zamknięte usta, nie widać białych zębów.

– Jest naga – zauważa Alan.

– Ale nie ułożył jej w pozycji seksualnej – podkreślam. – Raczej odesłał ją z tego świata tak, jak na niego przyszła.

– No tak.

Odwracam się do Alvareza.

– Kto ją znalazł?

– Tata. Nie zeszła na śniadanie, więc poszedł sprawdzić, co u niej, i znalazł ją w tym stanie.

– Ojciec jej nie dotknął – odzywa się Callie. – Dziwne.

Mówi o tym, że Valerie leży tak, jak umarła, co widać po śladzie krwi wypływającej z jej boku.

– Pytałem go o to – mówi Alvarez. – Powiedział, że nie ma wątpliwości, iż nie żyje. Oczy otwarte, blada skóra.

– Rozumiem – stwierdzam.

W Valerie nie widać żadnej iskiejki życia. Wygląda jak zimny miękki manekin.

– Przyczyna śmierci? – pytam.

– Posiniaczenia wokół szyi. Ma złamaną kość gnykową i wylewy podskórne.

Udusił ją. Prosta, intymna, skuteczna śmierć.

– Czy wiadomo, którądy wszedł? – pyta Alan.

– Są ślady w dwóch miejscach. Na drzwiach garażowych i na drzwiach między garażem a domem. W obu miejscach widać, że ktoś wprawny grzebał przy zamkach. Jeśli to jego sprawa, to otworzył pewnie bramę na podwórko, sforsował pierwsze drzwi, potem drugie i w ten sposób wszedł do domu.

– Nie ma tu alarmu? – dziwię się.

– Nie. Ani psa. Pechowo.

– Ale i tak niezły tupet – stwierdzam. – Wejść w nocy, zabić ją podczas snu rodziców.

– To pasuje do profilu waszego sprawcy? – interesuje się Alvarez.

– Lubi podejmować ryzyko i ostrzegł nas, że zabije dziecko.

Alvarez pokazuje na łóżko i Valerie.

– A co o tym sądzicie? Wygląda autentycznie?

– Mogę to porównać tylko z dwoma innymi autentycznymi zabójstwami. Wygląda podobnie, jeśli nie liczyć wieku ofiary, co mnie niepokoi. Nie ujawnialiśmy jeszcze niczego związanego z jego *modus operandi*. – Opowiadam mu o krzyżykach, jakie Kaznodzieja wkłada zmarłym do ran. – Jeśli nie ma krzyżyka, to ktoś się pod niego podszywa.

– A wtedy będziemy musieli poważnie porozmawiać z rodzicami –

wzdycha Alvarez. – Super. Sam nie wiem, co lepsze.

– Możemy to sprawdzić od razu, kochaniutki? – pyta Callie. – Macie na miejscu patologa?

– Jest przed domem, przygotowuje karawan. Zawołam go.

– Jak głęboko tkwił krzyżyk u innych ofiar?

Doktor Weems, patolog, jest w średnim wieku i sprawia wrażenie człowieka precyzyjnego i uważnego.

– Tuż pod skórą, wciśnięty pod żebra – odpowiada Callie. – Powinien pan go wyczuć palcami.

– Wyjmowanie go tutaj byłoby wbrew przyjętym zwyczajom – mówi.

– Ale nie wbrew przepisom – przypominam. – A jeśli pan to sfilmuje, będziemy mieli od razu załatwioną dokumentację. Doktorze, czas nas goni.

Trzeba przyznać, że nie waha się długo.

– W porządku. Detektywie Alvarez, niech pan będzie łaskaw zawołać policyjnego kamerzystę. Sprawdzę zwłoki i wyjmę krzyżyk, jeśli tylko jest.

Filmowanie miejsca zabójstwa i pracy kryminologów stało się powszechną praktyką przy wielu śledztwach, zwłaszcza tych głośnych. To miecz obosieczny – jeśli dochodzi do błędów proceduralnych, utrwala je kamera i stają się pożywką dla obrońców. Ale prawdą jest również, że jeśli kamera coś nagra, to nie sposób z tym dyskutować.

Kamerzysta, który przedstawia się jako Jeff, to młody szatyn, wygląda zbyt młodo jak na ten zawód. Okazuje się jednak, że bez mrugnięcia okiem kieruje kamerą na zwłoki Valerie.

Doktor Weems klęka, żeby obejrzeć ranę w boku Valerie.

– Dziura ma nieco ponad centymetr średnicy, brzegi nieposzarpane. Musiała zostać zadana spiczastym i bardzo ostrym narzędziem. Ślady nacięcia rozchodzą się z punktu początkowego przebicia. To czyste cięcia, zapewne od skalpela albo podobnego ostrza. – Palcem dotyka delikatnie rany. – Wyczuwam pod skórą twardy obiekt.

Czuję przyływ adrenaliny. Jestem podekscytowana, a w końcu wstydzę się tej ekscytacji. Jej śmierć powinna zapaść mi w pamięć na dłużej. Myślę teraz tylko o tym, co może mi dać ta dziewczynka, a nie o tym, co jej zabrano.

Weems podnosi głowę i patrzy w kamerę.

– Zdjęcia rany już zostały zrobione. Teraz spróbuję wyjąć ten przedmiot. – Bierze do ręki małą torbę, której wcześniej nie zauważyłam. Czarna torba lekarska. Wygląda jak relikw z lat pięćdziesiątych.

Jego podręczny zestaw, myślę.

Ten świadomy ukłon w stronę stylu retro trochę mnie przeraża. Estetyka rzeczy, które mają związek ze zmarłymi, powinna być całkowicie podporządkowana ich funkcji.

Otwiera torbę i przeszukuje ją póki nie trafia na nieco przerośnięte szczypce.

– Jeśli ktoś jest wrażliwy – mówi, pochylając się nad raną – to proszę nie patrzeć albo wyjść. Nie chciałbym, żeby ktoś mi tu nabrudził wymiocinami.

Nikt się nie rusza. Jeff kręci, niewzruszony.

Doktor Weems wsuwa szczypce w otwór bez wahania czy ceremonii.

– Trafiłem na twardy przedmiot – potwierdza. – Muszę go obrócić,



żeby wyjąć, nie uszkadzając bardziej skóry. Chwileczkę... no i mam. –  
Wyciąga powoli szczypce.

– Sukinsyn – mówi pod nosem Alan.

Srebrny krzyżyk. Mniej więcej tych samych rozmiarów co pozostałe.  
Krzyżyk zostaje obfotografowany i nakręcony na wideo i Weems wkłada  
go do foliowej torebki.

– A więc to wasz sprawca – mówi Alvarez.

– Na to wygląda – przyznaję mu rację. – Pytanie brzmi: dlaczego ona?  
Zwykle wybiera ludzi z wielkimi tajemnicami. Jaką tajemnicę mogła  
skrywać dziesięcioletnia dziewczynka?

– Ja miałam sporo tajemnic jako dziesięciolatka – mówi Callie. – Ale ja  
byłam nad wiek rozwinięta.

Dzwoni moja komórka.

– Barrett.

– James z tej strony. Trzy sprawy. Świetnie nam idzie przepytывanie  
rodzin. Do tej pory sto procent ofiar to praktykujące katoliczki.

Kolejna fala adrenaliny.

– Doskonale, James. Coś jeszcze?

– Zdjąłem ekipę obserwacyjną sprzed domu Bestera. Sprawdziłem,  
gdzie był w czasie morderstwa Lisy Reid. Wyjechał w interesach do San  
Francisco.

Wzdycham.

– Kaznodzieja po prostu się z nami bawi. Dobra robota. A trzecia  
sprawa?

– W wydziale przestępczości komputerowej co pół godziny sprawdzają  
Ustube, czy Kaznodzieja nie umieścił czegoś nowego.

– I?

– Jest nowy film o Valerie Cavanaugh.

– Szybko.

– Ten jest inny. Nie filmował jej jedynie tuż przed śmiercią.

Jestem zaniepokojona.

– Nie rozumiem.

– Obejrzyjcie film. Jest straszny, naprawdę straszny. Zniszczy tę rodzinę.

W głosie Jamesa nie słyhać zwyczajowej bezceremonialności. Mówi cicho, jakby z zakłopotaniem. I właśnie to sprawia, że zamiast niepokoju czuję ciarki na plecach.

– Jak straszny?

Nie odzywa się przez bardzo długą chwilę.

– To koszmar.

Państwo Cavanaugh mają bezprzewodowy Internet, a Callie przyniosła laptopa. Przechodzimy do salonu i odszukujemy najnowszy film na Usertube.

Siedzę na kanapie obok Callie, dalej Alan, Alvarez zaś stoi za naszymi plecami.

– Gotowi? – pyta Callie.

Kiwam głową.

– Puszczaj.

Callie klika i widzimy znajomy czarny ekran i białe litery. Docieramy do ujęcia z rękoma i różańcem na drewnianym stole, oświetlonym silnym światłem.

„ – Prawda nie ma związku z wiekiem – zaczyna Kaznodzieja. – Owszem, dziecko jest dzieckiem, ale dusza jest duszą i prawda dotyczy wszystkich. Szatan może pojawiać się pod wieloma postaciami i niezależnie od tego, czy ma się lat dziesięć czy osiemdziesiąt, spowiedź i żal za grzechy zawsze będą waszym jedynym zbawieniem. Taki jest cel tej części mojego dzieła, chcę zademonstrować dwie rzeczy: prawda nie ma wieku, ale prawda bez żalu za grzechy to kłamstwo samo w sobie. – Przesuwa różaniec kciukiem.

– Valerie Cavanaugh pochodzi z dobrej rodziny. Ma bogobożnych rodziców. Wiele od niej wymagają i na pozór wygląda, że dziewczynka spełnia ich wymagania. Valerie jest piątkową uczennicą, codziennie przez godzinę ćwiczy grę na pianinie. Pływa w szkolnej drużynie i zdobywa nagrody. Wraz z rodzicami pracuje jako wolontariuszka, pomagając tym, którzy mają mniej szczęścia w życiu”.

– To wszystko prawda – stwierdza Alvarez.

„ – Ale pozory mylą – mówi Kaznodzieja. – A wyznanie choćby największych grzechów bez wyrzutów sumienia sprawia, że spowiedź jest kłamstwem”.

**Grzechy Valerie Cavanaugh**

Popatrz na mnie, kiciu – prosi Valerie.

Kot odwraca się w jej stronę, miauczy. Zwierzak ma piękne zielone oczy, Valerie się uśmiecha.

– Dobry kiciuś. – Drapie kota za uszami.

Dzień jest ładny. Świeci słońce, ale nie ma upału. Tatuś mówi, że to kalifornijska jesień. Wieje lekka bryza. Valerie zamyka oczy i wystawia twarz do nieba. Wiatr chłodzi jej skórę i mierzwi włosy. Dziewczynka wciąż drapie kota za uszami.

Valerie siedzi na podwórku za domem. Mama i tata gdzieś wyjechali na cały dzień, a niania Emma drzemie na kanapie. W takich chwilach Valerie jest całkiem sama i cieszy się samotnością.

Podwórko jest duże – patio, basen i mnóstwo zieloniutkiej trawy. Mamusia poświęciła sporo czasu na pielęgnację ogrodu i nadzorowanie robotników. (Mamusia zawsze powtarza, że porządni ludzie robią wszystko porządnie). Valerie siedzi między żywopłotem, który oddziela ją od reszty ogrodu, a wysokim malowanym murem z pustaków, który odgradzają od reszty świata.

– Dobry kiciuś – mruczy znów.

Kot miauczy. Nie jest to szczęśliwe miauknięcie, ale Valerie nie może mieć pretensji do biednego kotka. W końcu cały jest zawinięty w ręcznik.

– Przepraszam, kiciu – mówi – ale całą byś mnie podrapał.

Valerie chce poczekać jeszcze chwilę, nacieszyć się samotnością ale wie, że Emma nie będzie spała bez końca. Wzdycha.

– Trzeba brać się do pracy, kiciu. Porządni ludzie robią wszystko

porządnie.

Kładzie sobie na kolanach owiniętego w ręcznik kota, łapami do góry, i obejmuje szyję zwierzaka. Zaczyna ścisnąć.

Nie ścisną zbyt mocno ani zbyt gwałtownie. Przecież nie chce, żeby kiciuś umarł zbyt szybko. Część zabawy tkwi w tym, żeby smakować tę chwilę.

Valerie cały czas wpatruje się kotu w oczy. Nie jest pewna, co tam chce zobaczyć. Może konkretny moment śmierci, kiedy gaśnie iskierka życia. Kto wie? Ale jest to źródło nieskończonej fascynacji. Coś tam się dzieje, to pewne!

Czuje, jak kot się szamocze, próbuje uciec z ręcznika.

Przykro mi, kiciu, ale wiem, co robię. Nie uwolnisz się.

Parska śmiechem.

Serce Valerie bije szybko. Ogarnia ją nieokreślone uczucie. Rodzaj podniecenia, którego nie może wyjaśnić. Ale też nie stara się zrozumieć. Wystarczy jej to, co robi, i to, co przy tym czuje.

Kot zaczyna się szamotać coraz mocniej. Podniecenie Valerie rośnie wraz z tempem, w jakim bije jej serce. Mija kolejna chwila i kot wydaje ostatnie tchnienie. Valerie ścisną nadal, nie wiedząc nawet, że ma szeroko otwarte oczy i wysunięty język.

Chwila mija. Kot nic już nie widzi. Valerie rozluźnia ucisk. Do tej pory wstrzymywała oddech, teraz wydycha powietrze.

– Dobry kiciuś – mówi jeszcze raz i drapie zdechłego kota za uszami. Podoba jej się, że nie słyszy już w odpowiedzi miauknięcia. Bardzo jej się to podoba.

Valerie daje sobie minutę na odprężenie, na to, żeby nacieszyć się

krótką chwilą, kiedy może być naprawdę sobą.

Trudno jest cały czas zachowywać się jak normalna dziewczynka, myśli. W takich chwilach czuję się najbardziej wolna.

Ale Valerie wie, choć ma dopiero dziesięć lat, że musi skrywać swoją prawdziwą twarz. Od kiedy zaczęła zabijać koty, zachowuje się bardzo ostrożnie. Nie spieszy się, pilnuje, żeby zakopywać zwłoki tutaj, za linią żywopłotu. Owszem, nie jest łatwo, ale może poczekać. Wie już, jak wygląda przyszłość. Kiedyś będzie starsza i zyska o wiele więcej swobody. Pewnie kiedyś będzie nawet mogła prowadzić samochód.

Kto wie, kogo wtedy zabije?

Nawet nie zauważyła, że na myśl o tym wszystkim zaczęła się uśmiechać. Białe zęby błyskają w słońcu, a wiatr igra w blond włoskach. Marzy i drapie za uszami zdechłego kota leżącego na jej kolanach.

– Jezu Chryste – mruczy pod nosem Alan.

Milczę, podobnie jak Callie.

To oczywiste, że Valerie nie wiedziała, że jest nagrywana. Sam film jest czarnobiały i dobrej jakości. Kąt, pod jakim go nakręcono, daje mi do myślenia. Wstaję i podchodzę do rozsuwanych szklanych drzwi prowadzących do ogrodu.

Na zewnątrz przystaję i rozglądam się. Widzę czysty błękitny basen. Trawa jest zielona, skoszona i doskonała. Widzę rząd krzewów po prawej i po lewej. Tworzą nieprzerwane linie po obu stronach podwórka. Między żywopłotem a murem z pustaków jest około trzydziestu centymetrów przestrzeni.

Niewiele, ale dość dla dziesięciolatki.

Wybieram rząd po prawej i podchodzę. Jestem niska, więc trudno mi spojrzeć ponad krzewami. Pochylam się więc, opieram rękoma o mur i staję na palcach.

Trawa kończy się na linii krzewów. Za linią żywopłotu leży goła ziemia. Miejscami poruszona i uklepana.

Osiem lub dziesięć, myślę. Zapewne wszystko to zdechłe koty.

Valerie Cavanaugh, słodka Valerie o cudownych jasnych włosach i pięknych zębach, była małą psychopatką.

Zamykam oczy i przypominam sobie film, kąt, pod jakim go nakręcono. Otwieram znów powieki i skręcam w prawo. Idę wzdłuż żywopłotu do samego końca i pochylam się. Widzę to, czego oczekiwałam.

– Na końcu linii krzewów jest mała kamera – przekazuję, wróciwszy do domu. – Nie miała pojęcia, że jest obserwowana.

– Skąd wiedział, gdzie umieścić kamerę? – pyta Alvarez.

– Nie wiem – kłamię.

Callie unosi brew, ale nic nie mówi. Alan przygląda się własnym paznokciom.

– Dokończmy film – mówię i siadam na kanapie.

Callie zatrzymała odtwarzanie, kiedy wyszłam na podwórko. Teraz puszcza film.

Oglądamy, jak Valerie kopie dołek ogrodową łopatką. Rozwija zdechłego kota z ręcznika. Trzyma kocie zwłoki za skórę na karku, patrzy zwierzakowi przez chwilę w oczy, wzrusza ramionami i wrzuca go do dołka. Wypełnia dziurę ziemią, wygładza piasek i uklepuje. Składa ręcznik. Jeszcze przez chwilę widzimy jej twarz, w końcu wstaje i



wychodzi zza żywopłotu. Wygląda rozkosznie i pięknie, zupełnie spokojna i beztroska.

Na filmie jeszcze przez jakiś czas widać mur z pustaków, żywopłot, nieco poruszony piasek, a w końcu wracamy do Kaznodziei i jego różańca.

„ – Rozumiecie? – mówi. – Zło nie zależy od wieku. Jeśli zło nie zależy od wieku, to podobnie jest z koniecznością prawdy. Zważcie to, rodzice. Młoda Valerie była przykładem skrajnym, ale stanowi ostrzeżenie. Czy wasze dzieci robią coś, czego się nie spodziewacie?”

Znów zmienia ułożenie rąk, kładzie je płasko na stole.

„ – A teraz druga część tej szczególnej lekcji – o tym, że brak skruchy może sprawić, iż spowiedź staje się kłamstwem”.

Pojawia się zdjęcie. To stopklatka z filmu, na którym Valerie dusi kota. Wybrał klatkę, na której dziewczynka najbardziej odsłoniła twarz. Widzimy jej rozszerzone oczy, mroczną radość, czubek różowego języka w kąciku ust. To chwila ekstazy.

Kaznodzieja mówi dalej zza kadru, zdjęcie Valerie nie znika z ekranu.

„ – Wyobraźcie sobie to dziecko przyznające się do zbrodni. Wyobraźcie sobie, jak płacze krokodylimi łzami, ze szlochaniem opowiada o czymś mrocznym w duszy, o walce z pokusami, jakie stawia na jej drodze szatan. Widzicie to? A teraz spójrzcie na to zdjęcie i zadajcie sobie pytanie: czy ten potwór, którego tu widzicie, potrafi wyrazić prawdziwą skruchę?”

Nie, myślę. Na pewno wykorzystywała młodość, białe zęby, twarz aniołka, by manipulować innymi i ukrywać swoją prawdziwą twarz. Ale nie żałowała nigdy.

„ – Pamiętajcie: sama prawda to za mało, bo prawda jest wciąż

kłamstwem, jeżeli nie towarzyszą jej żal i chęć naprawy zła”.

Film kończy się nagle.

– Jezu – mówi Alvarez i gwizdże. – To dobieje jej rodziców.

Widzieliście coś takiego jak ta Valerie?

– To się zdarza – mówię. – Niektórzy psychopaci stają się psychopatami z powodu środowiska, a inni tacy się rodzą. Wychowują się w dobrych domach, bez przemocy, otoczeni miłością z dobrymi perspektywami, ale i tak wyrastają na potwory. Nie wiemy dlaczego.

– Włos się jeży na głowie.

Wstaję i rozglądam się po parterze. Kanapa jest ciemnobrązowa, tu też widać beżową wykładzinę i białe ściany. Wszystko wysprzątane i nieszczególne. Nie wygląda to na dom dziecka potwora. Błądzą wzrokiem po ścianach i w końcu znajduję to, czego szukam: drewniany krucyfiks.

No proszę, myślę. Kryła się za Tobą i tym beżem. Katolicyzm, spowiedź. Mamy wyjaśnienie.

– Czas na nas – rzucam Alvarezowi.

– To wszystko? – pyta zaskoczony.

– Wiemy, kto ją zabił – mówię. – Teraz musimy go znaleźć.

Przepychamy się do naszych samochodów. Błyskają flesze aparatów, a dziennikarze wykrzykują moje nazwisko. Rozpoznali mnie, czują krew.

– Normalnie jesteś jak gwiazda, kochaniutka – zauważa Callie.

Wsiadamy do samochodu i zamykamy drzwi.

– Dlaczego nie wspomniałaś przy Alvarezie o katolickim wątku? – pyta Alan.

– Bo to jeszcze niepotwierdzone, a poza tym bomba tyka.

– To prawda – myśli na głos Callie. – Podejrzewam, że wielu ludzi zdenerwowałoby się, gdyby się dowiedzieli, że ktoś nagrywał ich spowiedź ukrytą kamerą.

– Taka mała dziewczynka i już była u spowiedzi? – pyta Alan.

– Ja byłam w jej wieku – odpowiadam. – To kwestia wieku, w jakim dziecko zaczyna rozróżniać dobro od zła, prawość od nieprawości. Cały czas toczy się o to spór. Niektórzy ludzie uważają, że zmuszanie dziecka do spowiedzi zbyt wcześnie jest równoznaczne z ukradzeniem mu dzieciństwa. Inni są przekonani, że jeśli czeka się zbyt długo, ryzykuje się, że dziecko nabierze złych nawyków moralnych. Powszechnie uważa się, że odpowiedni wiek to siedem albo osiem lat.

Alan kręci głową.

– Dzięki Bogu, że wychowałem się jako baptysta. Wy, katolicy, macie jak dla mnie za dużo reguł.

Krzywię się.

– „Wy, katolicy”? Uważaj, co mówisz. Wracamy do biura. James i Jezebel powinni już kończyć przepytywanie rodzin ofiar. Jeśli mam rację, a jestem już tego prawie pewna, to musimy zaplanować, jak ten cały syf ma się wylać.

Alan prowadzi. Callie jedzie za nami własnym samochodem.

– Dziwne, prawda? – pyta Alan.

– Co?

– Przyjechaliśmy do domu Cavanaughów, myśląc, że zabójstwo małej dziewczynki kompletnie nas rozwali. A teraz? Po tym, co zobaczyłem, sam nie wiem, co powinienem czuć.

Myślę o starszej Valerie, pięknej, zapierającej dech w piersiach i

strasznej, myślę, jak zaciska palce na gardle człowieka, błyska białymi zębami, patrząc ofierze w oczy, i cały czas się uśmiecha.

Dobry kiciuś, szeptałaby pewnie. Dobry, dobry z ciebie kiciuś.

Brakuje nam potwierdzenia w dwudziestu jeden przypadkach – mówi Jezebel. – Albo nie można się skontaktować z rodziną, albo nie ma w ogóle rodzin. Wśród tych, których przepytaliśmy, przypuszczenie się potwierdziło. Wszyscy to praktykujący katolicy.

W pewnym sensie już to wiedziałam, ale teraz dociera do mnie pełne znaczenie tego faktu. Siadam na wolnym krześle przy biurku Alana i przez chwilę patrzę na wszystkie nazwiska na tablicy.

– O rany – mówię tylko.

– Trochę posprawdzałem – odzywa się James. – Nigdy jeszcze nie naruszono tajemnicy spowiedzi katolickiej na taką skalę.

– Tego jestem pewna – odpowiadam.

Myślę o tym, jak ksiądz Yates chodził poprzedniego wieczoru po kościele, i wyobrażam sobie, jak będzie to robił papież.

Nie znoszę tej sprawy. Przez nią mam bezpośredni kontakt z dyrektorem FBI, zbliżam się do prezydenta Stanów Zjednoczonych i jestem pewna, że coś takiego musi dotrzeć też do uszu papieża.

Wstaję i proszę wszystkich o uwagę.

– Pracowaliśmy już nad głośnymi sprawami, ale to coś zupełnie nowego. Nie wolno wam o tym z nikim rozmawiać. Z nikim. Żadnych pogaduszek w łóżku z żonami, mężami, kochankami. Nie rozmawiacie o tym nawet z psem, jeśli macie psa. Zrozumiano?

Wszyscy potwierdzają. Nikt się nie sprzeciwia. Może do nich też dotarło, co to naprawdę znaczy.

– James, poproś wydział przestępstw komputerowych, żeby

skontaktowali się z Usertube. Te filmy mają zniknąć.

Marszczy czoło.

– Wydawało mi się, że zgodziliśmy się, że to strata czasu. Te filmy trafiły już do pięćdziesięciu innych serwisów, z których połowa działa poza Stanami.

– Tak, ale może to nim trochę wstrząśnie. Wkurzy go. Coś już wiemy, podchodzimy bliżej. Zróbmy kolejny ruch i zobaczymy, jak zareaguje.

James zastanawia się nad tym przez chwilę i kiwa głową.

– Biorę się do tego.

– Potem siądź z Callie, Alanem i Jezebel i zacznijcie przeglądać bazę danych. Szukajcie i spisujcie kościoły, do których mogła chodzić każda z ofiar.

– A ty dokąd się wybierasz, kochaniutka? – pyta Callie.

– Idę do wicedyrektora Jonesa przekazać mu złe wieści.

– Jesteś tego pewna? – pyta wicedyrektor Jones.

– Tak, szefie. Teraz mamy już potwierdzenie. Po wizycie w domu Cavanaughów wiemy, że lubi nagrywać z ukrycia. W tych rodzinach, do których udało nam się dotrzeć, sprawdziliśmy, że wszystkie ofiary były katolikami. Jak inaczej mógłby się dowiedzieć tego wszystkiego o tych ludziach? Zresztą sam nas naprowadził na trop.

– Jak to?

– Ta notatka w dzienniku Lisy Reid. „Co zbieram? Oto pytanie i zarazem klucz”. A potem w tych pierwszych klipach mówi nam, że w filmach jest wszystko, czego potrzebujemy, żeby go złapać. Pasują też reakcje większości ofiar – są zszokowane, kiedy przekonują się, że zna ich

tajemnice, i nie widać, żeby go rozpoznawały.

Wcześniej tego nie zauważyłam i teraz to sobie wyrzucam. Wszystkie ofiary sądziły, że ich tajemnice nigdy nie wyjdą na jaw. Dlaczego nie dostrzegłam tego wcześniej?

Czy dlatego, że wciąż bardziej absorbowwała mnie moja tajemnica?

Wicedyrektor Jones przez chwilę milczy. Splata dłonie za głową i zamyślony wpatruje się przed siebie.

– Smoky, to jakiś polityczny koszmar. Zwykle mam to gdzieś, ale w tym wypadku może to przeszkodzić w złapaniu tego faceta. Jeśli pójdziemy z tym do Kościoła katolickiego i wywalimy coś takiego prosto z mostu, to na pewno każą nam spieprzać i zewrą szeregi.

– Tak – mówię. – Księża macający chłopców? Kiepska sprawa. Ale podsłuch w konfesjonale? Koniec świata. Moim zdaniem trzeba im pokazać, że zachowamy się przyzwoicie. Musimy zyskać w nich sojuszników, nie wrogów.

Marszczy czoło.

– Jak chcesz to osiągnąć?

– O ile wiemy, nie dotyczy to całych Stanów Zjednoczonych. Zajmiemy się poszczególnymi przypadkami, o wszystkim będzie wiedział tylko mój zespół, pan i dyrektor. Nikt inny. Dyrektor skontaktuje się z kimś z władz kościelnych, kto ma trochę oleju w głowie, i wtajemniczy go w sprawę. Ten ktoś załatwi nam dostęp do Kościoła, a my zgodzimy się nie nadawać rozgłosu sprawie. Nie musimy w to mieszać nawet proboszczów, jeśli Kościół nie będzie chciał.

– A ksiądz Yates?

– Proszę mi wierzyć, szefie, jemu też zależy, żeby to się nie rozeszło.

Jest lojalny wobec Kościoła i podejrzewam, że dobrze o tym wiedzą.

– To może się udać – przyznaje wicedyrektor Jones.

– Na pewno się uda. Wątpię, czy Kościół katolicki różni się tak bardzo od innych biurokracji. Wszędzie ludzie pilnują swojego terytorium, budżetów i bardzo się starają, żeby syf nie rozszedł się za szeroko. Założę się o każde pieniądze, że jeśli nie będą musieli, nie powiadomią o tym nawet papieża.

– Zupełnie jakbyś mówiła o naszej firmie – zauważa wicedyrektor Jones i tylko trochę żartuje.

– To teoria doboru naturalnego na poziomie organizmów grupowych, i tyle.

– Co prawda, to prawda.

– Zresztą i tak bardziej podoba mi się to rozwiązanie. Kaznodziei chodzi głównie o to, żeby wywołać wstrząs. Uważa się za proroka, naucza o prawdzie, zmusza ludzi do myślenia, mówienia i zastanawiania się nad Bogiem. Im mniej chaosu uda mu wywołać, tym lepiej się będą czuła.

– Zgoda. Dzwonię do dyrektora.

– Jesteś w wiadomościach – mówi mi Jezebel, kiedy wracam do pokoju.

– Dobrze, że nie ma tu telewizora.

Uśmiecha się.

– Nie martw się, mogę ci wyświetlić transmisję dzięki temu komputerowi. – Wskazuje na monitor Alana. – Mogę?

– Jasne.

Stuka w kilka klawiszy i wpisuje hasło. Chwilę później na ekranie pojawia się inny pulpit.



– Teraz oglądamy mój komputer, kontroluję go zdalnie. – Otwiera jakiś program i cały ekran zajmuje odtwarzacz plików wideo. Zaczyna się nagranie.

Dziennikarka wygląda znajomo.

– Była przed domem Cavanaughów – mówię, przypomniawszy sobie w końcu. – Ta sprytna.

To ona zauważyła, jak podjeżdżamy, i kazała kamerzyście wycelować obiektyw w naszą stronę.

Oglądam, jak wysiadamy z samochodu, a dziennikarka zaczyna czytać zza kadru:

„Dziś rano w cichej dzielnicy Burbank znaleziono martwą dziewczynkę w jej własnej sypialni. Na miejscu szybko pojawiła się znaczna liczba policjantów, co samo w sobie nie jest zaskakujące. Zaskakujące jest natomiast to, że na miejsce przybyła ta kobieta: agentka specjalna FBI, Smoky Barrett”.

– A ja to pies? – żartuje Alan.

„Większość Kalifornijczyków i Amerykanów poznało agentkę Barrett blisko trzy lata temu. Stała się ofiarą napaści domowej. Joseph Sands, seryjny zabójca, którego ścigała agentka Barrett, ze zwierzyny zmienił się w myśliwego. Wtargnął nocą do jej domu, zamordował jej męża i dziesięcioletnią córkę, a potem zgwałcił i okaleczył agentkę Barrett”.

Na ekranie pojawia się moje zdjęcie z bliznami w pełnej krasie.

„Agentka Barrett wyzdrowiała i wróciła do FBI, co wzbudzało początkowo wielkie kontrowersje. Dyskusja na ten temat chyba już ucichła. Agentka Barrett nadal pracuje w FBI i ma świetne wyniki. I to właśnie rodzi palące pytanie: co robi w domu państwa Cavanaugh czołowa

kalifornijska specjalistka od seryjnych zabójstw? Jedyne wnioski, jakie może wyciągnąć dziennikarz, jest taki, że śmierć dziesięcioletniej Valerie Cavanaugh musi mieć związek z człowiekiem, który nazywa się Kaznodzieją”.

Tu następuje streszczenie działalności Kaznodziei wraz z jego obietnicą zabicia dziecka, jeśli go nie złapiemy.

– Dlaczego to wszystko jest w trybie przypuszczającym? – dziwi się Callie. – Nie widzieli filmu o Valerie?

– Zdaje się, że kiedy to nagrywali, jeszcze go nie było. Daj im czas, na pewno obejrzą.

– Dużo mówi się w mediach o Kaznodziei? – pytam Jezebel.

– Mnóstwo. Na całym świecie. Jest wiele rozmów o prawdzie, religii i innych tematach, które poruszył. Ma zaskakująco dużo zwolenników.

– Zwolenników? – dziwi się Alan. – Chyba sobie żartujecie? Przecież to morderca.

– To wcale nie takie szokujące – odzywa się James. – Było sporo precedensów, i to nie tylko w katolicyzmie. Kaznodzieja mówi o totalitarnej wierze, całkowitym oddaniu się Bogu. Takie rzeczy zawsze miały odbicie wśród ludzi wierzących. Ekstremizm i fanatyzm idą ręką w rękę z religią. Jak zawsze.

– Skojarzono cię także z Reidami – mówi Jezebel. – Ktoś był na tyle miły, że powiadomił jakiegoś dziennikarza o waszym wyjeździe do Wirginii.

– Sępy krążą i zawsze coś znajdą – zauważa Alan.

– Czy ktokolwiek wspominał o wątku katolickim?

– Nie. Mówili tylko o Kaznodziei.

– To dobrze.

Streszczam im moją rozmowę z wicedyrektorem Jonesem i propozycję, jak wybrnąć z problemu tajemnicy spowiedzi.

– To chyba najlepszy ruch – przyznaje Alan. – Czarni są dość wrażliwi na punkcie skandali.

– Moja matka jest katoliczką – mówi ni z tego, ni z owego James. – Uwielbia chodzić do spowiedzi. Myśl, że ktoś mógłby pogwałcić ten sakrament, na pewno by ją zabiła. Pozostaje jeszcze wielkie pytanie: jak on to robi?

– Dokończcie listę.

– Agentka Barrett?

Odebrałam rozmowę na komórkę z numeru, którego nie znam.

– Tak?

– Mówi kardynał Adam Ross. Arcybiskup Los Angeles.

– Aha. Witam księdza kardynała. – Marszczę czoło. – Czy mogę się zwracać per „kardynał”?

– Jak najbardziej. Albo Adam, jeśli pani woli.

– Pozostańmy przy kardynale. W czym mogę pomóc?

– Zdaje się, że oboje możemy zadać sobie to pytanie, agentko Barrett. Mniej więcej dziesięć minut temu dzwonił do mnie dyrektor FBI. Z bardzo niepokojącymi wiadomościami. Właśnie jadę do waszego biura. Czy możemy się spotkać?

Mimo wyraźnego napięcia w głosie manieri kardynała są nienaganne. Po prostu wzór uprzejmości.

– Czekam w biurze, kardynale.

Wicedyrektor Jones gwizdże.

– Błyskawica. Niecałe pół godziny temu skończyłem rozmawiać z dyrektorem.

– I jak poszła rozmowa?

– Zgadza się na twój plan. Mówi, że najlepiej byłoby w ogóle o tym nikomu nie mówić.

– Zna pan kardynała Rossa, szefie?

– Nie miałem okazji. Nie bywam zbyt często w kościele. Ale jeśli dyrektor ma jego numer pod ręką, to znaczy, że facet wiele może. Potraktuj go odpowiednio.

– Jesteśmy uprzejmi wobec innych, póki są równie uprzejmi wobec nas, szefie.

– Czy kardynał to przypadkiem nie jeden krok przed tytułem papieskim? – pyta Callie.

– Technicznie rzecz biorąc, każdy katolik płci męskiej, spełniający odpowiednie kryteria może zostać papieżem – tłumaczy James. – W praktyce zostają nim tylko kardynałowie. Ostatni raz, kiedy na papieża wybrano kogoś spoza grona kardynałów, miał miejsce w 1379 roku.

– Jak się zostaje kardynałem? – pytam.

– Z nominacji papieża. Nazywani są „księżętami Kościoła”. Oczywiście to wielki zaszczyt, którego można dostąpić po wielu latach posługi. Najpierw trzeba zostać księdzem, potem prawdopodobnie biskupem pomocniczym, potem normalnym biskupem, a następnie arcybiskupem – którego też wybiera papież. Kardynałowie są wybierani spośród arcybiskupów. Kardynałowie to najpotężniejsi ludzie w Kościele

katolickim poza samym papieżem. Kiedy stary papież umiera, to oni wyznaczają nowego. Obecnie jest ich tylko stu osiemdziesięciu do dwustu, co jest bardzo małą liczbą w przeliczeniu na głowy wszystkich wiernych katolickich. Wypada mniej więcej jeden lub dwóch kardynałów na osiemdziesiąt dziewięć milionów katolików.

– Pewnie mają bezpośredni dostęp do papieża? – upewniam się.

– Tak.

Teraz lepiej wyobrażam sobie mężczyznę, który właśnie wjeżdża windą na spotkanie ze mną. Będzie inteligentny, twardy i nawykły do władzy i posłuchu. Co ważniejsze z naszego punktu widzenia, będzie w stanie podejmować decyzje i wydawać polecenia, których inni będą słuchać.

Miejmy nadzieję, że nie okaże się dupkiem.

– Myślicie, że oni noszą coś pod tymi sutannami? – pyta Callie.

– Spodnie, kochana, nosimy spodnie.

Odwracamy się na dźwięk pełnego barytonu, który każdemu z nas od razu skojarzył się z kardynalskim głosem.

Kardynał Ross jest bardzo wysoki – ma blisko metr dziewięćdziesiąt – i bardzo szczupły, ale wygląda zdrowo. Ma srebrzyste włosy i pociągłą twarz. Wprawdzie nie brakuje jej atrakcyjności, ale czas odcisnął na niej piętno. Na oko oceniam, że ma nieco ponad sześćdziesiątkę. Ciemne oczy spoglądają na nas z powagą, widać w nich godność. Nosi prosty czarny strój duchownego: spodnie, koszula, marynarka i koloratka. A na szyi wielki srebrny krzyż. Prostota jego szat wcale nie umniejsza jego autorytetu. Wypełnia sobą cały pokój.

Wygląda na to, że przyszedł sam, co mnie dziwi.

Wyciągam rękę.

– Witamy, kardynale.

Ściska moją dłoń i potrząsa nią, uśmiechając się przy tym życzliwie. Trzyma mnie za rękę nieco dłużej niż normalnie, przyglądając się moim bliznom.

– Dziękuję za spotkanie.

Przedstawiam go reszcie zespołu. Rozgląda się z pewnym zainteresowaniem po pokoju.

– A więc to tu łapiecie morderców.

– Owszem, staramy się.

Podchodzi do tablicy i przygląda się nazwiskom. Chodzi wokół biurka i kiwa głową jakby z aprobatą.

– Wygląda na to, że najważniejsza praca zawsze wykonywana jest w skromnych warunkach. – Spogląda na nas i znów się uśmiecha. – Zanim ktokolwiek się obrazi, wiedzcie, że nie naśmiewam się z waszego pokoju. To miał być komplement.

– Prości z nas ludzie – mówi Callie.

– Coś mi się wydaje, że to zdanie jest i prawdziwe, i fałszywe, agentko Thorne. Potraficie skupić się i wyznaczyć sobie niezwykle prosty cel, ale rozumiecie też takie niuanse zła, które są poza moim zasięgiem.

Callie się uśmiecha.

– Kardynał nie żałuje wazeliny.

Wybuchą śmiechem. To przyjemny śmiech – szczodry i niewymuszony.

– Ryzyko zawodowe. Ale zapewniam panią, że nie chwałę was nieszczerze.

– To miłe, ale możemy przejść do rzeczy? – prosi James.

Powiedział to, co ja pomyślałam, choć jak na mój gust trochę za bardzo wrogo. Kardynał Ross reaguje spokojnie.

– Ma pan rację. Zadzwoił do mnie dyrektor FBI. Streścił mi wasze podejrzenia, że ten człowiek zakłada podsłuchy w konfesjonałach. Przepraszam, że pytam, ale czy moglibyście mi wyjaśnić, jak doszliście do tego wniosku?

Opowiadam mu o Kaznodziei, ale nie ujawniam informacji o krzyżkach w ranach. Mówię o rozmowie z księdzem Yatesem, o milczącym potwierdzeniu spowiedzi Rosemary Sonnenfeld. Kiedy kończę, kardynał Ross pociera czoło i wygląda na bardzo, bardzo zmartwionego.

– Czy mogę usiąść?

Alan podsuwa mu krzesło.

– Rozumiem. I zgadzam się, oczywiście. W żaden inny sposób by się tego nie dowiedział. To straszne, straszne, straszne. Jeśli to zostanie ujawnione, wierni przeżyją okropny wstrząs.

– Czy przypadkiem nie boicie się kolejnych procesów? – drwi James. – Wasz Kościół przez wiele lat świetnie radził sobie z ukrywaniem pedofilii.

– James! – warczę.

Kardynał podnosi rękę.

– Nie, agentko Barrett. Uznałem, że zasługuję na wszelkie wyrzuty w tej sprawie. Osobiście nie ukrywałem prawdy o żadnym księdzu pedofilu, ale członkowie mojego Kościoła owszem, i to wielki wstyd. Wbrew temu, co może wam się wydawać, nie chodzi mi o dobre imię Kościoła. Chodzi o wiarę. Czy ktoś z was był kiedyś u spowiedzi?

– Ja – mówię. – Ale ostatni raz, gdy byłam znacznie młodsza.

Alan nawet nie mrugnął, słysząc moje małe kłamstwo.

– Ja nie – przyznaje Callie. – I dobrze, bo pewnie jakiś biedny ksiądz by się zarumienił przeze mnie.

James nie odpowiada.

– Możecie sobie wyobrazić, jak byście się czuli, gdybyście się dowiedzieli, że poza księdzem i Bogiem słuchał was ktoś jeszcze? To coś więcej niż skandal... to pogwałcenie jednego z fundamentalnych i najwiarygodniejszych bastionów katolicyzmu. Księża woleli umrzeć, niż złamać tajemnicę spowiedzi.

– Kardynale – wtrącam. – Nie prowadzimy tu krucjaty. Nie musimy tego podawać do wiadomości publicznej. Potrzebujemy natomiast współpracy i dostępu.

– Będziecie to mieli, rzecz jasna. I tak byście to dostali. Ale wdzięczny jestem za zapewnienia. Prawda jest taka, że prędzej czy później i tak to się przedostanie. Jestem pewien, że ktoś inny skojarzy fakty tak jak wy i dojdzie do tego samego wniosku. Dajcie mi czas.

– Nie zaszkodziłoby też złapać człowieka, który jest za to odpowiedzialny – podkreślam.

– Trudno z tym dyskutować. Czego ode mnie oczekujecie?

– Sporządziliśmy listę wszystkich ofiar i dobraliśmy do nich kościoły najbliższe ich miejsca zamieszkania. Muszę dotrzeć do każdego z tych kościołów i przekonać się, czy ofiara była rzeczywiście tamtejszą parafianką. Kiedy to potwierdzimy, musimy porozmawiać z proboszczami i dowiedzieć się, czy pamiętają naszego Kaznodzieję.

– Natychmiast przyślę wam trzech ludzi z mojego personelu. Będą dzwonić i nakażą każdemu proboszczowi pełną współpracę, a potem przekażą słuchawkę pani.



- Byłoby wspaniale.
- Załatwię wszystko zaraz po wyjściu od was.

Jezebel, Callie, Alan i James siedzą w sali telefonicznej z trzema księżmi, których przysłał nam kardynał. Przyglądałam im się przez chwilę. Ludzie kardynała są w pełni profesjonalni, nie zadają żadnych pytań. Poważni i przywykli do poważnych zadań, przybyli tu po to, żeby wykonać polecenie.

W kościelnej hierarchii wciąż obowiązuje absolutne posłuszeństwo. Ludzie kardynała dzwonią i szybko docierają do właściwej osoby. W krótkich słowach mówią, że przekazują słuchawkę agentowi FBI i że ksiądz po drugiej stronie kabla ma odpowiedzieć na wszystkie pytania. Wtedy do telefonu podchodzi ktoś z moich ludzi i prowadzi rozmowę. Potem oddaje słuchawkę człowiekowi kardynała, który daje do zrozumienia, że rozmowę należy zachować w tajemnicy, na zawsze. I rozłącza się. Prosto, bez kombinowania czy narzekania.

Zostawiam ich samych sobie i wracam do pustej Centrali Śmierci, żeby przez chwilę pomyśleć. W ciągu ostatnich kilku dni tyle się zmieniło. Rozpadłam się i posklejałam na nowo. Kaznodzieja powiadomił świat o swoim istnieniu, a ja podążyłam jego tropem do mroku konfesjonału.

Muszę na chwilę się od tego oderwać, spojrzeć na las, nie na poszczególne drzewa. Muszę spróbować dostrzec człowieka, którego szukamy.

Jest inteligentny. Jego koncepcje nie są nowe, ale on nadaje im nowej głębi, podchodzi do nich z dbałością, pewnym szacunkiem. Za jego słowami nie kryje się żaden inny motyw. Wierzy w nie, to go napędza.

Co to za słowa?

Sprowadzają się do prawdy, kłamstw i grzechu, a wszystko to podlane religijnym sosem. Nie poszedł ścieżką filozofa, na której prawda jest pojęciem ogólnym. W jego podejściu do prawdy chodzi konkretnie o zbawienie. Co mi to mówi?

Został wychowany jako katolik.

Kiwam głową do samej siebie. Tak. Dorastał w tym otoczeniu, czuł na przemian winę, niepokój i nadzieję zmieszaną z niewielką odrazą do samego siebie i samousprawiedliwianiem. Dorastał, widząc Chrystusa na krzyżu, i miał obowiązek coś wobec niego odczuwać.

Świetnie. Ale dlaczego musi o tym powiedzieć światu?

Bo jego zdaniem świat nie słucha.

Świat? Nie. To tylko kamuflaż. Mamy tu do czynienia z seryjnym zabójcą. Nie jest to człowiek silnej wiary, który poświęca się głoszeniu prawdy. Ten człowiek od dwudziestu lub więcej lat szuka u ludzi najgorszych tajemnic po to, by móc ich zabić przed kamerą. Jakkolwiek to analizować, niezależnie od rzekomych przekonań religijnych, morderstwo to zawsze akt gniewu. Nie zawsze musi to być gniew na mordowaną ofiarę. W przypadku seryjnych zabójców częściej jest to gniew przeniesiony. Mama lub tata zabijani raz za razem.

Kiedyś w życiu ktoś go nie wysłuchał. Ktoś mu bliski, ważny i związany z jego poczuciem tożsamości. To go rozgniewało i teraz robi wszystko, żeby to szczególne przesłanie nie zostało znowu zamiecione pod dywan. Jakie przesłanie?

Proste słowa. Mówi je na różne sposoby, brzmią mi teraz w głowie jak dzwon: Nie okłamuj Boga.

W jego logice jest jednak błąd, uświadamiam sobie. Potężna dziura w

argumentacji: ludzie, których morduje, już wyznali swoje grzechy. Zrobili to, co im kazał, klękali w konfesjonale i zmagając się z samymi sobą, w końcu znaleźli odwagę, żeby wydusić z siebie te słowa.

Może nie uważa swoich ofiar za ludzi upadłych. Może nie mają być przykładami, ale wręcz przeciwnie. Może to, że już wyznali swoje grzechy i mają zagwarantowane miejsce w niebie, pozwala mu zabijać bez poczucia winy, daje mu racjonalizację niezbędną do naruszenia przykazania, z którym zgadzamy się chyba wszyscy: nie zabijaj.

A może, zastanawiam się, właśnie tu Kaznodzieja rozmija się z rzeczywistością. Może tu właśnie kończy się rozsądek i zaczyna szaleństwo. Zbudował sobie kościół idei, ale zbudował go na fundamencie morderstwa, z kości swoich ofiar.

Może mimo tych wszystkich przemówień na temat prawdy to właśnie on najbardziej kłamie.

Uśmiecham się na tę myśl. Podoba mi się to, że Kaznodzieja mógłby zawieść samego siebie i złamać własne zasady. Bardzo mi się to podoba.

Nie jesteś inny. Patrzę na te wszystkie nazwiska i to właśnie widzę. Tak jak inne potwory nie mówisz do Boga, nie mówisz do mnie. Koniec końców mówisz do kogoś, kogo kiedyś znałeś, i jakkolwiek byś głośno krzyczał, ten ktoś pewnie nigdy cię nie wysłucha.

Jest dziesiąta wieczorem. Wszyscy wrócili do Centrali Śmierci i słuchają jak James streszcza efekty rozmów telefonicznych.

– Dotarliśmy do około dziewięćdziesięciu procent rodzin ofiar i zdołaliśmy ustalić, do których kościołów chodziły osoby zabite w ciągu ostatnich pięciu lat. Poza granicą pięciu lat procent maleje, bo zmienili się

niektórzy proboszczowie parafii.

Nie przyszło mi to do głowy, ale to logiczne. W Kościele katolickim jak w każdej firmie mamy do czynienia z rotacją personelu.

– Warto zauważyć, że w przypadkach, które zdołaliśmy potwierdzić, księża zwykle przypominali sobie nasze ofiary. Niemal zawsze chodziło o ciężkie przypadki ludzi, którzy wyszli na prostą. Z pewnymi wyjątkami, rzecz jasna, ale przeważnie tak właśnie było.

– To by pasowało do jego przesłania – mówię. – Ci, którzy się oczyszczą, zmieniają kurs swego życia.

– Dobrze wybierał kościoły. Poza kilkoma niemal wszystkie były podobne do naszej parafii Zbawiciela. Kościoły prowadzone przez księży próbujących pomóc ludziom w największych kłopotach.

– Czyli takim, którzy najprawdopodobniej mają mocno zasrane życiorys – zauważa Alan. – A także takim, po których mało kto będzie płakać.

– A teraz złe wieści. Żaden z księży, z którymi rozmawialiśmy – ani jeden – nie pamięta, żeby w czasie, kiedy zaginęły nasze ofiary, po okolicy kręcił się ktoś obcy.

– W ogóle? – pytam.

– W ogóle. Zadawaliśmy bardzo konkretne pytania, na przykład: „Czy pamięta ksiądz, by jakiś mężczyzna wyjechał mniej więcej w czasie, kiedy zniknęła konkretna ofiara?” Nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi twierdzącej.

Jestem zaskoczona. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby większość niczego nie dostrzegła. Kaznodzieja jest ostrożny, ludzie nie są zwykle dobrymi obserwatorami – ale żeby nikt niczego nie pamiętał? To bardzo dziwne.

– A sprzątacze?

– Też o to pytaliśmy. Większość parafii jest zbyt biedna, żeby opłacić kogoś do sprząkania. Przeważnie sprząkają sami.

Kręcę głową.

– Zastanówmy się przez chwilę. Potrzebował dostępu do kościoła i musiał pasować do otoczenia. Zwłaszcza w takim środowisku. To małe kościoły, parafianie dobrze się znają. Ciężko wnikać tam obcemu tak, żeby się nie wyróżniać.

– Mógł udawać parafianina – mówi Callie. – Człowieka z problemami, takiego jak inni.

– To dlaczego żaden z księży tego nie zapamiętał? Nie kręciłby się przecież po fakcie, musiałby zniknąć po zabiciu ofiary. Poza tym, sądząc po przykładzie księdza Yatesa, mówimy tu raczej o kapłanach, którzy mają oczy szeroko otwarte. Wiedzą, że nie przemawiają do parafii niewinnych owieczek.

– Frustrujące – stwierdza Jezebel.

Dzwoni komórka Jamesa.

– Tak? Co? W porządku. Dziękuję – Zamyka telefon. – Dzwonili z działu przestępczości komputerowej. Mamy nowy film zamieszczony przez Kaznodzieję na Usertube. Zdjęli go od razu, ale wysyłają mi e-mailem. Mówią, że jest inny.

– Jak to inny? – pytam.

– Tym razem nie ma ofiary. Ale daje nam do zrozumienia, że niedługo będzie kolejna.

„ – Widzę, że organa ścigania uznały za stosowne usunąć moje filmy z

serwisu, w którym postanowiłem je udostępnić. To zrozumiałe i rzecz jasna można się było tego spodziewać. To i tak nie ma większego znaczenia. Filmy, które zamieściłem, już i tak rozeszły się po twardych dyskach na całym świecie. Są rozpowszechniane przez grupy dyskusyjne, e-mailem i w innych serwisach wideo. Taka jest natura Internetu i dlatego właśnie go wybrałem. Przyznaję, że teraz robi się nieco trudniej. Organa ścigania najprawdopodobniej będą próbowały całkowicie wyciszyć moje przesłanie. Ale tego można się było spodziewać. Dlatego właśnie ten konkretny film kieruję do was, ludzi, którzy mnie ścigają. Dałem wam wszystko, czego potrzebujecie, żeby mnie znaleźć. Jeśli tego nie zrobicie, to w ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin znów zabiję. – Przerzywa. Przestaje przesuwac paciorki różańca. – Powtarzam: dałem wam wszystko, czego potrzebujecie, żeby mnie znaleźć. Powinniście już wiedzieć: nigdy nie kłamię i dotrzymam obietnicy. Znajdźcie mnie”.

Koniec filmu.

– Dlaczego chce, żeby go złapano? – dziwi się Callie.

– To kolejny krok – mówię. – Wydaje ci się, że teraz jest popularny? Poczekaj, aż trafi za kratki. Będzie gwiazdą w pełnej krasie. Będzie się płał w sławie, póki nie dostanie zastrzyku.

– I w ten sposób zostanie męczennikiem. Podejrzewam, że nie miałyby nic przeciwko temu – dodaje James.

– Wracamy do tablicy – zarządzam i znów zaczynam chodzić. – Powiedział, że możemy go znaleźć dzięki informacjom, które nam podał. Mówi, że nigdy nie kłamię. Wątpię, by była to prawda absolutna, ale w tym przypadku wierzę w to, bo facet chce zostać złapany. Coś nam umyka. Ale co?

Alan wzdycha.

– Nigdy nie byłem dobry w te logiczne klocki. Dajcie mi listę podejrzanych do przesłuchania, a z chęcią popracuję nad nimi choćby i cały dzień. To twoja broszka, Smoky. Twoja i Jamesa.

– To musi być coś prostego – mówi James, spoglądając na listę nazwisk na tablicy. – Nie dostrzegamy tego, bo to oczywiste. Tak jak konfesjonał jako źródło jego wiedzy. Mieliśmy go przed nosem i właśnie dlatego z początku go nie dostrzeżliśmy, bo stanowił część krajobrazu.

– Był zbyt widoczny – mówi Jezebel.

– Właśnie. Najłatwiej schować coś na widoku, tylko z lekkim maskowaniem. To coś dobrze się komponuje z otoczeniem, a my szukamy czegoś głęboko ukrytego.

Przypominam sobie moją pierwszą rozmowę o Kaznodziei z wicedyrektorem Jonesem. Powiedziałam, że w samolocie skorzystał z przebrania, na pewno prostego, może z jakimś charakterystycznym rysem.

Coś nagle we mnie zaskakuje.

Próbowałam już opisać to zjawisko innym, zjawisko, które zawsze zwiastuje u mnie nagłe objawienie. Czuję się, jakbym wypadła z czasu, jakby jakaś część mojej świadomości szarzała zaledwie na milisekundę. Sama nie wiem, co się dzieje w tej milisekundzie. Co przegapiłam? Odpowiedź jest prosta: to, co powinnam zobaczyć, było w polu mojego widzenia, ale jeszcze tego nie zrozumiałam. Kiedy jestem gotowa, odzyskuję ten stracony czas.

Coś takiego właśnie się dzieje i zaczynam się zastanawiać: co takiego muszę zrozumieć? Co takiego powinnam dostrzec?

– Mów dalej, James – mruczę. – Wymieniaj po kolei składowe tej



sprawy.

Nie pyta po co, już to przerabialiśmy.

– Wybiera ofiary na podstawie ich spowiedzi. Jest w stanie to robić, bo zakłada podsłuch w konfesjonałach w kościołach, które obsługują niższe warstwy społeczeństwa. Parane w tych kościołach to przeważnie dobrze znające się społeczności.

– Stop. Dlaczego tak dobrze się znają?

– Z powodu wspólnych doświadczeń.

– To coś prostszego – mówię. – Mają tylko siebie. Nikt inny nie akceptuje ich takimi, jacy są, z wadami i tak dalej.

– Słusznie... ale wracamy do tego samego punktu: ludzie pojawiający się w takiej grupie są pilnie obserwowani, zauważa się też ich zniknięcie. A tu nikt nie pamięta, żeby jakiś facet wyjechał mniej więcej wtedy, kiedy znikła ofiara.

Coś widocznego, coś widocznego, coś widocznego...

Te słowa przetaczają się po mnie jak niekończące się fale. Oszaleć można. Staram się jak księżyc przyciągnąć je do siebie siłą grawitacji. Zbliżają się, ale znikają, nim uderzą o brzeg.

– Dalej – mówię.

– Musiał mieć dostęp, więc musiał tam być. Ale nikt go nie pamięta.

Wyprostowuję się.

Fale uderzają o brzeg. Coś widocznego...

– Bo go tam nie było – mówię podekscytowana. – Rozumiał, jak działają takie grupy jak te, które chciał infiltrować.

Intymność, jaka powstaje, kiedy przyznajesz, że spieprzyłeś wszystko, a ludzie, przed którymi się do tego przyznajesz, i tak cię akceptują, bo

sami też wszystko spieprzyli.

– Czyli ktoś z nim współpracował – mówi James. – Ale czy to coś zmienia? I tak zauważono by zniknięcie faceta.

– Właśnie. Ale facet nie zniknął wraz z ofiarą. Czekął trochę, może kilka tygodni, może nawet miesiąc i dopiero wtedy się wymykał. Nie potrzebował alibi, bo kiedy ofiara ginęła, był wraz z pozostałymi parafianami.

James marszczy czoło.

– Mnóstwo gdybania.

– Ale logicznego gdybania, nie sądzisz?

– To się trzyma kupy – przyznaje. – Musimy znów podzwonić, ale tym razem trzeba poszerzyć pytania. Musimy popytać o mężczyzn, którzy zniknęli niezbyt długo po zniknięciu ofiar, ale nie od razu.

– I którzy byli blisko z ofiarami – dodaje. – Na pewno tak właśnie działali. Zbierali niezbędne informacje, zapoznawali się z życiem ofiary.

– Wiecie co – odzywa się Alan – najwygodniej byłoby im działać linearnie.

– Nie rozumiem – mówię.

– Ofiary, które sobie wybierali, to przeważnie ludzie niestabilni, zmienni. Musieli założyć podsłuch, odnaleźć ofiarę i dokonać zabójstwa. Nie mogli sobie pozwolić na to, żeby wyjechać i wrócić później, bo ryzykowali to, że wybrana ofiara gdzieś się przeniesie. Musieli czuwać na miejscu aż do końca.

– I co z tego?

– To z tego, że między takimi morderstwami powinno upłynąć mnóstwo czasu, prawda? Trzeba wybrać ofiarę, dopaść ją, sfilmować,

przenieść się w nowe miejsce. Mnóstwo logistyki. A tymczasem mamy trzy ofiary w ciągu tygodnia. Lisa Reid, Rosemary Sonnenfeld i Valerie Cavanaugh. Wydaje mi się, że przynajmniej przy jednej z nich musiał sam zaangażować się w zbieranie informacji, nie sądzicie?

– Słuszna uwaga – przyznaje Callie. – Ale o którą z nich chodzi?

– Lisa Reid. – James czyta w moich myślach. – Na pewno. To wyjątek, jedyna ofiara, która nie urodziła się kobietą. I to za jej pomocą zwrócił na siebie naszą uwagę.

Znów czuję, jak narasta we mnie podniecenie. Fale napierają, spiętrzają się i za chwilę uderzą o brzeg z całą siłą.

– Musimy teraz skupić się na dwóch kobietach: Lisie i Rosemary. Jak wybrał Lisę? Jak na nią trafił? Nie obracała się w środowisku, w którym zwykle grasował. Musiał ją wytropić. Skąd w ogóle o niej wiedział? Rosemary to najświeższa ofiara i tu mamy atut w postaci Yatesa. Na pewno coś będzie pamiętał, kogoś, z kim była blisko, kogoś...

Przerywam, bo wielka, naprawdę potężna fala rozbija się o brzeg i huczy bez końca.

Coś ukrytego na widoku...

– Powiedział mi to na samym początku – szepczę.

– Kto i co? – pyta Callie.

– Yates. Chcieliśmy porozmawiać z kimś, kto znał Rosemary. Miała tylko jedną znajomą. Andreę. – Przelykam ślinę. Spoglądam na Alana. – Dzwoń do Yatesa. Sprawdź nazwisko Andrei i jej historię. Mam przecucie, że wszystko było zmyślane i już dawno jej nie ma.

Lisa Reid wywołała mały wewnętrzny skandal w kościele – opowiada mi kardynał Ross. – Proboszcz kierujący parafią to młody człowiek, ksiądz Strain. Należy do niewielkiej, ale rosnącej grupy młodych, inteligentnych kapłanów, którzy w pewnych sprawach pozwalają sobie mieć zdanie inne niż Rzym – choć robią to z szacunkiem.

– Na przykład dopuszczając transseksualistę do spowiedzi, tak?

– I tak, i nie.

Marszczę czoło.

– Trochę to skomplikowane.

– Stanowisko Kościoła w kwestii homoseksualizmu pozostaje niezmiennie. Homoseksualizm jest uważany za grzech. Osoby zmieniające płeć są traktowane jako zniewieściale, czyli homoseksualistów, którzy za pomocą współczesnej technologii postanowili zmienić swój wygląd zewnętrzny i dopasować go do wewnętrznych pragnień. Ale zdaniem Kościoła taka operacja nie zmienia faktu, że pozostali takimi, jak ich stworzył Bóg.

– Czyli osoba, która zmieniła płeć, w zasadzie jest uważana za homoseksualistę.

– Tak.

– Użył kardynał słowa „zniewieściale”. A co z kobietami zmieniającymi się w mężczyzn?

– Oba przypadki podpadają pod tę samą kategorię. Homoseksualizm to grzech.

– Co zatem ma zrobić homoseksualista, który chce być rzymskim

katolikiem?

– Może przystąpić do spowiedzi, i jest wręcz do tego zachęcany, ale dopiero wtedy, kiedy zmieni sposób bycia i stanie się takim, jakim stworzył go Bóg, i będzie żył zgodnie z tym, co mówi Biblia. Jeśli nie jest w stanie stać się całkowicie hetero i poślubić kogoś płci przeciwnej, wtedy może żyć w czystości. Dopóki tego nie zrobi, nie może przyjmować komunii świętej i wielu innych sakramentów.

– W takim razie... nie rozumiem. Czym się naraził ksiądz Strain?

– Dwoma rzeczami. Strain udzielał komunii Dexterowi Reidowi, to raz.

– A druga sprawa?

– Skargi parafian. Tu, gdzie pani mieszka, agentko Barrett, sprawy wyglądają inaczej. Homoseksualista wchodzący do kościoła w Los Angeles może oczekiwać innego traktowania niż gej w kościele w Teksasie.

– Aha. Rozumiem.

– Ksiądz Strain dostał ostrzeżenie, nic więcej. Kazano mu przestać udzielać komunii Dexterowi Reidowi i postępować ostrożniej. Ale nie posłuchał.

– I co się z nim stało?

– Nic.

Owo „nic” zabrzmiało tak, że od razu wyczuwało się, iż brakuje jeszcze dwóch słów: „na razie”.

– A co się z nim stanie?

– Wszystko w rękach Boga.

Parskam śmiechem i kręcę głową. Na swój sposób to pocieszające, że

biurokracja wszędzie jest taka sama. Coś mi mówi, że ksiądz Strain powinien zapomnieć o jakimkolwiek awansie. Może mu na tym nie zależy.

– Kardynale, szukam jakiegoś łącznika. Jak Lisa Reid mogła zwrócić uwagę Kaznodziei? Czy mówiło się o tym w mediach?

– Z tego, co wiem, żadne poważne medium o tym nie wspominało. Były wzmianki w katolickich blogach i w kilku biuletynach. Nawet w samym Kościele od czasu do czasu toczy się dyskusja na temat homoseksualizmu i jak najlepiej doprowadzić homoseksualistów do bożej łaski. To gorący temat, jak pani zapewne rozumie.

– To może być to – mruczę pod nosem. – Może monitorował błogi religijne.

– Agentko Barrett, czy pani zdaniem księdzu Strainowi coś grozi? Czy ten człowiek może coś mu zrobić za to, że dopuścił Dextera do grona parafian?

Zauważam, że w naszej rozmowie dotykamy problemu, o którym rozprawialiśmy. Ja mówię Lisa, on mówi Dexter. Kartofle, ziemniaki – tyle że chodzi o człowieka. Można odnieść wrażenie, że kardynał lekką ręką odrzuca wszystko, co Lisa próbowała robić, kim próbowała być i co starała się czuć w związku ze swoją osobą.

– Nie sądzę. Lisa była narzędziem, sposobem zwrócenia naszej uwagi na niego. Chciał efektownie odrzucić anonimowość. Lisa doskonale się do tego nadawała – z powodu politycznych koneksji rodziny, z powodu kontrowersji.

Wirginia nie stanowiła zwykłego terenu jego polowań. Myślę, że zrobił to, co zamierzał, i wyjechał. Ale i tak muszę porozmawiać z księdzem Strainem. Czy może kardynał to zaaranżować?

– Oczywiście.

Alan zagląda do mojego pokoju.

– Mam coś – mówi.

Widać, że jest podekscytowany.

– Kardynale, muszę kończyć. Dziękuję za pomoc.

– Jestem cały czas do dyspozycji, agentko Barrett.

No pewnie, że tak, myślę, odkładając słuchawkę. Przecież nie potrzeba wam kolejnych skandali, prawda?

Dyskusja na temat homoseksualizmu i niechęć kardynała do używania imienia Lisa obudziły we mnie mój dawny gniew na Kościół katolicki. Był czas, kiedy uwielbiałam czystość modlitwy. Tylko ja i Bóg. Zachwycała mnie prostota, kojąca prawda. Nie rozumiałam jednak tego, co uznawałam za nietolerancję, niechęć do nieschematycznego myślenia, do szerszego spojrzenia. Widać niewiele się zmieniło.

– O co chodzi? – pytam.

– Andrea powiedziała księdzu Yatesowi, że nazywa się Andrea Prawda.

– Prawda? Żartujesz sobie?

– Wiem, strasznie to śmieszne z ich strony. Ha, ha, ha. Miałaś rację. To było fałszywe nazwisko. Żadna Andrea Prawda nigdy nie pracowała w jakimkolwiek komisariacie policji w Ohio. W AFIS, CODIS też nie ma żadnej Andrei Prawdy.

– A może to jakaś bezdomna, która podała fałszywe nazwisko – zauważa Callie.

– To byłby duży zbieg okoliczności – mówi Alan. W jego głosie słychać coś więcej niż powątpiewanie.

Kręcę głową.

– Nie ma mowy. Ona musi mieć z tym związek.

No proszę, myślę. Zaczyna się równia pochyła. Wszystko teraz nabiera tempa.

– Callie, jedziesz ze mną do parafii Zbawiciela. Weź ze sobą zestaw analityczny. Alan, dzwoń do księdza Straina z Wirginii. Przepytaj go jeszcze raz, czy ktokolwiek kontaktował się w sprawie Lisy Reid albo się nią interesował. Tym razem idź w innym kierunku – szukaj osoby, której ksiądz w ogóle by o nic nie podejrzewał.

– Robi się.

Ksiądz Yates wciąż wygląda na zmartwionego. Fatalnie się czuję, że muszę jeszcze bardziej pogorszyć mu humor.

– Andrea Prawda to fałszywe nazwisko, proszę księdza – oznajmiam.

– To się tutaj zdarza.

– Żadna Andrea Prawda nie pracowała w żadnym komisariacie policji w Ohio.

Przeczesuje włosy palcami. Znów patrzy na Jezusa. Ile razy dziennie szuka pocieszenia, patrząc na Zbawiciela z łuszczącą się farbą?

– Uważasz, że pracowała z Kaznodzieją tak?

– Tak.

Wyjaśniam mu, w jaki sposób doszłam do tego wniosku. Ksiądz zapada się w sobie, a jest jeszcze gorzej, kiedy wyjaśniam, jak to zapewne wyglądało: infiltracja społeczności parafialnej, zakładanie podsłuchu w konfesjonale, wybór osoby i zbliżenie się do niej, przekazanie partnerowi i po zniknięciu ofiary pozostanie przez chwilę w społeczności, by uniknąć podejrzeń. Ksiądz Yates nie chce pogodzić się z prawdą ale zbyt długo



pracował z najniższymi warstwami społeczeństwa, by nie dostrzec dowodów zła widocznych jak na dłoni.

– To, co mówisz, ma sens, jak mi Bóg miły. Andrea wyniosła się dzień po tym, gdy z nią rozmawiałaś. Powiedziała, że czas, by wróciła do domu i zaczęła życie od nowa. – W jego głosie słyhać gorycz. – Zaufałem jej. Przygarnąłem ją udzieliłem komunii i spowiedzi. Przytulałem, kiedy opowiadała mi o zmarłym synu i go oplakiwała.

Callie do tej pory milczała.

– Czasami są doskonałymi aktorami, kochaniutki – mówi. – To wcale nie oznacza, że ksiądz był ślepy czy głupi, po prostu kiedy trzeba, są w stanie odgrywać role godne Oscara.

Uśmiecha się do niej blado, przyznając jej rację, ale niespecjalnie pocieszają go jej słowa.

– W czym mogę wam pomóc?

– Sądzę, że Andrea coś nam zostawiła. To dla nich podróż w jedną stronę. Chcą, żebyśmy ich złapali, ale pragną, byśmy się nad tym napracowali. Powiedział, że mamy wszystko, czego potrzebujemy, żeby ich dopaść.

– Czy jest coś, z czym Andrea miała regularny kontakt? – pyta Callie. – Coś, czego często dotykała, czym się przesadnie interesowała?

Księdzu rozszerzają się oczy.

– Co to takiego, proszę księdza? – pytam.

– Kielich. Chciała, żebym pozwolił jej go czyścić. Mówiła, że lubi dotykać kielicha, że w ten sposób zbliża się do Boga.

– I to pewnie była prawda – mówię.

– Możemy go zobaczyć? – pyta Callie.

– Oczywiście. Zaczekajcie chwilę.

Wychodzi i wraca z niebieskim woreczkiem zawiązanym sznurkiem. Zaprasza nas bliżej do ołtarza.

– Niech ksiądz go postawi – prosi Callie.

Ksiądz spełnia prośbę.

Oboje patrzymy, jak Callie wkłada rękawiczki. Nie sięga do woreczka po kielich, lecz rozwiązuje go i ściąga w dół. Kielich jest ze złota i błyszczy nawet w słabym wieczornym oświetleniu kościoła.

Callie wyjmuje fluorescencyjną latarkę i bada zewnętrzną powierzchnię kielicha.

– Na zewnątrz nie ma nic – oznajmia. – Nawet jednej smugi. Narasta we mnie rozczarowanie, ale nagle pojawia się myśl.

– Sprawdź dno, pod spodem. Założę się, że podczas czyszczenia ten kawałek najczęściej jest pomijany. Jeśli chciała nam zostawić ślad, to na pewno w takim miejscu, gdzie nie zostanie starty przypadkowo.

Callie odwraca kielich do góry nogami i oświetla go latarką. Spogląda na mnie i uśmiecha się z triumfem.

– Bingo. Piękny odcisk kciuka, ostry jak brzytwa.

Znów przeszywa mnie elektryzujące uczucie. To jeszcze nie koniec, ale zmierzamy w dobrym kierunku.

Callie posypuje ślad proszkiem i zdejmuje odcisk za pomocą taśmy. Nakleja taśmę na białą kartkę. Robi też zdjęcia cyfrowym aparatem, abyśmy mieli kopię zapasową na wypadek gdyby coś stało się z kartką.

Błyski flesza w tym miejscu wydają się nierealne, wywołane przez człowieka błyskawice. Jezus na ołtarzu przez chwilę wygląda jak w dzień, a potem wraca w mrok, rozświetlany tylko płomieniami świec. Kielich

rozbłyska, jakby płonął żywym ogniem.

Patrzę na to i zastanawiam się – kiedy to się właściwie stało? Jak znalazłam się w tym miejscu? Jako mała dziewczynka piłam z podobnego kielicha, i to oznaczało, że jestem blisko Boga. A teraz oznacza, że jestem blisko potwora.

Czy to wybór? – zadaję sobie pytanie. Potwory albo Bóg? Czy można zbliżyć się do nich tak bardzo, zrozumieć ich tak dobrze jak ja i wciąż mieć w duszy miejsce na pierwiastek boski?

Flesz znów strzela i krzywię się, oślepiona bolesnym blaskiem, światłem, które nie ma nic wspólnego z Bogiem, nic a nic.

– Na razie to wszystko – mówi Callie.

Odwracam się do księdza Yatesa.

– Musimy zabrać kielich, proszę księdza.

Krzywi się.

– Proszę bardzo. Jeśli o mnie chodzi i tak już nie będzie z niego pożytku.

– Odcisk jej kciuka wymazuje obecność Boga? Zdaje się, że ksiądz przyznaje jej ogromną władzę.

Znów się uśmiecha, tak jak wtedy, kiedy zaatakowałam go moją niewiarą i goryczą. Część tolerancji, dwie części współczucia i dobroć, dobroć ponad wszystko.

– Nie, nie o to chodzi. Po prostu nie pozwolę, żeby cokolwiek z nimi związanego miało styczność ze świętą chwilą. Nie zasługują na to.

Uświadamiam sobie, że za dużo sobie wyobrażałam. Owszem, ksiądz Yates jest zmartwiony ostatnimi wydarzeniami, ale jego wiara pozostała niewzruszona. Niepewność co do Boga to moja specjalność. On

zachowuje swą lojalność.

– O co teraz ksiądz się będzie modlił?

– O sprawiedliwość, rzecz jasna.

Wykrzywiam usta, bo wzbiera we mnie znów ta mroczna gorycz. To się chyba nigdy nie skończy.

– Moją sprawiedliwość czy boską?

– Nie muszę się modlić o Jego sprawiedliwość. Ona jest pewna. Więc chyba pomodlę się o twoją.

– Jesteśmy już blisko – mówi Callie, kiedy wracamy. – Wkrótce będziemy wiedzieć, kim są.

– Tak.

– Mieć taką wiarę jak ten człowiek... to musi być miłe.

– Tak myślę. Rozumiem, że ty jej nie masz?

Wybucham śmiechem i połykam pastylkę vicodinu, którą trzymała w dłoni.

– Wierzę sobie i kilku wybrańcom, a i to nie jest łatwe.

A-kurwa-men, myślę.

– A ty? – pyta Callie.

– Zapytaj mnie o to, kiedy go złapiemy. Powiem ci coś, jeśli przyrzekniesz, że nie będziesz chlapać ozorem.

– Ależ jesteś wredna – wzdycha. – No mów.

– Tommy i ja mamy razem zamieszkać. W całym tym zamieszaniu udało mi się to jakoś poukładać i przyznaję, że pewną rolę odegrał tu ksiądz Yates.

Milczy.

– Tak się cieszę, Smoky.

Słyszę w jej głosie ulgę, ślad po wielkim napięciu. Dziwi mnie to, ale zaczynam rozumieć, kiedy na nią spoglądam.

– Za bardzo się o mnie martwiłaś, Callie. Nic mi nie będzie.

– Bo... – Przetyka ślinę, otrząsa się i rzuca mi megawatowy uśmiech. – Bo właśnie po to między innymi są dobrzy przyjaciele.

Wyciągam do niej rękę, ale ją cofam. Intymne gesty wobec Callie to nie taka prosta sprawa.

– Złapmy tego zabójcę, przyjaciółko. To nas łączy.

Bez żadnych zahamowań.

Ksiądz Strain okazał się dość bystry – mówi Alan. – Kiedy wyjaśniłem mu, czego szukam i dlaczego, od razu sobie coś przypomniał. Kalekę. W parafii pojawił się facet na wózku. Pijak, który kiedyś wpadł pod samochód, wyszedł z tego sparaliżowany od pasa w dół. Nawiązał kontakt z Lisa Reid.

– Sprytne. Dlaczego jego nazwisko nie pojawiło się, skoro zniknął po morderstwie Lisy?

– Bo był cwany. Wymyślił jakąś bajeczkę o córce, z którą się pogodził. Kilka dni przed lotem Lisy miał polecieć do Kalifornii na spotkanie z dzieckiem. Podejrzewam, że poczekał u Ambrose'a na wyjazd Lisy, a potem poleciał za nią do Teksasu i z powrotem.

To wszystko trzyma się kupy i coraz wyraźniej widzę jego obraz: inteligentny, zdecydowany, zorganizowany. We wszystkich wcześniejszych przypadkach wysyłał „Andreę”, żeby zlokalizowała ofiarę. Ona była jego publiczną twarzą. Przy Lisie mógł się ujawnić. Musiał odczuwać ogromną satysfakcję.

– Alan, zamień się z Callie i sprawdź w AFIS odcisk palca, który przywieźliśmy od Zbawiciela. Callie, łap za telefon i zadzwoń do kryminologów z Wirginii Zachodniej. Niech pójda od razu do kościoła Straina i sprawdzą, czy tam też nie ma odcisku palca.

– Myślisz, że będzie na kielichu?

– Od tego bym zaczęła.

Nie mógł się oprzeć. Koniec ukrywania się, tak? Pewnie sam nie wiedział, że się uśmiecha, specjalnie zostawiając dla nas ślad.

– Mam! – krzyczy Alan.

Podbiegam do jego biurka. Na ekranie komputera widzę zdjęcie Andrei Prawdy. Jest na nim młodsza, ma krótsze włosy, ale bez wątpienia to ona.

– „Frances Murphy” – czytam. – Dlaczego jest w bazie?

– Z powodu kryminalnej przeszłości. – Przesuwa obraz w dół. – Proszę: aresztowana za napaść na księdza katolickiego. Akurat ten konkretny ksiądz został potem aresztowany za molestowanie dzieci i... zobaczmy... sędzia jej nie ułaskawił, bo nie była ofiarą księdza. Wolał chłopców.

– Jacyś wspólnicy?

Alan wciska klawisz i na ekranie pojawiają się trzy słowa, które zapierają mi dech w piersiach.

– „Brat Michael Murphy” – czytam na głos. – Sprawdź go.

Na ekranie pojawia się zdjęcie Michaela Murphy’ego. Męska wersja siostry o takich samych wielkich smutnych oczach. Jest dość przystojny, ale nie piękniświaty. Ma silną twarz i intensywną aurę. Na pewno nie ma problemów z kobietami.

– Też brał udział w napaści na księdza – zauważa Alan. – Dwadzieścia lat temu. Też nie dostał taryfy ulgowej. On też nie był molestowany.

– Co jeszcze?

Kilka stuknięć w klawisze i pojawiają się karty obojga rodzeństwa.

– Wyglądają podobnie – stwierdza Alan.

Lista występków zaczyna się w wieku osiemnastu lat i ciągnie się przez ponad cztery lata. Drobne kradzieże, pobicie, fałszerstwa czeków... nic wielkiego. Wyroki obojga urywają się mniej więcej w wieku dwudziestu dwóch lat. Poza napaścią na księdza nic później nie ma.

– Spójrz na daty urodzin – mówi Alan.

– 22 stycznia i... 22 stycznia? – Mrugam zaskoczona. – To bliźnięta.

– Myślicie, że dobrze będą wyglądać w takich samych więziennych mundurkach?

Głos Kirby mnie zaskakuje. Podeszła po cichu i stanęła za naszymi plecami. Tak byłam zaaferowana, że nie zauważyłam, jak wchodzi.

– Zabójczy duet bliźniąt? – mruczę pod nosem. – Ciekawe, jak to wygląda?

– To on dowodzi – mówi Kirby. – Spójrzcie na nią. Ma w oczach słabość. – W głosie Kirby słychać pogardę. – Trafiłam kiedyś na taki duet zabójców, brata i siostrę, w... no, nieważne gdzie. Zabijanie wyssali z mlekiem matki. Nawet tatuś był niezłym zamachowcem. To nawet miłe.

Patrzę na nią. Uśmiecha się.

– Rozumiem, rozumiem. Później pogadam z Callie. Miłej zabawy z Jasiem i Małgosią.

Odburkuję jej coś na odchodne.

Słabość? Przypominam sobie, jak Frances odgrywała Andreę, jak angażowała się w tę rolę, i nie mogę się zgodzić z oceną Kirby. Zastanawiam się, czy blizny na ręce były fałszywe? A może kiedyś w przeszłości sama się pocięła, żeby móc udawać niedoszłą samobójczynię? Prawdopodobna odpowiedź jest równie niepokojąca jak wszystko, co dotyczy tych dwojga.

– Znajdźmy ich, Alan.

Depczemy ci po piętach, Kaznodziejo. Pewnie dzieliliście z siostrą wszystko, ale umrzecie osobno. Dopilnuję tego.



– Wskanowali odcisk i już idzie do mnie e-mailem – mówi Callie. – Za chwilę porównam go z odciskami naszego pana Murphy’ego i będziemy mieli potwierdzenie.

– Alan, co z aktualnym adresem tych dwojga?

– Jeszcze ustalam.

Otwierają się drzwi do pokoju i wchodzi James z Jezebel. Oboje mają ponure miny.

– Dostaliśmy nową wiadomość od Kaznodziei. Oglądałem tylko początek, ale pokazuje twarz i gratuluje nam, że już wiemy, kim jest.

– Cholera jasna – mówimy jednocześnie z Alanem, spoglądając na siebie.

– Musiał obserwować kościół Zbawiciela – domyślam się. – Przeczuwał, że możemy się tam pojawić, a przecież zostawili tam odcisk palca.

– Myślisz, że zaczniesz uciekać? – pyta Alan.

– Nie wiem. Myślę, że chce zostać złapany, ale w tej sytuacji... – Wzruszam ramionami. – Może postanowili zmienić plany? James, obejrzyjmy ten film.

James siada, a my tłoczmy się wokół monitora.

Na początku nie ma napisów, nie ma eleganckiego montażu. Komunikuje się z nami prawie w czasie rzeczywistym. Kolejną różnicą jest to, że teraz pokazuje twarz.

Przyglądam mu się uważnie i widzę, że Michael Murphy jest spokojnym człowiekiem. Bije z niego pewność siebie. Robi to, co powinien, i nie kładzie się spać dręczony niepewnością, czy znajduje się po właściwej stronie. Jest spokojny, opanowany, szczęśliwy. Głos brzmi

niemal przyjaźnie.

„ – Doszło do mnie, że przedstawiciele organów ścigania, którzy mnie tropią, w końcu odkryli, kim jestem. Nawet sobie nie wyobrażacie, jaki jestem szczęśliwy z tego powodu. Wraz z siostrą czekaliśmy na tę chwilę przez dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat w ukryciu, dwadzieścia lat planowania, dwadzieścia lat poświęceń. Wielu zapyta: po co? Jeśli macie coś do powiedzenia, to czemu po prostu tego nie powiecie? Myślę, że odpowiedź na to pytanie jest oczywista. Spójrzcie na dzisiejsze społeczeństwo. Żyjemy w świecie, w którym ludzie odwracają się od koncepcji duszy, w ogóle o niej nie myślą. Ludzkość napawa się jedynie ciałem, a ciało, obawiam się, wierzy tylko w to, co widzi. Kiedy zaczniecie rozmawiać z ciałem o prawdzie, ciało siąknie tylko nosem i powie: »Prawda? Jaka prawda? Nie widzę prawdy. Widzę seks. Widzę narkotyki. Widzę sensację«. Wiedziałem, że jeśli mamy udowodnić naszą tezę i nawrócić ludzi na wiarę, to musimy im to pokazać. Muszą zobaczyć to na własne oczy, usłyszeć na własne uszy. Tylko wtedy będą w stanie zrozumieć sercem. I dzięki Bogu, udało się. Wpływ tego dzieła jest już widoczny. Na całym świecie rozgorzały dyskusje. – Podnosi kartkę ze stołu i zaczyna czytać. – „Kaznodzieja znów otworzył mi oczy i wiem, że mogę zlikwidować dystans, jaki dzieli mnie od Boga, dystans pełen kłamstw, których nie chciałem się wyrzec. Wysłuchałem jego słów i poszedłem do kościoła, żeby wyspowiadać się po raz pierwszy od dziesięciu lat”.

– Odrażające – mówi Callie, wydymając usta. – Wyspowiadałeś się też z tego, że przyznajesz rację mordercy?

Czuję w środku niepokój. Ja też poszłam do konfesjonału z powodu

Kaznodziei.

Odkupię to, kiedy go złapię.

„ – To jeden z wielu przypadków. Nie wszyscy oczywiście się ze mną zgadzają, ale chodzi o to, że o tym rozmawiają. Dyskutują o prawdzie, kłamstwie, grzechu, Bogu, spowiedzi i zbawieniu. Ogień znów został rozniecony, na chwałę Pana. Próby zablokowania mojego przesłania w dzisiejszym świecie są skazane na niepowodzenie. Kopie tego i innych moich filmów zostały nagrane na płyty CD i rozesłane do mediów, pisarzy, religioznawców i sceptyków z całego świata. To przesłanie można opóźnić, ale powstrzymać się go nie da”.

– Akurat tu ma rację – mówi James.

„ – Jestem pewien, że niedługo zostaniemy złapani wraz z siostrą”.

– I tu też ma rację – warczę.

„ – Cieszymy się na tę myśl. To następny krok na obranej przez nas ścieżce. Czas, byśmy zaczęli nauczać osobiście, byśmy mogli uczestniczyć w dyskusjach, wywiadach, odpowiadać na pytania. Ale nim to nastąpi, pomyślałem, że należy pokazać w praktyce to, czego nauczamy. Podejdz, Frances”.

Frances, którą poznałam jako Andreeę, pojawia się przed obiektywem kamery. Ona też wygląda spokojnie. Niemal promienieje. Wspólnie są bardziej atrakcyjni niż osobno, są jak światła i lustra odbijające nawzajem własny blask. Kobieta uśmiecha się do brata i odwraca się do kamery. Kaznodzieja mówi dalej:

„ – Frances i ja jesteśmy bliźniętami. Urodziliśmy się jako zdrowe dzieci, żyliśmy zdrowo, co jak zrozumiecie, było pierwszym darem od Boga. Bo życie mogło się potoczyć zupełnie inaczej. Mieliśmy trudne

życie, nie bez grzechu czy kłamstw. Kilka razy zdarzyło nam się zboczyć z bożej ścieżki. Czas, żebyśmy zrobili to, czego żądaliśmy od innych. Czas na naszą spowiedź”.

– Nie mogę się doczekać – mruczy Alan.

„– Nasz ojciec – zaczyna Michael – był katolickim księdzem”.

# **Grzechy Michaela i Frances Murphych**

Michael przycupnął za zasłonką i bardzo, bardzo ostrożnie przyłożył ucho do budki konfesjonału. W środku była pani Stevens, blondynka z wielkim biustem. Specjalnością pani Stevens były grzechy lubieżności, więc zapowiadało się naprawdę ekscytujące podsłuchiwanie.

Zamknął oczy i rozchylił nieco usta. Dopiero po chwili głosy zaczęły przenikać przez drewno.

– Proszę księdza, nie mogę powstrzymać się od dotykania. Przerwa. Michael wyobrażał sobie, jak ksiądz tłumi westchnięcie.

– A gdzie się dotykasz, moje dziecko? Świst nagle wciągniętego w płuca powietrza. Podoba jej się to pytanie, myśli Michael.

– Między nogami, proszę księdza. Pod majtkami i wewnątrz cipki. Michael otwiera usta jeszcze szerzej. Jaka ladacznica używa w konfesjonale słowa „cipka”?

Gani się od razu za własną hipokryzję. Hipokryzja to rodzaj dumy, a duma jest grzechem. Prawda jest taka, że słuchając tego wszystkiego, sam doznaje mocnego wzwołu. Na myśl o tym, jak pani Stevens (ta blondynka z wielkim biustem) dotyka się tam... kurczę, już sama myśl o niej w majtkach wystarczy, żeby zawrócić człowiekowi w głowie.

Minusem tej sytuacji jest oczywiście to, że będzie się musiał z tego wypowiadać. Będzie musiał się znowu przyznać, że ukrył się za zasłonką przy ścianie, że przyłożył ucho do konfesjonału i podsłuchiwał najbardziej intymne wyznania. Tym razem będzie musiał jeszcze wspomnieć o lubieżnych myślach, jakie temu towarzyszą.

Spowiedź jest tym trudniejsza, że trzeba wyznać wszystko własnemu

ojcu. Nie jakiemuś obcemu księdzu, ale własnemu ojcu. Ale nie ma wyjścia. Spowiedź to obowiązek i Michael nigdy nie pozwolił sobie na to, by nie wyznać grzechu niezależnie od tego, ile go to kosztowało. Zatajenie grzechu to bilet w jedną stronę do wiecznego potępienia. Michael wierzył w piekło. Żadna tajemnica nie była tego warta.

Podziwiał ojca między innymi za to, że potrafił całkowicie rozdzielić pracę kapłana od obowiązków ojcowskich. W życiu rodzinnym nigdy nie dał po sobie poznać, co sądzi na temat tego, z czego syn się spowiadał.

Kiedy Michael słuchał z ust pani Stevens coraz barwniejszego opisu grzechu masturbacji (była taka mokra, szeptała, taka bardzo, bardzo mokra), przez chwilę poczuł podziw i miłość do ojca. Tata był najwspanialszym, najbardziej przyzwoitym i honorowym człowiekiem, jakiego Michael znał. To była kwestia charakteru i Frank Murphy zdawał ten egzamin celująco. Nie potrzebował nawet koloratki, żeby to udowodnić.

To właśnie z powodu ojca Michael postanowił zostać księdzem. To także tata sprawił, że Michael chciał wejść w stan kapłański jako prawiczek. Kiedy zdobywał się na szczerą wobec siebie (a Michael cenił szczerą ponad wszystko), to owa obietnica wystarczyła, żeby zracjonalizować chwile takie jak ta. Skoro i tak miał nigdy nie zaznać dotyku kobiety, to czy naprawdę stanie się coś złego, jeśli tylko zajrzy do świata pani Stevens i w jej mokre białe majtki? Tylko zerknie, na chwilę?

To nic takiego, myślał, ale to i tak grzech. I trzeba się będzie wypowiadać.

Czasami zaskakiwała go cierpliwość ojca. Pani Stevens wcale nie wyglądała na skruszoną. W jej głosie słychać wręcz było podniecenie.

Choć Michael miał trzynaście lat, zdawał sobie sprawę, że w tym momencie kobieta grzeszy jeszcze bardziej, bo odczuwa podniecenie, spowiadając się z masturbacji przystojnemu księdzu, który przysiągł zachować celibat. Pewnie ma teraz mokro w majtkach.

Włosy łonowe tak jasne jak włosy na jej głowie, błyszczące wilgocią od chwili, kiedy westchnęła...

Ten obraz odpychał go i podniecał zarazem.

– Kto jest w środku?

Ten szept pewnie by go wbił w ziemię, gdyby nie wyczuł, że jego właścicielka się zbliża. Żadne z nich nie mogło się podkraść do drugiego. Nie wiedział czemu. Może dlatego, że byli bliźniętami.

Michael ostrożnie i z niechęcią oderwał ucho od konfesjonału, pilnując, żeby drewno nie skrzypnęło. Odwrócił się do siostry i uśmiechnął.

– Pani Stevens.

Skrzywiła się.

– Ta dziwka? Po co w ogóle ją podsłuchujesz? Siusiak ci od tego staje?

– drażniła się z nim.

– Nie – zaprotestował Michael szeptem. – Oczywiście, że nie.

Frances tylko się uśmiechnęła. Dobrze wiedziała, jaka jest prawda. Michael przypomniał sobie, że jedno drugiego nie było też w stanie okłamać.

Westchnął i wzruszył ramionami.

– Pójdę do spowiedzi.

– Dobrze.

Wiedział, że na tym koniec. To, co ich łączyło, to, czego był najbardziej pewien w życiu poza wiarą, to miłość siostry, niezależnie od



wszystkiego.

– Chodźmy stąd – szepcze.

Odchodzą od konfesjonału jak mistrzowie złodziejskiego fachu. Wracają na plebanię do swego wspólnego pokoju. Pokój nie jest duży. Można by go nawet nazwać skromnym, ale dla nich to dom.

Pomieszczenie jest przedzielone zasłoną zwisającą z sufitu, którą mogą zaciągać w razie potrzeby. Ojciec założył tę zasłonę, kiedy Frances zaczęły rosnać piersi.

– To jest ściana – powiedział. – Ściana bez drzwi. Kiedy ją zaciągniecie, tylko ten, kto ją zaciągnął, może ją odsłonić. Rozumiecie?

– Tak, ojcze – odparli, nie do końca wtedy rozumiejąc, po co to wszystko. Teraz rozumieli lepiej. Michael masturbował się czasem w nocy, kiedy Frances zasypiała. Walczył z tą pokusą, ale bywała nie do pokonania. Gdzieś w głębi, w mrocznej jamie, do której jeszcze nie był gotów zajrzeć, jakoś bardziej podniecało go robienie tego, kiedy czuł, że obok leży jego siostra, na wyciągnięcie ręki, ale niedotykalna. Próbował zachowywać się cicho, ale wiedział, że czasami zdarzało mu się westchnąć głośniejszy, niż powinien. Może go wtedy słyszała? Może tak. Tak. Może słyszała.

On też ją słyszał. Późno w nocy, kiedy pewnie myślała, że on śpi, słyszał jej ciche westchnięcia i stłumione jęki. Wiedział, że na pewno się dotyka. Najpierw go to zszokowało, potem zaintrygowało, a potem pojawiło się coś, na co nie chciał patrzeć.

Nigdy w życiu nie dotknąłby siostry, nawet za milion lat, ale kiedyś przyznał się jej do czegoś.

– Nigdy nie będę uprawiał seksu – powiedział. – Ale... gdybym miał to

zrobić, to tylko z kobietą taką jak ty, Frances.

– Wiem – powiedziała i uśmiechnęła się. – Czuję to samo.

Ktoś mógłby powiedzieć, że to nienormalne. Dla nich była to miłość i starali się nie spoglądać jej głębiej w oczy. Zresztą, nigdy do niczego nie doszło.

Frances chciała zostać zakonnica. Taki miała plan. Ciężka, bardzo ciężka była myśl, że przez to będą musieli się rozdzielić, ale czyż Bóg nie wymaga od wiernych także cierpienia?

Wszystko miało swoją przyczynę i oboje w to wierzyli. Ojciec też miał siostrę bliźniaczkę. Ojciec nie poszedł do seminarium jako prawiczek. Przespał się z kobietą, a ona zaszła w ciążę. Umarła przy porodzie. Nie było to łatwe, ale jak zawsze ojciec podołał zadaniu, jakie postawił przed nim Bóg.

Wychował ich i przekonał Kościół, żeby przyjęli go do seminarium. Jego siostra, ciotka Michelle, opiekowała się nimi, kiedy ojciec studiował w seminarium. Kiedy wrócił już jako wyświęcony ksiądz, zabrał ich do siebie, a ciotka Michelle poszła do klasztoru i została zakonnica.

Owszem, zdawali sobie sprawę, że nie było to zwykłe życie, ale ojciec był dobrym ojcem. Miłym, mądrym, surowym, ale sprawiedliwym. Wychował ich przede wszystkim w miłości do Boga, ale żądał też, żeby weryfikowali wiarę za pomocą intelektu, posyłał ich do publicznych, nie prywatnych szkół i dawał im zakosztować grzesznego świata poza murami kościoła.

– Na tym świecie jest o wiele więcej ludzi, którzy nie wierzą w Boga, niż tych, którzy wierzą – mówił im. – Jeśli chcecie głosić Słowo Boże tym, którzy nie wierzą, musicie ich zrozumieć. Ze zrozumienia rodzi się

współczucie, ze współczucia miłość, a miłość to najlepszy sposób, żeby wprowadzić Chrystusa do serca grzesznika.

Michael i Frances zrobili to, co im kazał, i wspólnie wkroczyli do tego świata. Patrzyli nań jak dwoje żołnierzy wysłanych na misję. Trzymali się razem, niewiele udzielali towarzysko, ale też nie byli odludkami. Oboje byli tak atrakcyjni, że wybaczano im wszelkie dziwactwa. Michael odrzucał awanse dziewczyn, a one coraz bardziej za nim szalały, kiedy zaś Frances lekceważyła zaloty chłopców, utwierdzali się w przekonaniu, że jest najbardziej pożądaną istotą na ziemi.

Nie mieli prawdziwych przyjaciół w szkole, tylko znajomych, i to im odpowiadało. Zadowoleni byli z drogi, jaką przed sobą widzieli, i nie mieli wątpliwości co do własnej przyszłości.

Ojciec i ciotka Michelle byli bliźniętami i zostali księdzem i zakonnica. Frances i Michael też byli bliźniętami i czekał ich ten sam los. Czy trzeba wyraźniejszego znaku od Boga?

Usiedli na łózkach, żeby odrobić pracę domową. Michael ze zmieszaniem spostrzegł, że wciąż ma erekcję. Obraz pani Stevens był bardzo żywy. Zerknął na siostrę i z przerażeniem zobaczył, że mu się przygląda.

Ona wie. Zawsze wie.

Podnieciło go to, zniesmaczyło, przepełniło winą i czymś o wiele mroczniejszym.

Na twarzy malowała jej się podejrzliwość. Uśmiechnęła się i sięgnęła po zasłonę. Zanim ją zaciągnęła, odezwała się:

– Koniecznie idź jutro do spowiedzi. Przełknął ślinę i skinął głową.

– Pójdę.

– Kocham cię, Michael.

– Ja też cię kocham.

Frances zaciągnęła zasłonę.

Wszystko się zmieniło, kiedy Michael i Frances mieli po szesnaście lat.

Nic nie wskazywało na to, że ich świat za chwilę rozpadnie się na drobne kawałki. Świat – i Bóg – potrafił być obcy i okrutny. Michael zawsze o tym wiedział i godził się z tym, póki nie przydarzyło się to właśnie jemu.

Spali już, kiedy Michaela obudziły jakieś głosy. Rozejrzał się i zobaczył, że Frances nadal śpi. Wiele lat później zastanawiał się, dlaczego się wtedy obudził. Zrozumiał, że to Bóg kazał mu się ocknąć, bo Bóg miał plan.

Głosy nie były zbyt donośne, ale słyhać w nich było napięcie. To, że ktoś w ogóle rozmawiał, było dziwne – dochodziła druga w nocy. Ojciec chodził spać o wpół do dziesiątej i budził się o wpół do piątej rano.

Michael wstał z łóżka i podszedł do drzwi. Przyłożył do nich ucho, tak jak wielokrotnie przykładał je do konfesjonału. Zamknął oczy i nasłuchiwał.

Jeden z głosów należał do kobiety i brzmiał dziwnie znajomo, choć nie mógł skojarzyć, kto to. Drugi głos należał do ojca.

– Nie muszą wiedzieć! – szeptał ojciec. – Nie ma powodu. To był nasz grzech, nasza tajemnica. Nic im nie jest, są zdrowi i oboje zamierzają prowadzić pobożne życie, poświęcić się Bogu. Po co ich tym obciążać?

– Frank, Bóg do mnie przemówił. Od szesnastu lat modłę się do Niego, błagając o przebaczenie. Mam odciski na kolanach od modlitwy. I w

końcu odpowiedział. Wiesz co? Powiedział tylko jedno słowo: prawda. Usłyszałam je w sercu, było donośne jak dzwon. Bóg jest miłością, pamiętasz, Frank? Miłość może pochodzić tylko z prawdy. Początkowo zgodziłam się to ukryć, bo się wstydziłam. Byłam pewna, że Bóg mi nigdy nie wybaczy. Ale przemówił do mnie, powiedział, że mi wybaczy. Muszę go tylko posłuchać i powiedzieć prawdę.

– Słyszysz głosy! Naprawdę uważasz, że Bóg chciałby zniszczyć im życie, mówiąc prawdę, mówiąc, że jesteś ich matką?

Michael odskoczył od drzwi, jakby przycisnął ucho do rozgrzanego żelazka. Co on powiedział? Matka. Powiedział „matka”. Ileż to razy naciskali na ojca, pytali go o matkę.

Zmarła przy porodzie, odpowiadał. Jest teraz z Bogiem, to właśnie z jej powodu wstąpiłem w stan kapłański. Zostawmy to.

Pewnego dnia przestali pytać, ale nigdy nie przestali się zastanawiać. I dlatego ten kobiecy głos brzmiał tak znajomo?

– Co się dzieje?

Wzdrygnął się w ciemności. Za plecami stanęła siostra. Zdał sobie sprawę, że drży.

– Michael?

Objęła go rękoma w pasie i przytuliła, opierając policzek o łopatki. Michael nadal drżał, ale mimo strachu i tak czuł jej małe piersi na plecach. W duchu ganił się za to.

Pożądanie to dzieło szatana, a szatan jest niezmordowany.

– O... ojciec z kimś się kłóci. Z kobietą. Słyszałem, jak mówi, że jest naszą matką.

Ciało Frances zesztyniało.

– Co?

Chciał się odwrócić. Chciał się odwrócić i powiedzieć jej, żeby o tym zapomniała, że powinni wrócić do łóżka, zasnąć, a następnego dnia obudzić się, myśląc, że to tylko sen. Ale nie mógł się odwrócić. Dostrzegłaby jego pożądanie.

Szatan jest niezmordowany...

– Tak mówili. Sama posłuchaj.

Frances nadal go obejmowała i oboje nasłuchiwali. Nie mógł się nadziwić przebiegłości szatana. Był przerażony tym, co mogą usłyszeć, rozgniewany tym, co już usłyszeli, trochę kręciło mu się w głowie, próbował usłyszeć coś jeszcze, ale nie chciał tego słyszeć. I w całym tym zamieszaniu wciąż czuł na swoich plecach te małe piersi, dotyk najprawdopodobniej (znowu to pożądanie) jej sutków. Lucyfer na pewno potrafił chodzić i jednocześnie żuć gumę, bez wątpienia.

– Zabraniam ci! – szeptał rozgniewany ojciec Michaela. Cisza.

Kobieta mówiła spokojnym, opanowanym i pewnym głosem. Nadal nie mógł rozpoznać kto to. Szept to utrudniał.

– Frank, nie możesz mi zabronić tego, co nakazał mi Bóg. Jestem ich matką i Bóg powiedział, że czas, by dowiedzieli się wszystkiego.

Kiedy Frances zaczerpnęła gwałtownie powietrza, Michael wiedział, że oznacza to coś bardzo złego. Na chwilę wtuliła twarz w jego plecy i jęknęła. To był głos przerażenia. Puściła go i poczuł, jak się odsuwa. Odwrócił się i zobaczył, że Frances ma twarz bladą jak ściana, oczy tak rozszerzone, że za chwilę wypadną z orbit. Do ust wepchnęła sobie pięść, żeby stłumić jęczenie. Wskazała drżącym palcem na drzwi, ale nie potrafiła wydusić z siebie nic spójnego.

– Frances? Co się stało?

Wyciągnęła pięść z ust. Ze zdumieniem zobaczył, że zacisnęła na niej zęby tak mocno, że w kilku miejscach przegryzła skórę do krwi.

– To... – szeptała, wciąż przerażona. – Nie rozpoznałeś jej głosu? – Zaczęła ciągnąć się za włosy. Kilka kosmyków zostało jej w ręku. – Nie rozpoznałeś jej głosu?

Michael chwycił ją za nadgarstki, żeby nie zrobiła sobie jeszcze większej krzywdy. Uwielbiał jej włosy. Włosy i oczy czyniły ją piękną.

– Frances! Weź się w garść!

Wyrwała mu się i usiadła pod ścianą. Podciągnęła kolana do piersi i oparła o nie głowę. Zaczęła się kołysać w przód i w tył.

– Idź i zobacz. Sam zrozumiesz. Ledwo ją słyszał.

Ale gdzieś z mrocznej głębi coś zaczęło w nim płynąć do góry. Coś, co sprawiło, że na czoło wystąpił mu tłusty pot.

Ostatni raz spojrzął na siostrę i otworzył drzwi. Podreptał korytarzem w stronę głosów, które dochodziły z kaplicy. Pocił się coraz bardziej i zaczął biec, bo ta mroczna zjawą zaczęła przedzierać się w górę z ogromnym impetem. Chciał dobiec na miejsce, nim to coś wypłynie na wierzch, żeby udowodnić, że to nieprawda, nieprawda, nieprawda...

Wpadł do kaplicy boso i w białiznie, cały spocony i drżący jak nagi człowiek podczas śnieżnej zamieci.

Mroczna zjawą przebiła się na powierzchnię, rechocząc ze śmiechu.

Widzisz? Pyta. Widziiiiiszszszszs?

Rzeczywiście zobaczył. Zobaczył ojca, wspaniałego i honorowego Franka Murphy'ego stojącego obok kobiety, która przedstawiła się jako ich matka.

Kobieta była zakonnica. Znał ją bardzo dobrze. To ciotka Michelle.



Mój ojciec i moja matka byli rodzeństwem, bliźniętami, tak jak my z siostrą. Przespali się ze sobą, a my jesteśmy tego owocem. – Minę ma smutną, pochmurną, ciężką. – Postanowili ukryć ciążę matki. Nie było to takie trudne. Oboje mieli po osiemnaście lat. Upili się i dali zwieść szatanowi. Jak opisać to, co czuliśmy? Dwoje najbardziej przez nas szanowanych ludzi na świecie przez całe życie nas okłamywało. Zostaliśmy poczęci z grzechu kazirodztwa. Byliśmy owocem zakazanego związku. Tamtej nocy zapytałem ojca, czy kiedykolwiek wyspowiadał się z tego grzechu. Przyznał, że nie. – Mina Murphy’ego wyraża niedowierzenie. – Wyobrażacie sobie? Zataił ten grzech, skazał się na ogień piekielny. Dlaczego? Żeby nas chronić? Nie. Każdy ksiądz, któremu wyznałby ten grzech, dochowałby tajemnicy. Zrobił to, bo się wstydził. Z wielu rzeczy, które słyszałem, to było dla mnie nie do przebaczenia. Nie kazirodztwo, choć to wielki grzech. Nie okłamywanie mojej siostry i mnie, nawet to jestem w stanie zrozumieć. Nie potrafiłem mu jednak wybaczyć oszustwa wobec Boga. Powiedzieli nam, że poświęcili życie Bogu i wychowali nas w bojaźni bożej w ramach pokuty za swój grzech. Nie mogłem tego słuchać, bo najważniejsze było to fundamentalne oszustwo. Rano uciekliśmy z siostrą z kościoła. Ojciec próbował nas zatrzymać, ale go pobiłem. – Uśmiecha się krótko. – Nie, nie zabiłem go. Zmarł na raka dziesięć lat temu. Nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek wyznał swój grzech. Mam nadzieję, że tak”.

– Ona w ogóle się nie odzywa – zauważa Alan.

– To on dowodzi – odpowiadam. – To jego przedstawienie.

To popularne zachowanie w zespołach seryjnych zabójców. Jeden zawsze dominuje, prowadzi rozgrywkę, racjonalizuje zachowania. Kirby nie myliła się aż tak bardzo.

„– Przyznaję, przez wiele lat mieliśmy kłopoty. Zbłądziliśmy. Jednak nigdy nie przestaliśmy się kochać. – Siostra kładzie mu rękę na ramieniu. Sięga do niej i mówi dalej, trzymając jej dłoń. – Do Boga wróciliśmy dopiero po jakimś czasie. Nie będę was teraz zanudzał szczegółami. Na pełną opowieść przyjdzie czas później. Najważniejsza jest teraz prawda: wróciliśmy do Boga. Uświadomiłem sobie, że nasze życie legło w gruzach z powodu kłamstwa, odmowy ujawnienia wszystkiego przed Bogiem, odmowy spowiedzi, która przynosi zbawienie.

Od tamtego czasu stosujemy wobec siebie samych zasadę prawdy, bez litości i zahamowań. Przyznałem, że siostra pociągała mnie seksualnie. Ona zrobiła to samo. Odpokutowaliśmy nasze czyny, także to, że omal nie poszliśmy w grzeszne ślady naszych rodziców. I znów zrozumieliśmy, jaki cel wyznaczył nam Bóg”.

Zerka na siostrę, ona spogląda na niego. Uśmiechają się. To straszny obraz, bo kreują się na świętych. Potwory z aureolami i krwią na zębach. Po chwili znów patrzą w kamerę.

„– Bóg poddał nas próbie od chwili poczęcia. Dał nam powód, byśmy w niego zwątpili. Doświadczył nas zdradą, zwątpieniem i cierpieniem. Chciał mieć pewność, że jesteśmy dość silni. Bóg sprawdza w ten sposób wszystkich swoich proroków.

Zrozumiałem, że twarz mojego ojca widać u wielu ludzi. Człowiek święty, poświęcający życie Bogu i innym. Godna podziwu dusza, która mimo to gotowa jest skazać się na wieczne potępienie, bo postanawia

ujawnić Część swoich tajemnic, ale nie wszystkie. Mój ojciec przyznał się, że ma dzieci z nieprawego łoża, ale nie wyznał całej prawdy – że spał z własną siostrą. Zrozumiałem, że mamy obowiązek pokazać innym pełne światło Boga i dopilnować, by zrozumieli, że Bóg przyjmuje tylko całą prawdę. Wyznajcie wszystko, żałujcie szczerze za grzechy, poproście go o wybaczenie, a oczyści was z grzechu. Ale jeśli na dziesięć grzechów wyznacie dziewięć, a jeden zataicie, będziecie płonąć w piekle na wieki. Całe nasze życie poświęciliśmy temu dziełu. Nie było łatwo. Nie zabijaj – to jedno z podstawowych bożych przykazań. Ale wszyscy, których zabiliśmy, wyznali swoje grzechy, i wszyscy, poza jedną osobą, szczerze ich żalowali. Jak inaczej moglibyśmy się o nich dowiedzieć? Wybieraliśmy tylko te dusze, które wyznały grzechy księdzu podczas spowiedzi świętej. Poza jednym wyjątkiem byli to męczennicy, z przebitym bokiem jak Chrystus na krzyżu, a ci, którzy wyrazili skruchę, siedzą teraz po prawicy Pana. – Milknie na moment. – Wyjątkiem jest oczywiście dziecko. Nie mam wątpliwości, że spała się teraz w piekle. Zginęła, żeby udowodnić kolejny element świętego sakramentu: skruchę. Dzięki tym śmierciom miliony ludzi rozumieją że nie są sami, że wszyscy nosimy w sobie wstydlive rzeczy. Wszyscy mamy ciemniejszą stronę i musimy się do tego przyznać, jeśli chcemy doświadczyć pełni bożej miłości. A ta miłość jest zaiste cudowna. Bóg przejawia się w wielu rzeczach, ale przede wszystkim Bóg jest miłością” – mówi.

Widać tu pierwszy ślad szaleństwa. Jest subtelny. Pewien błysk w oczach, wyższy ton głosu. Ale widać to. Za tym kryje się prawdziwa natura tego, co robi i dlaczego. Wstyd z powodu okoliczności poczęcia, zdrada osób, którym najbardziej ufali, wszystko to w religijnym smrodku,

w którym się wychowywali. Nieważne, jak kwieście się wyraża, jak starannie to wszystko racjonalizuje. Seryjne morderstwo to emanacja podświadomego gniewu. Nie ma od tego wyjątków.

Zastanawiam się znów nad tym, że wszystkie ofiary były kobietami i dociera do mnie, że Callie miała rację, mówiąc o syndromie Madonny i kurwy. Michael Murphy obwiniał bardziej swoją ciotkę/matkę niż ojca, i kobiety przypłaciły to życiem.

„ – Ten etap naszej pracy dobiegł końca. Jesteśmy gotowi na następny krok na ścieżce, którą wytyczył nam Bóg. Odszukajcie nas. Jesteśmy gotowi. Pójdziemy dobrowolnie, nie będziemy się bronić”.

Zaciemnienie.

– Czyż to nie urocze? – mówi Callie z wyrzutem w głosie. – Biedne maleńkie dzieciaczki. Tatuś okazał się dupkiem, witajcie w klubie.

W zasadzie zgadzam się z jej reakcją tak jak wszyscy. Życie bywa ciężkie, nawet okrutne i niesprawiedliwe. Ale to nie powód, żeby podnosić rękę na drugiego człowieka. Dyskusja o tym, czy większy wpływ na nas ma wychowanie, czy to, jacy się rodzimy, trwa od lat i będzie trwać. Moim zdaniem jest sporo prawdy w tym, że potrzebne jest dobre otoczenie. Nasza przyszłość kształtuje się w zależności od naszych doświadczeń z dzieciństwa. Statystyka przekonuje nas o tym zbyt dobitnie.

Okolo jednej trzeciej molestowanych dzieci sama potem molestuje. Ale co z pozostałymi? Z wszystkimi tymi gwałconymi, źle traktowanymi, bitymi i zdradzonymi, którym udaje się wieść potem normalne życie? Doświadczenia z dzieciństwa prześladują ich na zawsze, być może wykrzywają im psychikę na stałe, ale mimo to starają się żyć przyzwoicie. Każdej ofierze molestowania w dzieciństwie, która potem jako dorosły

sama zaczyna molestować, można przeciwstawić przykłady ofiar, które zostają dobrymi i kochającymi rodzicami. Co ich różni? Czy niektórzy po prostu rodzą się ze zdolnością do noszenia większego brzemienia niż inni?

Michael i Frances dostali od życia mocno w kość, to prawda, ale przecież można się było z tego podnieść. Słyszałam o wiele straszniejsze opowieści. To, że swoim nieszczęściem zdołali usprawiedliwić dwadzieścia lat morderstw, jest dla mnie bardziej dowodem słabości i winy niż powodem do współczucia.

– Nie obchodzi mnie, dlaczego to zrobili – mówię. – Chcę ich wsadzić do więzienia.

– Jestem za – popiera mnie Alan.

Ostatecznie ocala nas właśnie prostota. Próby szukania przyczyn, zgłębienia tej mrocznej otchłani to jak wąż zjadający własny ogon. W końcu i tak nie dociera się do prawdy, a pożera się jedynie samego siebie. Kiedyś trzeba przestać dociekać dlaczego i przyjąć, że naszym zadaniem jest usunąć ich ze społeczeństwa. Z niektórymi jest łatwiej niż z innymi.

– Ustalmy ich obecny adres i spełnijmy ich życzenie – proponuję.

Minęła godzina, od kiedy wypadki zaczęły toczyć się z zawrotną szybkością. Siedzimy w naszym biurze z wicedyrektorem Jonesem i oddziałem antyterrorystycznym FBI.

Szefem oddziału jest Sam Brady, narzeczony Callie. Brady ma czterdzieści kilka lat, jest szczupłym, wysokim mężczyzną, około metra dziewięćdziesięciu. Włosy ma krótko ostrzyżone, siedzi z poważną miną, jak przystało na zawodowca. Widziałam go już w różnych sytuacjach i wiem, że jest spokojnym człowiekiem. Kocha Callie cichą, ale głęboką

miłością i zdaje się, że do wszystkiego w życiu podchodzi w podobny sposób. Jest twardym jak skała prawdziwym mężczyzną, który w ogóle nie boi się Callie.

Brady obejrzał ostatni film Kaznodziei.

– Nie zalecałbym wchodzenia w pełnym rynsztunku – mówi. – Nie jestem specjalistą, ale mam wrażenie, że chcą, żeby ich aresztować. Wręcz się tego domagają.

– Zgadza się – odpowiadam. – Ale nie czuję się na tyle pewnie, żeby podejść i po prostu zapukać do drzwi. Myślę, że powinniśmy otoczyć dom i namówić ich do wyjścia telefonicznie albo przez megafony. Jeśli zechcą wyjść spokojnie, to niech wychodzą. Jeśli nie... – Wzruszam ramionami. – Czas na gaz łzawiący.

Brady rozważa to i kiwa głową.

– Zwołam swoich ludzi. Dajcie nam dwadzieścia minut.

– Spotykamy się na parkingu.

Sprawdzam broń i przygotowuję się psychicznie. Tak jak wszyscy.

– Słuchaj – odzywa się Alan, sprawdzając blokadę pistoletu. – Czy jeśli grozi ci kara śmierci i przyznasz się do winy, to jest to samobójstwo?

– Moim zdaniem oni będą przekonani, że to męczeństwo.

Alan wkłada broń do kabury i wzdycha.

– No tak. Myślisz, że naprawdę zechcą wyjść dobrowolnie?

– Tak mi się wydaje. Ale pewności nie mam.

Samobójstwo – z ręki własnej albo policjanta – to częsty wybór przestępców przypartych do muru. Większość liczy się od samego początku z tym, że zginą, jeśli ktoś wpadnie na ich trop.

– Dziwne, że mieszkają w Valley – ciągnie Alan. – Pewnie przejeżdżaliśmy obok ich domu raz czy dwa i nic nawet nie podejrzewaliśmy.

Odzywa się komórka Jamesa. Odbiera, słucha i marszczy czoło.

– Co takiego? – pyta. Twarz mu blednie. – Wyślijcie mi to natychmiast.

– Co jest? – pytam.

– Suka – mówi pod nosem, ale jakoś dziwnie. Bardziej z rezygnacją niż obraźliwie.

– James?

Patrzy na mnie.

– Kirby dotarła tam pierwsza. Dopadli ją.

Kirby pojawia się przed kamerą. Jest naga i przywiązana do krzesła. Michael Murphy stoi obok. Jest wściekły.

„ – Mówiłem, że poddamy się dobrowolnie! Nie liczyłem, że to przyjmiecie do wiadomości, ale sądziłem, że przynajmniej będziecie szanować prawo. – Bierze głęboki oddech. – Jestem bardzo, bardzo rozczarowany.

– Na litość boską, zaaaaaaamknij się – mówi Kirby, przewracając oczami”.

– Cholerna głupia gówniara – mruczy Brady pod nosem. – Nie potrafi trzymać języka za zębami.

Wezwałam go z powrotem, kiedy zobaczyliśmy, co się stało.

Michael staje przed nią. Widzimy tylko jego plecy i nogi.

„ – Nie masz prawa wzywać imienia Pana nadaremno – mówi.

– Cmoknij mnie, fagasio – odpowiada Kirby. – Twój Bóg też może mnie cmoknąć. W sam środek”.

Spinam się, bo spodziewam się, że uderzy ją na odlew. Ale Murphy bierze zamach i uderza ją w twarz zaciśniętą pięścią. W głośnikach komputera słychać plaśnięcie skóry o skórę i Kirby przewraca się do tyłu wraz z krzesłem.

– A to pojeb – szepczę.

Kamera stała bez ruchu. Teraz zaczyna się poruszać, nieco się przy tym trzęsie. Pewnie Frances musiała ją zdjąć ze statywu. Robi zbliżenie na twarz Kirby. Dziewczyna leży na podłodze z desek, blond włosy rozsypały się wokół jej głowy. Trudno jej wyostrzyć wzrok. Usta ma pęknięte w



dwóch miejscach, a z lewego policzka płynie jej po brodzie strużka krwi. Kręci głową, żeby się otrząsnąć, i wybucha śmiechem.

„ – Bijesz jak baba”.

– Och, Kirby – odzywa się Callie. – Ty kretynko. Zamknij się wreszcie. Nie zamknie się, myślę. Taka już jest.

Michael łapie ją za włosy i ciągnąc za nie, sadza z powrotem na krześle. Kirby odwraca głowę w prawo i wypłuwa krew z ust. Kiedy znów patrzy w kamerę, widać jej zimne, okropne oczy zabójcy.

„ – Zabiję ciebie i twoją siostrę – grozi. – Chcę, żebyś o tym wiedział. I nikt mnie tu nie wysłał. Jedna z osób, które zamordowałeś, była moją starą przyjaciółką. – Uśmiecha się. Zęby ma czerwone od krwi. – Pomyślałam, że odplacę ci pięknym za nadobne.

– Morderstwo to grzech – gani ją Michael. – My zabijaliśmy w imię Boga. Jeśli zabijesz z zemsty, pójdziesz do piekła”.

Naprawdę? – myślę. A co z Ambrose'em, którego zamordowaliście wyłącznie dla tożsamości? To też w imię Boga?

Szkoda nawet pytać. Na pewno odpowiedziałaby „tak”.

Kirby wzrusza ramionami.

„ – Mam to gdzieś. I jestem dobra w tym fachu. – Kolejny uśmiech zakrwawionych zębów i pękniętych ust. – Przekonacie się.

– Naprawdę przyjechałaś tu sama? – pyta Michael.

– Działam w pojedynkę, dupku. Zawsze.

– Na swoje nieszczęście – mówi Murphy – przeoczyłaś zapasową kamerę monitoringu. Czekaliśmy na ciebie, kiedy weszłaś.

– No i co. Nikt nie jest doskonały. Ale powinniście byli mnie zabić. Paralizatory są dla mięczaków.

– I tak zwał cię z nóg – prycha Frances.

Kirby uśmiecha się.

– Zwał z nóg, ale nie zabił, idiotko. Popelniliście błąd.

– Jak się nazywasz? – pyta Michael.

– Skoro macie religijnego świra, to może mówcie do mnie... Ewa. – Chichocze. – Zawsze podziwiałam jej styl, wiecie? Zjadła jabłko. Mniem.

– Bardzo dobrze. Czy jesteś katoliczką, Ewo?

Przewraca oczami.

– W istoty wyższe wierzą ofiary losu. Ja wierzę w spluwy, dobre piwo, masturbację, kiedy nie mam nikogo pod ręką, i fajnego twardego fiuta, kiedy mam pod ręką faceta. – Mruga do niego. – Wiecie, co mam na myśli.

– Bluźniercza suka – rzuca Murphy.

– Ależ dziękuję, dupku.

– Przestań do mnie tak mówić, Ewo. Mam na imię Michael.

– Nie. Dupek lepiej do ciebie pasuje.

Murphy wzdycha.

– Widzę, że niełatwo będzie nakłonić cię do spowiedzi, Ewo.

– Oooo, torturki? Zajebicie”.

– Dlaczego ten film się nie kończy? – pytam.

– Bo to nie film – mówi James. – To transmisja na żywo.

– Sam? – zwracam się do Brady’ego. – Musimy tam natychmiast jechać. To już twoja działka. Macie jakieś procedury na takie sytuacje?

Sam przygląda się obrazowi w komputerze.

– Wygląda na to, że są w salonie. – Bierze plan domu z biurka. – Są tylko dwa wejścia. Od frontu i od tyłu. – Podpiera brodę i myśli. –

Wrzucamy granaty oślepiające przez okna od frontu i wchodzimy przez frontowe i tylne drzwi. Idziemy na całego i zdejmujemy ich, póki nie wyjdą z szoku. Najprostsze plany są najlepsze. Im bardziej zaczniemy kombinować, tym większa szansa, że coś się spieprzy. – Wskazuje głową na komputer. – Miło, że dali nam podgląd na żywo. Przyda się. Zabierzemy ze sobą laptopa z bezprzewodowym Internetem i wejdziemy w najodpowiedniejszej chwili.

Plan brzmi dobrze. Zerkam na wicedyrektora Jonesa.

– Szefie?

– Do roboty. Zabijcie ich, jeśli będzie trzeba. I dopilnujcie, żeby nikt nigdy nie zobaczył tego filmu. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby w tak głośnej sprawie pojawił się zabójca w rodzaju Kirby Mitchell.

– Mam w laptopie szybki modem komórkowy – mówi Callie. – Potrzebuję tylko adresu do strony z tą transmisją.

– Zaraz dostaniesz – mówi James.

Brady kiwa głową.

– Spotykamy się na parkingu.

„ – Zanim skończę – mówi Michael do Kirby – doświadczysz cudu spowiedzi przed Bogiem. Przekonasz się, jakie to uczucie oczyścić się z kłamstw. Prawda to światło, Ewo, światło, z którym nie może się równać nic innego.

– No dawaj, dupku. Ale przestań mnie już bić po twarzy. Chcę móc jeszcze umówić się kiedyś na randkę, rozumiesz?”

– Jedziemy – mówię. – Jeśli dalej będzie tak z nim rozmawiać, to nie zostało jej wiele czasu.

Zacznij od czegoś drobnego, Ewo. Czasami tak jest najlepiej. Zacząć od drobiazgów i stopniowo przechodzić do tego, co najbardziej wstydlive. Zdobędziesz się na to?”

Siedzimy wszyscy w tym samym aucie. Alan prowadzi, jedzie za furgonetką Brady’ego i jego oddziału. Ja trzymam na kolanach laptop.

Kirby uśmiecha się.

„ – Jasne. Mam coś dla ciebie.

– Tak? – Wygląda na zadowolonego, może nawet nieco zdziwionego, że tak łatwo się poddała.

– Moje pierwsze obciążanie.

Michael kiwa głową.

– Pożądanie, seks oralny. Bardzo dobrze. Mów.

– No więc był taki jeden naprawdę miły chłopak, prawdziwe ciacho, wiesz? Słyszałam, że ma wielkiego fiuta i choć widziałam je już na zdjęciach, to nie widziałam jeszcze ptaszka na własne oczy. Takiego napęczniałego, rozumiesz?

– Tak, tak, mów dalej. – Najwyraźniej nie ma ochoty na zbyt szczegółowe opisy.

– No nieważne. Powiedziałam mu, że chcę zobaczyć tę jego wielką parówkę i tak się złożyło, że zechciał mi ją pokazać. – Przewraca oczami. – Faceci są pod tym względem naprawdę zabawni. Miał samochód, więc wymknęłam się wieczorem i spotkałam się z nim pod domem. Pojechaliliśmy na parking niedaleko plaży. Powiedziałam, żeby wypuścił tego ptaka, niezły dowcip, co? Okazało się, że w opowieściach ktoś mu

dodał parę centymetrów. No wiesz, nie był taki mały, ale obciągałam już większe.

– Do rzeczy, proszę.

– Był naprawdę śliczny. Z taką główką jak żołnierski hełm, cały wymyty i błyszczący, stojący na baczność. »Sierżant Kutas gotów do służby, szanowna pani!« – Chichocze.

– Ta dziwka marnuje tylko twój czas – odzywa się Frances zza kamery.

– Zaraz, przecież to mój grzech, prawda? Jeśli tylko powiem całą prawdę, to chyba nie ma znaczenia, jak ją opowiadam.

Michael kiwa głową.

– Słusznie, Ewo. Mów dalej.

– No dobra. Stwierdziłam, że czas zabawić się w indyka, no wiecie: gul, gul, gul! Otworzyłam szeroko buzię i wpuściłam pociąg do tunelu. A wtedy on zaczął wrzeszczeć.

Nastaje chwila ciszy. Michael marszczy czoło.

– Dlaczego krzyczał?

Kirby wydaje teatralne westchnienie.

– No cóż, miałam dopiero dwanaście lat. On miał szesnaście i był napalony. A ja się denerwowałam. Bardzo chciałam mieć świeży oddech, więc przez jakąś godzinę przed spotkaniem płukałam gardło miętowym płynem. A potem tuż przed samą akcją połknęłam kilka miętowych pastylek... no i wiesz. – Mlaska językiem i robi skruszoną minę. – Biedny chłopak. Omal nie dostał pryszczki na fiutku. Zaczął wrzeszczeć, szarpnął mnie za głowę. Z doświadczenia wiem, że facet musi mocno cierpieć, żeby coś takiego zrobić. Wskoczył z auta i zaczął biegać w kółko, wrzeszcząc: »piecze, piecze, piecze!« No i macie, to prawdziwy grzech.

– Co konkretnie?

– To, że tak spieprzyłam obciążanie. – Mruga słodko oczętami. – Czy ten Wielki Koles mi wybaczy? To się więcej nie powtórzyło i dziś już obciążam o wiele lepiej, słowo”.

– Och, Kirby – wzdycham. – Czemu nie możesz się po prostu zamknąć i go posłuchać?

Mam przeczucie, że Michael zaraz wpadnie w szal. Ale ten tylko kręci głową z żalem.

„ – Przykro mi, że postanowiłaś nam to utrudnić – mówi – ale być może twoja podróż pomoże zrozumieć innym, jakim szaleństwem jest trwanie w grzechu. Bo w końcu i tak się wypowiedasz, Ewo. Możesz nie mieć oczu, możesz stracić sutki, może połamię ci nawet kolana, ale tak czy inaczej wyznasz swoje grzechy.

Kirby ziewa.

– Dam ci radę co do tortur, dupku. O wiele bardziej przerażające jest, kiedy coś robisz, zamiast wcześniej o tym gadać.

– Skoro nalegasz. Zaczniemy od czegoś niewielkiego, tak jak proponowałem ci z wyznaniem grzechów”.

Wychodzi poza kadr. Słyszę jego kroki na drewnianej podłodze. Frances wciąż trzyma kamerę skierowaną na Kirby.

„ – Pęknieś, zobaczysz” – ostrzega Frances.

Kirby posyła całusa do kamery. Rusza brwiami w górę i w dół.

„ – Proszę... mamy kamerę, ... gorącą nagą laskę... – Rozsuwa nogi. – Pani reżyser, jestem gotowa do zbliżenia. Ma pani ochotę?

– Jezebel! – syczy Frances.

– Chwila, mam kumpełę o imieniu Jezebel, więc się pilnuj”.

- Jej chyba naprawdę odbiło – mówi Callie.
- Albo jej odbiło, albo nie zależy jej na życiu – odpowiadam.
- Brak lęku to częsta cecha u socjopatów – wyjaśnia James. –

Spójrzcie, wraca.

Michael Murphy niesie pręt długości niecałego metra. Zakończony jest miedzianym czubkiem, ma też izolowaną rączkę. Od podstawy pręta biegnie kabel, który wychodzi poza kadr. Michael pokazuje Kirby swoje narzędzie.

„– Wiesz, co to jest?

– Wygląda jak piana. Popularne narzędzie do tortur prądem w Ameryce Południowej i innych cywilizowanych miejscach. Jakie ma napięcie, około szesnastu kilowoltów?

– Trzydzieści. Technologia idzie naprzód. Skoro więc znasz to narzędzie, wiesz, do czego służy. Jeszcze raz proszę, wyznaj jakiś grzech, prawdziwy grzech i żałuj za niego w sercu.

– Zaraz, przecież już to zrobiłam. Naprawdę było mi głupio po tym fatalnym obciążaniu. Dziewczyna musi się trzymać pewnych standardów.

Michael wzdycha.

– Frances, czy możesz odstawić kamerę na statyw? Będę potrzebował twojej pomocy.

– Tak, bracie”.

Słysząc trzaski kamery, Frances spełnia prośbę brata. Po chwili pojawia się w kadrze.

„– Wielu ludzi sądzi, że wystarczy przyłożyć piana od zewnątrz, na przykład do piersi albo genitaliów. Zgoda, to boli, ale przekonałem się, że o wiele skuteczniejsze jest stosowanie jej od wewnątrz.

– Ja też – przyznaje Kirby. – No to gdzie? W usta, w tyłek czy w cipkę?

– Kawalek w gardło – mówi Murphy. – Postaraj się nie zadławić własnymi wymiocinami. Mogłabyś umrzeć”.

Widzę tik w kąciku lewego oka Kirby. Do tej pory to pierwszy objaw jej niepokoju.

„– Przytrzymaj jej głowę” – mówi Michael do Frances.

Frances unieruchamia głowę Kirby, trzymając ją za skronie. Michael zbliża picanę do ust Kirby.

„– Możesz otworzyć sama albo wybiję ci zęby i wepchnę na siłę.

Kirby nie uśmiecha się ani nie żartuje, ale otwiera szeroko usta.

– Ostatnia szansa – mówi Michael. – Czy chcesz wyznać grzechy?”

Kirby wystawia język i robi „aaaaa”, jakby pokazywała gardło u internisty. Michael nie waha się. Wsuwa picanę między zęby i w usta. Domyślam się, że wepchnął ją prawie do gardła, bo Kirby zaczyna czerwienić na twarzy. Frances odsuwa dłonie od głowy Kirby. Działa sprawnie. Na pewno robili to już wcześniej.

Wtedy Murphy wciska guzik w rączce picany.

Efekt jest natychmiastowy i obrzydliwy. Ciało Kirby pręży się, bo prąd powoduje gwałtowne skurcze mięśni. Oczy wychodzą jej z orbit, a zęby grzechoczą na picanie z taką siłą że aż się dziwię, że ich sobie nie połamała. Po nogach spływa mocz. Rusza gwałtownie brzuchem. Uświadamiam sobie, że zapewne wypróżnia się wbrew własnej woli. Trwa to tylko chwilę, ale mam wrażenie, jakby minęła godzina.

Michael puszcza guzik. Kirby otwiera szeroko usta, a on wyszarpuje picanę. Kirby natychmiast wymiotuje i trzęsie się w konwulsjach. Spazmy wstrząsają jej ciałem, bo mięśnie i mózg zastanawiają się, jak zareagować



na to, co właśnie się stało. Krzesło, na którym siedzi, przechyla się na bok i Kirby, dygocząc, znów ląduje na podłodze. Mruga. Spazmy w końcu ustają i znów słyszymy, jak dyszy w podłogę, głębokim, urywanym oddechem graniczącym z jękiem.

Michael odczekuje chwilę i tylko patrzy. Staje za nią, sięga w dół i sadza ją na krześle. Aż nie mogę uwierzyć, jak zmieniła się w ciągu zaledwie dziesięciu sekund. Twarz ocieka jej potem, podbródek i piersi toną w wymiocinach, nie może wyostrzyć wzroku.

Michael pochyla się. Odsuwa jej kosmyk wilgotnych włosów z czoła.

„ – A teraz, moje dziecko? Jesteś gotowa wyznać grzechy? Nie bój się, Bóg wybacza wszystko, jeśli szczerze żałujesz”.

Kirby otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale nic nie słychać. Zamyka usta, przetyka ślinę, próbuje nad sobą zapanować. Podnosi głowę i obdarza Michaela najśłodszym uśmiechem, jaki widziałam u zabójcy.

„ – Jeszcze raz”.

– Jezu! – krzyczę. – Ile jeszcze, Alan?

– Dziesięć minut.

Dziesięć minut? Tortura, którą właśnie widzieliśmy, trwała zaledwie dwie minuty.

– Nie wiem, czy wytrzyma tak długo.

– Wytrzyma – zapewnia James.

To nadzieja czy modlitwa? – zastanawiam się.

„ – Skoro nalegasz – mówi Michael – ale ostateczny efekt będzie taki sam. Wszyscy ulegamy woli Boga. Bóg jest miłością”.

Frances znów unieruchamia głowę Kirby, a Michael ponownie podnosi picanę.

– Szybciej – mówię do Alana. – Proszę.

Zasłony są zaciągnięte – zauważa Brady. – W jakim jest stanie? Zniesie granaty oślepiające?

Kirby została potraktowana picaną jeszcze trzy razy. Nie złamała się, ale przestała pyskować. To najlepszy dowód, że zaczyna cierpieć. Z krzesła kapią mocz i fekalia. Głowę zwiesiła nisko. Tylko w oczach widać opór.

– Zniesie.

Dom stoi w dzielnicy Reseda. To starszy budynek w stylu rancza z lat sześćdziesiątych, którego raczej nie remontowano. Niebiesko-białe drewniane wykończenia są popękane i łuszczy się z nich farba. Na trawniku widać dużo uschniętej lub usychającej trawy. Okna są brudne, a zasłony wyglądają staro. Rodzeństwo Murphych nie dba o dom. To tylko miejsce, w którym spędzają czas między kolejnymi morderstwami.

Brady wskazuje palcem na okna w salonie.

– Bez finezji. Na mój znak wrzucamy granaty rozbłyskowe przez okna i jednocześnie wyważamy drzwi od frontu, ciskając kolejne granaty. Potem wkraczamy i zdejmujemy ich. Moja ekipa wchodzi pierwsza, zawołamy was, kiedy będzie czysto.

Brady mówi cichym i pełnym napięcia głosem. Jego ludzie siedzą nieruchomo w milczeniu, ale jest to bezruch sprintera, który czeka na wystrzał ze startera.

Kirby krzyczy po raz pierwszy i słyszymy to w stereo – krzyk dochodzi jednocześnie z głośników komputera i z domu.

– Poczekajmy na kolejny krzyk – proponuję. – Wtedy będą najmniej się

pilnowali.

Wszystkie potwory ostatecznie są takie same. Rozkoszują się krzykami. Brady patrzy na mnie i marszczy czoło.

– To dla niej najlepsza szansa – tłumaczę. – Lepszy kolejny wstrząs niż kulka. Zniesie to.

Brady przetwarza te informacje w mgnieniu oka. Kiwa głową i daje sygnał swoim ludziom przy drzwiach, żeby się przygotowali. Jeden stoi już przy oknie. Dragi z taranem czai się przed drzwiami, kolejny zaś czeka obok z granatami w ręku. Brady już odbezpieczył karabin HK53.

Ja z moją ekipą czekam z tyłu przy samochodach. Wszyscy stoją z bronią gotową do strzału. Nad naszymi głowami wisi srebrny bezlitosny księżyc.

Dopiero co przyjechaliśmy, więc jeszcze nie zdążyliśmy pobudzić sąsiadów. Ale lada chwila to się zmieni.

Mamy świadomość upływu kolejnych sekund, milisekund albo nanosekund. Wszystko zastyga w niezwykłym oczekiwaniu.

Kirby krzyczy i cały świat eksploduje.

Przez okno wpadają granaty. Taran uderza w drzwi tylko raz. Zamek pęka i drzwi stają otworem. Do środka wpadają kolejne granaty i słyszę ich wybuchy, znów w stereo. Oglądam to wszystko z zewnątrz i słyszę, co dzieje się wewnątrz. Wszystko odbywa się w mgnieniu oka.

Brady wpada do domu, a za nim jego ludzie. Robią to bez wahania. Wszystko robią z poświęceniem, zdecydowanie, błyskawicznie. Kamera przewraca się i pokazuje teraz ścianę. Nie widzę, co dzieje się w środku.

– No dalej – mamrocze James. – Wytrzymaj to, Kirby. – Chyba nawet nie jest świadom, że to mówi.

Słyszę, jak Brady i jego ludzie wydzierają się na Murphych.

– Na ziemię, kurwa!

Potem rozlegają się stęknienia i szamotanina. Słyszę dwa łupnięcia. Chwilę później Brady staje w drzwiach i macha do nas. Biegniemy.

Salon znajduje się od razu po prawej. Michael i Frances Murphy leżą na brzuchach na podłodze. Patrzą na siebie i poruszają ustami.

– O tak, choć idę ciemną doliną śmierci – mówi Michael.

– Niczego się nie lękam – odpowiada Frances.

– Zamknąć się, kurwa – ryczy Brady.

Nic sobie z niego nie robią i recytują dalej.

James podchodzi do Kirby. W pokoju czuć mocny smród fekaliiów, moczu i potu. Głowa Kirby wisi nisko, włosami dotyka ud. James klęka przed nią, podnosi jej brodę. To niespodziewany gest pełen czułości.

– Dobrze się czujesz?

– G... głupie... głupie pytanie – charczy.

Mówi do niego, ale patrzy na mnie. Błagalnym wzrokiem.

– Wszyscy wynocha, zostają tylko ja i Callie – wydaję polecenie. Widzę wahanie i pytające spojrzenia. W ciszy słyszeć recytację Modlitwy Pańskiej, jak brzęczenie much za siatką.

– Mówię poważnie. Zostawcie nas, proszę.

Chyba tylko James mnie rozumie. Wstaje i idzie do drzwi, bez słowa. Ludzie Brady'ego podnoszą Murphych z ziemi i zaczynają ich wyprowadzać na zewnątrz. Michael zatrzymuje się przed Kirby.

– Nie wyspowiadałaś się. Wiedz, że pójdziesz do piekła.

– Ttto dddo zzzobaczenia – syczy Kirby.

Próbuje posłać mu całusa, ale nie udaje jej się.

– Wyprowadźcie ich – rzucam.

Alan wychodzi ostatni.

– Popilnuję drzwi – oznajmia i zamyka je za sobą.

– Cz... czy Callie, słonko, też może w... wwwwyjść?

– Będę potrzebowała jej pomocy, Kirby – tłumaczę delikatnym głosem.

– Była ze mną tuż po tym, co mi się przydarzyło. Możesz jej zaufać.

Callie milczy, kiedy Kirby obrzuca ją nieufnym wzrokiem.

– ... brze. Mmmozecie mnie z tego podnieść?

– Oczywiście, kochaniutka – mówi do niej delikatnie Callie i klęka obok krzesła.

Callie wyciąga z torebki scyzoryk. Kiedy przecina więzy, Kirby zaczyna drzeć. Kładę rękę na jej ramieniu, a drugą odsuwam włosy z czoła. Kiedy zostaje odcięta, pociera sobie nadgarstki i siedzi przez chwilę, drżąc.

– Mmmogę wam ccccoś powiedzieć? – szepcze do nas.

– Śmiało – zachęca Callie.

Kirby się uśmiecha.

– Zzzzaraz chchchyba pppaadnę...

Łapiemy ją, bo mdleje i leci w przód.

To właśnie dostrzegłam w jej oczach i to zrozumiałam. Kirby miała się za chwilę rozkleić i chciała mieć przy tym jak najmniej świadków.

Kirby trzyma się mnie, obejmując za szyję, a Callie myje ją w wannie. Traktujemy ją jak dziecko, a ona nie protestuje. To rzadka chwila zaufania, która może się więcej nie powtórzyć. Mięśnie drżą jej i kurczą się bezwolnie, zaciska mocniej rękę, kiedy Callie (bardzo, bardzo delikatnie)

myje ją w intymnych miejscach.

– Chcesz usłyszeć moją spowiedź? – szepcze mi do ucha tak cichym głosem, że jestem pewna, że słyszę go tylko ja.

Nic nie mówię. Czuję na skórze uśmiech Kirby.

– Jako szesnastolatka miałam przyjaciółkę, którą zamordował jej chłopak. Pobił ją na śmierć i uciekł. Znalazłam go rok później i umierał przez trzy dni. Nie skończyłam jeszcze nawet osiemnastu lat, ale nigdy nie czułam z tego powodu wyrzutów sumienia.

Nic nie mówię. Gładzę ją po włosach. Kładzie głowę na moim ramieniu i wzdycha.

Każdy, nawet Kirby, musi się kiedyś komuś zwierzyć.

*Ego te absolvo, Kirby.*

Co robiliście ze zwłokami?

Siedzę w sali przesłuchań z Michaeliem Murphym, tak jak wcześniej z wieloma mu podobnymi. Próbuję wydusić z niego ostatnie sekrety. Ostatnią spowiedź. Przygląda mi się, moim bliznom, próbuje chyba zajrzeć w głąb mojej duszy.

– Jesteś katoliczką? – pyta mnie.

– Już nie.

– Wierzysz w Boga?

– Może. Co robiliście ze zwłokami?

Ukrywał się przed nami przez dwadzieścia lat. Co się działo z ofiarami?

Murphy siedzi przy stole, tak jak siedział na swoich filmach. Zamiast różańca ma kajdanki na nadgarstkach, ale siedzi w tej samej pozycji. Michael Murphy jest właśnie tam, gdzie chce być. W jego głowie więzienie to doskonała kazalnica, z której może nauczać, dzięki karze śmierci on i siostra mają szansę zostać męczennikami. Przyznali się bez przymusu czy konieczności procesu.

Filmy wrzucane do Internetu przez Murphy'ego okrzyły świat w jedną i w drugą stronę. W większości wypadków ludzie oglądają je dla przyjemności podglądactwa, dlatego że mogą podejrzeć ostatnie chwile innego człowieka, przyłożyć ucho do konfesjonału. Ale nie można zaprzeczyć, że wywołały też dyskusję, która zapewne będzie ciągnąć się miesiącami, a może i dłużej.

Są tacy, którzy uważają, że metody są niewybaczalne, ale przesłanie mimo to ma wartość. Morderstwo, powiedział ktoś, nie jest chrześcijańską



cnotą, ale ujawnienie pełnej prawdy przed Bogiem, i owszem. Innymi słowy, nie popieramy sposobu, w jaki to zrobili, co to to nie, ale to co mieli do powiedzenia.... no cóż...

Jest też radykalny odłam, który uważa Michaela i jego siostrę za bohaterów i rewolucjonistów. Trafiłam nawet na stronę sprzedającą koszulki ze sloganami w rodzaju „Pełna prawda albo piekło” czy „Tylko Bóg może osądzić Murphych”.

Wszystko to przyprawiałoby mnie o mdłości, gdyby niejedna podstawowa prawda: to poparcie jest śladowe. Większość chrześcijan, zdecydowana większość, potępia wszystko, co zrobiło rodzeństwo Murphych. Wiele osób napisało listy otwarte z przeprosinami do rodzin ofiar w imieniu wszystkich chrześcijan i katolików. Przypominam sobie o tym fragmencie katechizmu, który odczytał mi ksiądz Yates, tym o miłości. Miło się przekonać, że dla większości nie są to tylko słowa.

Michael i Frances Murphy stanowią dla mnie kłębowisko sprzeczności. Aby zrozumieć potwory, trzeba się wsłuchać w mroczną melodię. Nie jestem w stanie jej skopiować, na pewno nie dokładnie, ale potrafię uderzyć w nuty mniej więcej o oktawę wyższe i w ten sposób odtworzyć ich piosenkę. Częściowo udało mi się to w przypadku Michaela i jego siostry, ale umyka mi wiele rzeczy.

Fanatyzm seryjnych zabójstw stanowi niemal zawsze zasłonę dymną. Przywódcy terrorystów, którzy głoszą śmierć w imię Boga, tak naprawdę mają Boga gdzieś. Chcą się podniecić, zadając śmierć ludziom. Hitler mówił o wzmocnieniu rasy aryjskiej. W rzeczywistości był kolejnym seryjnym mordercą.

Praktycznie nic nie potwierdzało, by Michael czy Frances czerpali

seksualną przyjemność z popełnianych zbrodni. Lekarz z kobiecego więzienia, gdzie trafiła Frances, potwierdził, że siostra Michaela jest wciąż dziewicą. Ani razu nie prosili o darowanie im kary śmierci.

Prawdziwi wyznawcy? A może gdzieś czai się mroczna radość skryta tak dobrze, że nigdy jej nie dostrzegą?

– Naprawdę chcesz się dowiedzieć? – pyta.

– Nie, Michael. Po prostu miałam dziś trochę czasu, więc wpadłam na pogawędkę. Oczywiście, że chcę się dowiedzieć.

Splata dłonie i się uśmiecha.

– W takim razie wyznaj mi coś. Nie musi to być nic wielkiego, ale też nic drobnego. Opowiedz o tym, a dam ci słowo, że zdradzę ci, co się stało z innymi ciałami.

Zastanawiam się nad propozycją. Nie jest dobrze handlować podczas przesłuchania. Kiedy przestępcy dostaną, co chcą, już nas nie potrzebują i mogą się wyłączyć. Ale przecież Michael szprycuje się prawdą.

– Przysięgnij na Boga – odzywam się.

– Słucham?

– Przysięgnij na Boga, że mi to powiesz, kiedy coś ci wyznam.

Wzrusza ramionami.

– Proszę bardzo. Przysięgam na Boga.

Siadam wygodniej na krześle i zastanawiam się. Nie zadowoli go coś takiego jak masturbacja. To musi być coś osobistego, coś trudnego, musi to zabrzmieć wiarygodnie, ale na koniec muszę zachować w tym wszystkim osobistą uczciwość.

– Kiedy miałam dwanaście lat, zmarła moja matka – zaczynam.

– Na co?

– Rak trzustki.

– Przykro mi. To bolesna śmierć.

– Owszem. Pod koniec już tylko jęczała lub krzyczała, w dzień i w nocy. Środki przeciwbólowe nie pomagały.

– Musiało być ci ciężko.

Ciężko? Widzę to, jakby było teraz, jedno wielkie pasmo koszmarów. Matka miała zawsze długie, gęste włosy. Po napromieniowaniu zrobiła się łysa jak niemowlę. Zawsze wydawało mi się, że najpiękniejsze ma oczy. Z bólu wywracała je białkami do góry, zaciskała mocno powieki albo płakała. Piękne rysy zmieniły się w zarys szkieletu, a jej zapach, zapach matki, który kiedyś był dla mnie taki cudowny i naturalny jak oddychanie, teraz stał się obcy i cuchnął chorobą i śmiercią.

Tata, panie świeć nad jego duszą, był dobrym, wspaniałym człowiekiem. Cudownym mężem dla mamy. Ale nie mógł wytrzymać zbyt długo w tym pokoju, przy jej łóżku. Spędzał z nią godzinę, a potem przez dwa dni dochodził do siebie. Wszystko spadło więc na moją głowę. Siedziałam przy jej boku, gładziłam ją po czole, śpiewałam jej i płakałam wraz z nią. Leżała w domu, wynajęliśmy siostrę z hospicjum, ale poprosiłam ją, żeby pozwoliła mi pomagać przy większości rzeczy. Jako dwunastolatka zmieniałam matce pampersy. Nienawidziłam tych chwil i zarazem się nimi cieszyłam.

– W ostatnich tygodniach błagała mnie codziennie, czasami nawet dwa razy dziennie, żebym ją zabiła. „Zabij mnie, zabij mnie, proszę, kochanie, zabij mnie”, jęczała albo skrzeczała bez końca. „Proszę, proszę, proszę, zabij mnie i skończ to, skończ to, o mój Boże, skończ to...” – przerywam na chwilę.

– Mama była katoliczką. Zawsze mocno wierzyła. Wychowała mnie w wierze. Mimo to leżała i błagała mnie, żebym pomogła jej popełnić samobójstwo.

– Bóg poddaje nas próbom – mówi Michael.

Zerkam na niego i zastanawiam się, czy go nie zabić. Tylko przez milisekundę.

– Wierzyłam, że samobójstwo oznacza, że matka pójdzie do piekła. Pewnego dnia, już pod koniec, miała lepszy poranek. To się czasem zdarzało. Wracała do nas. Oczywiście wtedy przytomniały i mogliśmy przez chwilę normalnie porozmawiać. Nigdy nie trwało to długo. Tego ranka mogłam zawołać tatę, ale tego nie zrobiłam. Postanowiłam porozmawiać z nią sama.

– O jej życzeniu śmierci. – To było stwierdzenie, nie pytanie.

– Tak. Powiedziałam jej, że samobójstwo to grzech, że jeśli poprosiłaby o śmierć i ją otrzymała, poszłaby do piekła. Powiedziałam jej, że musi mi powiedzieć, czy chce żyć do końca. Musiałam to od niej usłyszeć.

Przekrzywia głowę i mruży oczy.

Czy widzi, do czego zmierzam? Może. Może to jego dar, może wyczuwa grzechy jak pies mięso.

– Była przytomna. Czuła ból, ale była w stanie się przez niego przebić, i wtedy pokazała mi, jak powinna wyglądać prawdziwa wiara. Uśmiechnęła się i powiedziała mi to, co przed chwilą mówiła: „Bóg poddaje mnie po prostu próbie, kochanie. Niedługo się to skończy”. „Powiedz to, mamo”, prosiłam ją. Była trochę zdziwiona, ale czuła takie wyczerpanie. „Chcę żyć do końca”, powiedziała mi. Godzinę później znów odplynęła, znów pochłonął ją ból i znów błagała mnie o śmierć.

– Twoja matka musiała być niezwykłą kobietą.

– Tak, taka właśnie była.

Pochyla się nieco do przodu.

– A ten grzech, Smoky? Co zrobiłaś?

Nie znoszę, gdy zwraca się do mnie po imieniu.

– Musiałam usłyszeć te słowa, wiesz? Po to, by mieć pewność, że kiedy ją zabijałam, nie oznaczało to samobójstwa.

Proszę bardzo, myślę. Oto prawda o tobie.

Bo widzę, jak rozszerzają mu się oczy, kiedy mówię te słowa, tylko trochę, ale jednak. Nie rozszerzają się z szoku czy zaskoczenia, ale z podniecenia.

– Zamordowałaś własną matkę? – szepcze.

– Przyniosłam jej spokój – mówię chrapliwie. – Pokój, którego nie dał jej Bóg. Codziennie przechodziła tortury. Nie pozwalamy tak cierpieć zwierzętom. Więc czemu pozwalamy ludziom?

– Bo ludzie mają duszę, Smoky.

Mam ochotę napluć mu w twarz.

– Nieważne. Chodzi o to, że otruję ją, przedawkowując morfinę. Wiedziałam, jak to zrobić, pomagałam jej zażywać leki. I nie było to samobójstwo, więc wbrew twoim przekonaniom nie poszła za to do piekła.

Stuka palcem o plastikowy blat stołu i rozmyśla.

– Muszę się z tobą zgodzić, Smoky. Twoja matka poszła do nieba. Jej ostatnim życzeniem, kiedy była przytomna, wcale nie było samobójstwo. Ale za to ty... – Kręci głową. – Jeśli nie poprosisz Boga o wybaczenie, nigdy nie dostąpisz Jego łaski.

– Może – odpowiadam – ale nie taką mieliśmy umowę. Zgodziłam się

coś wyznać. Dotrzymałam swojej części umowy.

Wzdycha.

– Tak, a ja przysiągłem na Boga. Ale mam nadzieję, że kiedyś się nad tym zastanowisz. Mam nadzieję, że pewnego dnia obudzisz się i poprosisz Boga, żeby wybaczył ci morderstwo własnej matki. Nie rozumiesz? Tylko w ten sposób będziesz mogła się z nią spotkać.

– Pozostałe ofiary? – Mój głos brzmi jak lód.

– Proszę bardzo. Chrząszcze skórnikowate. Żerują na ciele. Specjaliści od preparowania zwierząt wykorzystują je, żeby oddzielić skórę od kości. Są wydajne i łatwo je kupić. Dzięki nim redukowaliśmy zwłoki do kości, a kości potem mieliliśmy na proszek i rozsypywaliśmy go na poświęconym terenie.

– Oddawaliście zwłoki na... pożarcie? – mówię z niedowierzaniem.

– Ciało to tylko naczynie, Smoky. Ich dusze są w niebie. – Jest spokojny, pewny, niewzruszony.

– Jestem przekonana, że ich rodziny będą wam za to wdzięczne.

– To nie ma znaczenia. Prawda pozostaje prawdą.

Walczę z pokusą żeby udusić go gołymi rękoma. Jeszcze tylko kilka pytań.

– Jak dowiedziałeś się o Dexterze Reidzie?

– Sprawa Dextera... stała się kontrowersyjnym tematem w wielu katolickich blogach. Codziennie monitorowaliśmy przez Internet liczne katolickie media na całym świecie.

Wyobrażam sobie, jak Michael i Frances niczym wampiry kulą się w ciemności z twarzami oświetlonymi przez monitor komputera, oblizują martwe usta i krążą po cyberprzestrzeni.

– Porozmawiajmy o waszej metodzie działania. Zawsze wyglądało to tak samo? Frances przenikała do parafii i zakładała podsłuch w konfesjonale?

Kiwa głową.

– Słuchaliśmy nagrań wspólnie i wybieraliśmy. Frances zaprzyjaźniała się z wybrańcami, uczyła się ich zachowań.

– A ty zabijałeś.

– Czasami mi pomagała, ale przeważnie to było moje zadanie. Taki mieliśmy podział pracy.

– Potem trzymała się jeszcze przez jakiś czas parafii, żeby nikt nie zaczął podejrzewać, że miała jakiś związek ze zniknięciem ofiary.

– Zgadza się.

– Zaczęliście waszą... pracę, zanim powstał Internet. Co najpierw zamierzaliście zrobić z nagraniami?

– Nie byliśmy pewni. Wiedzieliśmy, że musimy zapisywać naszą pracę, ale przyznam, że początkowo nie byłem pewien, jak wykorzystamy nagrania. Czy wyślemy je do jakiegoś medium? Prosto do ludzi? – Podnosi wzrok i uśmiecha się. – Wierzyliśmy, że Bóg w swoim czasie wskaże nam sposób. I tak się stało.

– Dlaczego zmieniłeś taktykę w przypadku Lisy Reid? Osobiście przeniknąłeś do jej parafii.

Wzrusza ramionami.

– Chyba z chęci przyspieszenia. Przez dwadzieścia lat tworzyliśmy nasze dzieło. Wiedzieliśmy, że jest już prawie gotowe, i nie chcieliśmy czekać ani sekundy dłużej, niż to konieczne. Skoro i tak zamierzaliśmy się ujawnić, nie było potrzeby zachowywania aż takiej ostrożności. Poza tym

dzięki temu mogłem zostawić własny odcisk palca na kielichu.

– Skąd wiedziałeś? Że dzieło jest już ukończone?

To dla mnie kluczowe pytanie o coś, co sprawia, że zachowanie Michaela i Frances jest wyjątkowe. Seryjni zabójcy lubią zabijać. Zabijają, póki nie zginą lub nie zostaną złapani. Rodzeństwo Murphych, ujawniając się, praktycznie samo się powstrzymało.

– Od początku wiedzieliśmy i zawsze byliśmy co do tego zgodni, że zrozumiemy, kiedy nadejdzie chwila, w której trzeba będzie powiedzieć dość. Kilka miesięcy temu dotarło do nas, że ta chwila nadeszła.

– W jaki sposób?

Michael Murphy patrzy mi prosto w oczy i uśmiecha się. To najśłodszy uśmiech, jaki widziałam, najświętsza mina, jaką zdarzyło mi się zobaczyć u człowieka.

– Bóg mi powiedział.

Z jego głosu bije bojaźń. To nie żart ani próba.

– Przemówił do ciebie?

– Jeszcze lepiej... objawił mi się. Mniej więcej trzy miesiące temu. Tamtej nocy z jakiegoś powodu spałem niespokojnie, co było niezwykle. Zawsze śpię głęboko i dobrze. Zdrzemnąłem się na chwilę. Znalazłem się w stanie, kiedy człowiek osuwa się w nieświadomość. I wtedy usłyszałem Jego głos.

– Co powiedział? – pytam, choć tak naprawdę nie muszę wiedzieć. Michael przeżywa tamtą chwilę, znów słyszy głos Boga.

– „Michael – powiedział. Dobrze się spisałeś, synu. Szedłeś niełatwą ścieżką, dużo ryzykując, ale nadszedł czas na kolejną część twojej podróży”.



Zauważam, że w tej opowieści zasługi zostają przypisane tylko Michaelowi. Nie ma słowa o Frances.

– „Nadszedł czas, żebyś ujawnił prawdę światu. Nie będzie to łatwe. Wielu cię znienawidzi i odrzuci Słowo, ale nie daj się temu zwieść. Tylko Moja ścieżka jest słuszna i musisz iść dalej, choćbyś musiał iść przez pole tłuczonego szkła”. – Łzy płyną Michaelowi po policzku. – „Tak, Panie – krzyknąłem do niego. Zrobię, co tylko zechcesz. Wezmę na siebie wszelkie brzemie, które mi wyznaczysz”. – Przerywa. Czekam cierpliwie. – A potem zniknął, a ja poczułem przyływ energii, odświeżenie, choć wcale nie spałem. Czuję się, jakbym mógł biec całymi dniami, tygodniami, miesiącami, latami. – Wraca do chwili obecnej, bezwiednie ociera łzy z twarzy. Znowu patrzy na mnie uważnie. – Bóg wprowadził nas na tę ścieżkę. Bóg powiedział mi, że dotarliśmy do jej końca. Tak zawsze było ze wszystkimi prorokami od początku świata.

Wierzy w to. W każde słowo. Widzę to na jego twarzy, słyszę to w głosie. Znowu wróciło szaleństwo w oczach, to błyszczące światło. Dlaczego przestali? Z tego samego powodu, dla którego zaczęli. Michael i Frances to szaleńcy.

– A Valerie Cavanaugh? Stanowiła wyłom w waszej praktyce. Każda ofiara miała jakąś oczywistą tajemnicę, która skrywała coś mroczniejszego. Jaka była ta oczywista tajemnica Valerie?

Milczy, zastanawia się.

– Masz rację – przyznaje. – Nie miała jej. Ale kiedy usłyszeliśmy jej spowiedź... Poszła do niej, żeby dręczyć księdza, nie dlatego, że naprawdę pragnęła przebaczenia od Boga. W jej głosie słychać było dumę. Raz nawet się roześmiała. Biedny ksiądz. Zmagał się z tym na pewno, ale

tajemnica spowiedzi to rzecz święta. – Wzrusza ramionami. – Była inna niż pozostałe, ale jej śmierć niesie jeszcze większe przesłanie: konieczność wyjawienia pełnej prawdy przed Bogiem. Spowiedź bez skruchy jest najgorszym rodzajem kłamstwa. – Jego głos staje się beznamiętny. – Świat jest lepszy bez niej.

Przechylam głowę.

– Zdenerwowała cię, co? Była prawdziwą antytezą tego, co próbowałeś powiedzieć. Twój awersją szatana.

Wzrusza ramionami, nie potwierdzająco, ale...

– Jeszcze jedno pytanie, Michael. Dlaczego tylko kobiety? Nie było żadnych mężczyzn z tajemnicami, za które warto było zabić, żeby udowodnić waszą tezę?

Wpatruje się we mnie zaskoczony.

– A jakie to ma znaczenie?

Brak mi słów. On tego nie dostrzega, uświadamiam sobie. Proszę, oto jego martwy punkt, który z rozmysłem omijał szerokim łukiem. Już dawno pojęłam, że autorefleksja, prawdziwa, głęboka i osobista analiza własnej osobowości to luksus, na który psychopaci nie mogą sobie pozwolić.

Wstaję. Chcę stąd jak najszybciej wyjść, koniecznie. Przypominam sobie jednak o czymś jeszcze. Odwracam się do niego i uśmiecham.

– Michael?

– Tak?

– Wszystko, co powiedziałam ci o mojej matce, to kłamstwo. – Wydymam usta. – Jesteś naprawdę głupi. Myślałeś, że przyznam się do morderstwa? Tutaj? Na litość boską, przecież ta rozmowa jest nagrywana.

Wychodzę z pokoju bez słowa, słysząc za plecami jego przekleństwa.

Oto moja chwila przyjemności, coś od czego rozszerzają mi się oczy – cierpienie, jakie czują, kiedy zabieram im to, czego pożądam.

– A więc to koniec – mówi do mnie Rosario przez telefon.

– Koniec. Oboje zostaną ostatecznie skazani na karę śmierci.

Milczy, a ja czuję tę ciszę, rozumiem ją. To cisza niedopełnionego, niedokończonego zdania.

– Dlaczego nie czuję się z tego powodu lepiej? – pyta.

– Wiesz dlaczego.

Pociąga nosem. Płacze.

– Tak. Chyba masz rację.

To za mało, bo jej dziecko wciąż nie żyje i nigdy już nie będzie żyło, nigdy nie wróci. Nic tego nie naprawi, nigdy.

– Dziękuję za telefon, Smoky. I za... no, za wszystko.

– Żegnaj, Rosario.

Rozłączamy się i wiem, że to pożegnanie oznacza pożegnanie na dobre. Rodziny ofiar nie próbują się ze mną kontaktować. Na zawsze kojarzę im się ze stratą ich ukochanych. Rosario jest wdzięczna jak inni, ale musi umieścić mnie w przeszłości, nie przyszłości. Kiedyś mnie to martwiło. Teraz rozumiem to bardziej osobiście.

Jadę w kolejne miejsce i rozmyślam o ostatnich tygodniach. Czy czegoś się nauczyłam? Nie znoszę uczenia się, bo wymaga to ocierania się o potwory, ale wiem też, że jest to jedna z rzeczy, która mnie od nich różni. Potrafię się uczyć i zmieniać, oni nie.

Tajemnice. Pojawiają się we wszystkim, co robimy, w tym, kim jesteśmy. Religia nazywa je grzechami i mówi, że przez nie nie dostąpimy

nieba. Mogą być wielkie lub małe. Potrafimy je chomikować, jakby to były sztabki złota. Każdy je ma.

Może religia ma rację, ale może to tylko metafora. Może po prostu nosimy niebo i piekło w sobie, tu na ziemi, przez cały czas. Może utrzymywanie naszych najciemniejszych tajemnic skazuje nas na piekło na ziemi, a może ulga, jaką czujemy, kiedy je wyjawiamy, to właśnie forma nieba?

– Witam księdza – mówię.

Ksiądz Yates uśmiecha się, jest zadowolony, że mnie widzi. W kościele jest pusto. Prowadzi mnie do pierwszego rzędu ławek i prosi, żebym usiadła.

– Jak się masz? – pyta.

– Dobrze, dzięki. A ksiądz?

Wzrusza ramionami.

– Lepiej. Trochę się pozmieniało. Kościoły dostały sprzęt do sprawdzania, czy konfesjonały nie są podsłuchu. Do tego PR-owy edykt głoszący, że to po to, by w wieku technologii mieć pewność, że sakrament pozostaje nienaruszony.

– Ktoś w końcu domyśli się, że dwa i dwa to cztery.

– Zgadza się. Ale Kościół niechętnie przyznaje się do własnych słabości. – Uśmiecha się. – Co jest jedną z jego słabości.

– Widzę, że nadal ksiądz nie zamierza ubiegać się o kardynalską purpurę – trochę się z nim drażnię.

– Nie nadaję się do polityki, więc nie szkodzi.

– No tak, ja również.

– W takim razie oboje po prostu róbmy to, co robimy.

– Ma ksiądz rację.

– Swoją drogą to interesujące – mówi. – Michael Murphy powiedział, że chodzi mu o prawdę, a ostatecznie okazało się, że mógł zaszkodzić bezpieczeństwu spowiedzi bardziej niż ktokolwiek inny w historii Kościoła katolickiego.

– On nigdy na to nie spojrzy w ten sposób, proszę księdza. Nigdy w życiu. Oni nie radzą sobie z własnymi sprzecznościami.

Milkniemy. Patrzę na Jezusa, któremu wciąż odłazi farba, wciąż cierpi.

– Po co przyjechałaś, Smoky?

– Potrzebuję czegoś od księdza.

– Czego?

Waham się. Chcę znów odnaleźć Jezusa. Czy jestem tego pewna?

– Chcę, żeby ksiądz jeszcze raz wysłuchał mojej spowiedzi. Będzie krótka. Przygląda mi się przez chwilę, a potem wstaje i wskazuje mi drogę do konfesjonahu.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Dobrze ksiądz wie, ile minęło od mojej ostatniej spowiedzi. Dziś okłamałam człowieka. Poważnie.

– Co to było za kłamstwo?

– Powiedziałam mu, że coś zrobiłam, coś straszego. Później powiedziałam mu, że skłamałam i tak naprawdę nie zrobiłam tego, o czym mówiłam.

– Ale to zrobiłaś?

Poważne pytanie i poważna odpowiedź, która wciąż krąży wokół mnie.

Jest przy mnie, kiedy się budzę, kiedy zasypiam i w ciągu całego dnia. Jestem pewna, że do pewnego stopnia zadecydowała o moim wyborze zawodu.

– Tak. Naprawdę zrobiłam to, co mu wyznałam.

– Chcesz mi powiedzieć, co mu opowiedziałas?

– Nie, proszę księdza.

Milczenie. Prawie słyszę, jak się nad tym zastanawia. Czuję jego opór, podejrzenia.

– Czy myślisz, że Bóg słyszał to, co mu opowiedziałas?

– Jeśli On istnieje, to tak naprawdę mówiłam do Niego, proszę księdza.

– Rozumiem. Więc chcesz przyznać, że to, co powiedziałaś, było prawdą, ale nie chcesz tego powtarzać.

– Coś w tym rodzaju.

Wzdycha.

– Czy pragniesz przebaczenia za to, co zrobiłaś?

– Szczerze mówiąc, nie wiem, proszę księdza. Wiem tylko, że chcę przyznać, że to się stało. To chyba dobry początek.

– Tak, Smoky. To początek. Ale w ten sposób nie mogę zadać ci pokuty ani udzielić rozgrzeszenia.

– Pokuta trwa, od bardzo dawna. A jeśli chodzi o rozgrzeszenie... zobaczymy. Chcę tylko wiedzieć, że ksiądz mnie wysłuchał. Nie wiem jeszcze, czy chodzi mi o wybaczenie.

Poprosiłabym o to mamę, gdybym mogła.

– Wysłuchałem cię, Smoky. A jeśli kiedykolwiek będziesz chciała powiedzieć mi więcej, wysłucham również.

– Wiem, proszę księdza. Dziękuję.

Jadę autostradą do domu, do Bonnie i Tommy'ego. Myślę o mojej matce. Pamiętam jej piękno, jej uśmiechy, jej temperament. Pamiętam każdą sekundę, jaką z nią spędziłam, i hołubię te wspomnienia za to, czym są: to czasy i miejsca, które już nie zaistnieją.

Zabiłam matkę, kiedy miałam dwanaście lat. Zrobiłam to z miłości, to prawda, ale zawsze się zastanawiałam: czy to dlatego tak dobrze rozumiem potwory? Dlatego że i we mnie jest coś z potwora?

Co o tym sądzisz, Boże?

On milczy. To właśnie mój wieczny i podstawowy problem w kontaktach z Nim.

Mamo?

Może to tylko wyobraźnia, ale wiatr, jaki wpada przez otwarte okno i gładzi mnie po włosach, daje mi znowu pewność i przez chwilę zaznaję spokoju.

Jak się czuje? – pytam.

– Sama zobacz – mówi Kirby.

Hotelowy pokój, w którym Callie postanowiła rzucić uzależnienie od vicodinu, dobre czasy ma już za sobą. Mieszka w tym pokoju od dwunastu dni.

W środku cuchnie potem i wymiocinami. Nie chciała pójść do normalnego ośrodka odwykowego, co wcale mnie nie zaskoczyło.

– Pokojówki nas znieawidzą, kiedy w końcu pozwolimy im tu posprzątać – zauważam.

– Dopilnuję, żeby dostały dobre napiwki, kochaniutka. Nie martw się. Callie stoi w drzwiach łazienki. Jest blada i ma cienie zmęczenia pod oczami, ale wygląda stabilniej niż do tej pory.

– Jak się czujesz? – pytam.

– Powoli zaczynam czuć się jak człowiek. W końcu. Myślę, że jutro będę gotowa wyjść z tego piekielka.

Kirby i ja pilnujemy jej na zmianę. Każda z nas trzymała ją, kiedy drżała, pociła się i przeklinała. Trzymałyśmy ją za głowę, kiedy wymiotowała. Raz gładziłam ją po włosach, kiedy płakała na głodzie.

– Jezu, czas najwyższy – mówi Kirby. – To mi całkiem wywróciło do góry nogami życie seksualne.

– Mnie też – przyznaję.

– Tak, tak, tak – odpowiada Callie. – Ja też nie widziałam się ze swoim facetem, od kiedy to się zaczęło. Wszystkie niedługo wrócimy do kochanków.



– Jak twoje plecy? – pytam. – Bolać cię?

Podchodzi i siada na łóżku.

– Smoky, od dawna już nie czułam bólu w plecach. Brałam vicodin dla samego vicodinu.

– O rany, to byłaś prawdziwą ćpunką, co? – mówi Kirby.

– Uwielbiałam moje małe białe pigułki, to prawda. Ale na szczęście mojego mężczyznę kocham bardziej. À propos... jak stoimy ze ślubem?

– Wszystko gra. Twoja córka dopracowuje ostatnie szczegóły. Brady próbował podrzucić zaproszenie dla twoich rodziców, ale zauważyłam to i wyciągnęłam je z kupki.

– Dziękuję.

– Jestem stworzona, żeby dawać ludziom przyjemność. Spokojnie, nie martw się. Wszystko w jak najlepszym porządku. Musisz się tylko stąd wynieść, pochodzić na siłownię, może trochę poopalać...

– Nie opalam się – protestuje Callie.

Cieszę się, że w jej głosie znów słyszę znajomy ton wyższości. To dobry znak.

– Nieważne. Jeśli chcesz wyglądać jak trup panny młodej, to proszę bardzo, to twój pogrzeb. To znaczy ślub.

– Wszystkie rude mają bladą karnację – upiera się Callie.

– Jest różnica między „bladością” a „bielą ćpuna” – ripostuje Kirby.

– Naprawdę jest tak źle? – Callie jest zaniepokojona.

Kirby wzdycha.

– Zmuszasz mnie, żebym była milutka, co? Nie, nie jest tak źle, po prostu się z tobą drocę, Callie, słonko. Prawda jest taka, że wyglądasz świetnie, chociaż pociłaś się, rzygałaś i tak dalej. Właściwie nienawidzę

cię za to.

Callie się uśmiecha.

– Poczulaś się głupio, sama to przyznałaś. – Pokazuje język Kirby.

– Suka – stwierdza Kirby.

Rozmowa cichnie. Callie patrzy na swoje dłonie, widać, że zbiera się, żeby coś powiedzieć.

– Słuchajcie uważnie, bo nie będę powtarzać – odzywa się. – Dziękuję wam obu. Nie dałabym sobie rady sama.

– Nie ma za co – odpowiadam.

– *No problemo* – szczebiocze Kirby. – Poza tym widziałam, jak klękasz i modlisz się do porcelanowego boga. – Parska śmiechem. – Szkoda, że tego nie nagrałam.

Callie krzywi się i znów zaczynają się przekomarzać. Słucham tego jednym uchem, uśmiechając się we właściwych chwilach.

Trzy kobiety, wszystkie dumne, wszystkie nieco poranione... brzemię naszych tajemnic tak łatwo staje się ciężarem. Nie ufamy innym na tyle, by wyznać tajemnice. Są też w nas rzeczy, które zatrzymujemy tylko dla siebie, rzeczy, o których nasi mężczyźni nigdy się nie dowiedzą, choćbyśmy nie wiem jak ich kochały. O takich rzeczach nie mówimy nawet sobie nawzajem.

Ale dobrze jest wiedzieć, że mamy dokąd pójść, kiedy to brzemię staje się zbyt wielkie, że jest ktoś, kto wysłucha naszych szeptów do ucha i zabierze nasze tajemnice do grobu.

– Chyba mogłabym do tego przywyknąć, skarbie. Co o tym sądzisz?

– Zdecydowanie łatwiej jest znaleźć faceta, który potrafi gotować, niż

samemu się tego nauczyć – przyznaje Bonnie.

Tommy przyrządza dla nas włoską kolację. Sos do mięsa sprawia, że cieknie mi ślinka, a wokół czuć zapach domowego pieczywa czosnkowego.

– Mama kazała mi się uczyć – woła Tommy z kuchni. – Mówiła, że najłatwiej zaimponować kobiecie gotowaniem.

– Mądra mama – mówię.

– Owszem.

– Kiedy ją poznamy? – pyta Bonnie.

Zerkam na Tommy'ego.

– Czemu pytasz, kochanie?

Bonnie przewraca oczami.

– Mamo Smoky, chyba naprawdę uważasz mnie za kretynkę. Przecież macie zamiar razem mieszkać, tak?

Krzywię się.

– Kto się wygadał? Callie? Kirby?

Uśmiecha się.

– Ludzie, docieńcie moją inteligencję.

Nerwowo ssę kciuk. Tommy milczy.

– Przepraszam, skarbie. Mieliśmy ci o tym niedługo powiedzieć. I co ty na to?

To była moja ostatnia obawa, ostatnie zmartwienie. Bonnie może i kocha Tommy'ego, ale od dwóch lat mieszkamy same. Budujemy wspólne życie. Potrzebujemy się nawzajem. Obawiałam się, jak przyjmie zmianę.

Podchodzi i bierze mnie za rękę. Jej uśmiech mówi mi wszystko.

– Myślę, że to supersprawa. Naprawdę, naprawdę super. Poza tym... on

potrafi gotować.

Jest późno w nocy i Tommy śpi obok. Przez okno widzę znów księżyc, wieczny, wiecznie ten sam księżyc. Ludzie tańczą przy jego poświacie, pieprzą się, zabijają i kochają a także umierają. A księżyc cały czas świeci, życie toczy się dalej.

Myślę o mojej mamie. Zastanawiam się, dlaczego pomoc w jej uśmierceniu była dla mnie mniejszym brzemieniem niż aborcja. To jedna z tajemnic, jakiej nigdy nikomu nie zdradziłam, nawet Mattowi. A teraz powiedziałam o niej potworowi, cała ja. Nigdy mi to jednak nie ciążyło tak bardzo. To coś, co się po prostu stało, i nie myślę o tym zbyt często.

Czy to było złe?

Szukam odpowiedzi i jak zwykle znajduję tylko jedną:

Mam to gdzieś.

Przestała cierpieć. Ostatecznie to było dla mnie najważniejsze.

Płakałam na jej pogrzebie. Od tamtego czasu nie zapłakałam ani razu. Teraz też nie płaczę, ale pozwalam sobie przez chwilę poczuć jej brak.

Tęsknię za tobą, mammo. Tata był świetnym ojcem, ale zawsze byłam córką mamusi.

Tommy porusza się obok. Uśmiecham się.

To dobry człowiek, mammo. Inny niż Matt. Ani lepszy, ani gorszy. Po prostu inny.

Moje życie jest pokręcone. Uświadamiam sobie, że próbuję wszystkich odepchnąć, poupychać w małe pudełeczka i zakopać. Co za bezsens. Duchy istnieją i zawsze będą istnieć. I będą się pokazywać, kiedy zechcą.

Sztuka polega na tym, żeby żyć dalej bez bólu istnienia. Tak jak

księżyc.

On wciąż błyszczy i teraz każe duchom zasnąć. Odwracam się do Tommy'ego i zapadam w jego ciepło.

Witaj w domu, wędrowcze, szepcze ktoś.

– Mama? – mamroczę i zapadam w sen bez snów. Księżyc świeci, jak świecił.

### **Ostatnia rzecz**

**Grzechy Kirby Mitchell**

## **Depesza agencyjna, Los Angeles**

„Dziś rano Michael i Frances Murphy zostali odnalezieni martwi w swoich celach, najwyraźniej popełnili samobójstwo. Rodzeństwo bliźniąt zabójców zyskało sławę po tym, gdy niedawno zamieściło w popularnym serwisie Usertube serię filmów opisujących ze szczegółami ostatnie chwile i intymne wyznania ponad stu czterdziestu kobiet.

Michael Murphy przemawiał w imieniu obojga. Twierdził, że za zabójstwami kryły się motywy religijne. Jego czyny, krótko popierane przez radykalną mniejszość, zostały powszechnie odrzucone przez chrześcijańską społeczność na całym świecie.

Rodzeństwo zmarło w odstępie kilku godzin. Brak listów pożegnalnych i to, że Murphy byli katolikami, a więc zapewne nie mogli się targnąć na własne życie, stanowi pożywkę dla spekulacji, że sprawa może mieć drugie dno. Organa ścigania nie rozważają jednak takiej teorii”.

## **Podziękowania**

*Jak zawsze dziękuję Lizie i Havisowi Dawsonom za to, że tak kompetentnie i entuzjastycznie mnie reprezentują. Lizo, dzięki za wszystkie te chwile, kiedy mogłem się przed tobą uzalać i jęczeć. Niekończące się podziękowania dla Chandlera Crawforda za to, że wozi moje książki za ocean i do innych krajów i że tam również potrafi wzbudzić dla nich entuzjazm. Wielkie dzięki dla Danielle Perez i Nicka Sayersa za znakomite redagowanie; zawsze udaje im się udoskonalić to, co napisałem. I dla wszystkich Czytelników, którzy piszą do mnie listy i e-maile – to dzięki Wam mój silnik działa. Będę pisał dopóty, dopóki będziecie mnie czytać.*